

ZESZYT STO DRUGI

---

# ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1992



ZESZYT STO DRUGI

---

# ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1992

BIBLIOTEKA « KULTURY »  
TOM 478

ISSN 0406-0393  
ISBN 2-7168-0146-0

IMPRIME EN FRANCE

---

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE**

Aldona CHOJNOWSKA

OPERACJA „WISŁA”  
(PRZESIEDLENIE LUDNOŚCI UKRAIŃSKIEJ  
NA ZIEMIE ZACHODNIE I PÓŁNOCNE W 1947 r.\*)

WSTĘP

Nie wiemy dokładnie, jak liczna była mniejszość ukraińska w Polsce międzywojennej. Z oficjalnych danych spisu powszechnego przeprowadzonego w 1931 roku wynika, iż — przy zastosowaniu jako wyznacznika języka ojczystego — stanowiła ona 13,9% obywateli Rzeczypospolitej. Ponieważ jednak wyniki spisu były kwestionowane nawet jeszcze przed oficjalną publikacją, nie możemy przyjmować ich bez korekty. Według szacunków J. Tomaszewskiego w rzeczywistości 16% ludności kraju, a więc nieco ponad 5 mln osób, przynależało do narodowości ukraińskiej<sup>1</sup>. Oczywiście wszelkie liczby mają w tym wypadku charakter orientacyjny, choćby ze względu na ciągle trwający proces kształtowania się świadomości narodowej mieszkańców kresów. Niezależnie od rozstrzygnięć statystycznych pozostanie faktem, że Ukraińcy byli najliczniejszą grupą niepolską.

Zamieszkiwali oni w siedmiu województwach południowo-wschodnich stanowiąc: w wołyńskim i stanisławowskim około 70% ogółu ludności, w tarnopolskim około 45%, w lwowskim i

---

\* Praca magisterska napisana pod kierunkiem prof. M. Kuli w Instytucie Historii Uniwersytetu Warszawskiego.

1. J. Tomaszewski, *Rzeczpospolita wielu narodów*, Warszawa 1985, s. 35.

poleskim ponad 30%<sup>2</sup>. Tak znaczne skupienie w jednej części kraju miało swoje konsekwencje: z jednej strony ograniczało problem terytorialnie, dając początkowo nadzieję na uczynienie go regionalnym, z drugiej zaś ułatwiało zorganizowanie się samej mniejszości.

Wiemy, że szansy na „regionalizację” nie wykorzystano. Władze państwowe faktycznie nie wypracowały spójnej koncepcji polityki wobec mniejszości narodowych. Przez cały okres 1918-1939 kwestia ukraińska należała do najbardziej skomplikowanych, absorbujących polityków i zajmujących uwagę opinii publicznej. Jej rozwiązanie stawało się tym trudniejsze, że ani elity, ani tym bardziej masy polskie i ukraińskie nie potrafiły zrationalizować zagadnienia obustronnych stosunków.

Obciążenia emocjonalne były ogromne, choć niewątpliwie zrozumiałe. Każde spojrzenie w bliższą czy dalszą przeszłość przynosiło raczej obraz walki niż zgodnej współpracy. Interpretacje procesów i zdarzeń historycznych różniły się diametralnie: misja cywilizacyjna na wschodzie czy kolonizacja ziem ruskich? bunt Chmielnickiego czy powstanie wyzwolencze? — to tylko najbardziej znane przykłady. W XIX wieku konflikt znacznie się zaostrzył. Środowiska polskie albo nie dostrzegały formowania się nowoczesnego narodu ukraińskiego, albo zjawisko to lekceważyły. Odmawiano Ukraińcom prawa do samookreślenia stwierdzając — jak to uczynili uczestnicy Zjazdu Słowiańskiego w Pradze (1848) — że „nie może naród w narodzie istnieć”<sup>3</sup>.

Ukraińcy jednak coraz mocniej akcentowali swoją odrębność. Poglądy znanych historyków W. Antonowycza i M. Kostomarowa stały się punktem wyjścia dla stworzenia popularnego obrazu „arystokratycznych Polaków” i „pańskiej Polski”, co przeciwstawiano rzekomo przyrodzonemu Ukraińcom demokratyzmowi. Poza tym Polak był zwykle — w potocznym przekonaniu — fanatycznym katolikiem, nacjonalistą, nieżyłciowym romantykiem. Dla ostatecznego skryształowania się stereotypu Ukraińca fundamentalne znaczenie miało natomiast „Ogniem i mieczem” (pierwsze wydanie w 1884 roku). Ogromna siła oddziaływania tej powieści jak również społeczna absorpcja wykreowanego w niej wizerunku okrutnego i prymitywnego wroga, skłoniła I. Franko do napisania o Sienkiewiczu jako o „genialnym twórcy wszechpolskiego szowinizmu, który skutecznie

---

2. M. Iwanicki, *Oświata i szkolnictwo ukraińskie w Polsce w latach 1918-39*, Siedlce 1975, s. 18.

3. J. Radziejowski, *Ukraińcy i Polacy — kształtowanie się wzajemnego stereotypu i obrazu*, „Znak” 1984, nr 360-361, s. 1471.

zatrul duszę narodu polskiego<sup>4</sup>”. W nową rzeczywistość wkraczano więc z bagażem głęboko zakodowanych wzajemnych uprzedzeń.

Początki współistnienia w odbudowanym państwie polskim zaznaczyły się dramatycznymi walkami o Lwów i Galicję Wschodnią (1918-1919), podziałem Ukrainy zatwierdzonym traktatem ryskim (1921), decyzją Rady Ambasadorów uznającą przynależność spornych obszarów do Polski (1923). Nie trzeba dodawać, jak bardzo wydarzenia te oddaliły od siebie oba narody. Ukraińskie koła polityczne musiały dostosować się do zaistniałych warunków oraz uwzględnić je przy określeniu swoich celów i dróg ich realizacji.

Spośród ugrupowań działających legalnie największe znaczenie zdobyło Ukraińskie Zjednoczenie Narodowo-Demokratyczne (UNDO). Jego działacze nie rezygnując z niepodległości i zjednoczenia Ukrainy w przyszłości dążyli do wprowadzenia obiecanej autonomii i faktycznego równouprawnienia. Współpraca z władzami państwowymi nigdy nie stała się zbyt bliska i nawet w najlepszych swoich momentach nie przyniosła UNDO żadnego spektakularnego sukcesu. Również inne oficjalne partie nie mogły się nim poszczycić. W sytuacji braku wyraźniejszych efektów działalności grup zorientowanych na kompromis rosła liczba zwolenników „akcji bezpośredniej”. Członkowie Ukraińskiej Organizacji Wojskowej (UWO), a potem Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) stawiali sobie za zadanie zdobycie niepodległości drogą zbrojną. Aktywność ruchu uciekającego się do ekstremalnych metod wywoływała reakcję — np. odpowiedzią na tzw. „częściowe wystąpienie” OUN-owców latem 1930 roku była oślawiona pacyfikacja z września — listopada 1930, która dla wielu pozostaje symbolem stosunków polsko-ukraińskich w okresie międzywojennym.

Nie ulega wątpliwości, że przez cały omawiany okres trwał ostry konflikt na różnych płaszczyznach. Miały miejsce aresztowania, rewizje, usuwano Ukraińców ze stanowisk w administracji państwowej i samorządach, likwidowano rozmaite placówki ukraińskie, ograniczono rozwój szkolnictwa i instytucji kulturalnych. Władze postępowaly zgodnie z zasadą „divide et impera” starając się wygrywać różnice wyznaniowe, niejednorodność kulturalną, językową (Łemkowie). Brak długofalowego programu zastępowano doraźnymi posunięciami, które zwykle nie zadawały nikogo, a rozdrażniały wszystkich.

Nie oznacza to jednak, że nie istniały żadne możliwości realizowania się środowisk ukraińskich. Nawet działając w

---

4. Tamże, s. 1475.

ramach obowiązującego prawa można było — jak się okazało — dokonać wiele dla „zorganizowania terenu”. Ukraińcy rozbudowali spółdzielczość, stworzyli towarzystwa gospodarcze, liczne organizacje kulturalne, oświatowe i naukowe. Prawda, administracja państwowa mnożyła trudności, ale nierzadko w ten właśnie sposób starała się przeciwdziałać tendencjom zdecydowanie antypolskim i antypaństwowym. Uregulowanie stosunków, doprowadzenie ich do poziomu poprawności — jeśli w ogóle było możliwe — wymagało czasu i dobrej woli obu stron. Bez rzeczywistych wzajemnych ustępstw, bez usilnej pracy nad przebudową ludzkiej świadomości nie można było oczekiwać cudownej przemiany.

Złożoność relacji polsko-ukraińskich znalazła swój wyraz w wydarzeniach września 1939 roku. Drugiego dnia wojny, na specjalnej sesji Sejmu, wicemarszałek W. Mudryj przedstawił rezolucję UNDO, będącą deklaracją lojalności wobec państwa polskiego. Niemal jednocześnie władze polskie podjęły decyzję o odizolowaniu w Berezie Kartuskiej co wybitniejszych przedstawicieli omawianej mniejszości. I inny przykład. Wiemy, że ponad 150 tys. Ukraińców wzięło czynny udział w kampanii obronnej walcząc w szeregach Wojska Polskiego. Wiemy jednak także, iż nie były sporadycznymi wypadki atakowania wycofujących się jednostek polskich przez bojówki OUN oraz spontanicznie powstające oddziały. Ludność ukraińska entuzjastycznie witała wkraczających okupantów. W małych wioskach i miasteczkach, tak wydawałoby się odległych od wielkiej polityki, dokonywano jej podsumowania. Stawało się oczywiste, że powrót po wojnie do starych wzorców nie będzie możliwy. Cały zespół zagadnień narodowościowych domagał się gruntownej analizy i naprawdę poważnego opracowania. Niestety, twórcy programów nie stanęli na wysokości zadania.

Pierwszą próbę podjęto pod koniec 1939 roku. Wówczas to Komitet dla Spraw Kraju opracował „Instrukcję dla mężów zaufania w sprawie ukraińskiej”. Instrukcja — zresztą ostatecznie odrzucona przez Radę Ministrów — proponowała stworzenie wspólnego frontu walki z okupantami, omijając problem granic mówiła o przyszłym niepodległym państwie ukraińskim sfederowanym z Polską na zasadzie równości, o wzajemnym przyznaniu praw mniejszościom. W oficjalnej deklaracji rządu z grudnia 1939 roku oferta zyskała na skromności: prawa narodowe i kulturalne oraz sprawiedliwe traktowanie obiecywano tym mniejszościom, które wraz z Polakami wezmą udział w walce. Zasadniczo stanowisko to zostało podtrzymane w deklaracji z lutego 1942 roku<sup>5</sup>.

---

5. Por.: R. Torzecki, *Kontakty polsko-ukraińskie na tle problemu ukraińskiego w polityce polskiego rządu emigracyjnego i podziemia (1939-44)*, „Dzieje najnowsze”, 1981, nr 1-2, s. 319-346.



Trudno ocenić na ile realne było porozumienie, czy konkurencyjne orientacje i tak nie okazałyby się atrakcyjniejsze. Jednak jeszcze w połowie 1941 roku, po zdecydowanej i niezwykle rozczarowującej Ukraińców odpowiedzi Niemców na akt z 30 czerwca (proklamowanie niepodległości Ukrainy we Lwowie) istniały dość poważne szanse negocjacyjne. Polskie ośrodki decydujące nie znalazły w sobie dostatecznej siły dla dokonania przełomu. O ile jeszcze można zrozumieć rezerwę i ostrożność w pierwszej fazie wojny, zastanawia, że ani zmieniająca się sytuacja na frontach, ani alarmistyczne raporty z kraju nie były w stanie wpłynąć na ukształtowanie się nowego sposobu myślenia. Interesujące dla nas kwestie poruszano niejednokrotnie, ale na toczących się dyskusjach zaciążyły dawne kontrowersje. Odżył spór, czy odrodzona Polska winna wybrać rozwiązanie federacyjne czy też nie; przedstawiciele poszczególnych partii odwoływali się do tradycyjnych koncepcji i bronili ich za pomocą znanych już od lat argumentów. Tylko nieliczni zwracali uwagę, jak zmieniła się sytuacja i wzrosły aspiracje narodowe najbardziej zainteresowanych. Z kraju nadchodziły materiały szczegółowo opisujące położenie, sugerujące linię postępowania. Wszelkie inicjatywy lokalne, próby porozumienia — a czyniono takowe — nie mogły być wprowadzone w życie bez akceptacji czynników nadrzędnych. Stąd też ustawiczne naciski, by rząd sprecyzował swoje stanowisko.

31 marca 1943 roku Rada Ministrów zatwierdziła uchwalone przez Komitet Polityczny i Komitet dla Spraw Kraju „Tezy w sprawie polityki ukraińskiej”. Gwarantowały one Ukraińcom „pełne prawa i faktyczne równouprawnienie w dziedzinie politycznej, kulturalnej, językowej, gospodarczej i społecznej”, samorząd terytorialny, swobody wyznaniowe, reformę rolną „na rzecz miejscowego elementu polskiego i ukraińskiego”, zapowiadały utworzenie uniwersytetu ukraińskiego we Lwowie. W dokumencie znalazło się także zapewnienie, iż rząd gotów jest „z całą życzliwością rozpatrzyć kwestię proponowanego przez Ukraińców statutu dla ludności ukraińskiej w ramach Rzeczypospolitej Polskiej”. Ponadto wyrażano nadzieję na wspólne wystąpienie przeciwko Niemcom i zdystansowanie się strony ukraińskiej od roszczeń sowieckich. Rząd zobowiązał się wprowadzić do Rady Narodowej trzech Ukraińców i propagować ideę współpracy powojennej<sup>6</sup>.

Gdy ogłaszano powyższe ustalenia, na Wołyniu trwała od kilku miesięcy akcja depolonizacyjna w formie fizycznej likwidacji

---

6. Tekst dokumentu i zapis dyskusji por.: J. Seret, *Rząd polski w Londynie a kwestia ukraińska (1943)*, „Krytyka”, 1987, nr 26, s. 93-111.

cji ludności polskiej. Wobec maksymalnie zaostrzonego konfliktu inicjatywa rządowa okazała się spóźniona i niewystarczająca. Nie doszło do nawiązania bezpośrednich kontaktów między najwyższymi przedstawicielami politycznymi obu stron. Ukraińcy marząc o niepodległym państwie widzieli w jego granicach ziemie należące przed wojną do Polski i właśnie przystąpili do „uwydawniania” ich ukraińskiego charakteru. Z kolei politycy polscy nie zamierzali w żadnych okolicznościach podejmować rozmów na temat ewentualnych ustępstw terytorialnych. Polską granicę wschodnią w jej przebiegu z 1939 roku uznano za nienaruszalną. Sposób uregulowania przyszłych stosunków miał być sprawą do rozstrzygnięcia wyłącznie przez polskie władze państwowe. Ani w kręgu rządu emigracyjnego, ani w kraju nie powstał jednak atrakcyjny dla Ukraińców projekt zasad współistnienia w jednym państwie. Co charakterystyczne, mniejszość ukraińska jawi się w świetle zachowanych materiałów jako przedmiot, a nie podmiot działań politycznych. O Ukraińcach mówi się bez Ukraińców, a wszelkie czynione koncesje są zależne tylko od dobrej woli Polaków. Tymczasem przebieg działań wojennych nie wskazywał, aby — zbieżne tym razem — oczekiwania Polaków i Ukraińców na utworzenie drugiego frontu na Bałkanach i wyzwolenie Europy Wschodniej przez aliantów zachodnich, miały zostać spełnione. Inne siły przygotowywały się do realizowania swoich wizji.

Komuniści zrzekając się kresów wschodnich zadbali o stosowne umotywowanie tej rezygnacji. Starannie podkreślano, że naród polski dążący do zjednoczenia się i odrodzenia we własnym państwie, rozumie podobne ambicje innych narodów i nie zamierza w żaden sposób ich ograniczać. Przeciwnie — powstanie „po sąsiedzku” przyjaznych Polsce państw będzie powitane z zadowoleniem. Wydaje się, iż początkowo nie wiązano przesunięcia granicy z masowymi przemieszczeniami ludności. W deklaracji PPR z listopada 1943 roku „O co walczymy?” napisano m.in.:

„Obywatele państwa traktowani są jednakowo, bez względu na ich pochodzenie narodowościowe. Przynależność do narodowości polskiej nie może być przywilejem w odniesieniu do tych mniejszości narodowych, które się znajdują w granicach państwa polskiego”.

Z zacytowanego tekstu wynika, że liczone się z obecnością i zapewne pozostaniem w Polsce znacznych grup mniejszości.

---

7. K. Kersten, *Polska — państwo narodowe. Dylematy i rzeczywistość w: Narody. Jak powstawały i jak wybijały się na niepodległość*, Warszawa 1989, s. 475.

W późniejszych planach warunki przyszłej koegzystencji nie zostały jednak sprecyzowane. Motyw ten nie pojawił się nawet w tak ważnym — z punktu widzenia władz — „Manifeście” wydanym przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN) w lipcu 1944 roku. Można chyba zaryzykować twierdzenie, że pominięcie tej tak przecież istotnej kwestii, sygnalizuje wcześniejsze powzięcie ostatecznych decyzji. K. Kersten w swoich badaniach zwróciła uwagę na dwukierunkowość ówczesnej polityki ludnościowej władz. Z jednej strony jej przedstawiciele apelują do Polaków by wracali do ojczyzny, a z drugiej — przystępują do urzeczywistnienia ideału państwa jednolitego narodo-

do. Komuniści, świadomi nikłego poparcia społecznego, wykorzystują w swojej propagandzie — wbrew podstawowym założeniom ideologii — hasła narodowe. Odsuwając na margines „elementy reakcyjne i faszystowskie” uderzają często odwołują się do „zdrowej” większości narodu. Oczywiście jest to składnik toczącej się walki politycznej, rywalizacji o „rząd dusz”, a także próba legitymizacji faktu posiadania władzy przez sugerowanie, iż występuje się w imieniu tych wszystkich, którzy godni są nazywać się Polakami. Cały tak rozumiany naród winien się zjednoczyć wokół nowego kierownictwa i podjąć dzieło odbudowy zniszczonego kraju.

Panujące wówczas nastroje sprzyjały radykalnemu rozwiązaniu problemu narodowościowego. Wojna spolaryzowała podziały narodowe i wysunęła je na pierwszy plan. Przed rokiem 1939 tysiące mieszkańców pogranicza egzystowały na co dzień w miarę zgodnie. Wydarzenia kilku wojennych lat zmieniły ten stan rzeczy. Gdy narody wystąpiły przeciwko sobie, ludzie dla których samookreślenie się w tych kategoriach nie było do tej pory najważniejsze, musieli dokonać wyboru. Od tego wyboru często zależały szanse przeżycia. Po wojnie, gdy nastał czas płacenia rachunków, zapłacić mieli Niemcy, Ukraińcy, Żydzi. *Vox populi* nie gubił się w niuansach, nie szukał rzeczywistych winnych. Wszyscy Niemcy mieli ponieść karę za okrucieństwa okupacji, wszyscy Żydzi za aktywne sprzyjanie „czerwonym”, wszyscy Ukraińcy za rzezie na Wołyniu, wysiedlanie Zamojszczyzny, działalność Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) w południowo-wschodniej Polsce. Wiele przemawia za tym, że droga wybrana przez władze zyskała akceptację ogółu społeczeństwa. Wojna jakby przyzwyczaiła ludzi do masowych przemieszczeń. I wysiedlenia Polaków w głąb Rzeszy, i deportacje dokonywane przez władze sowieckie sygnalizowały, że jest to jakiś sposób osiągnięcia nadrzędnych celów. Rzecz jasna, cele okupantów uważano za złe i tym samym odmawiano sankcji

moralnej wynikającym z nich działaniom. Po wojnie zwycięzcy zdecydowali, że będzie aktem sprawiedliwości dziejowej wysiedlenie Niemców z niektórych krajów. Wymiana ludności między Polską a graniczącymi z nią republikami też miała „unormalnić” sytuację, zlikwidować ogniska zapalne potencjalnych konfliktów. W powszechnym odbiorze było to postępowanie słuszne. Chcieliśmy pozostać sami we własnym domu.

Pomysł przerwania milionów ludzi nie był wcale nowy. Istniały już pewne wzorce. Tradycja migracji uwarunkowanych politycznie sięga starożytności, a pierwszy masowy, zorganizowany transfer miał miejsce w latach 1922-1924, kiedy to Turcja i Grecja wymieniły się częścią ludności<sup>8</sup>. Sama idea transferów jako sposobu eliminacji antagonizmów narodowościowych narodziła się podczas I wojny światowej, a jej twórcą był francuski antropolog i etnograf G. Montadon. Wtedy jednak metodę uznano za nazbyt brutalną, niemożliwą do zastosowania w krajach cywilizowanych. Zwyciężył system ochrony mniejszości polegający na gwarantowaniu im praw umowami międzynarodowymi. Jak wiemy, nie zapobiegło to poważnym sporom. Efektem był nawrót do wcześniejszej koncepcji. Tacy politycy jak E. Benesz, F. Roosevelt czy W. Churchill wypowiedzieli się za przesiedleniem Niemców<sup>9</sup>.

W dokumentach opracowywanych w środowisku londyńskim nadzieja na nabytki na zachodzie rychło połączyła się z postulatem wysiedlenia ludności niemieckiej z pozyskanych ziem. Zamyśl ten, sformułowany już w listopadzie 1942 roku, kilkakrotnie później powtarzano. Za całkowitą ekspulsją opowiedziano się we wrześniu 1944 roku<sup>10</sup>.

W odniesieniu do Ukraińców i Białorusinów — obywateli polskich — problem nie istniał, póki obstawano przy granicy ryskiej. Nie znaczy to jednak, że nie pojawiły się żadne inicjatywy utrzymane w tym duchu. Na przykład wiosną 1943 roku lwowskie Stronnictwo Narodowe i Stronnictwo Pracy zażądały przymusowej wymiany ludności z ZSSR, a także przesiedlenia Ukraińców na inne ziemie polskie. Na zwolnionych gospodarstwach planowano osiedlić Polaków w takiej liczbie, aby odsetek ludności polskiej na kresach wzrósł do 75 %. Projekt poparło miejscowe Stronnictwo Ludowe, tyle że z zastrzeżeniem

---

8. A. Maryański, *Migracje w świecie*, Warszawa 1984, s. 99.

9. K. Kersten, *Międzypaństwowe przesiedlenia ludności w XX wieku*, „Kwartalnik Historyczny”, 1966, nr 1, s. 3-32.

10. K. Kersten, *Przemiany struktury narodowościowej Polski po II wojnie światowej. Geneza i wyniki*, „Kwartalnik Historyczny”, 1969, nr 2, s. 337-366.

dobrowolności przesiedleń<sup>11</sup>. Również w wielu ulotkach polskiego podziemia powtarza się wezwanie do konsekwentnego przesiedlenia Ukraińców<sup>12</sup>.

W sierpniu 1944 roku rząd emigracyjny zaoferował w memoriale dotyczącym wznowienia polsko-sowieckich stosunków dyplomatycznych „dobrowolną wymianę ludności polskiej, białoruskiej i ukraińskiej”<sup>13</sup>. 9 września 1944 roku PKWN zawarł umowę z rządami USSR i BSSR o „wzajemnej ewakuacji”. Dawała ona podstawę do wyjazdu osób narodowości ukraińskiej, białoruskiej, rosyjskiej i rusińskiej (Łemkowie) do odnośnych republik oraz powrotu do Polski Polaków i Żydów, którzy 17 września 1939 roku byli obywatelami polskimi, a obecnie przebywali na Ukrainie bądź Białorusi. W założeniu wymiana miała być dobrowolna.

Teren objęty akcją (rzeszowskie, lubelskie, krakowskie) podzielono na 15 rejonów, w których działały tzw. komisje polsko-ukraińskie. Ich zadania polegały na prowadzeniu agitacji, zbieraniu zgłoszeń, przygotowywaniu list przesiedleńców, kart ewakuacyjnych, szacowaniu i opisywaniu mienia, organizowaniu transportu. Komisje współpracowały z urzędami administracji lokalnej i z powołanym do życia w październiku 1944 roku Państwowym Urzędem Repatriacyjnym (PUR). Ponieważ nie bardzo orientowano się, jaką liczbę osób należałoby wziąć pod uwagę, pod koniec roku przeprowadzono spis, który wykazał, iż w Polsce przebywa około 500-tysięczna mniejszość ukraińska. Władze uznały ten szacunek za zawyżony, nie uwzględniający możliwości zatajenia rzeczywistej przynależności. Także kryteria określania narodowości nie zostały ostatecznie ustalone, a dowolność interpretacyjna musiała wpłynąć na wyniki spisu (z reguły utożsamiano narodowość z wyznaniem, choć dyrektywy Ministerstwa Administracji Publicznej zalecały sprawdzanie dokumentów wydawanych w czasie okupacji).

Według pierwotnego planu od października do grudnia włącznie miała się odbywać rejestracja, samo zaś przesiedlenie zamierzano zakończyć w kwietniu 1945 roku. Dotrzymanie tych terminów okazało się nierealne — trudno było organizować akcję na większą skalę w okresie zimowym, a ponadto nie przypuszczano, że faktycznie trzeba będzie przetransportować około

---

11. J. Darski, *Towarzysze broni w: Stosunki polsko-ukraińskie 1917-47. Od tragedii do współpracy*. Warszawa 1990, s. 29.

12. AAN VI Oddz. KC PPR 295.VII.191 „Informacje propagandowe podziemia dotyczące zagadnienia ukraińskiego”, k. 12-54.

13. K. Kersten, *Kształtowanie stosunków ludnościowych w: Polska Ludowa 1944-50. Przemiany społeczne*, Wrocław 1974, s. 93.

490 tys. osób. Zamknięcie tej fazy przesiedleń nastąpiło w połowie 1946 roku.

Początkowo uważano, że chętni zgłoszą się sami. Zachęcająco miało podziałać zwolnienie od podatków i opłat ubezpieczeniowych, anulowanie wszystkich zaległych płatności. Obiecywano, że pozostawiane mienie łącznie z zasiewami zostanie opisane, co umożliwi uzyskanie ekwiwalentu po przybyciu na nowe miejsce osiedlenia. Jednocześnie działały czynniki zniechęcające do pozostania, wśród których można wymienić: pozbawienie Ukraińców prawa do ziemi rozdzielanej w ramach reformy rolnej, likwidację szkolnictwa narodowego, odmowę uznania Cerkwi greckokatolickiej i ograniczenie funkcjonowania Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego (PAKP) na terenach południowo-wschodnich. Mimo tych wszystkich okoliczności niezbyt chętnie podejmowano decyzje o wyjeździe. Do połowy 1945 roku, kiedy to stosowano w praktyce zasadę dobrowolności, wyjechało tylko około 80 tys. osób<sup>14</sup>.

W tej sytuacji władze postanowiły zwrócić się bezpośrednio do Ukraińców. 24 lipca 1945 roku zorganizowano spotkanie z udziałem kilkunastu powołanych imiennie przez E. Osóbkę-Morawskiego przedstawicieli ludności ukraińskiej oraz reprezentantów strony rządowej. Ukraińcy oświadczyli, że nie zamierzają opuszczać ziem zamieszkiwanych od wieków, lecz czują się obywatelami polskimi i w związku z tym oczekują traktowania zgodnego z zapisem konstytucyjnym. Sformułowali postulaty: „Możności swobodnego wyjawiania swoich uczuć religijnych tzn. katolickich co do treści, a greckokatolickich co do formy”, otwarcia szkół z ukraińskim językiem nauczania, zezwolenia na odbudowę i rozwój ruchu spółdzielczego, partycypacji w „dobrodziejstwach reformy rolnej”. Apelowano także o amnestię „dla przestępców politycznych” i proszono o zgodę na „założenie ukraińskiej partii demokratycznej<sup>15</sup>”. Dążenie do włączenia się w życie społeczne i polityczne zostało zaznaczone bardzo wyraźnie. Rząd zobowiązywał się do spełnienia większości postulatów po... zakończeniu akcji.

Na przełomie sierpnia i września 1945 roku władze skierowały na tereny podlegające „repatriacji” (tego terminu zwykle oficjalnie używano) trzy dywizje piechoty. Wojsko miało obowiązek zapewnienia bezpieczeństwa (w tym zwalczania oddziałów UPA), konwojowania ludności i ochrony pozostawionego przez nią mienia. Zintensyfikowanie działań skumulowało trudności

---

14. E. Misito, *Deportacje. Obóz w Jaworznie*, „Tygodnik Powszechny”, 21. III. 1990.

15. Tekst dokumentu por.: „Spotkania”, 1980, nr 12-13, s. 159.

organizacyjne, narastał również opór ludności. Ci, którzy zamierzali zmienić miejsce zamieszkania, uczynili to wcześniej. Reszta wolała pozostać na ojcowiznie. Konieczność zrezygnowania z większości dorobku życia, często długotrwała i uciążliwa podróż, nadchodzące wiadomości o rzeczywistych warunkach panujących na Ukrainie — działały odstrasżająco. Władze jednak nie zważały na nastroje i dążyły do przesiedlenia możliwie dużego odsetka ludności ukraińskiej. Miało to związek z powrotami Polaków z ZSSR i planami osadzenia części z nich na gospodarstwach zwolnionych przez wyjeżdżających. Nie bez znaczenia był również istniejący program rozładowania przeludnionych rejonów i poprawienia struktury rolnej. Poza tym mniemano, iż „oczyszczenie” terenu pozbawi bazy „bandy” ukraińskie i przyczyni się do ich niemal automatycznego zaniku. Jak wiemy te rachuby nie spełniły się. Główny wysiłek skierowano na przesiedlenie, ale nie zapomniano i o tych, którzy rzuceni przez wojnę poza granice mogli jeszcze zechcieć powrócić do Polski. W drugiej połowie 1946 roku przeprowadzono weryfikację polskich uchodźców cywilnych przebywających na zachodzie i przed Niemcami oraz Ukraińcami — obywatelami polskimi — zamknięto polską granicę. Innym faktem, o wymiarze symbolicznym, było pozbawienie w grudniu 1945 roku około 5 tys. Ukraińców — obywateli polskich walczących w Armii Czerwonej — prawa obywatelstwa<sup>16</sup>.

Wszystkie te działania nie przyniosły oczekiwanych przez władze rezultatów i wkrótce raz jeszcze stanęły one wobec problemu ukraińskiego. Ostatni etap jego rozwiązywania czyli przesiedlenie w ramach tzw. akcji „Wisła” jest przedmiotem opisu w tej pracy.

Głównym źródłem informacji do podjętego tematu były materiały archiwalne. Dla naświetlenia genezy akcji podstawowe znaczenie miał zespół KC PPR (AAN VI Oddział) w tym szczególnie protokoły posiedzeń Biura Politycznego — oraz pomieszczone w CAW akta państwowej Komisji Bezpieczeństwa, które choć lakoniczne, pozwalają w pewnym stopniu prześledzić proces rodzenia się decyzji o przeprowadzeniu przesiedlenia i wejrzeć w zarysy planów powstających na najwyższych szczeblach decyzji. Najwięcej interesujących dokumentów odnoszących się do przebiegu akcji znajduje się w CAW. Materiały Sztabu Generalnego i Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego pozwalają określić stan postulowany, natomiast zespoły dywizji dają obraz realizacji wytycznych, planów, rozkazów. Naj-

---

16. E. Misiło, *Ukrainoznawcza sesja naukowa w Lublinie*, „Kwartalnik Historyczny”, 1986, nr 2, s. 618-619.

ciekawsze dla zapoznania się z „dniem codziennym” przesiedlenia są sprawozdania i raporty pokontrolne sporządzone przez oficerów delegowanych ze sztabu na inspekcje poszczególnych jednostek oraz meldunki wysyłane przez dowództwa pułków do sztabów dywizji. Zwykłe relacje „specjalnych wysłanników” sprawiają wrażenie bardziej rzetelnych i obiektywnych, co zresztą łatwo wytłumaczyć psychologicznymi uwarunkowaniami działania w układzie hierarchicznym. Dla rozdziału pracy traktującego o położeniu osadników z akcji „W” na nowych miejscach pobytu, najbardziej przydatnymi okazały się zespoły Ministerstwa Ziemi Odzyskanych (MZO) (Departament Osiedleńczy, Biuro Studiów Osadniczo-Przesiedleńczych, Departament Inspekcji) i Ministerstwa Administracji Publicznej (MAP) (Wydział Narodowościowy, Departament Wyznaniowy) — oba w AAN. Bazę źródłową można by rozszerzyć w oparciu o zbiory archiwum MSW i archiwa wojewódzkie — szczególnie w Rzeszowie, Lublinie, Olsztynie i Szczecinie. Pewne materiały mogą się również znajdować w zespole Generalnego Pełnomocnika d/s Repatriacji (AAN) i Zarządu Centralnego PUR (WAP w Łodzi), chociaż wiele z nich dubluje się w zespołach przeze mnie przejrzanych. Pozostaje wreszcie odrębna kategoria źródeł wywołanych — wykorzystałam tylko część tych wspomnień i relacji, które były publikowane.

Stan opracowania tematu nie jest zadowalający. Przez wiele lat kwestia przesiedlenia ludności ukraińskiej na Ziemię Zachodnie i Północne była traktowana marginalnie. Napisano wiele prac dotyczących walk z partyzantką ukraińską — w tym również militarnego aspektu akcji „Wisła” — ale są one bardzo dalekie od bezstronności. Najpoważniejszą z nich, choć błędną w sferze interpretacyjnej, jest „Droga donikąd” A. Szcześniaka i W. Szoty. Ta bogata faktograficznie książka przedstawia w uporządkowany sposób wszystkie ważniejsze wątki stosunków polsko-ukraińskich do roku 1947.

„Odkłamywanie” poruszanej tu problematyki rozpoczęło się kilka lat temu, ale — jak na razie — głównie w postaci artykułów. Nie sposób tu odmówić zasługi wydawnictwom nieoficjalnym (np. lubelskim „Spotkaniom”) czy zagranicznym („Kultura”, „Zeszyty Historyczne”), ale krąg ich oddziaływania był ograniczony i droga do zmiany powszechnie funkcjonującej wizji relacji polsko-ukraińskich jest dość daleka. Spośród prac bardziej ogólnych szczególnie interesujące są publikacje K. Kersten na temat migracji powojennych oraz pozycje o charakterze socjologicznym i etnograficznym, z których wiele firmował Instytut Zachodni w Poznaniu.



## ROZDZIAŁ I

### IDEA, DECYZJA I PLAN

„Zachodziło przypuszczenie, że jednocześnie z wysiedleniem ludności ukraińskiej bandy UPA straciwszy swe bazy same znikną. Sprawa ta nie jest jednak tak prosta. Bandy UPA, choć w znacznie mniejszej ilości grasują jednak nadal w woj. lubelskim i rzeszowskim. (...) Są to ludzie, którzy nie mogą asymilować się w społeczeństwie polskim, a żadne sąsiednie państwo nie chce ich mieć u siebie. W pozostałych poukraińskich gospodarstwach bandyci znajdują schrony i żywność. Istnieje jeszcze część społeczeństwa, tzw. „mieszanych”, wśród której bandyci znajdują oparcie<sup>17)</sup>.”

Gdy wojska sowieckie przemierzały Ukrainę w marszu na zachód, dowództwo UPA nie zdecydowało się na szersze wystąpienie. Wydane rozkazy wzywały do wycofania się w bezpieczne rejony lub przejścia do głębokiej konspiracji. W tym okresie większe oddziały UPA znalazły się w południowo-wschodniej Polsce. Ich zadaniem było przetrwanie w zorganizowanej formie do wybuchu III wojny światowej. Zbliżający się konflikt między zwycięzcami miał dać szansę ostatecznej walki o niepodległe państwo. Do tego czasu planowano podporządkowanie sobie terenu, uczynienie go przyczółkiem przyszłego ataku na wschód. Siły ukraińskie w tzw. Zakierzońskim Kraju (całość ziem zamieszkiwanych przez Ukraińców po polskiej stronie linii Curzona) zyskały większą samodzielność. Po przejściu frontu utworzono oddzielny Krajowy Prowyd OUN, a po ustaleniu granicy polsko-sowieckiej (sierpień 1945) odrębna jednostka powstała również z VI Okręgu UPA — „Zachód”.

Określenie liczebności UPA jest sprawą trudną i w literaturze spotyka się rozbieżne szacunki. Przypuszcza się, że w latach 1945-1946 w Polsce działało średnio 15-16 sotni. Liczba ta jednak ciągle zmieniała się, bowiem bez większych przeszkód przekraczano granicę w obie strony. Znaczne utrudnienie stanowi także utajnienie struktur i ich nakładanie się na siebie. Obok oddziałów UPA istniały we wsiach tzw. Samoobronne Kuszczowe Widity (SKW). Ich członkowie — na co dzień zwykli mieszkańcy — zajmowali się wywiadem, rozpoznaniem, ochroną różnych obiektów, a w razie konieczności wspierali UPA w konkretnych akcjach bojowych. Najczęściej przyjmuje się, iż na przełomie 1946 i 1947 roku oddziały zbrojne liczyły od 1800 do 2400 członków. Opisywana wyżej wymiana ludności

---

17. CAW Sztab Gen. IV.111.643 „Protokół nr 12 z odprawy Komisji Bezpieczeństwa u Naczelnego Dowódcy WP”, 20. VIII. 1946, k. 29.

spowodowała wzrost szeregów UPA — niektórzy uciekając przed wysiedleniem przystawali do istniejących grup traktując to jako sposób na pozostanie i okazję do zemsty za doznaną krzywdę. Odwrotny skutek miała akcja w odniesieniu do SKW: w 1945 roku szacowane na 2400-2800 członków stopniały po sierpniu 1946 do około 1000. Do tego należałoby jeszcze doliczyć kilka tysięcy OUN-owców oraz około 200 osób tworzących osławioną Służbę Bezpieczeństwa.

Podziemie ukraińskie było bardzo dobrze zakonspirowane. Początkowo władze sądziły nawet, że mają do czynienia z pojedynczymi „bandami”. Nie przypuszczano, że każdy oddział ma wyznaczony rejon działania i otrzymuje rozkazy z centrum. Dopiero odkrywane bunkry, podziemne szpitale, warsztaty, magazyny dowodziły z jak dobrze zorganizowanym i wrośniętym w teren przeciwnikiem przyszło walczyć.

Wiadomym było, że sytuacja wytworzona w południowo-wschodniej Polsce nie może trwać bez ingerencji czynników państwowych. W najgorszym położeniu znalazła się ludność mieszkająca na tych terenach. Czasem z przekonania, czasem pod presją — nie tylko moralną — pomagała ona oddziałom leśnym stając się w konsekwencji obiektem represji ze strony wojska lub ugrupowań konkurujących ze sobą. Na interesującym nas obszarze istniała bowiem i partyzantka polska, i ukraińska. Czasem porozumiewały się one w celu walki z nową władzą, ale regułą było nastawienie wzajemnie wrogie.

Do kwietnia 1946 roku UPA działała niemal bezkarnie. Zwykle wojsko przystępowało do interwencji po zgłoszeniu napadu czy podpalenia i usiłowało ścigać winnych. Najczęściej taka taktyka nie przynosiła większych efektów, podobnie jak: „przechasywanie lasów, oblawy i rewizje we wsiach, okrążanie kompleksów leśnych i ostrzeliwanie ich z artylerii i moździerzy (! — A. CH.), demonstrowanie siły w formie przemarszów przez wsie kolumn wojskowych z pełnym wyposażeniem, patrolowanie dróg i urządzanie zasadzek<sup>18</sup>”. Sieć informatorów funkcjonowała na tyle sprawnie, że podobne akcje zwykle okazywały się spóźnione.

Dla koordynacji działań i z myślą o zabezpieczeniu przesiedleń powołano w marcu 1946 roku Wojewódzki Komitet Bezpieczeństwa z siedzibą w Rzeszowie. Do walki UPA wyznaczano w tym czasie jednostki z 8 i 9 dywizji piechoty oraz siły KBW i WOP, ale wystawianie regularnych oddziałów przeciwko

---

18. A. B. Szczeńsiak, *Walka przeciw ukraińskiemu nacjonalistycznemu podziemiu w Polsce w latach 1944-47 w: O utrwalenie władzy ludowej w Polsce 1944-48*, Warszawa 1982, s. 399.

ruchliwej partyzantce w znacznym stopniu miało się z celem. Pewne zmiany nastąpiły w okresie działalności Grupy Operacyjnej „Rzeszów” (5 kwietnia — 31 października) — lepiej zorganizowane działania zyskały na ofensywności, choć wojsko nadal walczyło w sposób niezbyt przystosowany do warunków terenu i poczynań przeciwnika. Mimo to zepchnięto UPA w trudniej dostępne rejony. Zima 1946/47 stanowiła ciężką próbę dla przebywających w lasach. Ograniczono akcje bojowe podejmując tylko wypadki po żywność i odzież. Choroby, niemożność swobodnego poruszania się (ślady na śniegu) wzmagaly poczucie osaczenia i przyczyniały się do pogłębienia nastrojów zniechęcenia, rezygnacji. Gdy w lutym 1947 roku w powiatach Sanok i Lesko miejscowy dowódca zarządził pobór do oddziałów, spotkał się z wyraźnym oporem: młodzież ukrywała się w polskich wsiach<sup>19</sup>.

W *Biuletynie sprawozdawczym nr 16 Wojsk Ochrony Pogranicza RP za miesiąc luty 1947 roku* czytamy m.in.:

„Rzeszowskie nasycone jest wprawdzie jeszcze licznymi bandami UPA i sotniami banderowców, pole ich działania jest jednak ograniczone i należy się liczyć, że przy rzuceniu przeciwko nim ruchliwych oddziałów WP, zostaną zlikwidowane<sup>20</sup>”.

„W terenie panuje względny spokój. Komunikacja samochodowa i kołowa — ta, która w pierwszej połowie 1946 roku nie mogła odbywać się bez specjalnej ochrony wojskowej — dzisiaj odbywa się normalnie. (...) Teren jest opanowany przez Wojsko i Władze Bezpieczeństwa, a grupki bandyckie pojawiające się sporadycznie w południowym i południowo-wschodnim przygranicznym pasie, są w dalszym ciągu tropione przez nasze oddziały i niszczone. (...) Dla ostatecznego zniszczenia resztek band istniejących w tutejszym terenie wystarczają siły WOP-u, SOK-u, MO i UB jakie się tu znajdują<sup>21</sup>”.

Nawet jeśli są to oceny nazbyt optymistyczne, to wydaje się, iż można było wykorzystać osłabienie podziemia ukraińskiego. Objęcie walczących Ukraińców amnestią i sprawna akcja wojskowa przeciwko nieprzejednanym (mordy UPA nie były niestety tylko wymysłem komunistycznej propagandy) zapewne przyczyniłyby się do drastycznego środka w postaci nowej fali przesiedleń. Jednak celem władz było nie tylko zlikwidowanie

19. CAW Sztab Gen. IV.111.75 „Meldunek za miesiąc luty 1947r. na podstawie sprawozdań z OW II, V, VII i Wojsk Lotniczych”, k.302.

20. CAW Sztab Gen. IV.111.75 „Meldunek za miesiąc luty 1947r. na podstawie sprawozdań z OW II, V, VII i Wojsk Lotniczych”, k.371.

21. CAW Sztab Gen. IV.111.630 „Raport dowódcy 8 DDP do ministra obrony narodowej”, 10. II. 1947, k. 234.

zagrożenia ze strony zbrojnych oddziałów. Ciągłe niepokoila pozostała część ludności ukraińskiej, a — jak się okazywało — jej liczba nie była mała, co skonstatowano z niejakim zdziwieniem.

Według ostatecznych sprawozdań komisji przesiedleńczych w Polsce pozostało 3239 rodzin ukraińskich (ponad 14 tys. osób)<sup>22</sup>. Wkrótce jednak przekonano się, iż liczba ta niewielki ma związek z rzeczywistością. Władze nie były w stanie kontrolować żywiołowych przemieszczeń ludności. Jeszcze podczas trwania akcji nadchodziły meldunki informujące o ucieczkach do lasu osób niechętnych wyjazdowi. Zdarzało się, że wojsko przybywające do jakiejś miejscowości zastawało jedynie kilka rodzin, a czasem wyłącznie opuszczone gospodarstwa<sup>23</sup>. Osoby posiadające fałszywe dokumenty podawały się za Polaków i w ten sposób unikały ewakuacji. Również ucieczki z transportów, a nawet już z USSR, nie należały do rzadkości (wracano przez „zieloną” granicę albo najzupełniej legalnie jako polscy repatrianci). Te stosunkowo łatwo zauważalne zjawiska znajdowały swe odbicie w raportach. Podkreślano w nich także, że „bandy” UPA jeszcze działają, a pozostała ludność popiera je i wspomaga materialnie. Niekiedy, w poszukiwaniu optymalnego rozwiązania, wysuwano postulat przesiedlenia na Ziemię Odzyskane nieoljalnej części ludności. Niemal anegdotycznie — gdy weźmiemy pod uwagę rozmach późniejszej operacji — brzmiała propozycja wysunięta przez naczelne dowództwo WP w listopadzie 1946 roku, aby z pasa przygranicznego woj. lubelskiego przymusowo wysiedlić ludność do „jednej ściśle określonej miejscowości znajdującej się pod stałą kontrolą organów bezpieczeństwa”<sup>24</sup>.

Na początku 1947 roku jednostki stacjonujące w woj. rzeszowskim otrzymały rozkaz nadesłania dokładnych danych na temat faktycznej liczby ludności zamieszkującej w przydzielonych poszczególnym dowódcom rejonach<sup>25</sup>. Kiedy na przełomie marca i kwietnia rozkaz ten powtórzono, znalazło się w nim zalecenie, by zbierać informacje w porozumieniu z miejscowymi UB i MO możliwie dyskretnie, „bez wzbudzania podejrzeń i domysłów”<sup>26</sup>.

---

22. Za: E. Misiło, *Deportacje. Obóz w Jaworznie*, „Tygodnik Powszechny”, 21. III. 1990.

23. Za: G. Łukasiewicz, *Wokół genezy i przebiegu akcji Wisła*, „Dzieje Najnowsze”, 1974, nr 4, s. 37.

24. AAN VI Odz. KC PPR 295.VII.184 „Sprawozdanie z działalności operacyjnej jednostek WP, WBW, UB i MO na polu walki z bandytyzmem na terenie RP w miesiącu listopadzie 1946 roku”, k. 155.

25. CAW zespół 9 DP IV.310.09.73 *Rozkaz dowódcy 9 DP z 31. I. 1947*, k. 35.

26. CAW zespół 2 DP IV.310.02.62 *Rozkaz dowództwa OW VII dla dowódcy 2 DP, 2. IV. 1947*, k. 35

Jak się jednak przekonujemy, podjęte działania nie zostały uwieńczone powodzeniem:

„Według meldunków z wczesnej wiosny oceniano ilość ludności ukraińskiej na terenach południowo-wschodnich województw ogólnie na 20 tys. Po śmierci II wiceministra Obrony Narodowej Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego zainteresowało się bliżej zagadnieniem tej mniejszości i oceniło jej liczbę na 80 tys.<sup>27</sup>”.

Orientacja czynników oficjalnych była więc zaskakująco słaba.

Najwyższe władze okazywały zainteresowanie kwestią ukraińską. Protokół z posiedzenia PKB, które odbyło się 27 marca 1947 roku zawiera postanowienie: „Poruszy się odpowiednimi czynnikami sprawy dotyczące wysiedlenia Ukraińców z woj. rzeszowskiego<sup>28</sup>”. Gen. Mossor zaznaczył w dyskusji, iż „jest to aktualna sprawa na dzień dzisiejszy<sup>29</sup>”. Niestety, lakoniczność i niekompletność źródeł nie pozwalają na określenie stopnia zaawansowania planów.

Sama idea nie była nowa. Według relacji J. Czolego, jednego z uczestników spotkania z reprezentantami ludności ukraińskiej, które zorganizowano w MAP 24 czerwca 1945 roku, rząd:

„miał stać na stanowisku, żeby w jego obecnym państwie nie było większych grup narodowości ukraińskiej. (...) Ludność ukraińska musi dobrowolnie przesiedlić się również na Ziemię Zachodnie i Północne, gdzie będzie traktowana na równi z obywatelami narodowości polskiej<sup>30</sup>”.

Podobno wówczas zgadzano się jeszcze na pozostanie części Ukraińców na dotychczasowych miejscach.

Gdy strona sowiecka nie zgodziła się na polską propozycję przedłużenia umowy z września 1944 roku i kontynuację wymiany<sup>31</sup>, powrócono do koncepcji przemieszczenia na teren Ziemi Odzyskanych. Nie wiemy dokładnie, kiedy podjęto decyzję o przymusowym przesiedleniu. Nie ulega jednak wątpliwości, że to nie śmierć gen. K. Świerczewskiego w zasadzce UPA pod

---

27. CAW Sztab Gen. IV.111.513 „Sprawozdanie z działalności GO 'Wisła' w okresie 20. IV.-31. VII. 1947”, k. 710.

28. CAW Sztab Gen. IV.111.643 „Protokół nr 19 z posiedzenia PKB w dniu 27. III. 1947”, k. 48.

29. CAW Sztab Gen. IV.111.643 „Protokół nr 19 z posiedzenia PKB w dniu 27. III. 1947”, k. 48.

30. Za E. Prus, *Atamania UPA. Tragedia kresów*, Warszawa 1988, s. 302.

31. Za: E. Misiło, *Deportacje. Obóz w Jaworznie*, „Tygodnik Powszechny”, 21. III. 1990.

Baligrodem (28 marca 1947 roku) stała się przyczyną. Podtrzymana latami przez władze i oficjalną historiografię wersja genezy akcji „Wisła” jako - niemalże spontanicznej — reakcji na wydarzenia będące „kroplą przepelniającą czarę”, upada w świetle przedstawionych materiałów.

Można się oczywiście zastanawiać nad wybranym momentem. Jeśli przyjmiemy, że zamierzano postąpić konsekwentnie, to wobec praktycznego zamknięcia drogi na Ukrainę pozostawało tylko przesiedlenie w granicach państwa polskiego. Ówczesna sytuacja sprzyjała posunięciom finalizacyjnym. Wiosną 1947 roku sprawujący władzę widocznie wzmocnili swą pozycję. Ogromna mobilizacja sił pozostających w służbie nowego systemu przed wyborami do Sejmu Ustawodawczego (styczeń 1947) przyniosła oczekiwany rezultat. W efekcie władza poczuła się pewniej, a funkcjonowanie jej agend powróciło do normy i mogły one skupić się na następnych zadaniach. Znaczenie miało również ustawiczne osłabianie opozycji: w toku walk wiele oddziałów zostało rozbitych, a ogłoszona amnestia (luty 1947) doprowadziła do ujawnienia się kilkudziesięciu tysięcy osób.

Raczej przypadkowa śmierć gen. K. Świerczewskiego niewątpliwie natomiast wpłynęła na przyspieszenie akcji — na to by wskazywał choćby charakter późniejszych trudności. Wydarzenie skrupulatnie wykorzystano propagandowo publikując w prasie szereg artykułów budujących legendę gen. „Waltera” i zajadłe atakujących podziemie ukraińskie (co siłą rzeczy przenosiło się w niektórych wystąpieniach — a bardzo często w powszechnym odczuciu — na wszystkich Ukraińców). Jak można przypuszczać, ostra kampania miała wyciszyć ewentualny sprzeciw przez unaocznienie społeczeństwu okrucieństwa i bezwzględności UPA. Argumentów dostarczała aktywizacja bojowa, która rzeczywiście dała się zauważyć z wiosną oraz kilka udanych — a przez propagandę odpowiednio nagłośnionych — akcji. Fałszywie sugerowano, że szaleństwo mordów, których ofiarą pada spokojna ludność właśnie osiągnęło apogeum. Tymczasem w rzeczywistości o ile w roku 1945 zginęło 368 cywilnych osób, w 1946 — 98, to w pierwszych trzech miesiącach 1947 — 10<sup>32</sup>. Nie wiadomo natomiast, jakie były straty wśród ukraińskiej ludności cywilnej.

Początkowo sprawę rozważał jedynie najwyższy organ decyzyjny czyli Biuro Polityczne KC PPR. Już na posiedzeniu 29 marca 1947 roku, po omówieniu organizacji pogrzebu gen. K. Świerczewskiego, postanowiono:

---

32. Tamże.

„W ramach akcji represyjnej wobec ludności ukraińskiej (...) w szybkim tempie przesiedlić Ukraińców i rodziny mieszane na tereny odzyskane (przede wszystkim Prusy Północne) nie tworząc zwartych grup i nie bliżej niż 100 klm. od granicy<sup>33</sup>”.

Uznano również za wskazane uzgodnić akcję z rządami ZSSR i Czechosłowacji (chodziło głównie o zamknięcie odpowiednich odcinków granicy). Biuro Polityczne poleciło M. Spychalskiemu i S. Radkiewiczowi „opracowanie projektu przesiedlenia (...) i rozpracowanie danych o ludności ukraińskiej<sup>34</sup>”. Na posiedzeniach w dniach 2 i 11 kwietnia S. Radkiewicz omawiał stan przygotowań.

Warto w tym miejscu zaznaczyć, że w zbiorach archiwalnych zachował się rozkaz z 2 kwietnia powołujący grupę operacyjną złożoną z 8 DP i wspierających ją dodatkowo 1500 żołnierzy i kilku kompanii WOP-u. Podpisani pod tekstem minister obrony narodowej i minister bezpieczeństwa publicznego zalecali płk. Bieleckiemu, dowódcy tworzonej grupy, przeprowadzenie odwetowej akcji militarnej w powiatach Sanok i Lesko „w celu ostatecznego wytypienia bandytyzmu ukraińskiego<sup>35</sup>”. Przewidując na 10 kwietnia początek operacji, zobowiązano płk. Bieleckiego do przedstawienia do dnia 8 kwietnia szczegółowego planu.

Nie wiemy, czy istnieją dokumenty pozwalające jednoznacznie wyjaśnić tę dwukierunkowość. Nie jest wykluczone, że pierwotnie przesiedlenia zamierzano poprzedzić działaniami wojskowymi, z czego następnie zrezygnowano na rzecz akcji równoległej. Spekulując możemy jednak podejrzewać, że zaskoczenie śmiercią gen. Świerczewskiego (co zakładamy nie mając dowodów uzasadniających tezę o ukartowanym zamachu) mogło nasunąć decydom różne warianty najwłaściwszej na nią odpowiedzi. Jeszcze raz z naciskiem podkreślmy, że przesiedlenie Ukraińców zamierzano przeprowadzić, ale w pierwszych dniach mogła istnieć kontrowersja, czy chwilowo ograniczyć się do posunięć lokalnych, czy też przyspieszyć przygotowania i „korzystając z okazji” zrealizować poważniejsze przedsięwzięcie.

Dnia 16 kwietnia Biuro Polityczne w składzie: W. Gomułka, B. Bierut, R. Zambrowski, J. Berman, S. Radkiewicz i M. Spychalski, po wysłuchaniu referatów M. Żymierskiego i

---

33. AAN VI Oddz. KC PPR 295.V.3 „Protokół nr 3 posiedzenia Biura Politycznego”, 29.III.1947, k. 16.

34. AAN VI Oddz. KC PPR 295.V.3 „Protokół nr 3 posiedzenia Biura Politycznego”, 29.III.1947, k. 16.

35. CAW IV.111.439 Rozkaz dla Naczelnego Dowództwa WP wydany przez ministrów obrony narodowej i bezpieczeństwa publicznego, 2.IV.1947, K. 12-13.

W. Wolskiego, przyjęło przedstawiony w nich plan. W wydanym następnego dnia zarządzeniu PKB powołującym Grupę Operacyjną o kryptonimie „Wisła” oraz w stanowiącej podstawę prawną przeprowadzonych działań uchwale Prezydium Rady Ministrów z 24 kwietnia 1947 roku, ściśle zastosowano się do ustaleń Biura Politycznego.

Dowódcą Grupy Operacyjnej i specjalnym pełnomocnikiem rządu na czas akcji mianowano gen. bryg. S. Mossora. Jego najbliższymi współpracownikami byli: ppłk B. Sidziński odpowiedzialny za pion polityczno-wychowawczy, ppłk G. Korczyński (d/s bezpieczeństwa), ppłk J. Hübner (d/s KBW). Szefem sztabu GO został ppłk M. Chiliński. Do sztabu przydzielono również pełnomocników MAP-u, PUR-u i Ministerstwa Komunikacji.

W południowo-wschodniej części woj. rzeszowskiego i na południu woj. lubelskiego zgrupowano 5 dywizji piechoty (3 DP w składzie 3, 5 i 14 pułki piechoty; 6 DP — 2, 6 i 12 pp; 7 DP — 7, 10 i 11 pp; 8 DP — 1, 8 i 36 pp; 9 DP — 26, 28 i 30 pp), jedną dywizję KBW (1, 2 i 3 brygada), pułk MO oraz jednostki specjalne — pułk saperów, pułk samochodowy, eskadrę lotniczą. Około 17,5 tys. żołnierzy GO „Wisła” postawiono zadania likwidacji UPA i możliwie szybkiego przesiedlenia ludności (w zarządzeniu PKB z 17 kwietnia pojawił się nawet termin miesięczny — liczone, iż sprawne przetransportowanie na Ziemię Odzyskaną pozwoli jeszcze na dokonanie wiosennych zasiewów na ziemi przydzielonej nowym osadnikom).

Dowództwo Grupy Operacyjnej otrzymało bardzo szerokie pełnomocnictwa. Oprócz jednostek własnych podlegały mu wszystkie siły WOP-u, UBP i MO znajdujące się na obszarze działania. Gen. S. Mossor uzyskał również prawo wydawania dyspozycji terenowym władzom administracyjnym, służbom komunikacyjnym, urzędowi pocztowo-telegraficznemu, oddziałom PUR-u, a także dowódcom okręgów wojskowych (OW V — Kraków i OW VII — Lublin). Aby ułatwić wojsku opanowanie terenu, rozkazano wprowadzić godzinę milicyjną (z reguły od 21<sup>00</sup> do 4<sup>00</sup>) oraz roztoczyć ścisłą kontrolę nad ludnością przez zorganizowanie posterunków sprawdzających dokumenty na rogatkach miast i stacjach kolejowych, patrolowanie miejscowości będących czasowym miejscem postoju. Wszystkie osoby budzące jakiegokolwiek podejrzenie miały być zatrzymywane.

Tereny objęte akcją podzielono na tzw. rejon odpowiedzialności. Dana jednostka miała w przydzielonej strefie wysiedlać ludność i walczyć z oddziałami UPA. Za wyniki realizacji obu tych zadań dowództwa dywizji odpowiadały przed Sztabem Grupy Operacyjnej. W związku z tym wiele uwagi poświęcano stworzeniu sprawnego systemu przepływu informacji. Na szczeb-



lu dywizji polecono zbierać meldunki codziennie napływające z mniejszych jednostek rozproszonych na powierzonym obszarze, opracowywać je i przysyłać do centrum. Szczególnie istotne były dane statystyczne, ponieważ na ich podstawie usiłowano przygotowywać odpowiednie ilości środków transportu i tym samym zapewnić płynny przebieg akcji. Mimo wyraźnych i wielokrotnie powtarzanych wytycznych odnoszących się do częstotliwości przekazywania raportów i ich treści, powszechne były różnego rodzaju nieprawidłowości, co w pewnym stopniu dezorganizowało przesiedlenia.

Zgodnie z założeniami w pierwszej fazie operacji zamierzano skupić się na powiatach Sanok, Lesko i Przemyśl, ale dowództwo Grupy Operacyjnej rychło doniosło o przewidywanej konieczności rozszerzenia akcji na północną część strefy działania (powiaty Jarosław i Lubaczów) oraz przyległe tereny Krosno-Gorlice i południową część woj. lubelskiego<sup>36</sup>. Aby móc sprawnie przejść do akcji na nowych terenach postanowiono „oczyszczyć” niektóre obszary w ciągu 10-14 dni i przerzucić zwolnione oddziały na inne odcinki. Propozycja dowództwa Grupy Operacyjnej została przedstawiona w dniu 3 maja na posiedzeniach Biura Politycznego i Państwowej Komisji Bezpieczeństwa. Zauważono, że po rozpoczęciu operacji „bandy” częściowo opuściły zagrożony rejon i udały się na północ i na zachód. Podejrzewano, że takie postępowanie UPA miało na celu odciążenie wojska od wysiedlania. Dnia 5 maja minister obrony narodowej wystosował „Dyrektywę nr 7 dla Grupy Operacyjnej Wisła<sup>37</sup>”, w której wyrażał zgodę na objęcie działaniami południowej Lubelszczyzny i zachodniej części woj. rzeszowskiego (na południe od powiatów Jasło, Krosno i Gorlice włącznie z nimi). Jednostki, które rozbiły oddziały UPA i przesiedliły ludność ze swego rejonu odpowiedzialności przenosiły się do następnej strefy. Znowu rozpoczynano od zapoznania się z miejscową sytuacją i zorganizowania całej maszyny wysiedleńczej.

Odrębny problem stanowiły większe miasta. W doniesieniach odnotowywano zwiększony napływ ludności ukraińskiej i mieszanej: osoby usiłujące się ukryć przyjeżdżały do swoich rodzin i znajomych. Wysiedlenia z miast miały zostać zarządzone oddzielnym rozkazem, ale takowego nigdy nie wydano. Nie wiemy, dlaczego tak się stało lecz możliwe, że odegrała tu

---

36. CAW Sztab Gen. IV.111.512 „Plan działania na II fazę operacji 'Wisła', 28. IV. 1947, K. 85.

37. CAW Teczka dokumentów gen. S. Mossora IV.111.615 Dyrektywa nr 7 dla GO „W” podpisana przez ministra obrony narodowej z przeznaczeniem do rąk własnych dowódcy GO, 5. V. 1947, k. 27

rolę obawa przed komplikacjami. Ludzie mieszkający w niewielkich, oddalonych od siebie wioskach, czasem rzeczywiście znękanani do granic wytrzymałości, na pewno inaczej reagowali na przymus opuszczenia gospodarstw, niż mogliby to uczynić mieszkańcy miasta. Ci nie czuli strachu przed każdym następnym dniem, jeszcze nie zubożeli przytłoczeni nieszczęściami ostatnich lat. Być może w pewnym stopniu hamująco podziałała wizja oporu, tłumów gapiów, plotek, współczucia albo samosądów, słowem tego „nieprzewidywalnego”, które zawsze mogło zaistnieć i zagrozić wymknięciem się sytuacji spod kontroli.

W jaki sposób zamierzano zorganizować akcję przesiedleńczą? Jakie były szczegóły planów i wyobrażenia władz o specyfice problemu? Zaczynając od sprecyzowania kryteriów decydujących o wyjeździe bądź pozostaniu zaznaczmy, iż interesują nas w tym momencie jedynie założenia, a nie ich realizacja.

Wzmiankowane wyżej zarządzenie Państwowej Komisji Bezpieczeństwa mówi m.in.:

„Ewakuacją będą objęte wszystkie odcienie narodowości ukraińskiej, jak również te mieszane rodziny polsko-ukraińskie, które współpracowały z UPA<sup>38</sup>”.

W projekcie zarządzenia (z 16 kwietnia) wśród „odcieni narodowości ukraińskiej” oddzielnie wymieniano Łemków. Prawdopodobnie intencją przygotowujących projekt było uniknięcie niedokładności otwierających różne możliwości interpretacyjne. Pamiętano, że w umowie o wymianie z września 1944 roku, jako kategoria jej podlegająca, umieszczona została także „narodowość rusińska”. Wielu Łemkom to sformułowanie dostarczyło argumentu wysuwanego następnie wobec władz: jesteśmy Łemkami, a nie jakimś Rusinami i cała ta sprawa nas po prostu nie dotyczy<sup>39</sup>.

Co ciekawe, tak surowo traktujące Ukraińców polskie podziemie dla Łemków czyniło czasem wyjątek. Autorzy nielegalnych opracowań podkreślali szczere przywiązanie Łemków do państwa i narodu polskiego przeciwstawiając je postawom Ukraińców. Często także lokalne władze samorządowe czy administracyjne, a nawet „demokratyczne” partie polityczne ujmowały się za Łemkami i interweniowały w ich sprawach. Nie bez znaczenia był tu także czynnik pragmatyczny:

---

38. CAW Sztab Gen. IV.111.511 *Zarządzenie PKB dla GO „Wisła”, 17.IV.1947, k.7.*

39. Było to możliwe dzięki stosowaniu różnych nazw odnoszących się do tej samej grupy. Najstarsze miano („Rusnacy”) już zanikało wypierane przez określenia „Łemkowie”, „Rusini” czy też „naród karpacki”. Rozbieżność nomenklaturowa wynikała ze sporów ideowo-politycznych.

„Wysiedlanie Łemków z ciężkich do uprawy i nie wydajnych terenów górzyszych spowoduje zupełne ich wyludnienie, gdyż nie znajdzie się ludzi do osiedlenia równie zaprawionych do wyjątkowo ciężkich warunków mieszkowych<sup>40</sup>”.

Przewidywania te miały się sprawdzić w niedalekiej przyszłości. W 1947 roku w Polsce pozostawało jeszcze około 30-35 tys. Łemków mieszkających głównie w południowych częściach powiatów Gorlice, Jasło i Krosno, a na terenie woj. krakowskiego w powiatach Nowy Sącz i Nowy Targ. Oprócz łemkowskiej grupy etnograficznej wysiedleniu podlegali nieliczni Bojkowie i Dolinianie (powiaty Lesko i Sanok), Rusini Szlachtowscy i Wengrinowie (powiat Nowy Targ).

Zdecydowano również, iż z terenów położonych na południowy wschód od Baligrodu wysiedli się wszystkich — także Polaków. W przyszłości planowano objęcie tego obszaru osadnictwem wojskowym.

Od przedstawionej zasady etnicznej skrzyżowanej z wymogiem lojalności zdarzały się jednak pewne odstępstwa. Czasowe odroczenie otrzymywały nawet osoby skompromitowane wszystkim wiadomą współpracą z UPA, jeśli tylko należały do niezbędnych pracowników PKP, przemysłu naftowego czy lasów państwowych. Z dnia na dzień nie można było zastąpić wszystkich „pewnymi” Polakami toteż, pomimo ciągłego strachu przed aktami sabotażu, osoby te pozostawały na miejscu i nadal pracowały. Władze obawiały się nieuniknionego, w wypadku natychmiastowego zwolnienia tych ludzi, chaosu i zakłóceń w funkcjonowaniu wielu zakładów i instytucji. Sprawa ta dotarła na szczebel ministerialny: M. Żymierski wystosował ponagląjące pismo do H. Minca, ówczesnie kierującego resortem przemysłu, aby spowodował jak najszybszą wymianę na stanowiskach zajmowanych przez podlegających przesiedleniu<sup>41</sup>.

Inną, raczej niezbyt liczną grupą, której pozwolono na przedłużenie pobytu, były osoby uznane za przydatne przy rozpracowywaniu podziemia ukraińskiego. Licząc na wydatną pomoc zatrzymywano je i przekazywano pod szczególną opiekę powiatowych Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego.

Jest charakterystyczne, że w różnych dokumentach omawiany tu problem kwalifikacji do wyjazdu ujmowano niejednolicie. Oto przykłady. Jeden z punktów uchwały PRM z 24 kwietnia brzmi:

---

40. AAN VI Oddz. KC PPR 295.VII.200 *Informator nr 3-4 za listopad i grudzień 1945 roku wydany przez polskie podziemie*, k. 56-57.

41. CAW Sztab Gen. IV.111.512 *Pismo M. Żymierskiego do H. Minca*, 9. V. 1947, k. 195.

„PUR przeprowadzi akcję przesiedleńczą ludności ukraińskiej zamieszkałej na terenie, gdzie działalność band UPA może zagrażać ich życiu i mieniu<sup>42</sup>”.

I fragment „Instrukcji dotyczącej zasad przesiedlania ludności cywilnej”:

„Przesiedleniu podlegają wszystkie rodziny ukraińskie i tzw. mieszane. Prawo pozostania na miejscu posiadają wyłącznie rodziny polskie odnośnie których nie ma najmniejszych poszlak współpracy i sympatyzowania z bandami<sup>43</sup>”.

Brak precyzji z zakresłaniu kręgu „naznaczonych” jest tu bardzo wyraźny; czasem wymaga się dowodu czynnego popierania UPA, ale innym razem wystarczy już tylko domniemanie niewłaściwego ukierunkowania sympatii. To, że nie zawsze konsekwentnie powtarzano jedną formułę — abstrahując nawet od jej treści — zaciążyło na przebiegu akcji. Do problemów związanych z przygotowaniem spisów ludności do wysiedlenia i różnymi interpretacjami zarządzeń wypadnie jeszcze powrócić.

Większość jednostek zajęła pozycje wyjściowe kilka dni przed rozpoczęciem akcji. Pozostały wolny czas dowódcy mieli wykorzystać m.in. na:

„Tajne przeprowadzenie dokładnego spisu ludności w rejonie działania, przy ścisłym porozumieniu z miejscowymi władzami UB, MO i administracji<sup>44</sup>”.

Przytoczony fragment pochodzi z rozkazu wydanego 25 kwietnia. Nierealność jego wykonania w ciągu trzech dni jest oczywista. Czas taki byłby zbyt krótki nawet na rzetelną aktualizację danych, a przecież nierzadko nie posiadano żadnych, w miarę bliskich prawdy, informacji. W tym samym okresie czasu miało się dokonać zapoznanie z rejonem i organizacja wszystkich ogniw aparatu wysiedleńczego. Należało zorientować się, jak liczny oddział skierować do danej miejscowości. W zależności od wielkości wioski, warunków bezpieczeństwa w okolicy, odległości od punktów zbórnych, stanu dróg itd. wysyłało grupy w sile od plutonu do batalionu. Sposób postępowania wysiedlających określała specjalna instrukcja zatwierdzona przez gen. S. Mossora<sup>45</sup>.

42. CAW Sztab Gen. IV.111.511 *Uchwała PRM*, 24. IV. 1947, k. 4.

43. CAW GZPW IV.112.290 „Instrukcja dotycząca zasad przesiedlenia ludności cywilnej”, k. 32.

44. CAW zespół 9 DP IV.310.09.44 „Rozkaz bojowy dowódcy 9 DP na okres od 26. IV. 1947 r. do odwołania”, k. 18-19.

45. CAW zespół 9 DP IV.310.09.44 „Instrukcja dla dowódcy grupy wysiedlającej”, k. 90.

W dniu „ewakuacji” oddział powinien otoczyć przed świtem całe osiedle lub zamknąć możliwe drogi ucieczki — przede wszystkim w kierunku lasu. O świcie należy zebrać mieszkańców i powiadomić ich „w zdecydowany i bezkompromisowy sposób” o wysiedleniu, nie zapominając o umotywowaniu konieczności tego przedsięwzięcia. Następnie trzeba udzielić ludności wskazówek praktycznych — co ma zabrać ze sobą (maksymalną ilość dobytku: żywy inwentarz, naczynia kuchenne, odzież, pościel, podstawowy sprzęt rolniczy, „niezbędną ilość żywności na najbliższy czas”) i jak się zachowywać. Zapewniono, że o wyżywienie na czas podróży zatroszczy się PUR, a zapasy ziarna siewnego i ziemniaków po przesłaniu za przesiedleńcami na nowe miejsca pobytu zostaną tam „równomiernie rozdzielone”. Na wykonanie tych czynności instrukcja wyznaczała najwyżej 5 godzin:

„W dniu wysiedlenia ludność winna natychmiast zająć się pakowaniem i przygotowywaniem do drogi, nie tracąc czasu na „babskie” lamenty i narzekania<sup>46</sup>”.

Zgodnie z wytycznymi „około godziny 11 kolumna powinna być sformowana i wyruszyć do pułkowego punktu zbornego”.

Punkty zborne (1-2 na obszar działania jednego pułku) starano się lokalizować biorąc pod uwagę odległość od stacji załadunkowej, sieć dróg oraz położenie względem wysiedlanych wsi. Dystans między rodzinnym osiedlem, a pułkowym punktem zbornym przesiedleni mieli przebyć pieszo bądź własnym transportem. Przemieszczająca się ludność była oczywiście konwojowana, a eskortujący żołnierze, oprócz ochrania kolumny przed ewentualnym atakiem UPA, zostali zobowiązani do przeprowadzenia rewizji w wypadku podejrzenia o ukrywanie broni, do pilnego przysłuchiwania się rozmowom. Podstawowym zadaniem było jednak niedopuszczenie do uciezek przesiedlanych, „którzy mogą w źle rozumianym interesie własnym próbować odłączyć się od transportu, narażając się na niebezpieczeństwo ze strony band<sup>47</sup>”. (!)

Na pułkowym punkcie zbornym odbywał się pierwszy przegląd mający na celu „wyłowienie elementów wrogich i niepewnych”:

„Selekcję przeprowadza komendant pułkowego punktu zbornego wspólnie z oficerem polityczno-wychowawczym oraz przedstawicielem UB na podstawie

46. CAW GZPW IV.112.290 „Poradnik terenowy żołnierza”, k. 60.

47. CAW GZPW IV.112.290 „Poradnik terenowy żołnierza”, k. 61.

1. danych zebranych przez sztaby jednostek, przez zwiad przeprowadzony przed akcją przesiedleńczą i w czasie akcji
2. według wskazówek delegata UB
3. Według meldunków przesłanych przez dowódców oddziałów wysiedlających zebranych w miejscowości przesiedlanej i w czasie drogi do pułkowego punktu zbornego przy pomocy aktywu
4. własnych spostrzeżeń oraz doniesień aktywistów pułkowego punktu zbornego<sup>48</sup>.

Rezultatem powyższych zabiegów miało być podzielenie ludności na kategorie: „A” („notowany w UB”), „B” („zastrzeżenia na podstawie wiadomości zwiadu”), „C” („zastrzeżenia na podstawie wiadomości aktywu”). Brak kategorii oznaczał uznanie danej osoby za pewną.

Jeśli oddział wysiedlający nie sporządził od razu szczegółowego spisu ludności opuszczającej daną miejscowość, należało uczynić to przy przekazywaniu kolumny na pułkowy punkt zborny. Potem spis, uzupełniony ocenami stopnia lojalności poszczególnych rodzin, przedstawiano komendantowi stacji załadowniczej, którego obowiązkiem było pokwitowanie przyjęcia każdej partii przesiedleńców.

Czas pobytu ludności na pułkowych punktach zbornych uzależniano głównie od możliwości udzielenia jej pomocy transportowej. Zakładano, że osoby starsze, chore, kobiety z małymi dziećmi oraz mienie będzie się w miarę możliwości przewozić na stację załadowniczą samochodami wojskowymi. Część taboru wyznaczona do przewozu ludności mogła zostać czasowo odwołana tylko w wypadku zaistnienia poważnej potrzeby militarnej. W wytycznych zwracano uwagę, iż opracowując lokalne plany należy ocenić, jak wiele czasu wymaga dotarcie do pułkowego punktu zbornego (za przeciętną szybkość przemarszu ludzi z inwentarzem przyjęto 2 km/godz.). Chodziło o takie rozłożenie napływu przesiedleńców, by nie powodować nadmiernego zgromadzenia na punkcie zbornym: po odpoczynku ludność miała być przewożona na stację kolejową. Te dwa etapy transportu chciano zsynchronizować z aktualnymi możliwościami przewozowymi kolei. Przewidywano, iż ewentualne przestoje spowodują trudności w pomieszczeniu wciąż przybywających i zapewnieniu paszy zwierzętom. Poza tym automatycznie pogarszały się warunki bezpieczeństwa.

Punktom zbornym i stacjom trzeba było zapewnić ochronę na wypadek akcji UPA. Teren ogradzano i wystawiano posterunki, opracowywano plan obrony. Siatka i rozstawieni żołnierze

---

48. CAW zespół 9 DP IV.310.09.44 „Instrukcja dla komendanta pułkowego punktu zbornego”, k. 91-92.

ułatwiali także pilnowanie ludności. Obawiano się bowiem, że będzie ona uciekać. W jednym z rozporządzeń czytamy:

„Wskazane jest dla łatwiejszego opanowania i ekonomii użycia sił przewidzieć w planie ogrodzenie terenu. Czynności tej nie należy wykonywać przedwcześnie, a dopiero w dniu rozpoczęcia akcji przesiedleńczej. Przesiedlonym należy wytłumaczyć, że ograniczenia te mają na celu ochronę przed wyzyskiem ludzi nieuczciwych<sup>49</sup>”.

Takie postępowanie służyło również izolacji przesiedleńców — instrukcja zakazuje wyraźnie dopuszczania osób postronnych do rejonu rozmieszczenia. Jednocześnie informowano wszystkich pracowników obsługi, że „wszelkie próby konszachtów z przesiedlonymi będą karane z całą surowością prawa<sup>50</sup>”. Organizatorzy zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa korupcji, kradzieży, prób wykorzystywania ciężkiego położenia i naiwności przesiedleńców. Groźba kary miała zapobiec nieuczciwosciom. Zapewne nie chciano również dopuścić do nawiązania bliższych, bardziej osobistych kontaktów między obydwoma stronami. Nastawione na pracę z ludnością aktywne, oprócz propagowania słuszności decyzji władz, prowadziły gorliwie inwigilację, co — łatwe do wychwycenia — faktycznie jeszcze zwiększało dystans.

Za wszystkie sprawy związane z bezpieczeństwem wysiedlanych, organizacją zaopatrzenia, transportem kolejowym i jego ochroną, odpowiadał komendant stacji załadowczej wraz ze swym zastępcą d/s polityczno-wychowawczych. Komendantowi podlegali: dowódca ochrony przesiedlonych w rejonie punktu załadowczego, kierownik załadowczy z pomocnikami (do nich należało szybkie przygotowanie dokumentów i sprawne odprawienie transportu), dowódca kolumny samochodowej zajmującej się dowożeniem na stację. Na każdej stacji był także kierownik delegowany przez PUR. PUR zapewniał pomoc sanitarną, namioty, organizował przygotowywanie i wydawanie posiłków.

Grupy docierające na punkt załadowania przyjmował komendant. Kontrolował on zgodność wykazu ze stanem faktycznym i w obecności przedstawiciela PUR-u potwierdzał przybycie kolejnej partii przesiedleńców. Następnie wspólnie ustalano skład rodzin do poszczególnych transportów, a urzędnicy PUR-u wystawiali zaświadczenia przesiedleńcze zawierające adnotacje na temat mienia zabranego ruchomego (jedna rodzina mogła zabrać 1-2 wozy swoich rzeczy). Dane te miały posłużyć do później-

---

49. CAW GZPW IV.112.290 „Instrukcja dotycząca zasad przesiedlenia ludności cywilnej”, k. 36.

50. CAW zespół 9 DP IV.310.09.44 „Instrukcja dla komendanta pułkowego punktu zbornoego”, k. 91-92.

szego przyznania gospodarstwa odpowiedniej wielkości na nowym miejscu osiedlenia i wyznaczenia wysokości ekwiwalentu za pozostawione dobra. Charakterystyczne, że karty były kolorowe, co odróżniało tę grupę od innych kategorii osadników na Ziemiach Zachodnich i Północnych. Poza powyższymi obowiązkami do pracowników PUR-u należało dbanie, aby przesiedlanym nie działa się żadna krzywda. W wypadku zgłoszenia nadużycia procedura przewidywała spisanie protokołu i nadanie biegu sprawie. Jednak — zrozumiwały skądinąd — wymóg zakończenia raportu podpisami skarżących krył w sobie potencjalną groźbę nieprzyjemności dla tych, którzy odważyli się mówić. Sposób reagowania na taką sytuację w dużej mierze zależał od stosunków panujących w konkretnych miejscach.

Zgodnie z planem na stacji powinny znajdować się dwa składy: jeden właśnie załadowywany i drugi już czekający na zakończenie załatwiania wszystkich formalności. Normy przewidywały tworzenie transportów złożonych z około 40 wagonów krytych i 10 platform. Przeciętnie miały one pomieścić po mniej więcej 300 osób (dwie rodziny na jeden wagon), 120 sztuk inwentarza i około 30 wozów<sup>51</sup>. Zapotrzebowanie na transport polecano zgłaszać telefonicznie do Wydziału Komunikacji GO „Wisła” na 48 godzin przed przewidywanym rozpoczęciem załadunku. Informowanie z wyprzedzeniem miało pomóc w terminowym dostarczeniu lokomotywy. Ponieważ ilość parowozów i wagonów była niewystarczająca, podkreślano, iż czas ekspedowania transportu nie może przekraczać 12 godzin.

W ciągu całego pobytu na stacji kuchnia PUR-u miała wydawać każdemu po trzy posiłki dziennie, a przed wyruszeniem w drogę wszyscy otrzymywali po 2 kg chleba. Wyżywienie podczas podróży również gwarantował PUR.

Od chwili skompletowania transportu i opuszczenia stacji załadowczej odpowiedzialność za bezpieczne dostarczenie wszystkich na miejsce ponosił dowódca konwoju. Zabierał on ze sobą wykaz przesiedlanych i ich mienia oraz dwie zalakowane koperty. Znajdujące się w jednej z nich nazwy punktu przeadresowania i końcowej stacji rozdzielczej rozstrzygały o kierunku udania się pociągu. Początkowo, gdy władze miały jeszcze, że ilość wolnych gospodarstw w województwach szczecińskim i olsztyńskim okaże się wystarczająca, możliwe były dwa warianty trasy: przez Oświęcim do Szczecinka lub przez Lublin do Olsztyna. W drugiej kopercie umieszczano wskazówki dla kierownika punktu rozdzielczego, dzięki którym dowiadywał się on, czy

---

51. CAW GZPW IV.112.290 „Instrukcja dotycząca zasad przesiedlenia ludności cywilnej”, k. 36.



rodziny z danego transportu można osiedlać w niewielkich grupkach czy wyłącznie pojedynczo.

Podczas podróży nie można było uniknąć zatrzymywania się. Na postój wybierano mniejsze stacje, oddalone tory i bocznice, „gdzie ludzie będą mogli pod baczным nadzorem konwojentów grupowo zaopatrywać się w wodę oraz załatwić naturalne potrzeby<sup>52</sup>”. Kiedy pozwalano ludności opuszczać wagony, uwaga pilnujących musiała być szczególnie napięta. Nie wolno było dopuszczać do kontaktowania się przesiedleńców z osobami z zewnątrz. Doświadczenie uczyło również, że wiele osób wykorzystywało zamieszanie dla dokonania próby ucieczki. Aby temu zapobiec należało rozstawić eskortę w sposób pozwalający na swobodną obserwację wszystkich, co działo się dookoła. Ponieważ minimalny skład konwoju nie był zbyt duży (1 oficer, 2 podoficerów i 15 szeregowców) zarządzano „mobilizację” miejscowych funkcjonariuszy SOK-u do pomocy. Przed wyruszeniem w dalszą drogę wagony zamykano z jednej strony — zapewne dla ułatwienia kontroli eskortie. Przypuszczano bowiem, iż niektórzy mogą wyskakiwać z pociągu w biegu. Na noc, po wieczornym sprawdzeniu list, ryglowano drzwi z obu stron.

Po przybyciu do celu opiekę nad nowo przybyłymi obejmowały lokalne władze. One organizowały rozwożenie osadników do wyznaczonych miejsc osiedlenia i zapoznawały z warunkami, w jakich przyszło im dalej żyć. Kwestią, której nie sposób pominąć jest postulowany stosunek wysiedlających do wysiedlanych i odwrotnie.

Od samego początku oficerowie polityczno-wychowawczy pracowali nad właściwym ukształtowaniem świadomości przesiedleńców. Według statystyk zamieszczonych w sprawozdaniach, na ponad 600 wiecach zgromadzono — jeśli zawierzyć podawanym liczbom — około 117 tys. osób, czyli praktycznie wszystkich poza małymi dziećmi<sup>53</sup>. Pracę uświadamiającą w formie gawęd, prelekcji czy rozmów indywidualnych prowadzono przede wszystkim w miejscu wysiedlania, ale kontynuowano ją i na dalszych etapach aż do momentu przybycia na stację docelową. Wydano także 130 tys. egz. ulotki „Do miejscowej ludności”. Po przedstawieniu destabilizacyjnej roli UPA stwierdzano w niej, że „bandy” znajdowały — choć co prawda często na skutek teroru — poparcie ludności ukraińskiej i dlatego „naturalne bazy

---

52. CAW zespół 9 DP IV.310.09.44 „Instrukcja dla dowódcy konwoju transportu kolejowego”, k. 95.

53. CAW GZPW IV.112.290 „Praca z ludnością cywilną w związku z akcją przesiedleńczą”, k. 314.

dla siejących mord i pożogę bandytów<sup>54</sup>” trzeba zlikwidować:

„Ludność ukraińska musi zrozumieć, że przesiedlenie jest skutkiem działania band UPA. Jest to zarządzenie dotkliwe, ale konieczne, które zapewni przesiedlonej ludności spokojne życie na nowych osadach przygotowanych przez rząd na innych terenach Rzeczypospolitej<sup>55</sup>”.

Zaznaczono, że ludność otoczy się opieką podczas akcji i udzieli pomocy w zagospodarowaniu na nowym miejscu zamieszkania. Przyłączone do Polski tereny opisywano niemalże jako ziemię obiecaną, na której dawno już zapewniono spokój, a dobrobyt jest łatwy do osiągnięcia:

„Ludność miejscowa przesiedlona na Ziemię Odzyskaną będzie szczęśliwsza niż dotąd była i poprowadzi tam normalne życie i będzie oddychać pełną swobodą i wolnością<sup>56</sup>”.

Obietnicom na przyszłość można było wierzyć lub nie, ale zdawano sobie sprawę, iż groźba potraktowania jako bandytów tych, którzy spróbują uniknąć wysiedlenia będzie na pewno realizowana. Najczęściej więc podporządkowywano się, lecz bez zrozumienia dla intencji władz — zresztą ku rozczarowaniu tychże.

Lepiej rokowały wysiłki podejmowane na rzecz wyrobienia odpowiedniej postawy polityczno-moralnej u żołnierzy. Oddziaływanie propagandowe rozpoczynało się z chwilą wytypowania danej jednostki do udziału w operacji. Okazję do szczególnej intensyfikacji pogadek i prasówek dawał zwykle transport na wyznaczone miejsce postoju. Wtedy to zapoznawano żołnierzy z historią UPA eksponując mordy na Wołyniu, późniejsze okrucieństwa, śmierć gen. Świerczewskiego. Mając na względzie osiągnięcie militarnego sukcesu uznano za korzystne wzbudzenie nienawiści do podziemia ukraińskiego. Instrukcje zalecały „bezwzględność do walczących band UPA i wszystkiego, co jest z nimi związane<sup>57</sup>”. Choć podkreślano, że wrogiem nie jest naród, a tylko „faszyści”, żołnierze nie zawsze widzieli bądź nie chcieli widzieć różnicy między UPA, a pozostałą ludnością ukraińską. Takie postrzeżenie nie leżało w interesie władz i dlatego starały

---

54. Tekst ulotki: CAW GZPW IV.112.290, k. 56.

55. CAW GZPW IV.112.290, Ulotka „Do miejscowej ludności”, k. 56.

56. CAW GZPW IV.112.290, Wytyczne pracy uświadamiającej wśród ludności przesiedlonej opracowane przez Wydział Polityczno-Wychowawczy 7 DP, k. 142.

57. CAW GZPW IV.112.290, „Zarządzenie nr 001 Wydziału Polityczno-Wychowawczego GO 'W' z 20. IV. 1947r.”, k. 12.

się one wpłynąć na zmianę niechętnego nastawienia. Wielokrotnie przed akcją i w czasie jej trwania przypominano oddziałom wysiedlającym o obowiązku humanitarnego zachowywania się wobec ludności cywilnej. To żołnierze mieli zadbać, by wysiedlani zabrali jak najwięcej ze swego dobytku, zapewnić im ochronę i bezpieczeństwo jak również okazywać wszelką możliwą pomoc, udzielać rad i wyjaśnień. Liczono także na to, że po odpowiednim przygotowaniu żołnierze będą potrafili wspomóc w pracy wyjaśniającej oficerów polityczno-wychowawczych.

Sprawozdania z działalności Wydziału Polityczno-Wychowawczego GO „Wisła” zawierają konspekty pogadank przygotowanych dla żołnierzy. Zakres poruszanych tematów był bardzo szeroki. Oprócz omówienia zagadnień związanych z aktualną sytuacją polityczną w kraju i na świecie, poddano analizie chyba wszystkie aspekty planowanej operacji. Wydawać by się mogło, że zrobiono naprawdę wiele dla wykazania sensu metod, które miały być zastosowane przy przeprowadzaniu akcji przesiedleńczej. Ustawicznie powtarzano, że przesiedleni są obywatelami państwa polskiego, a działania nie mają charakteru pacyfikacji:

„Ludność przesiedlana niejednokrotnie stanowi zupełnie pozytywny element (...) Sprawne przesiedlenie tej ludności może dostarczyć państwu wielu potrzebnych rąk do pracy dla zagospodarowania Ziemi Odzyskanych, może z wczorajszych wrogów zrobić pełnowartościowych obywateli Rzeczypospolitej<sup>58</sup>”.

Te dwa ostatnie zdania niech nam posłużą za przykład obrazujący pewne rozchwianie interpretacyjne. Przebijająca z nich ambiwalencja bardziej lub mniej wyraźnie zaznacza się i w innych materiałach. Odnosi się wrażenie, że same władze nie są w stanie ostatecznie ustalić, czy uznać wszystkich Ukraińców za wrogów Polski i Polaków czy też nie. Interes polityczny nakazuje wprowadzenie ostrego podziału na zaangażowaną mniejszość — która zostanie wyklęta — i pozostałych, wobec których najrozsądniejsze jest postępowanie wyważone i łagodzące. Ludzie ci pozostaną przecież w kraju. Należy spróbować przekonać ich, że pragnie się zapewnić im spokojną przyszłość i możliwość normalnego życia. Czyż jedną z przyczyn przesiedlenia nie jest chęć oszczędzenia ludności cywilnej? — wszak w toku walk trudno byłoby uniknąć ofiar. O dobrej woli władz ma przekonywać uprzejmy urzędnik i zdecydowany lecz przyjazny żołnierz. Czasem zwraca się uwagę na koszty ponoszone przez państwo w

---

58. CAW GZPW IV.112.290 *Konspekt pogadanki „Spadkobiercy Hitlera”, k. 54.*

związku z akcją i... domaga wdzięczności. Z drugiej jednak strony z dokumentów sygnowanych przez najwyższe czynniki wyziera nieraz jakby niechęć nieufność: ponieważ nieprawdopodobne jest zdemaskowanie każdego współpracującego z UPA, podejrzanymi, niepewnymi i kłopotliwymi stają się wszyscy.

Rychło okazało się, że praktyka znacznie odbiega od teorii. Reakcje ludności wysiedlanej są typowe dla słabszych zmuszanych do działania wbrew sobie. Niechęć potęgowały wcześniejsze doświadczenia wyniesione z kontaktów z wojskiem i innymi organami władzy. A oto obserwacje z okresu bezpośrednio poprzedzającego akcję, opisujące nastawienie drugiej strony:

„Przybywające oddziały WP i KBW — których nastroj jest zresztą doskonały — mają skłonność do uważania wszystkiego tutaj za wrogów<sup>59</sup>”.

„Stosunek żołnierzy do ludności miejscowej jest wrogi, nie utrzymują z nią żadnych kontaktów i nieufnie odnoszą się do niej. Żołnierze wystawieni na posterunki w nocy zdradzają dużą nerwowość i przy najmniejszym ruchu są gotowi do natychmiastowego otwarcia ognia (...) Żołnierze wykazują gotowość do walki z bandami. Rozumieją konieczność tej walki i pragnęliby jak najprędzej te bandy zniszczyć<sup>60</sup>”.

Gorliwość sprawozdawcy przypuszczalnie wyolbrzymia zapal bojowy, ale dla nas istotniejsze są tu konstatacje wskazujące, iż praca propagandowa „oswajająca” z ludnością nie przyniosła rewelacyjnych rezultatów. Zresztą, czy mogła? Treści przekazywane żołnierzom często pozostawały w sprzeczności ze sobą: czyniono rozgraniczenia między „bandami” a ludnością cywilną, ale bezustannie przypomniano o jej współdziałaniu z UPA; nakłaniano żołnierzy, by dobrze odnosili się do przesiedlanych, ale ciągle przestrzegano ich przed nimi. Szczególnie dobrze ilustruje te tendencje wydany w 10 tys. egz. „Poradnik terenowy żołnierza”. Został on rozprowadzony we wszystkich jednostkach, a poszczególne fragmenty omawiano na różnego rodzaju zebraniach. Czytamy w nim m.in.:

„Bandyta nie różni się na ogół niczym od każdego spotkanego człowieka (...) Jeśli znajdujesz się w czasie działań w miejscowości zamieszkałej, nie przyjmuj poczęstunków, nie wdawaj się w rozmowy (...) bandyci mogą znajdować się wszędzie (...) Sprawdź dokładnie każde miejsce, które może nasuwać podejrzenie<sup>61</sup>”.

Oczywiście wskazówek takich należało udzielać gdyż infor-

---

59. CAW Sztab Gen. IV.111.512 *Plan zasiedlania terenów poukraińskich*, 29. IV. 1947, k. 46.

60. CAW GZPW IV.112.290 *Sprawozdanie za okres 18-26. IV. 1947*, k. 12.

61. CAW GZPW IV.112.290 „*Poradnik terenowy żołnierza*”, k. 58.

mowały one o potencjalnym niebezpieczeństwie, ale zwróćmy uwagę na ich „uboczne” działanie: wytwarzała się atmosfera permanentnego zagrożenia. Skrajna podejrzliwość i ostrożność warunkowały przetrwanie. Daleki od poprawności stosunek do ludności ukraińskiej, choć rzecz jasna naganny etycznie, staje się w pewnej mierze wytłumaczalny w kategoriach psychologicznych.

Gdy władze nawoływały do przestrzegania humanitarnych zasad i zapowiadały zdecydowanie w karaniu wszelkich nadużyć, rabunków czy gwałtów, to miało to swe źródła także w świadomości, że każda niegodziwość będzie pobudzała do oporu i zostanie wykorzystana propagandowo przez „wrogie siły”. Starano się temu zapobiec dążąc do przeprowadzenia całej akcji przesiedleńczej w sposób możliwie sprawny, szybki i bezkonfliktowy.

## ROZDZIAŁ II PRZEBIEG AKCJI PRZESIEDLEŃCZEJ

Zgodnie z pierwotnymi założeniami akcja miała się rozpocząć 23 lub 24 kwietnia 1947 roku. Tymczasem nie wszystkie jednostki zdołały dotrzeć na wyznaczone miejsca postoju, a i służby zaopatrzeniowe gdzieś tam znajdowały się dopiero w początkowym stadium organizacji. Ponieważ wcześniej ustalono, że działania zostaną podjęte wyznaczonego dnia równocześnie we wszystkich miejscowościach przewidzianych do ewakuacji w pierwszej fazie i zakładano osiągnięcie mniej więcej zbliżonego poziomu przygotowań, termin musiał ulec odroczeniu. „Na skutek uchwycenia całego szeregu nowych ogniw siatki cywilnej<sup>62</sup>” również dzień 26 kwietnia nie stał się pierwszym dniem operacji. Władze dążyły bowiem do wyeliminowania członków OUN na samym wstępie mając nadzieję, iż zdeorganizuje to poczynania przeciwnika. Poza tym trwało jeszcze rozpoznawanie terenu i przeprowadzanie spisu. Za czynnik wstrzymujący podawano także brak rozstrzygnięcia problemu zasiedlania gospodarstw poukraińskich. Sprawie tej poświęcono konferencje, które odbyły się 25 i 26 kwietnia. Przedstawiciele dowództwa Grupy Operacyjnej spotkali się z powiatowym sekretarzem PPR w Sanoku i z sekretarzem komitetu wojewódzkiego PPR z Rzeszowa. Zebrane materiały przesłano wicepremierowi Gomułce postulując przedstawienie zagadnienia na posiedzeniu Prezydium Rady Ministrów. Ostatecznie, na wniosek sztabu GO „Wisła”, po

---

62. CAW GZPW IV.112.290 *Sprawozdanie za okres 18-26.IV.1947*, k. 10.

konsultacji z marszałkiem Żymierskim i ministrem bezpieczeństwa publicznego S. Radkiewiczem, początek akcji wyznaczono na 28 kwietnia i tego terminu dotrzymano.

O 4<sup>00</sup> nad ranem jednostki znajdujące się w rejonie Cisna-Baligród (dywizja KBW), Komańczy (6 DP), Przemyśla (9 DP), w południowej części powiatu Sanok (7 DP) oraz w północnej części tegoż (8 DP), przystąpiły do akcji wysiedleńczej.

Dla sprawnego przebiegu działań zasadnicze znaczenie miało wcześniejsze zorientowanie się w sytuacji ludnościowej i przede wszystkim ostateczne określenie liczby ludności kwalifikującej się do przesiedlenia. Datowany na 21 kwietnia „Plan działania GO Wisła” zawiera ocenę „zagęszczenia ludności ukraińskiej<sup>63</sup>”. Stwierdzono w nim, że rejon operacyjny zamieszkuje ludność polsko-ukraińska. Cypel na południowy-wschód od Baligrodu uznano za rzadko zaludniony (w rezultacie trwających od kilku lat walk wiele wsi zostało spalonych, a większość mieszkańców albo wyjechała do ZSSR albo uciekła). Cały teren łuku Sanu na południowy-wschód od Przemyśla oraz pas przygraniczny między przełęczą Dukielską a Jaśliskami (na południe od Krosna) rozpoznano jako zdecydowanie ukraiński. Według nieco późniejszych szacunków Polacy stanowili w powiatach Sanok, Lesko i Przemyśl tylko około 15% ogółu ludności. Znajdujących się w tak poważnej przewadze Ukraińców charakteryzowało, zdaniem składających raport, wyjątkowo wrogie nastawienie. Lojalność zastraszonych i słabo uświadomionych pod względem politycznym Polaków określano jako wątpliwą. Korzystniej kształtowała się sytuacja na obszarze między Przemyślem i Lubaczowem, zamieszkiwanym w większości przez Polaków i znacznie spokojniejszym, niemal pozbawionym „band”. Dopiero w okolicach Lubaczowa sygnalizowano wzrost liczebności ludności ukraińskiej. Autorzy opracowania przyznawali, iż zebrane informacje mają jedynie walor orientacyjny, a dokładniejsze obserwacje i wprowadzenie korekt stanie się możliwe podczas akcji.

Kwestią podstawową, warunkującą przystąpienie do działania, było uprzednie przygotowanie spisów ludności. Obowiązujące w tej materii wytyczne zostały już przedstawione. Teraz wypadnie nam poświęcić nieco uwagi ich praktycznej realizacji.

Początkowo wykazy sporządzały przede wszystkim jednostki wojskowe, w razie potrzeby wspierające się materiałami zgromadzonymi przez władze administracyjne, a głównie przez UB. Takie postępowanie wynikało ze specyficznego położenia: przygotowania do akcji miały być utrzymane w tajemnicy i

---

63. CAW Sztab Gen. IV.111.512 *Plan działania GO 'Wisła'*, 21.IV.1947, k. 18.

jedynie wojsko dobrze orientowało się w celach planowanego przedsięwzięcia i sposobach ich osiągnięcia. Ponieważ jednak poszczególne oddziały często były obce w wyznaczonej im strefie, musiały wykorzystywać miejscowe źródła danych. Wydający instrukcję rozumieli, że brak rozeznanie w lokalnych stosunkach może stać się poważną przeszkodą w prawidłowym wykonaniu zadania. Uczulano na „perfidię” ludności w znacznej części zaopatrującej się w fałszywe dokumenty — często przy pomocy „reakcyjnych księży i urzędników”. Zalecano dokładne sprawdzanie wszelkich przedwojennych zaświadczeń urzędowych, książeczek wojskowych itp. W wypadkach nasuwających wątpliwości rozstrzygającą miała być opinia UB.

Już w meldunkach z niemal pierwszych godzin akcji pojawiły się doniesienia o komplikacjach. Jako najistotniejsze wymieniano trudność rzeczywistej przynależności narodowej i kwestie związane ze sprawiedliwą oceną zachowania poszczególnych osób i rodzin.

Oczywiście, ludzie starali się uniknąć wysiedlenia, a gdy już znaleźli się na liście, wszelkimi sposobami usiłowali dowieść, iż nie powinni byli zostać na niej umieszczeni. Dochodziło do wielu niezwykle dramatycznych sytuacji. Troska władz ograniczała się do prób zapobiegania pomyłkom, w wyniku których wysiedlano lojalną ludność polską. W rozkazach podkreślano obowiązek dogłębnego badania indywidualnie każdej osoby i rodziny przez dowódców pododdziałów wysiedlających. Jednak nawet przy najlepszych chęciach stosowanie takiej procedury nie było możliwe ze względu na brak czasu:

„Spisy robiło się na gwałt i nie przejrane, od razu gorące spod maszyny szły w teren do dowódców grup wysiedlających i wówczas nie pomógł płacz ani tłumaczenie, że ktoś jest Polakiem i dobrze przysłużył się ojczyźnie<sup>64</sup>”.

„Przesiedlenie szło w takim tempie, że żaden z przesiedlanych nie miał czasu na opamiętanie jak już znalazł się na stacji i w wagonie<sup>65</sup>”.

Gdy akcja zaczęła się rozszerzać, a schemat postępowania stał się ogólnie znany, zadanie ułożenia list powierzano zwykle władzom powiatowym. Pierwsza wersja wykazu zazwyczaj wędrowała do UB, gdzie ewentualnie była korygowana i uzupełniana. Następnie zestawienie przekazywano wojsku, które również miało prawo pochynienia w nim zmian. Na każdym z tych eta-

---

64. CAW IV.310.03.128 *Sprawozdanie dekadowe za okres 8-18.V.1947*, k. 26.

65. CAW IV.310.03.128 *Sprawozdanie dekadowe za okres 8-18.V.1947*, k. 27.

pów starano się wykorzystywać możliwości wpływania na ostateczny kształt listy. O ile można się zorientować, próbowano przekupywać urzędników starostw — co zapewne udawało się jakimś odsetkowi zainteresowanych. W razie niepowodzenia dostrzegano szansę w braku rozeznania wojskowych i przedstawiano im spreparowane dowody polskości. Poza tym wiele zależało od wzajemnych relacji między urzędami a wojskiem, a także między samymi urzędnikami. Wojsko nierzadko nie miało zaufania do miejscowych władz podejrzewając je o kontakty bądź sprzyjanie UPA. Musimy pamiętać, że w starostwach i UB pracowali również Ukraińcy i nie było to bynajmniej zjawiskiem niezwykle rzadkim. Próbowali oni chronić przynajmniej swoich krewnych i znajomych. Przypuszczalnie nie było to tak nagminne, jak sugeruje się w meldunkach, ale niewątpliwie się zdarzało. Pomijając osobiste zapatrywania funkcjonariuszy i ich wpływ na rzetelność wykazów zaznaczmy, że pewną rolę odgrywała tu również niezbyt dobra znajomość terenu i ludzi:

„Praca nad wyłanianiem ludności współpracującej z bandą UPA jest bardzo ciężka i wymaga dłuższego czasu. Są częste wypadki, że po zakończeniu akcji przesiedleńczej we wsi trzeba na nowo wracać, aby dodatkowo wysiedlać rodziny, na które w międzyczasie otrzymano materiał zupełnie nowy, obciążający. Otrzymane wykazy (...) rodzin zakwalifikowanych do przesiedlenia w wielu wypadkach są bezpodstawne i niezgodne z rzeczywistością, sporządzone bez głębszego rozpracowania. Skutek jest ten, że trzeba zbierać materiał zupełnie nowy i wysiedlać rodziny, których na wykazach w ogóle nie było<sup>66</sup>”.

Na nieprawidłowości reagowano różnie. Większość dowódców tylko meldowała o mnożących się trudnościach i w oczekiwaniu na wyjaśniające dyspozycje zwierzchników kontynuowała przesiedlanie. Niektórzy podejmowali jednak działania na własną rękę. Na przykład dowódca 3 pułku piechoty zanegował dostarczone mu spisy i chwilowo wstrzymał akcję, aby powołać specjalne komisje złożone z wojskowych, przedstawiciela UB i sekretarza PPR dla wspólnego opracowania nowych list. Co więcej, z własnej inicjatywy zmodyfikował on zasadę ustalając, że rodziny polsko-ukraińskie zasłużone dla państwa i wszyscy Ukraińcy zatrudnieni w instytucjach państwowych zostaną wyłączeni z przesiedleń<sup>67</sup>. Co prawda, nie spotkałam się z ani jednym zdecydowanie negatywnym osądem akcji przesiedleńczej

66. CAW IV.310.09.58 „Meldunek bojowy nr 0019”, 18. V. 1947, k. 158.

67. CAW GZPW IV.112.290 „Raport z kontroli akcji przesiedleńczej przeprowadzonej przez 3 pp w pow. lubaczowskim do dnia 14. V. 1947 r.”, 16. V. 1947, k. 150.



wyrażonym przez wykonawców w czasie jej trwania, ale pewne elementy krytyki czy wątpliwości są widoczne. Np. w meldunku nadesłanym do Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego czytamy m.in.:

„Wszyscy oficerowie rozumieją konieczność przesiedlania Ukraińców, natomiast nie wszyscy solidaryzują się w 100 % z akcją przesiedlania rodzin mieszanych<sup>68</sup>”.

Jednak jeśli nawet oddolne modyfikacje lub zabiegi o pozostawienie pewnych osób przynosiły efekt, to zwykle bywał on krótkotrwały.

Czy akcja była zupełnym zaskoczeniem? Trudno jest jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie, choć najczęściej odpowiadano twierdząco. Pojawienie się znacznych sił wojska zostało oczywiście zauważone i odebrane jako mocno niepokojące. Snuto domysły na temat zbliżającej się III wojny światowej, konfliktu zbrojnego z Czechosłowacją. W tej sytuacji rozchodzenie się plotek o mającym nastąpić przesiedleniu (częściej przewidywano wywózkę do ZSSR niż wyjazd na Ziemię Zachodnie i Północne) jest naturalne. Po wcześniejszych, w dużym stopniu wymuszonych, ruchach migracyjnych obawa ta ciągle odżywała i zyskiwała na realności w każdym okresie wzrostu napięcia. Z drugiej jednak strony, w prostym odruchu obronnym, odsuwano myśl o potencjalnym wysiedleniu mając nadzieję, że „wszystko jakoś się ułoży” i do najgorszego nie dojdzie. Większość ludności była zdezorientowana i nieprzygotowana, do ostatniej chwili pracowała nie spodziewając się niczego.

Co ciekawe, bardzo zagrożona poczuła się ludność polska, a jej niepokój wcale nie rozwiązał się tak szybko:

„W rozmowach indywidualnych pytają się, czy myśmy przyjechali po to tylko, by zlikwidować bandy ukraińskie i przesiedlić ludność ukraińską i mieszaną, czy również po to, by tworzyć i utrwalać demokrację na tych terenach<sup>69</sup>”.

Przestrach perspektywą „utrwalania demokracji” wyraził się w pogłoskach o odbieraniu prywatnych sklepów; wysiedlaniu Polaków, którzy ujawnili się lub zostali zwolnieni z więzień w wyniku amnestii; a także w przekonaniu, iż z pozostawionych

---

68. CAW GZPW IV.112.243 „Meldunek nr 13 na podstawie raportu sprawozdawczego za okres 11-31. V. 1947 r.”, k. 39.

69. CAW IV.310.03.128 „Sprawozdanie z pracy politycznej i wychowawczej za okres 8-18. VI. 1947 r.”, k. 255.

przez Ukraińców gospodarstw będą utworzone kołchozy zatrudniające przymusowo byłych AK-owców i członków innych organizacji opozycyjnych (niektórzy nawet „widzieli” samochody pełne komunistów przybyłych dla wprowadzenia w życie tej koncepcji). Plotki okazały się nieprawdziwe, ale są one symptomatycznym przejawem wyjątkowo niskiego zaufania do nowych władz. Ponieważ w niektórych okolicach wybuchła wręcz panika, Wydział Polityczno-Wychowawczy GO „Wisła” poczuł się zmuszony do wystosowania uspokajającej odezwy. Została ona wydana w imieniu wojewody rzeszowskiego i zapewniała, że „nikt z ludności polskiej (...) nie zostanie przesiedlony”<sup>70</sup>.

Mimo przekonania, że uda się utrzymać całą rzecz w tajemnicy, nie uniknięto przecieków. W jednym z doniesień zredagowanych jeszcze 27 kwietnia znajdujemy stwierdzenie:

„Na teren powiatu gorlickiego w ostatnich 2-3 dniach przybywa w dużej ilości ludność ukraińska z powiatu sanockiego i leskiego przechodząc lasami tuż przy granicy czeskiej”<sup>71</sup>.

Również jeszcze przed akcją zdarzały się interwencje osób, z których część w ogóle nie została umieszczona na listach, ale najwidoczniej sam fakt powstawania takowych był im znany i skłaniał do asekuracji.

Po rozpoczęciu działań „łagodny opór” nasilił się. W licznie napływających podaniach z prośbami o zezwolenie na pozostanie na dotychczasowym miejscu, spotykamy ciągle te same argumenty: powoływano się na zamieszkiwanie w danej miejscowości od dziesiątków lat, pozytywny stosunek do polskości, związan z miejscem pracą, wiekiem czy złym stanem zdrowia. Nadchodziły także petycje zza granicy od organizacji emigrantów lub poszczególnych osób ujmujących się za krewnymi żyjącymi w Polsce. Jednak władze tylko wyjątkowo odpowiadały pozytywnie. Nawet zaangażowanie po stronie „Odrodzonej Polski” (członkostwo PPR, wysokie odznaczenia państwowe otrzymane po wojnie, opisy wyjątkowych zasług i zaświadczenia lojalności sygnowane nierzadko i przez organa BP) okazywało się niewystarczające. Uderzająca jest różnica w nastawieniu obu stron. Wysiedleni przez długi czas nie rozumieli, że akcja z założenia dotyczy ogółu ludności ukraińskiej i decydujące są nie postawy konkretnych osób — co jeszcze miało jakieś znaczenie dla losu rodzin „mieszanych” — lecz po prostu fakt bycia Ukraińcem.

70. CAW GZPW IV.112.290 *Odezwa „Do ogółu ludności woj. rzeszowskiego”*, k. 112.

71. CAW Sztab Gen. IV.111.512 *Sprawozdanie z pow. gorlickiego*, 27. IV. 1947, k. 167.

W konsekwencji ciągle występowano do władz z zamiarem sprostowania — rzeczywistej lub nie — pomyłki.

Gdy próby legalnego uregulowania położenia kończyły się fiaskiem, usiłowano radzić sobie w inny sposób. Wspomniałam już o fałszywych dokumentach — np. bardzo rozwinął się w tym okresie handel metrykami. Jeśli już nie można było liczyć na utrzymanie się na ojcowiznie, często zgłaszano się z kupionymi dowodami polskiego pochodzenia — w charakterze polskich osadników do obejmowania gospodarstw poukraińskich w powiatach nieraz sąsiadujących z zamieszkiwanymi poprzednio. Zdarzały się także przypadki czasowego przesiedlania się na inne obszary. Niektórzy formalnie przepisywali swoje gospodarstwa osobom zaufanym i „bezpiecznym”, rdzennym Polakom, a sami wyjeżdżali z nadzieją na rychły powrót w sprzyjających okolicznościach. Inni zapisywali się do stronnictw „demokratycznych” chcąc zwrócić uwagę na swoją aktywność i prawomyślność polityczną. Rozumowaniu władz w tej konkretnej sprawie nie można odmówić pewnej racji: uznano, iż trudno się spodziewać, aby nawet naprawdę czynni działacze — Ukraińcy mieli po wysiedleniu pobratymców jakiś znaczący wpływ na pozostających czyli ludność polską. O ile z tą częścią wywodu można się zgodzić, to zaskakuje naiwnym optymizmem wyrażone dalej przypuszczenie, że aktywiści będą korzystnie wpływać na środowiska, w których się znajdują. To tak jakby sądzono, iż wysiedlenie niczego nie zmieni w poglądach tych ludzi. A przecież właśnie oni jako ci, którzy wybrali nowy porządek i świadomie ryzykowali najwięcej, należeli zwykle — czemu trudno się dziwić — do najbardziej rozgoryczonych.

Sytuacja zagrożenia, widzianego przez wielu jako niemalże ostateczne, przyczyniła się do degradacji moralnej: zdarzało się, że ludzie chcąc odwrócić uwagę od siebie donosili na swoich sąsiadów, oskarżali się wzajemnie. Czasem Polacy denuncjowali Ukraińców albo i innych Polaków dla zdobycia pewnych korzyści materialnych — np. objęcia gospodarstwa po wyjeżdżających — lub załatwienia dawnych porachunków osobistych.

Kończąc wyliczanie sposobów, do których w desperacji się uciekano, wymieńmy jeszcze ukrywanie się w lasach i symulację chorób. Ta ostatnia metoda okazała się zresztą całkowicie nieskuteczna. Nawet poważne dolegliwości bynajmniej nie zwalniały od wyjazdu: dla chorych niezakaźnie przygotowywano w każdym transporcie wagon sanitarny, a cierpiących na choroby zakaźne przewożono do specjalnych punktów.

Z rzadka pewne kategorie ludności wyróżniano specjalnym traktowaniem. Za przykład niech nam posłuży przypadek Ukraińców mieszkających w powiatach Krasnystaw, Zamość i

Biłgoraj. Dysponujemy pismem ministrów obrony narodowej i bezpieczeństwa publicznego wyjaśniającym wątpliwości powstałe odnośnie wysiedlenia tej grupy, a spowodowane znanym faktem jej lojalności wobec państwa<sup>72</sup>. Z odpowiedzi dowiadujemy się, że w zasadzie wszystkie rodziny ukraińskie z tych powiatów, niezależnie od nastawienia do „Polski Demokratycznej” i przynależności partyjnej ich członków, mają być wysiedlone. Ewentualne zezwolenie wyłączające wymagało akceptacji obu ministrów. Największe szanse na jego uzyskanie mieli pracownicy UB i czynni oficerowie WP. Jednak dla zaznaczenia szczególnie życzliwego nastawienia do tej ludności nakazano jak najstaranniejsze przeprowadzenie całej akcji i czynienie wszelkich możliwych ułatwień. I tak, opuszczenie dotychczasowych siedzib miało nastąpić po żniwach i wykopkach, a rodziny najbardziej zasłużone planowano przewieźć na Śląsk i tam przydzielić im najlepsze działki. Taki był maksymalny zakres ustępstw, do których władze były skłonne w naprawę wyjątkowych wypadkach.

Z dużym niepokojem oczekiwano na wiadomości o reakcjach ludności na przystąpienie do wysiedlenia. Pierwsze doniesienia nie wzmiankowały o żadnych demonstracyjnych wystąpieniach, ale obawiano się, że może do nich dojść w każdej chwili. To, iż ludność nie próbowała stawiać czynnego oporu, przypisywano pozytywnym skutkom oddziaływania propagandowego. Wymownym sukcesem — w odczuciu organizatorów — był fakt spokojnego opuszczania przez ludność wiosek uchodzących za silnie związane z UPA. Wysiłek aparatu polityczno-wychowawczego miał zapewne znaczenie, ale wytłumaczenie nie jest aż tak proste. Brak gwałtowniejszych sprzeciwów, apatia i zewnętrzna obojętność spotykane tak często, że aż typowe, w pewnej części wynikały ze zmęczenia ciągłą niepewnością i utraty nadziei na szybkie unormowanie się sytuacji. Rozmach akcji i wykazywana stanowczość utrwały przekonanie o nieuchronności przenosin. Większość przyjęła je jako konieczność, której trzeba się poddać.

Nastroj rezygnacji i poczucie bezradności musiały być dość powszechne, skoro dostrzegало je dowództwo UPA i wyraziło zwątpienie co do zdolności ogółu ludności ukraińskiej do opiekania się wysiedleniu. Szczególnie hamująco na początku akcji oddziaływała głęboka nieufność i wrogość wobec wojska — wizja masowych aresztowań i terroru sprawiała, że starano się unikać jakiegokolwiek prowokacji. Długo utrzymywał się także strach przed wywózką do ZSSR, przed łagami. Wielu nie wierzyło w wyjazd na Ziemię Odzyskane:

---

72. CAW Sztab Gen. IV.111.513 *Pismo szefów MON i MBP do dowódców OW V i OW VII, 1. VIII. 1947*, k. 768-769.

„Na każdym kroku zapytują się, czy rzeczy, które zabierają ze sobą i dobytek nie będzie im zabrany, czy mogą wszystko ze sobą zabrać i wątpią w to pytając, czy im się te rzeczy przydadzą tam gdzie jadą<sup>73</sup>”.

W raportach wielokrotnie powtarzano z ulgą, że wiadomość o przesiedleniu na Ziemię Zachodnie przyjęto spokojnie i nawet z zadowoleniem. Po przeczytaniu wielu materiałów możemy zaryzykować twierdzenie, że nie oznaczało to radosnej akceptacji samego przesiedlania, lecz nierzadko raczej pewne uspokojenie co do kierunku jazdy.

Wszelkie zachowania odbiegające od normy odnotowywano w meldunkach. Dzięki temu wiemy o barykadowaniu dróg prowadzących do niektórych miejscowości, zapoznajemy się z przejawami — jak to określano — „szowinizmu ukraińskiego”:

„We wsi Berezka Ukraińcy usypali dwie mogiły, z których jedna symbolizowała prześladowania Ukraińców, druga Polskę złożoną do grobu. Były tam (w ówczesnym rejonie odpowiedzialności 11 pp — A.Ch.) liczne wypadki, że ludność odchodząc od wiosek całowała ziemię mówiąc: „Żegnaj ukraińska ziemia<sup>74</sup>”.

„W mieszkaniach i miejscach publicznych są narysowane lub wykonane z drutu kolczastego godła „Trójzub” oraz kopce z zakopanymi kajdanami i godłem Państwa Polskiego (symbol wyzwolenia się z polskich kajdan)<sup>75</sup>”.

Nawet jeśli nie dochodzi do manifestacyjnych zachowań, to doniesienia o pozytywnym nastawieniu ludności do całego przedsięwzięcia są rzadkie. Nie możemy bez weryfikacji zanegować przekazów opisujących entuzjazm ludności ukraińskiej na wieść o wysiedleniu, ale nawet przy uznaniu rzetelności sprawozdawców za pewną zaznaczmy, że raporty takie stanowią wyraźną mniejszość. Przedstawiane często jako świadczące o aprobowaniu akcji „Wisła” przypadki dobrowolnych zgłoszeń osób nie chcących być pominiętymi, stają się zrozumiałe, gdy nieco dalej w tym samym doniesieniu przeczytamy, że większość mieszkańców danej wsi już znajduje się w drodze. Nie sposób przecenić roli jaką w mentalności chłopskiej odgrywało przywiązanie do własnego kawałka ziemi, zagrody, znanego od dzieciństwa krajobrazu. Nie mniej istotna była jednak świadomość przynależności do pewnej wspólnoty, która w wyniku przesiedlenia mogła ulec rozbięciu. W wypadku grup dostrzegających swoją odmienność kulturalną, językową czy wreszcie narodową i jednocześnie

---

73. CAW IV.310.03.128 „Sprawozdanie z pracy politycznej i wychowawczej za okres 8-18.VI.1947r.”, k. 258.

74. CAW GZPW IV.112.243 „Meldunek nr 14 za okres 27.IV.-10.V.1947r.”, k. 44.

75. CAW zespół 3 DP IV.310.03.51 „Meldunek za dzień 20.V.1947”, k. 48.

żyjących w warunkach relatywnie ograniczonej codziennej komunikacji ze światem, wewnętrzna integracja jest szczególnie silna. Ponieważ nie wiadano, że odtworzenie dawnego układu, tzn. osiedlenie się razem z krewnymi, znajomymi, sąsiadami nie będzie możliwe, zdecydowano się na wspólny — wydawało się — wyjazd ze wszystkimi, a nie samotne pozostanie w miejscu niemal opuszczonym lub w otoczeniu Polaków.

Rozchodzenie się wiadomości o akcji na tereny jeszcze nią nie objęte powodowało najczęściej przerwanie wszelkich prac, odmowę płacenia podatków. Choć nikt nie miał pewności co do planów władz, często zakładano, że przesiedlenie w najbliższej przyszłości jest nieuchronne. Przygotowywano zapasy, wyprzedawano dobytek, dochodziło do wypasania bydła na zasiewach i niszczenia maszyn oraz zabudowań przed ich opuszczeniem. Wrażenie robią fragmenty niektórych meldunków wysłanych przez oddziały właśnie przybyłe do jakiejś miejscowości: zdarzało się, iż żołnierze po wejściu spostrzegali od razu, że wszystko zostało już spakowane, a ludność od kilku dni po prostu czeka na swoją kolej.

Przypomnijmy, że instrukcja przewidywała 5 godzin na przygotowania do opuszczenia domów. W pierwszych dniach akcji rzeczywistość upływało ich kilka od momentu, w którym mieszkańcy danej miejscowości dowiadywali się o wysiedleniu, do uformowania ich w kolumnę gotową do wymarszu. Później wiele osób liczyło się z możliwością wyjazdu i częściowo mogło się oswoić z taką ewentualnością. Chociaż 5 godzin to niewiele na zamknięcie etapu życia zdarzało się, że oświadczano ludności, iż muszą jej wystarczyć tylko dwie. Oczywiście, bywały także sytuacje odwrotne. Kiedy — z różnych powodów — przedłużało się dopełnianie formalności, ludność otrzymywała więcej czasu niż przewidywała norma.

Narzucane ograniczenia powodowały, że można było zabrać tylko część dobytku, a pośpiech — że w zdenerwowaniu nie zawsze zabierano to, co później okazywało się najpotrzebniejsze. Najczęściej niedostatek miejsca nie pozwalał na załadowanie większych narzędzi, jakichś mebli, ziarna i ziemniaków. Czasami z konieczności pozostawiano część posiadanych zwierząt. Każda rodzina, niezależnie od liczebności, musiała pomieścić swoje mienie na co najwyżej dwóch wozach. Dodatkowo poszkodowani byli mieszkańcy osad położonych najdalej od stacji kolejowych, którzy musieli rezygnować z wielu rzeczy zabieranych przez innych.

W tej sprawie wizja postulowana szczególnie jaskrawo rozmięła się z praktyką dnia codziennego. Mimo ciągłych nacisków, by pomagać w przewożeniu zapasów i podkreślania, że muszą

to być ilości pozwalające na przeżycie do następnego roku i zasiewy, nie następowała żadna wyraźniejsza poprawa. Jest to tym bardziej niezrozumiałe, że już w pierwszej połowie maja zaczęły napływać z Ziemi Odzyskanych alarmujące wieści o skromnym zaopatrzeniu przesiedleńców. Informowano, że warunki osadnicze nie są łatwe i przybywanie tysięcy osób pozbawionych rezerw spowoduje, że państwo będzie musiało łożyć na ich utrzymanie do zbiorów w 1948 roku. Nawet dla wyjeżdżających w maju było już za późno na zasianie zboża i zebranie plonów jeszcze latem. Natomiast można było sadzić ziemniaki, ale te zazwyczaj zostawały w południowo-wschodniej Polsce. Solenne zapewnienia o dowożeniu ich w nieco późniejszym terminie realizowano w niewielkim stopniu. Chociaż zasadniczą przeszkodę w odsyłaniu ziemniaków stanowiły trudności przewozowe, to jednak problem dawał się rozwiązać, gdy zapasy poukraińskie chciano dostarczyć np. do Polski centralnej dla potrzeb rozlokowanego tam wojska. Także służby kwatermistrzowskie korzystały z tego źródła zaopatrywania jednostek GO „Wisła”. Aby zapobiec marnotrawstwu reszty zapasów angażowano osoby, które w zamian za dostarczenie na stację mogły zabrać dla siebie część przewiezioną ilość. Ukazało się nawet stosowne zarządzenie ustalające poziom wynagrodzenia na 40%. W ten sposób usankcjonowano rozporządzanie cudzą własnością bez wiedzy, a tym bardziej zgody prawowitych właścicieli.

Mienie trwałe miało być zabezpieczone przy udziale WP i przekazywane lokalnym władzom, Komitetem Osiedleńczym, Samopomocy Chłopskiej itp. Zgodnie z ustaleniami wojsko i przedstawiciele miejscowych czynników oficjalnych mieli jednocześnie przystępować do działania, ale administrację nie zawsze zawiadamiano o terminach akcji w poszczególnych wioskach. Zaskoczeni urzędnicy nieraz przybywali już po zakończeniu przesiedlenia. Miało to znaczenie przede wszystkim w miejscowościach, w których pozostawała część ludności. Przemocna chęć wzbogacenia się cudzym kosztem sprawiała, że z reguły natychmiast po odejściu wojska wraz z wysiedlonymi, ludność przystępowała do ogoławania ze wszystkiego zwolnionych gospodarstw. Przybywające z opóźnieniem grupy inwentaryzacyjne nie bardzo miały co spisywać. Tam, gdzie wysiedlano wszystkich łatwiej było zapobiec podobnym wydarzeniom. Inwentarz martwy przekazywano protokolarnie pod opiekę odnośnego zarządu gminnego, którego delegat zwykle był obecny przy spisie.

Doniesień o samowolnym dysponowaniu majątkiem po wysiedlonych jest wiele. Liczne były wypadki rozdzielania mienia między ludność polską oraz dowódców oddziałów operujących w terenie. Praktyki takie napiętnowano i ostrzegano przed przekra-

czaniem kompetencji, ale nie doprowadzano do ich całkowitej eliminacji. Niejednokrotnie podziału dokonywały władze cywilne, traktując to jako „jedyną formę zachowania pozostałości tego inwentarza i zabezpieczenia go przed dewastacją i rozkradaniem<sup>76</sup>”. Przejęty sprzęt wykorzystywano w różny sposób: wypożyczano miejscowym rolnikom na czas prac polowych, powierzano im na przechowanie z prawem użytkowania, składowano w magazynach z przeznaczeniem na pomoc przyszłym osadnikom.

Dotarcie z miejscowości wysiedlanej do pułkowego punktu zbornego zajmowało do kilkunastu godzin. Ponieważ plany nie zostały należycie skoordynowane, często dochodziło — głównie w początkach akcji — do przeładowywania punktów. Gromadzono na nich więcej osób niż można było przewieźć transportem wojskowym i własnym przesiedleńców w ciągu kilku dni. Punkty nabrały charakteru dużych obozów przejściowych, w których przebywali stłoczeni, nierzadko głodni i wystawieni na deszcz i zimno ludzie. Dowódców najbardziej niepokoił fakt pogarszania się warunków bezpieczeństwa; nieliczni żołnierze nie byli w stanie skutecznie zapobiegać ucieczkom. Wyciągając wnioski sformułowano postulat takiej regulacji „strumienia przepływu”, aby pobyt nie przedłużał się ponad 1-2, a maksymalnie i zupełnie wyjątkowo, 3 dni. Dziennie 200-250 osób miało opuszczać punkt zborny w celu udania się na stację załadowniczą. Na tym etapie podróży też wystąpiły trudności organizacyjne zakłócające sprawną przebieg operacji. Do przewozu żywności i dobytku usiłowano wykorzystać tabor konny przesiedlanych. Jednak przy większej niż 25 km odległości do stacji kolejowej (taką wyznaczono dopuszczalną granicę), okazywał się on zbyt czasochłonny. Na przykład punkty związane planem ze stacją Werbkowice leżały o 50-70 km od niej. Obliczono, że każdy wyekspediowany wóz mógł powrócić dopiero po trzech dniach. Samochody pokonywały powyższą trasę dwa razy w ciągu doby, ale było ich zbyt mało. W tej sytuacji używano samochodów przede wszystkim do przewożenia kobiet z małymi dziećmi, starszych oraz ciężkiego sprzętu. Jeśli decydowano się na transport całych rodzin (z mniej obciążonych punktów), to na każdy samochód przypadały dwie rodziny wraz z rzeczami. Przydzieleni dwaj żołnierze eskorty zapewniali ochronę, pomagali w załadunku i wyładunku mienia. Liczebność konwoju kolumn pieszych ustalono w zależności od ich wielkości i stopnia zagrożenia drogi. Wspomnijmy tu o wypadkach niszczenia torów kolejowych, wysadzania mostów i rozpedzania ludności z

---

76. AAN MAP 780 *Pismo wojewody rzeszowskiego*, 23. VII. 1947, k. 7.



transportów przez oddziały UPA.

Liczne nieprawidłowości dało się zauważyć bardzo szybko:

„Stwierdzone zostało, iż kolumny idą w dużym nieładzie, rozciągnięte na wiele kilometrów, zdarzają się wyłamania się przesiedlanych z kolumny, handlowanie bydłem itd. Dowódcy kolumn muszą być odpowiednio pouczeni o swych obowiązkach”<sup>77</sup>.

W rejonach działania niektórych pułków wymagano, aby odległość 30-40 km między punktem zbornym i stacją kolejową przebywać pieszo, bez odpoczynku! Zalecane w instrukcjach tworzenie punktów pośrednich przy tak znacznych dystansach nie zawsze dochodziło do skutku. Jeśli nawet ludność w całości przewożono samochodami, to i tak tworzyły się zatory, gdyż musiała ona czekać po kilka dni na swój dobytek dostarczany furmankami i zwierzęta (zwrócono uwagę, iż przepędzanie bydła więcej niż 10-15 km na dobę grozi — przy powszechnie występujących brakach paszy — znacznym spadkiem pogłowia).

W pierwszej fazie akcji zorganizowano 12 stacji załadowniczych: Łupków, Łukawica (na obszarze operacyjnym KBW); Besko (Rymanów), Komańcza (6 DP); Szczawne-Kulaszne, Pisarowce i Zagórz (7 DP); Załuż i Olszanica (8 DP); Sanok, Przeworsk i Bełzec (9 DP).

Tuż po rozpoczęciu operacji Wydział Polityczno-Wychowawczy GO „Wisła” wysłał grupy inspekcyjne do punktów załadowniczych. Kontrola przyniosła materiały pozwalające na częściowe zorientowanie się w ówczesnej sytuacji.

Jak pamiętamy do zadań PUR-u należało zapewnienie przesiedlanym wyżywienia w czasie ich pobytu na stacji załadowniczej. Określona wyraźnie norma dzienna przypadająca na jedną osobę<sup>78</sup> w zasadzie nigdzie nie była wydawana. Na większości stacji przesiedlani otrzymywali wyżywienie dopiero w chwili znalezienia się w pociągu, z przeznaczeniem „na drogę”. Wynosiło to przykładowo na 1 osobę:

„Na punkcie Olszanica: 1 kg chleba (ostatni transport z 3 maja otrzymał po 2 kg), pół śledzia, 1/8 puszkii konserwy (...) na punkcie Łukawica: dziennie na osobę 25 dkg chleba i 1 śledź na 6 ludzi; na punkcie Komańcza: norma dzienna 1/2 kg chleba, 1/3 śledzia i 1/7 puszkii konserw.

77. CAW IV.310.09.44 *Rozkaz szefa sztabu 9 DP, 30. IV. 1947, k. 46.*

78. Norma ta (w/g tzw. kategorii II) wynosiła: 26,6 dkg chleba; po 5 dkg mąki pszennej, kaszy i mięsa; 50 dkg ziemniaków; 2,5 dkg tłuszczu; 1,6 dkg cukru, 0,3-0,4 dkg herbaty; 1,3 dkg soli; 0,6 dkg mydła, 2-3 zapalki. Za CAW GZPW IV.112.290 „*Sprawozdanie z akcji inspekcyjnej punktów załadowania w czasie od 28. IV. do 3. V. 1947 r.*”, k. 96.

Na pozostałych punktach przesiedlani otrzymują w chwili załadowania do pociągu po 2 kg chleba oraz kilkadziesiąt gramów śledzia lub konserwy. Przed załadowaniem do transportu przesiedleni żywią się we własnym zakresie. Zależnie od zaradności komendanta punktu wyżywienie to jest lepiej lub gorzej zorganizowane (np. na punkcie Kulaszne zorganizowano indywidualny wypiek chleba, na punkcie Olszanica zbiorowe gotowanie zupy)<sup>79</sup>”.

Inspektorzy wysłali alarmujący telegram do centrali PUR-u z apelem o natychmiastowe zwiększenie przydziałów żywności. Zaproponowali też zmiany personalne. W późniejszym okresie położenie poprawiło się, chociaż nie osiągnęło trwale stanu zadowalającego. Niektórym kierownikom udawało się zapewnić z czasem stosunkowo dobre wyżywienie: gorące posiłki, zwiększone racje na podróż, specjalne dodatki dla dzieci. Miewało to duże znaczenie, bowiem często oczekiwanie na wyjazd przedłużało się i braki żywności stawały się coraz bardziej odczuwalne.

Nielepiej przedstawiało się zaopatrzenie w paszę dla bydła. Z konieczności próbowano wypasać zwierzęta na miejscu, część siana dowożono z dalszych okolic. Problem ten najlepiej naświetlają podania pisane przez właścicieli pól i łąk położonych w pobliżu stacji. W wiele miesięcy po zakończeniu akcji usiłowali oni jeszcze uzyskać jakieś odszkodowania za dokonane wówczas szkody.

W sprawozdaniu pokontrolnym omówiono również warunki sanitarne na poszczególnych stacjach. Co prawda wszędzie powstały punkty medyczne zatrudniające lekarzy wojskowych i sanitariuszy PCK, ale brakowało nawet podstawowych lekarstw i materiałów higienicznych. A na niedobór pacjentów nie narzekano: zdarzały się porody, poważne interwencje chirurgiczne, notowano przypadki chorób zakaźnych. Poza tym niektórzy cierpieli na poważne choroby od lat i forsowna podróż połączona z napięciami emocjonalnymi mogła wpływać na pogorszenie się ich stanu zdrowia. W dokumentach znajdujemy informacje o przypadkach zgonów — głównie dzieci i osób starszych — na różnych etapach wysiedlenia. Przyczyny nie są podawane.

Gdzienigdzie wykazywano pewną troskliwość o przesiedlanych. Oprócz rozlokowania wszystkich w namiotach starano się zapewnić lepsze schronienie choćby najbardziej wrażliwym na wszelkie niedogodności. Jeśli wielkość dostaw na to pozwalała, przydzielano rodzinom najuboższym po kilkadziesiąt kilogramów

---

79. CAW Sztab Gen. IV.112.290 „Sprawozdanie z akcji inspekcyjnej punktów załadowania w czasie od 28. IV. do 3. V. 1947r.”, k. 96-97.

zboża, ziemniaków, znikome ilości mydła, świec i innych towarów.

Czasami oczekiwanie na pociąg przedłużało się do kilku, a nawet kilkunastu dni. Nie odgrywał tu większej roli czas załadowania kolejnych partii przesiedleńców, gdyż ten wynosił z reguły parę godzin. Podstawową przeszkodę stanowił brak wagonów i lokomotyw. Skompletowanie składu nie oznaczało końca kłopotów. Zdarzało się, że defekty techniczne wysłużonych maszyn zatrzymywały cały transport gdzieś na trasie na kilka dni. Korki w węzłowych punktach również wydłużały podróż i czyniły ją bardziej uciążliwą. Niektóre pociągi potrzebowały dwóch tygodni na dotarcie do stacji docelowej! Czasem zachodziła konieczność przeadresowania transportu lub jego rozdzielenia. Działo się tak na skutek wyczerpania się chłonności obszaru pierwotnie przewidzianego dla zasiedlenia przez daną grupę.

Jeżeli żadna z powyższych okoliczności nie zaistniała, przejazd i tak trwał stosunkowo długo. Możemy wyliczyć, że np. przedostanie się z Komańczy do Giżycka lub Bytowa zajmowało około tygodnia, do Bartoszczy 9 dni, do Koszalina 6 dni; z Chełma do Koszalina 6 dni, do Kętrzyna lub Szczecinka — 5, do Gryfic lub Słupska — 6; z Przeworska do Bartoszczy 5-6, do Giżycka 3-5, do Lidzbarka 4-6 dni<sup>80</sup>.

W tych realiach tym istotniejsze okazywały się warunki podróży. Zwykle w jednym składzie wysyłano 250-320 osób z dobytkiem. Przy dużym szczęściu można było znaleźć się w dość luźnym transporcie, ale nie spotykało to wszystkich. I tak np. 4 maja odszedł z Sanoka pociąg z 897 osobami (31 wagonów). Ludzi umieszczono częściowo razem ze zwierzętami (co praktykowano często), w nieprawdopodobnym tłoku (w jednym z wagonów ulokowano wyłącznie matki z dziećmi — razem 95 osób!). Dodajmy do tego czujność eskorty i minimalną swobodę ruchu, a uzyskamy przybliżony obraz koszmaru jakim stała się ta podróż.

Do pogarszania nastrojów przyczyniało się czasem rozstanie z bliskimi. Bywało, że ekspediowano część rodziny, podczas gdy pozostali jeszcze nie dotarli na stację załadowczą lub zostali wysłani gdzie indziej. Wypadki takie określano jako niedopuszczalne, ale mimo to nie należały one do rzadkości. W czasie

---

80. CAW Sztab Gen. IV.111.675 „Ilościowy wykaz Ukraińców przesiedlonych wraz z inwentarzem żywym z rejonu Nowy Sącz w okresie 28. VI.-22. VII. 1947 r.,” k. 51-52. CAW Sztab Gen. IV.111.675 „Ilościowy wykaz Ukraińców przesiedlonych z rejonu 'Chełm' w okresie 8-30. VII. 1947 r.,” k. 56. CAW Sztab Gen. IV.111.513 „Ilościowy wykaz Ukraińców przesiedlonych w okresie 29. IV.-1. VII. 1947 r.,” k. 592.

przejazdu, na postojach UB zatrzymywało tych, którzy wydawali się podejrzani. Szczególnie często przesłuchiwanie przeprowadzano w Kędzierzynie i Jaworznie.

Oprócz sygnalizowanych tu skandalicznych zaniedbań występowały i inne nieprawidłowości niepokojące władze: ku ich niezadowoleniu nie wszyscy członkowie oddziałów konwojujących traktowali swe zadanie z należytą powagą i poczuciem odpowiedzialności. W raportach donosi się nawet o dowódcach eskort opuszczających powierzone swej opiece składy. Docierali oni w sposób bardziej komfortowy na miejsce wyładunku i tam witali przybywający transport. Ciągłe pojawiają się także doniesienia o niedbale prowadzonej dokumentacji czy wręcz elementarnej niewiedzy odpowiedzialnych osób np. na temat liczby przewożonych rodzin.

Pierwsza faza akcji trwała do 15 maja. Stała się ona w pewnym stopniu okresem eksperymentalnym, czasem „prób i błędów”. Wtedy to zwłaszcza obserwowano uważnie to, co działo się w terenie w celu skorygowania poczynań niezgodnych z założeniami akcji i intencjami władz. Już wówczas uwidoczniły się wszystkie problemy, o których wspomiano i później, jeśli okazywały się trudne do rozwiązania. Zaletą raportów, notatek służbowych i sprawozdań z tych wstępnych dni jest relatywnie duża szczegółowość i pewna świeżość opisu. Później doniesienia coraz częściej rażą schematyzmem.

Zasadniczą kwestią podnoszoną przez władze była generalna zmiana hierarchii ważności dwóch celów akcji:

„Na podstawie dotychczasowych wyników pracy i doświadczeń zdobytych w terenie stwierdzam, że wszyscy dowódcy jednostek zahipnotyzowali się akcją ewakuacji, a zapomnieli o pierwszym i *głównym zadaniu*, jakim jest walka z bandami UPA<sup>81</sup>”.

W planie działań na drugą fazę zaznaczono, że nie można kierować większości sił do wysiedlania kosztem wyników w zwalczaniu UPA. Rezultaty militarne z początków akcji uznano za znikome. Podkreślano, że przesiedlenie pełni tylko funkcję pomocniczą — utrudnia egzystencję „band”.

Po zgłoszeniu tego podstawowego zastrzeżenia najczęściej przystępowano do szczegółowego omawiania „niedociągnięć”:

„Dowódcy dywizji winni byli opracować szczegółowy plan działania, w którym należało uwzględnić możliwości załadowcze stacji kolejowych, odległości punktów zbornych, transport, przewidzieć prace na dalszym

---

81. CAW Sztab Gen. IV.111.512 „Rozkaz operacyjny nr 004”. 2. V. 1947, k. 185-186.

etapie, a więc kogo pozostawić na miejscu, a kogo wysiedlić. Nie wszyscy dowódcy przemyśleli dokładnie tę sprawę. Ogarnęła wszystkich gorączka gromadzenia ludzi na punktach zbornych i stacjach załadowczych. Wysiedlano z początku na ślepo, bez planu i przewidywań<sup>82</sup>.

Podawano wiele przykładów stwarzania trudności przy zabieraniu dobytku, ograniczenia czasu na przygotowania do wyjazdu, grubiańskiego zachowania wobec przesiedlanych. Sprawcami rabunków, pobić, dewastacji byli żołnierze ze wszystkich jednostek biorących udział w akcji „Wisła”. Wydaje się, że nasilenie nagannych wypadków wystąpiło — przynajmniej początkowo — w rejonie odpowiedzialności 9 DP. Mimo obowiązywania rozkazu o meldowaniu o każdym zdarzeniu niezgodnym z założoną linią wiemy, że fakty takie starano się ukrywać. Zastęgę ujawnienia wielu z nich należy przypisać Wydziałowi Polityczno-Wychowawczemu GO „Wisła”, który zajął się zorganizowaniem szeregu inspekcji na różnych szczeblach organizacji akcji przesiedleńczej. Często owocowały one relacjami przedstawiającymi rzeczywisty — jak możemy przypuszczać — obraz sytuacji.

W ramach przeciwdziałania niepożądanym tendencjom zalecano czujność i wzmożenie pracy propagandowej:

Jeszcze raz pouczyć wszystkich podwładnych oficerów, podoficerów i szeregowców, że przesiedlani są obywatelami polskimi i muszą być należycie traktowani i muszą oni mieć możność zabrania ze sobą wszystkiego, co im jest potrzebne (...) Nie wolno dopuścić do wyprzedawania przez przesiedleńców ich mienia, a zwłaszcza do sprzedaży komukolwiek (tak wojsku, jak prywatnym handlarzom) bydła i środków żywności (...) traktowanie musi być jak najbardziej ludzkie i życzliwe (...) kolumna bez żywności i furazu odejść nie może. Po raz ostatni ostrzegam dowódców pułków i oficerów polityczno-wychowawczych przed bezmyślnym, pośpiesznym wysiedlaniem (bez wyboru i uzasadnienia — aby prędzej i jak najwięcej wysiedlić!) — w razie powtórzenia się takich faktów wyciągnę konsekwencje<sup>83</sup>.

Za mniejsze wykroczenia winni mieli odpowiadać przed tworzonymi Oficerskimi Sądami Honorowymi i Koleżeńskimi Sądami Żołnierskimi. Sprawy poważniejsze polecono kierować do prokuratury.

W przejętych materiałach ukraińskich — ale nie tylko — znajdujemy liczne informacje o tym, że ofiarami brutalności i chciwości żołnierzy padała także ludność polska. Dla zdemoralizowanych nie było świętości — w oficjalnych meldunkach odno-

82. CAW Sztab Gen. IV.111.512 „Rozkaz operacyjny nr 004”, 2. V. 1947, k. 186-187.

83. CAW zespół 9 DP IV.310.09.44 „Rozkaz nr 007”, 11. V. 1947, k. 68.

towano przypadki rabowania cerkwi i profanacji przedmiotów kultu religijnego.

Nic dziwnego, że z terenu nadchodziły wiadomości mówiące o negatywnym stosunku ludności miejscowej do WP. Żołnierze ustawicznie stykali się z niechętnym odrzucaniem wszelkich sugestii dotyczących współpracy. Często mieli nawet trudności z nawiązaniem rozmowy i z uzyskaniem odpowiedzi na neutralne pytania. Rezerwa jeszcze się zwiększała, gdy przedmiotem dociekań stawały się „bandy” — miejsce ich pobytu, skład, ewentualne kryjówki. Potencjalni informatorzy zasłaniali się brakiem orientacji, udawali zaskoczonych. Trzeba było czasu i pozytywnych doświadczeń, by nawet ludność polska przywykła do żołnierzy, oswoiła się z nimi i w efekcie stała się bardziej skłonna do pomocy. Oczywiście pewne przełamanie lodów było możliwe pod warunkiem, że nie zdarzyły się wypadki podobne do wzmiankowanych wyżej. Reakcje ludności były znacznie zróżnicowane, co wynikało z rozmaitych, nie zawsze łatwo czytelnych dla wysiedlających, okoliczności. Oburzeni żołnierze nie mogli pojąć, że nieufność może mieć swe źródła w przekonaniu, że wojsko wkrótce odejdzie, a jacyś partyzanci ukraińscy zawsze pozostaną i na pewno zechcą się mścić. Mimo opieszałości w przystępowaniu do współdziałania sprawozdawcy z satysfakcją zaznaczali, że — przy pozorach obojętności — ludność polska w rzeczywistości solidaryzuje się ze stanowiskiem władz (głównie w odniesieniu do mieszkańców rejonów uważanych za bazy UPA). Spotykano się z poglądem, że jest ono zbyt umiarkowane i niewspółmiernie łagodne w zestawieniu z krzywdami wyrządzonymi przez Ukraińców.

Postawy zdecydowanie wysiedlanym nieprzyjazne możemy umieścić na jednym biegunie dość szerokiej skali. Wyznacznikiem drugiego niech będą protesty Polaków sprzeciwiających się akcji przesiedleńczej:

„Ludność polska żyła się z Ukraińcami. Pozostawiana na miejscu prosi o zwolnienie od ewakuacji mieszkańców i Ukraińców, o których wiadome jest, że pracowali z bandami, a często byli nawet w bandach. Ludność polska w wielu wypadkach żegna z płaczem i szlochaniem odjeżdżające rodziny ukraińskie i mieszane<sup>84</sup>”.

W takich relacjach pojawia się ton zdziwienia niejednokrotnie zabarwionego pewnym wzburzeniem lub niesmakiem. Według autorów jedynie wspólne wspomaganie podziemia mogło tak związać ze sobą obie strony.

---

84. CAW GZPW IV.112.243 „Meldunek nr 14 za okres 27. IV-10. V. 1947 roku”, k. 44.

Czynnik ten mógł oczywiście występować i odgrywać rolę, ale nie wyjaśnia automatycznie każdego przypadku. Stosunek Polaków zamieszkujących obszary objęte akcją „Wisła” do tejże akcji w dużej mierze wynikał z kształtu wzajemnych stosunków w każdej miejscowości. Osobiste przeżycia, pamięć o konkretnych wydarzeniach z przeszłości i codzienna obserwacja zachowań drugiej strony rzutowały na globalną ocenę. Nawet poparcie zasadniczo udzielane władzom w tej sprawie nie musiało stać w sprzeczności ze współczuciem dla sąsiadów i żalem z powodu ich wyjazdu. Ci żyjący obok mogli być postrzegani jako — do jakiegoś przynajmniej stopnia — „swoi”; jednakowo udręczeni i wplątani w wydarzenia dziejące się ponad i poza zwykłymi ludźmi. Strach, poczucie bezsilności, wspólnota w zagrożeniu zbliżają, chociaż trudno powiedzieć jak często zwyciężały wtedy nad podziałami.

Generalnie niekorzystnie — z punktu widzenia władz — ustosunkowywała się do akcji miejscowa inteligencja polska. Większość ludzi reagowała instynktownie, nie obejmowała całej złożoności sytuacji. Dla „kleru i nauczycielstwa” — jak to najczęściej ujmowano — cała sprawa miała szerszy wymiar polityczny i głębszy moralny. Niewykluczone, iż dlatego wciąż powracają napomknienia o „polskiej reakcji”, która wspomaga „bandytów ukraińskich”, stara się ich ratować i wykazuje szczególną niechęć do opowiedzenia się po „właściwej” stronie.

Wracając do problemu wszelkich niedociągnięć i nieprawidłowości musimy stwierdzić, że jest rzeczą niemożliwą określenie ich rzeczywistych rozmiarów. W każdym razie nie odnosi się wrażenia, aby „przypadki maruderstwa” — by posłużyć się cytatem z urzędowego języka — były tylko sporadyczne. Władze zachowały raczej dobre samopoczucie wynikające z przekonania, że przy znacznych rozmiarach działań „pewne tarcie” jest nie do uniknięcia:

„Biorąc pod uwagę charakter dotychczasowej akcji (wysiedlanie), gdzie na każdym kroku żołnierz ma ogromne możliwości robienia nadużyć czy popełniania grabieży, należy stwierdzić, że ilość wykroczeń tego rodzaju jest stosunkowo niewielka<sup>85</sup>”.

W ogólnej ocenie podkreśla się, że „mimo zrozumiałego niechętnego nastawienia do wysiedlanej ludności, która współpracowała ściśle z bandami UPA, wojsko zachowywało się poprawnie<sup>86</sup>”, a „ludność widząc, że wojsko biorące udział w akcji

---

85. CAW GZPW IV.112.243 „Meldunek nr 14 za okres 27. IV-10. V. 1947 roku”, k. 46.

86. CAW Sztab Gen. IV.111.77 *Pismo gen. S. Mossora do szefa kancelarii cywilnej prezydenta RP, 30. IX. 1947*, k. 41.

wysiedleńczej obchodzi się z nią łagodnie i humanitarnie, że spieszy jej z jak najwydatniejszą pomocą, zmieniła swój wrogi stosunek do wojska (...) na stacjach załadowniczych ludność wysiedlana dziękowała wojsku za okazaną jej pomoc i dobre traktowanie<sup>87</sup>”.

W myśl zarządzeń wysiedlani mieli wynieść „jak najlepsze wrażenia z okresu przesiedlenia<sup>88</sup>”, ale nie wydaje się, aby to, co widzieli i czego doznawali dawało im powody do zadowolenia.

Gdy poruszamy kwestię wzajemnych relacji między stronami, nie sposób pominąć stanowiska UPA. Jej dowództwo spodziewało się akcji odwetowej po śmierci gen. K. Świerczewskiego, ale raczej nie przypuszczało, że zapadnie decyzja o całkowitym wysiedleniu. Kiedy jednak taki właśnie zamiar stał się oczywisty, UPA musiała zareagować na nową rzeczywistość. Przede wszystkim próbowano zachować wpływ na ludność i możliwość kierowania jej postępowaniem. Duże znaczenie przywiązywano do osłabiania oddziaływania oficjalnej propagandy. Przekonywano, iż mimo nacisków należy zostać („użyć wszelkich możliwości, jakie tylko będą dostępne w danych okolicach, by jak najwięcej ludności pozostało, chowało się, „manewrowało”, powracało choćby nawet z daleka<sup>89</sup>”), że Polacy nie odważą się na masowe represje, jeśli bojkotujący będą odpowiednio liczni. Obiecywano, że po odejściu wojsk oddziały UPA powrócą i będą pomagać tym, którzy pozostaną.

Z wyjeżdżającymi nakazywano utrzymywać stałą łączność:

„Ustalić z nimi hasła i znaki porozumiewawcze, oraz omówić sposób nawiązania kontaktu — najlepiej, jeśli umieści on (osoba wytypowana na łącznika — A.Ch.) w umówionym czasopiśmie ogłoszenie, że jakoby poszukuje kogoś z rodziny i w ten sposób poda adres, na który będzie można wysłać wiadomości<sup>90</sup>”.

„Ludność cywilna musi zabrać ze sobą jak najlepsze wspomnienie o nas, które z kolei, przy pomyślnych warunkach, winna zaszcześcić w środowisku, w jakim się znajdzie<sup>91</sup>”.

Nie przewidywano podejmowania szerszej walki w celu

---

87. CAW GZPW IV.112.290 *Sprawozdanie z przebiegu akcji w okresie 26. IV-9. V. 1947*, k. 137.

88. CAW GZPW IV.112.290 „Wytyczne pracy polityczno-wychowawczej w jednostkach GO 'Wisła' w II fazie akcji” 9. V. 1947, k. 117.

89. CAW IV.310.09.78 *Instrukcja dla oddziałów UPA z kwietnia 1947 roku* (tłum. z ukraińskiego), k. 151.

90. CAW Sztab Gen. IV.111.644 *Tekst z 29. IV. 1947 roku znaleziony w bunkrze 23. V. 1947 roku* (tłum. z ukraińskiego), k. 12.

91. CAW Sztab Gen. IV.111.644 *Tekst z 29. IV. 1947 roku znaleziony w bunkrze 23. V. 1947 roku* (tłum. z ukraińskiego), k. 10.



utrudniania przesiedleń. Słabość UPA zmuszała ją do ograniczania się do — coraz mniej skutecznej — obrony.

Kiedy uzyskano pewność, że ludność wyjeżdża do północno-zachodniej Polski, UPA zmieniła metody działania stosowane od roku 1944. W latach 1944-46 opuszczone przez Ukraińców wioski często palono, aby nie dopuścić do osadnictwa polskiego na obszarach traktowanych jako swoje. Teraz liczone na zmiany, które umożliwią wysiedlonym powrót i w związku z tym niszczenie zabudowań ograniczono. Przewidując puszczano z dymem wioski najbardziej zagrożone falą osadniczą, korzystnie położone — np. przy drogach. Jeżeli w jakimś rejonie pojawiali się chętni do objęcia gospodarstw poukraińskich, UPA zniechęcała ich nakładając wysokie kontrybucje, zastraszając i paląc obejścia:

„W powiecie tomaszowskim 73% osiedlonych Polaków porzuciło poukraińskie gospodarstwa i wróciło do swoich poprzednich miejsc zamieszkania. Jeszcze gorzej sprawa ta przedstawia się w powiecie hrubieszowskim<sup>92</sup>”.

Polacy, którzy do tej pory żyli wśród Ukraińców, nie chcieli teraz pozostawać sami po ich wysiedleniu lękając się odwetu. Woleli porzucić gospodarstwa i przenosić się w spokojniejsze miejsca. Wojsko otrzymało rozkazy przychylania się do prośb ludności polskiej chcącej wyjechać czy to na Ziemię Odzyskane, czy też do większych skupisk polskich. Od takich rodzin pobierano oświadczenie, że przenoszą się ochotniczo; w miarę możliwości ułatwiano im przewiezienie dobytku. Ponieważ jednak chętni do wyjazdu byli coraz liczniejsi, władze zaniepokoiły się tym zjawiskiem obawiając się zbyt dużego odpływu „elementu polskiego”. Namawiano ludność do pozostawiania. Rozwiązaniem na okres przejściowy miało stać się skupianie Polaków w zwartych wsiach położonych na południowo-wschodniej etnograficznej granicy polskiej, oraz ewentualnie — wzdłuż linii kolejowych, wokół ośrodków naftowych, większych miejscowości. Dla ochrony oddelegowano niewielkie oddziały wojska i KBW, organizowano ORMÓ. Po zakończeniu działań planowano szybkie „odzyskanie terenu” dzięki intensywnemu zasiedlaniu go ludnością polską, głównie z sąsiednich, miejscami odczuwających głód ziemi, województw.

Pamiętamy, że zgodnie ze wstępnymi planami akcja „Wisła” miała zakończyć się w ciągu miesiąca. Nierealność tego postulatu

---

92. CAW GZPW IV.112.243 „Meldunek informacyjny nr 6 na podstawie sprawozdania Zarządu Polityczno-Wychowawczego OW VII za miesiąc sierpień 1947 roku”, 30. IX. 1947, k. 89.

dotarła jednak do świadomości decydentów i doprowadziła do wyrażenia przez nich zgody na przedłużenie czasu trwania operacji do dwóch miesięcy. Gdy stało się jasne, że i ten termin może być zagrożony, na posiedzeniu Biura Politycznego w dniu 8 czerwca zdecydowano, że działania będą kontynuowane aż do całkowitego wysiedlenia ludności ukraińskiej i współpracującej z UPA oraz rozgromienia „faszystowskich band ukraińskich”. Efektem tego postanowienia był m.in. wzrost nastrojów demobilizacyjnych i osłabienie dyscypliny w jednostkach Grupy Operacyjnej.

Przeciąganie się akcji wysiedleńczej wynikało głównie z błędów popełnionych w pierwszych tygodniach działań. Od początku wiedziano, że ludność ukrywa się w obawie przed wysiedleniem i dlatego nakazywano dokładne przeszukiwanie terenu, sprawdzanie każdej miejscowości, gospodarstw stojących pojedynczo poza wsiami, leśniczówek. Polecano zwracać uwagę „na osiedla pozornie niezamieszkałe (spalone), przy których sady i ogrody wykazują jednak ślady świeżych prac wiosennych<sup>93</sup>”. Powtórne pojawienie się w tych samych miejscach miało uniemożliwić pojmanie tych, którzy uspokojeni opuścili kryjówki i tych, którzy zostali wysiedleni, ale zdołali uciec i dotrzeć do swojej wioski. Schwytanych rozkazywano aresztować i przekazywać UB. Patrowanie nie przynosiło jednak rezultatów w wymiarze satysfakcjonującym odpowiedzialnych za „dokładność” przeprowadzania akcji.

Grupą trudną do „rozpracowania” byli — wielokrotnie tu już wspomniani — posiadacze nieprawdziwych dowodów polskości. Jeszcze pod koniec lipca stwierdzano, że:

„Ponieważ rodziny takie będą stanowiły wrogie ośrodki dla nowoorganizującego się życia ludności polskiej (...) jest rzeczą konieczną funkcjonowanie specjalnych komisji kontrolnych, które zajmą się zbadaniem autentyczności przedstawionych dokumentów i zaopiniują podejrzane rodziny do ewentualnego przesiedlenia<sup>94</sup>”.

Nie zapomniano również o osobach, którym odroczone wyjazd. Pozostawały one na miejscu, a coraz to nowe ostateczne terminy przesuwano, gdyż nie znajdowali się następcy na stanowiska w urzędach i fabrykach.

Do skomplikowania sytuacji przyczyniło się samo wojsko. W maju i czerwcu dowództwa pułków wydały tysiące zaświad-

---

93. CAW zespół 9 DP IV.310.09.44 Załącznik nr 1 do rozkazu bojowego nr 002/III na okres od 26.IV.1947 do odwołania, k.24.

94. CAW Sztab Gen. IV.111.511 „Sprawozdanie z działalności GO 'Wista' za okres 20.IV-31.VII.1947r.”, k.73.

czeń uprawniających do pozostania na danym terenie. „Ludność po zaświadczeniu idzie masowo i pobiera je z wielką wiarą, że będą one najważniejszym dokumentem dla każdego, kto je otrzymał<sup>95</sup>”. W rzeczywistości nikt tych zaświadczeń nie honorował i ich okazicieli tak jak innych zmuszano do opuszczenia dotychczasowych siedzib.

Przekonanie, że nie można dopuścić, aby operację wymagającą tak ogromnych kosztów i wysiłku organizacyjnego trzeba było powtarzać, zaowocowało w końcu wydaniem 6 lipca rozkazu podpisanego przez sztab GO „Wisła” i odnoszącego się do całego obszaru operacyjnego. Zarządzono w nim tworzenie wszędzie tam, gdzie akcję zakończono lub gdzie dobiegała ona końca, Grup Kontrolnych. W ich skład wchodziły osoby szczególnie starannie dobrane i sprawdzone. Główne zadanie każdej z takich grup złożonych z dowódcy, jego zastępcy d/s polityczno-wychowawczych, oficera Informacji, funkcjonariusza UB i oddziału wojska w sile 30 szeregowych, polegało na sprawdzeniu, „czy na ich terenie nie pozostały rodziny względnie osoby, które winny być wysiedlone, lub czy nie ma uciekinierów z transportów, którzy powrócili na swe stare miejsca zamieszkania. W razie stwierdzenia takich wypadków, osoby te niezwłocznie wysiedlić i pod konwojem przekazać do najbliższych punktów załadowniczych<sup>96</sup>”. Ponadto grupy te obserwowały przebieg działań, usuwały zauważone niedociągnięcia, współdziałały w organizowaniu i szkoleniu ORMO oraz w zabezpieczeniu mienia.

W rozkazie z 16 lipca zajęto się falą samowolnych powrotów podejmowanych przede wszystkim dla zebrania plonów. Uznano, iż tolerowanie tego typu zachowań umożliwi Ukraincom organizowanie wywiadu, odbudowywanie siatki łączności, a nawet formowanie nowych „band”. Osoby powracające miały być przekazywane UB, które z kolei odsyłały je do obozu w Jaworznie<sup>97</sup>.

Mimo tych wszystkich zabiegów jesienią skonstatowano, że na Lubelszczyźnie pozostało około 2 tys., a na Rzeszowszczyźnie około 5 tys. rodzin do ewentualnego wysiedlenia<sup>98</sup>. Nie jest możliwe sprecyzowanie liczby osób, które — zdaniem władz — powinny zostać wysiedlone, a przebywały nadal w południowo-wschodniej Polsce. Dysponujemy natomiast oficjalnymi danymi

---

95. CAW IV.310.03.128 *Sprawozdanie dekadowe za okres 27. V.-7. VI. 1947*, k. 174.

96. CAW IV.310.09.79 *Rozkaz nr 6, 6. VII. 1947*, k. 205-206.

97. Por.: E. Misilo, *Jaworzno*, „Kontakt” 1990, nr 4.

98. CAW Sztab Gen. IV.111.511 „*Charakterystyka sytuacji politycznej i gospodarczej oraz stanu walki z bandytyzmem na terenie woj. lubelskiego i rzeszowskiego*”, X. 1947, k. 109.

końcowymi odnośnie liczby wysiedlonych. Jednak pomimo pozornej obfitości informacji statystycznych dokładne zorientowanie się w wynikach akcji na poszczególnych terenach nasuwa poważne wątpliwości. Jest to wynikiem niekompletności materiałów i licznych nieścisłości, których nie da się zweryfikować po tylu latach.

Mniej więcej do połowy czerwca akcję zakończono w powiatach Lesko, Sanok, Przemyśl, Jarosław, Lubaczów, Jasło, Krosno, Gorlice (woj. rzeszowskie). Następnie ośrodek ciężkości przemieszczył się na Lubelszczyznę (głównie powiaty Tomaszów Lub. i Hrubieszów) i skrawek woj. krakowskiego (powiaty Nowy Sącz i Nowy Targ). Przesiedlenia przeprowadzono również w powiatach: Rzeszów, Łańcut, Przeworsk (rzeszowskie), a także Włodawa, Chełm, Zamość, Biłgoraj, Krasnystaw, Lubartów i Biała Podlaska (lubelskie). Luki w źródłach często uniemożliwiają ustalenie kolejności następowania po sobie kolejnych etapów. Sprawę gmatwa fakt powracania do rejonów uznanych wcześniej za już pozbawione i „band” i ludności podlegającej wysiedleniu.

W pierwszej fazie akcji odprawiono 150 transportów z około 50 tys. osób. Do końca maja liczby wzrosły do 207 transportów i 68 tys. osób, do trzeciej dekady czerwca do 291 transportów i ponad 94 tys. osób<sup>99</sup>. Akcja nie przebiegała z jednakowym nasileniem. Zachowało się kilka meldunków wysyłanych co 5 dni i donoszących o postępach operacji. Z pomieszczonego w nich wyliczeń wynika, że w ciągu każdych 5 dni wysiedlano od nieco ponad 2,5 tys. do prawie 11,5 tys. osób na całym obszarze objętym w danym momencie działaniami. Te wahania wiązały się m.in. z aktualnym stanem transportu, zmianami w dyslokacji jednostek wojskowych. Ostatecznie, do 31 lipca wyekspediowano ponad 430 pociągów i około 140 tys. osób. Województwo rzeszowskie opuściło około 96 tys. osób, a lubelskie około 45 tys.

Choć oficjalnie oznajmiono, „że raz na zawsze oczyszczono tereny południowo-wschodnie z elementu wrogiego demokratycznej rzeczywistości Polski i ostatecznie usunięto bazę społeczno-gospodarczą, na której mogły się rozwijać faszystowskie bandy UPA<sup>100</sup>”, nie zaprzestano penetrowania terenu. Po roz-

99. CAW Sztab Gen. IV.111.512 „Sprawozdanie z pierwszej fazy działań GO 'Wisła' za okres 24. IV-15. V. 1947 r.”, 16. V. 1947, k. 267, 311, 316. CAW Sztab Gen. IV.111.513 „Sprawozdanie z działalności GO 'Wisła' za okres 28. IV.-21. VI. 1947 r.”, 21. VI. 1947, k. 530. CAW GZPW IV.112.290 *Raport sprawozdawczy za okres 11-31. V. 1947 r.*, 1. VI. 1947, k. 178.

100. CAW IV.310.09.79 *Rozkaz operacyjny nr 0011, 22. VII. 1947*, k. 263.

wiązaniu z dniem 31 lipca 1947 roku Grupy Operacyjnej „Wisła”, troskę o sfinalizowanie problemu pozostałych Ukraińców i istniejących jeszcze 22% „band” ukraińskich (jak to skrupulatnie i z zastanawiającą pewnością obliczono) powierzono dowództwom Okręgów Wojskowych V i VII. Na miejscu GO „Wisła” pojawiły się małe grupy operacyjne wyłaniane z pułków stale stacjonujących w tym regionie kraju. I tak np. w sierpniu 1947 roku w powiatach Tomaszów Lub. i Hrubieszów funkcjonowały liczące ponad 2 tys. żołnierzy oddziały specjalne, z których część walczyła z UPA, a reszta ochraniała akcję żniwną, zabezpieczała wsie przed paleniem i wspomagała osadników polskich.

Mimo podjętych działań stan bezpieczeństwa w południowo-wschodniej Polsce pogorszył się. Przyczyny niepowodzeń szukano w porażkach odnoszonych w starciach z UPA (co wynikało z nieudolności organizacyjnej i defensywnej postawy wojska) i ciągle jeszcze w pozostawaniu na miejscu ludności ukraińskiej. Rozkazano więc, aby „szefowie WUBP — Lublin i Rzeszów (...) przejrzeni i zaopiniowali listy pracowników administracji w celu usunięcia Ukraińców i wszystkich podejrzanych i sympatyzujących z podziemiem<sup>101</sup>”.

Przesiedlenie trwało do października 1947 roku, a pojedyncze osoby wyjeżdżały na Ziemie Odzyskane jeszcze w styczniu 1948 roku. Ostatnim akordem akcji „Wisła” stało się wysiedlenie 32 rodzin z powiatu Nowy Targ między styczniem a kwietniem 1950 roku.

### ROZDZIAŁ III

#### ROZMIESZCZENIE LUDNOŚCI UKRAIŃSKIEJ NA ZIEMIACH ZACHODNICH I PÓŁNOCNYCH

Przed przystąpieniem do działań niezbędne stało się przygotowanie na Ziemach Odzyskanych do przyjęcia nowej fali osadniczej. Krótki czas między podjęciem decyzji o przystąpieniu do akcji i nadejściem pierwszych transportów wykorzystano na opracowanie planów. Z konieczności ograniczono się w nich do wytyczenia zasadniczego kierunku, szczególnie powierzając trosce władz terenowych.

„Plan ewakuacyjny” Ministerstwa Ziem Odzyskanych (MZO) z 18 kwietnia 1947 roku przewidywał rozmieszczenie nowych osadników w dwóch województwach: szczecińskim i

---

101. CAW Sztab Gen. IV.111.439 Rozkaz nr 00396, 30. IX. 1947, k. 46.

olsztyńskim. Do pierwszego z nich zamierzano skierować 9,5 tys. rodzin z rejonu sanockiego, do drugiego 6,5 tys. z pozostałych obszarów Rzeszowszczyzny i z woj. lubelskiego<sup>102</sup>.

Plan transportów sporządzony w Zarządzie Centralnym PUR-u, zakładający przewiezienie prawie 23 tys. rodzin, okazał się być bliższym faktycznych potrzeb. Konsekwencją przyjętego założenia było podwyższenie normy: dla województwa szczecińskiego do 11,5 tys., a dla olsztyńskiego do 11,2 tys. rodzin<sup>103</sup>.

Po kilku tygodniach zorientowano się, iż śrubowanie norm nie wystarczy i że rozszerzenie terytorium osadniczego przeznaczonego dla przybyszów z Polski południowo-wschodniej jest nieuniknione. Urząd Wojewódzki w Gdańsku wyraził gotowość osiedlenia łącznie 1 tys. rodzin w powiatach łęborskim, malborskim, gdańskim i elbląskim. W dniu 23 maja rozpoczęły również pracę dwa dodatkowe punkty rozdzielcze w Poznaniu i Wrocławiu obejmujące swoim zasięgiem Ziemię Lubuską i Śląsk.

Nie zlikwidowało to bynajmniej narastających z biegiem czasu trudności z wyszukiwaniem odpowiednich miejsc do osiedlenia. Mimo to władze wyższych szczebli, pozbawione należytego rozeznania w sytuacji panującej w poszczególnych regionach, nadsyłały coraz to uaktualnione rozdzielniki licząc na pomysłowość i zdolności organizacyjne lokalnych funkcjonariuszy. Jednak władze powiatowe czy wojewódzkie nie zawsze były w stanie — nawet wbrew najlepszym chęciom — spełnić oczekiwania zwierzchników. Na przykład fakt ustalenia pismem MZO z 3 czerwca 1947 roku chłonności woj. wrocławskiego na 4,5 tys. rodzin dowodził tylko niekompetencji urzędników ministerstwa<sup>104</sup>. Śląsk od dawna przyciągał perspektywicznie lepszymi warunkami życia i w 1947 roku osiągnął relatywnie znaczną gęstość zaludnienia. Dla 1,5 tys. rodzin zabrakło miejsca i zostały one odesłane do innych województw.

Z całościowych badań przeprowadzonych przez MZO na początku 1946 wynikało, że zachowane w dobrym stanie małe i średnie gospodarstwa zostały już w większości rozdysponowane (część zarezerwowano dla repatriantów z ZSSR). Chociaż obliczono, że w momencie rozpoczęcia akcji „Wisła” woj. olsztyńskie posiadało około 14 tys. wolnych gospodarstw indywidualnych, a szczecińskie prawie 12 tys. (poza powiatami pogranicznymi), to jednak większość ich była zniszczona w co najmniej

---

102. CAW zespół 3 DP IV.310.03.68 *Pismo dyrektora wojewódzkiego oddziału PUR-u w Lublinie do naczelników oddziałów powiatowych*, 26.IV.1947, k. 32-33.

103. M. Winnicki, *Osadnictwo ludności ukraińskiej w województwie olsztyńskim*, Olsztyn 1965, s. 9.

104. AAN MZO *Sprawozdanie pokontrolne*, 26.IX.1947, k. 19.

25 %, a niemal każde wymagało remontu przed zimą. Poważne zniszczenia wojenne można było likwidować jedynie stopniowo i przy zaangażowaniu okazałych środków finansowych. Potencjalna chłonność ziem przyłączonych oczywiście wciąż była duża. W maju 1947 roku ludność polska liczyła tu dopiero około 5 mln osób<sup>105</sup>. Wiadomo było, że postępy odbudowy i nowe inwestycje stworzą możliwości osadnicze, ale wstępny impet został zahamowany i w marcu 1946 roku postanowiono zawiesić na czas przejściowy osadnictwo pojedynczych rodzin przyjeżdżających „z centrali”. Po upływie kilku miesięcy cofnięto wydany zakaz, lecz postawiono ochotnikom szereg wymogów, których spełnienie miało dać gwarancję, iż zdołają się oni zagospodarować w niełatwych warunkach. W specjalnym zarządzeniu MZO nakazywało sprawdzać, czy w każdej rodzinie znajdują się chociaż dwie osoby zdolne do pracy, czy dysponuje ona wystarczającym inwentarzem i czy poradzi sobie bez pomocy państwa.

Cechą charakterystyczną struktury rolnej Ziemi Odzyskanych były pozostałości wielkiej własności ziemskiej. Na przykład na Dolnym Śląsku majątki powyżej 100 ha zajmowały w 1939 roku 45 % powierzchni użytków rolnych. Trudności w obejmowaniu folwarków i włączaniu ich w kształtujący się ustrój rolny były dwójakiego rodzaju. Po pierwsze, proces przejmowania majątków przez utworzone wiosną 1946 roku Państwowe Nieruchomości Ziemskie (PNZ) jeszcze nie dobiegł końca i wiele spośród nich pozostawało w 1947 roku w użytkowaniu Armii Czerwonej, Wojska Polskiego, UB, KBW, samorządów, partii politycznych, kościołów, opieki społecznej i innych instytucji. Po drugie, nawet przejście folwarku przez PNZ i jego wstępne zagospodarowanie nie czyniło go nazbyt atrakcyjnym terenem osadniczym. O ile ziemi było pod dostatkiem i wydzielenie ustawowych 7-15 ha nie stanowiło — przynajmniej teoretycznie — problemu, to odczuwano wyraźny brak zabudowań mieszkalnych i gospodarczych. Szansę na zmianę tego stanu rzeczy dostrzeżono w idei osadnictwa spółdzielczo-parcelacyjnego: grupom chętnym proponowano kilkuletnie wspólne gospodarowanie, a po wybudowaniu dostatecznej ilości domów i obejść podział ziemi między członków spółdzielni. Ku rozczarowaniu pomysłodawców (Rady Naukowej dla Zagadnień Ziemi Odzyskanych przy MZO) i zajmującej się tym zagadnieniem Rady Społecznej Osadnictwa Spółdzielczo-Parcelacyjnego, koncepcja ta nie przyjęła się powszechnie. O fiasku przedsięwzięcia zdecydowały tak silne wśród polskiego chłopstwa po wojnie obawy przed kolektywizacją<sup>106</sup>.

105. AAN MZO 793 „Notatka służbowa dla ob. Cyrankiewicza”, k. 18-19.

106. Por.: P. Dziurzyński, *Osadnictwo rolne na Ziemach Odzyskanych*. Warszawa 1983.

Zarysowana tu sytuacja poważnie wpływała na rozmieszczenie i położenie materialne przesiedleńców z akcji „W”. Kiedy zauważono, że liczba gospodarstw indywidualnych nadających się do natychmiastowego objęcia jest mniejsza od zapotrzebowania, postanowiono zaakceptować osiedlanie przybywających na majątkach przydzielonych zespołom parcelacyjnym, a niezasiedlonym przez nie całkowicie. Ponadto wytypowano majątki 100-200 ha, do tej pory zupełnie wolne, i zezwolono na zajmowanie ich przez grupy złożone z samych przesiedleńców. Podkreślano, iż dopuszcza się takie rozwiązanie w ostateczności i nakazywano jak najrychlejsze dosiedlanie osadników polskich do takich grup<sup>107</sup>.

Uzyskanie przydziału na gospodarstwo indywidualne umożliwiało pracę na wydzielonym kawałku ziemi i mimo wszelkich niedogodności, które się pojawiały, była to ewentualność najkorzystniejsza dla nowych osadników. Prawdopodobieństwo przyznania obejścia wraz z gruntem zależało nie tylko od proporcji samodzielnych gospodarstw do majątków na danym terenie, lecz również od kondycji materialnej przybyszów. Posiadacze większego inwentarza mieli obejmować właśnie gospodarstwa indywidualne, uboższych z reguły umieszczano na majątkach parcelacyjnych, a najuboższych często w charakterze robotników rolnych na majątkach zarządzanych przez PNZ. Ostatecznie np. w woj. szczecińskim większość rodzin ulokowano na gospodarstwach indywidualnych i dosiedlono do grup parcelacyjnych, a do majątków PNZ wysłano nieco ponad 7% ogólnej liczby rodzin. W woj. olsztyńskim 62% osiedlonych zajęło pojedyncze gospodarstwa, 25% umieszczono na majątkach parcelacyjnych, 8% jako ordynariuszy, 5% w miastach<sup>108</sup>.

Skutki wojny, ilość wolnych gospodarstw, specyficzna struktura rolnictwa Ziemi Odzyskanych jawiły się jako elementy dane i chwilowo niezmiennie. Gdyby tylko one musiały być uwzględniane, osadnicy z akcji „Wisła” nie znaleźliby się w tak pożałowania godnym położeniu. Jednak obok obiektywnych uwarunkowań swobodę działań ograniczały wytyczne władz dążących do likwidacji „kwestii ukraińskiej”. W celu szybkiej asymilacji i dla zapobieżenia powstawaniu zbiorowisk mogących stać się ośrodkami buntu i oporu, postanowiono izolować i rozproszyć przybyłą ludność. Zarządzenie Departamentu Osiedleńczego MZO z 27 czerwca 1947 roku zakazywało osiedlania omawianej tu kate-

---

107. AAN MZO 784 „Instrukcja Urzędu Wojewódzkiego w Szczecinie”, 16. VII. 1947, k. 216.

108. AAN MZO 1032 „Sprawozdanie z operacji 'Wisła' na terenie woj. olsztyńskiego”, k. 94.



gorii przesiedleńców w pasach: 50 km od granic lądowych państwa, 10 km od starych granic z 1939 roku i po 30 km od granicy morskiej i miast wojewódzkich. Dyspozycje z 31 lipca 1947 roku (nb., dnia rozwiązania Grupy Operacyjnej „Wisła” i zakończenia masowych przemieszczeń!) polecały umieszczać osadników z transportów o opinii ujemnej w liczbie nie większej niż jedna rodzina z każdego transportu do jednej gromady. Rodziny z transportów o opinii dodatniej mogły być osiedlane tylko w ilości kilku rodzin, przy czym osadnicy ci nie powinni przekroczyć 10% ludności danej gromady. Poziom 10% miał być również utrzymywany w majątkach PNZ zasiedlonych częściowo przez ludność ukraińską i polsko-ukraińską<sup>109</sup>.

Wkrótce stało się jasne, że pole odstępstw od zasad rozszerza się w sposób niekontrolowany, doprowadzając do zupełnego lekceważenia reguł. Dysonans między wyłożonymi zasadami i ich realizacją był uderzający i — wydaje się — uznawany za nieuchronny przez większość hierarchii urzędniczej poniżej szczebla ministerialnego. Obraz „sytuacji w terenie” wytworzony w centrach decyzyjnych rozmiął się więc z rzeczywistością.

Dotarcie do Olsztyna, Szczecinka, Poznania lub Wrocławia oznaczało koniec zasadniczego etapu podróży. Na każdej ze stacji rozdzielczych organizowano pomoc sanitarną oraz żywnościową. Tu również decydowano, na który punkt rozładowania ma się udać dana partia przesiedleńców. Jeśli przybyła ona z dobrą opinią kierowano ją do powiatów posiadających dużą ilość wolnych miejsc. Nad tą sprawą czuwał kierownik punktu rozdzielczego prowadzący ścisłą ewidencję chłonności poszczególnych regionów. W wypadku jej wyczerpania się, kierownik wykreślał dany powiat ze spisu i zaprzestawał wysyłania do niego dalszych transportów. Ten, przecież niezbyt zawity, system nie zawsze funkcjonował bez zakłóceń. Zdarzało się, że wysłana grupa wracała po paru dniach i od nowa przystępowano do poszukiwania stosownego dla niej miejsca pobytu. Jeśliby powstały jakiegokolwiek wątpliwości, rozstrzygający głos należał do delegata MZO. W razie wywołania jakichś niepokojów przez ludność miał on także prawo nakazać interwencję specjalnemu oddziałowi wojskowemu w sile 50 żołnierzy zabezpieczającemu każdy punkt rozdzielczy. O połowę mniejsze oddziały, spełniające te same funkcje wartownicze i porządkowe, przydzielano do stacji rozładowania. Okazje do działania raczej się jednak nie nadarzały, gdyż ludność zachowywała się spokojnie i nie próbowała stawiać oporu.

---

109. AAN MZO 784 *Pismo ministra Ziem Odzyskanych*, 10. XI. 1947, k. 8.

Tempo akcji, ilość wysyłanych transportów ustalano bez konsultacji z władzami na Ziemiach Odzyskanych. Choć niejednokrotnie zwracano uwagę, że zbytne nagromadzenie transportów utrudnia sprawne regulowanie wszystkich kwestii związanych z osiedlaniem, zamiast 6 transportów dziennie, na stacji rozdzielczej pojawiało się ich np. 18. Czasami następowało to bez żadnego uprzedzenia.

W podsumowującej notatce czytamy, że „współdziałanie Departamentu Osiedleńczego MZO w wykonaniu akcji „Wisła” zdecydowano w sposób nagły<sup>110</sup>”. Wprawdzie wysłano z departamentu upoważnionych urzędników do obu północnych województw w celu odpowiedniego poinstruowania niższego aparatu, ale ponieważ konkretne grafiki nie zostały dostarczone, podjęte wkrótce działania cechowała chaotyczność. Przed akcją zorganizowano szereg odpraw z udziałem starostw powiatowych, przedstawicieli PUR-u, władz bezpieczeństwa i MO, na których informowano o spodziewanym przyptywie osadników i podejmowano decyzje o ich rozlokowaniu. Wójtów zobowiązano do sporządzenia wykazów chłonności zawierających opisy wolnych gospodarstw — ich stanu, położenia, wielkości. Miały one posłużyć do opracowania schematów osiedleńczych. Nie wszędzie te zalecenia potraktowano odpowiednio poważnie. Bywało, że administracja lokalna nie respektowała zarządzeń i ignorowała wszelkie ponaglenia. Czasami wojewodowie w ogóle nie przekazywali otrzymywanych poleceń podległym sobie urządcom niższej instancji. Inspektor zapoznający się z sytuacją w woj. wrocławskim pisał:

„Stwierdziłem, że akcja „Wisła” w Wydziale Osiedleńczym nie jest dostatecznie rozpracowana, ani też doceniana — jest to spośród wielu akcji jeszcze jedna akcja traktowana po macoszemu<sup>111</sup>”.

Ocenę tę można by odnieść i do wielu innych regionów. Efektem niedopatrzeń, nieznanomości obowiązujących zasad było porzucanie się i tak złego położenia przesiedleńców.

Ludność przybyła na punkt rozładowania musiała przez kilka dni czekać na przewiezienie do miejsca osiedlenia. Z jednej strony wynikało to z przybywania 2-3 pociągów dziennie na niewielkie przecież stacje, z drugiej było spowodowane trudnościami w zapewnieniu podwód w okresie intensywnych prac polowych. Do rzadkości należało rozesłanie przesiedleńców ze stacji kolejowej w ciągu jednego dnia. Przeważnie wymagało to

---

110. AAN MZO 1032 *Notatka służbowa*, 28. VII. 1948, k. 62.

111. AAN MZO 788 *Sprawozdanie pokontrolne*, 26. IX. 1947, k. 21.

dwóch, a nawet trzech dni, (sporadycznie przedłużało się do tygodnia)<sup>112</sup>.

Napływ przesiedleńców na Ziemię Zachodnie i Północne nie był stały i stosunkowo równomierny. Po okresach kilku czy kilkunastodniowych przestojów następowały gorączkowe tygodnie. Dla ilustracji przyjrzyjmy się bliżej przebiegowi operacji w woj. olsztyńskim. Ludność z Polski południowo-wschodniej wysłano w olsztyńskie w trzech falach: w pierwszej, trwającej niemal przez cały maj, nadeszło 50 pociągów z 23 tys. osób, które rozmieszczono na terenie 9 powiatów; następnie przez pierwsze 20 dni czerwca rozprowadzono prawie 15 tys. osób z 38 transportów na obszarze już poszerzonym o trzy powiaty. Po niedługiej przerwie, w ciągu trzech tygodni nadeszło 41 składów z 13 tys. osób. Z bazy osadniczej wyłączono wówczas dwa powiaty o wyczerpanej chłonności, a rozszerzono ją o cztery dotychczas nie wykorzystywane. W założeniach akcją planowano objąć 12 powiatów. Faktycznie osiedlanie przeprowadzono we wszystkich, utrzymując tylko w mocy zakaz meldowania Ukraińców w samym Olsztynie. Zaznaczymy przy okazji, że gdy w początkowej fazie 88 % przybywających osiedlono na gospodarstwach indywidualnych, to w trzeciej 75 % umieszczono na majątkach parcelacyjnych<sup>113</sup>. Zbliżony scenariusz obowiązywał w pozostałych województwach<sup>114</sup>.

Sposób rozmieszczenia ludności najczęściej nie zgadzał się ze wstępnymi założeniami. Jak pamiętamy, listy przesiedleńców miały zawierać informacje na temat przynależności każdej z rodzin do jednej z trzech kategorii, dzięki czemu władze osiedleńcze orientowały się, jaki „element” przyjmują na swój teren. W praktyce ten problem okazał się jednym z najbardziej złożonych. Przyznawano, iż klasyfikacja często jest dokonywana „bez możliwości gruntowniejszego zbadania”<sup>115</sup>. Nierzadko ani funkcjonariusze UB, ani wojskowi nie potrafili zaseregować ludności do stosownej grupy. Czasem nie przywiązywano wagi do tej sprawy. Niektóre transporty zaliczano całościowo do jednej kategorii, w innych występowały wszystkie oznaczenia, w jeszcze innych na marginesach list wypisywano uwagi: „nieszkodliwy”, „podejrzany”, „Ukraińiec” itp. W kilku transportach z pierwszej

---

112. AAN MZO 787 „Sprawozdanie z przebiegu akcji 'Wisła' na terenie woj. szczecińskiego”, 27. IX. 1947, k. 64

113. CAW Sztab Gen. IV.111.513 Pismo Urzędu Wojewódzkiego w Olsztynie do dowódcy GO 'Wisła', 18. VII. 1947, k. 743-746.

114. AAN MZO 787 „Sprawozdanie z przebiegu akcji 'Wisła' na terenie woj. szczecińskiego”, 27. IX. 1947, k. 63.

115. CAW GZPW IV.112.290 „Sprawozdanie z akcji inspekcyjnej punktów załadowania w okresie od 28. IV do 3. V. 1947 r.”, k. 95.

fazy przesiedleń kategorię „A” otrzymali ludzie pewni, zaś „C” uznani za niebezpiecznych. Nawet jeżeli początkowo wszystko wydawało się być w jak najlepszym porządku, to przy bliższej analizie nasuwały się wątpliwości. Znowu zgłaszały się osoby przedstawiające dokumenty potwierdzające ich prawomyślność, prezentujące medale czy legitymacje PPR-u, a pomimo to nie należące do grupy „A” lub „B”. Wtedy decydowało subiektywne odczucie urzędników, jeśli oczywiście mieli oni czas i ochotę na zastanawianie się nad tym zagadnieniem. Nie zajmujemy się w tym miejscu moralnym prawem kogokolwiek do oceny innych na tak wątpliwych podstawach jak donosy czy przypuszczenia, ale przypadkowość w nadawaniu kategorii jest chyba bezdyskusyjna. Niestety, wpływała ona na dalszy los przesiedleńców.

Rodziny z kategorią „A” lub „B” polecono osiedlać po jednej na wieś (folwark) obawiając się, że większe ich skupienie negatywnie wpłynie na miejscową ludność. Dopiero wobec kurczenia się wolnego obszaru osadniczego, przy wciąż niesłabnącym napływie z południowo-wschodniej części kraju, zezwolono na dosiedlanie do jednej z takich rodzin najwyżej paru zaliczonych do klasy „C”. Rodziny te musiały pochodzić z różnych regionów i nie znać się wcześniej ze sobą.

Zazwyczaj rozlokowaniem przydzielonych do danego powiatu rodzin zajmowali się wójtowie. Częstość niemal wcale nie nadzorowano ich poczynań, nie sprawdzano w jakim stopniu są im znane reguły rozmieszczania i czy w ogóle mogą je zastosować na swoim terenie.

Normy ilościowe, jakościowe i terytorialne były bowiem nagminnie łamane. Kolejne partie przesiedleńców starano się — w miarę możliwości — rozdzielić równomiernie między wszystkie powiaty i gromady, nie zważając już na „czynnik polityczny”. Gdziekolwiek uważano nawet takie postępowanie za najwłaściwsze dowodząc, iż jak najrzadsze rozproszenie bardzo utrudni utrzymywanie dawnych kontaktów i nawiązywanie nowych znajomości. Zdarzało się, że na stacjach usiłowano nie dopuszczać do stykania się ze sobą osób z kolejnych transportów.

Rzadko dochodziło do takiego zbiegu okoliczności, aby wolne gospodarstwa w odpowiedniej ilości zachowały się akurat na terenach idealnie spełniających wymogi rozporządzeń. To okolice zdewastowane, często położone na obrzeżach państwa jeszcze pozostawały puste — stosunkowo — i one właśnie przyjmowały osadników z akcji „Wisła”. Prowadziło to do efektów przeciwnych zamierzonym. Niejednokrotnie całe wsie zasiedlano wyłącznie ludnością ukraińską. Protestującym władzom zwierzchnim odpowiadano zgodnie z prawdą, że „nie było ich gdzie ulokować, więc ulokowano ich tam gdzie było

można<sup>116</sup>”. Zasady 10% stosunku przybywających do dawnych mieszkańców raczej nie przestrzegano. Kontrola przeprowadzona przez MZO we wrześniu 1947 roku wykazała, że w każdym z 25 zlustrowanych powiatów występowały mniejsze lub większe nadwyżki. Trudno, aby było inaczej skoro np. władze woj. szczecińskiego — kierując się zresztą chęcią zapewnienia lepszych warunków przybywającym — zezwoliły na osiedlenie ponad 12 tys. osób w pasie nadgranicznym. W powiatach sławieńskim i gryfickim niektóre rodziny zajęły gospodarstwa leżące 150 m od brzegu morza<sup>117</sup>. Takie powiaty jak gdański, malborski, elbląski, gryficki, kołobrzesci w całości leżały w 30 km strefie nadmorskiej, inne — np. koszaliński, słupski czy sławieński — w znacznej swej części. Zasadę 50 km odległości od granic lądowych raczej respektowano — pewne odchylenia zaobserwowano w pow. krośnieńskim, sulęcińskim, gorzowskim, szprotawskim. Natomiast nigdzie nie uwzględniano wymogu 10 km dystansu od granic sprzed 1939 roku.

Źródło szczególnego niepokoju władz stanowiły powstałe wbrew najsurowszym zakazom skupiska ludności „niebezpiecznej i niepewnej”. Inspektorzy MZO donosili w sprawozdaniach:

„Ilość gromad w powiecie nie stoi w żadnym stosunku do ilości otrzymywanych rodzin (...) Jako przykłady podaję: w powiecie słupskim na 190 gromad otrzymano 533 rodziny kategorii A i B, w powiecie człuchowskim na 88 gromad otrzymano do osiedlenia 333 rodziny kategorii A i B<sup>118</sup>”.

Podobnych relacji można by zacytować wiele, a oprócz trudności obiektywnych pojawiły się przeszkody wynikające z dalekiego od doskonałości funkcjonowania maszyny biurokratycznej. Szybkość przepływu danych pozostawiała wiele do życzenia. Instrukcje z zasadami osiedlania dotarły do większości powiatów z dużym opóźnieniem, a do niektórych dopiero po zakończeniu całej akcji. Bywało, że kontrolerzy MZO spełniali rolę pierwszych informatorów.

Często szwankowała również współpraca między administracją a Urzędami Bezpieczeństwa Publicznego. Spotykano się z odmową udostępniania list przesiedleńców z zaznaczonym podziałem na kategorie. Pracownicy bezpieczeństwa zasłaniali się

---

116. AAN MZO 787 *Sprawozdanie z kontroli pow. człuchowskiego*, 16. IX. 1947, k. 104.

117. AAN MZO 784 „*Opracowanie wyników kontroli zasiedlenia ludności ukraińskiej*”, 27. X. 1947, k. 60-61.

118. AAN MZO 784 „*Opracowanie wyników kontroli zasiedlenia ludności ukraińskiej*”, 27. X. 1947, k. 41.

tajemnicą służbową i uniemożliwiali tym samym choćby próbę właściwego osiedlenia. Zdarzało się, że kiedy doszło do rozdzielania rodzin, powiatowe UBP wzbraniały się przychylnie zaopiniować podania z prośbami o połączenie tychże tłumacząc się brakiem odpowiednich wytycznych, chociaż akurat tę sprawę natychmiast uznano za oczywistą i nie stawiano przeszkód natury formalnej.

Również władze wyższych szczebli nierzadko nie potrafiły uzgodnić stanowisk. Czasem donoszono o blokowaniu akcji przez organa bezpieczeństwa, czasem z kolei nie reagowały one na pisma sygnalizujące przekraczanie wszelkich możliwych limitów. Zwykle odbierano to jako brak sprzeciwu i kontynuowano przyjmowanie przesiedleńców. Jednak po pewnym czasie UB wykazywało nie spodziewaną już pryncypialność w tej materii i domagało się przeprowadzenia wtórnych przemieszczeń.

Generalnie szansę na zmianę zaistniałej sytuacji upatrywano w złagodzeniu norm albo w ponownych przesiedleniach. Ku temu drugiemu rozwiązaniu skłaniały się władze bezpieczeństwa najczęściej inspirujące działania tego typu. Od przyjazdu pierwszych grup nowych osadników upływały tygodnie i miesiące, ludność powoli się zagospodarowywała, a w gabinetach zastanawiano się nad ewentualnymi przerzutami, opracowywano plany i nanoszono poprawki. Sztywne zastosowanie się do pierwotnych norm oznaczało konieczność przygotowania transportu i nowych miejsc dla znacznego odsetka osób. W sierpniu wojewoda olsztyński pisał do MZO, że przy ścisłym zachowaniu zalecanych proporcji województwo jest w stanie przyjąć tylko około 20 tys. Ukraińców. Pozostałe ponad 34 tys. należałoby przesiedlić do innych województw<sup>119</sup>.

Jeśli nadwyżka wynosiła od kilku do kilkudziesięciu rodzin, to z reguły ludność przemieszczano w granicach powiatu i przy zaangażowaniu miejscowych środków. Gdy ilość ponad normę wzrastała do kilkuset rodzin, niezbędna stawała się wymiana między powiatami, a nawet województwami.

Globalny charakter omawianych tu trudności spowodował, że MZO wystąpiło oficjalnie o powszechną korektę obowiązujących zasad. Ministerstwo motywowało swoje stanowisko troską o stabilizację stosunków na Ziemiach Odzyskanych, dążeniem do szybkiego unormowania kwestii prawnych związanych z posiadaniem ziemi i zagospodarowaniem tej części kraju. W listopadzie 1947 roku, w Departamencie Osiedleńczym zorganizowano konferencję z udziałem dyrektora tego departamentu,

---

119. AAN MZO 784 *Pismo wojewody olsztyńskiego do MZO*, 2. VIII. 1947, k. 225-226.

szefa Departamentu Inspekcji i przedstawiciela MBP. W jej wyniku wysłano do poszczególnych urzędów wojewódzkich tajne pismo podające ostateczne wytyczne co do rozmieszczenia osadników z akcji „Wisła”. Zakaz osadnictwa w pasie nadgranicznym ograniczono do 30 km (morskim 10 km), a wokół miast wojewódzkich do 20 km. Wypowiedziano się przeciwko tworzeniu samodzielnych grup parcelacyjnych stwierdzając jednocześnie, że:

„Dopuszczalne jest osiedlanie w 60 % faktycznie wypełnionej chłonności gromady i w 40 % teoretycznej chłonności. W tym ostatnim wypadku należy dolożyć starań dla możliwie szybkiego dosiedlenia takiej gromady brakującym tam elementem polskim<sup>120</sup>”.

Do 6 grudnia urzędy wojewódzkie miały opracować projekty finalnego rozwiązania problemu, uwzględniające nowe dyrektywy. W przewidzianym terminie wszystkie urzędy nadesłały odpowiedzi. Okazało się, że w województwach gdańskim i poznańskim sprawę uregulowano już wcześniej. Wojewodowie wrocławski i szczeciński podali wprawdzie propozycje ewentualnych przemieszczeń (np. znaleziono miejsca osadnicze dla około 300 rodzin, na które planowano przesiedlić osoby mieszkające zbyt blisko Wrocławia), ale zasugerowali akceptację istniejącego stanu rzeczy ze względu na zagospodarowanie się wielu rodzin i posiadanie przez nie aktów nadania konkretnych gospodarstw. W najbardziej przeciążonym województwie olsztyńskim miano dokonać stosownych przesunięć do kwietnia 1948 roku.

Po uzyskaniu takich wiadomości MZO uznało sprawę za zakończoną. Również MBP nie zgłosiło zastrzeżeń. Zapewne nie bez wpływu na zmianę nieustępliwego wcześniej stanowiska było przekonanie się, że przesiedleńcy nie stwarzają jakiegoś szczególnego zagrożenia dla stanu bezpieczeństwa. Mniejsze grupy ludności jeszcze przesiedlano, ale zdecydowana większość miała pozostać tam, gdzie znajdowała się zimą 1947 roku.

Na rozmieszczenie ludności wpływał fakt podporządkowania jej wyjątkowym w swej wymowie przepisom. Żadna osoba przybyła w ramach akcji „Wisła” na Ziemię Zachodnie i Północne nie mogła sama decydować o choćby krótkotrwałej zmianie miejsca pobytu. Załatwienie spraw urzędowych czy osobistych poza powiatem osiedlenia wymagało zaopatrzenia się w specjalne zezwolenie, po które należało się udać do miejscowego UB. Gdy ktoś chciał się przenieść na stałe w inny rejon Ziemi Odzyskanych (powrót do dawnego miejsca zamieszkania nie wchodził w

---

120. AAN MZO 784 *Pismo ministra Ziemi Odzyskanych*, 10. XI. 1947, k. 17.

zasadzie w rachubę), musiał wystąpić z umotywowanym wnioskiem do władz. Pozwolenie wydawano tylko w takich wypadkach jak:

- „1. Rozdzielenie rodziny żyjącej we wspólności gospodarczej
2. Przesiedlenie osób starszych lub innych niezdolnych do pracy, jeżeli zamierzają się przesiedlić do krewnych na terenie Ziemi Odzyskanych
3. Przesiedlenie członków rodziny uprzednio osiedlonej na Ziemiach Odzyskanych, zwłaszcza w ramach osadnictwa wojskowego<sup>121</sup>”.

Jeszcze jedną okolicznością braną pod uwagę była potrzeba natychmiastowego wyjazdu ze względu na pogarszający się stan zdrowia poświadczony przez lekarza wyznaczonego z urzędu<sup>122</sup>. Zezwolenia na przesiedlenie w obrębie województwa udzielał Wydział Osiedleńczy Urzędu Wojewódzkiego w porozumieniu z władzami bezpieczeństwa, zaś z jednego województwa do drugiego MZO na wniosek Urzędu Województwa uzgodnionego z władzami bezpieczeństwa.

Mimo zakazów ludność jednak często wyjeżdżała korzystając z zamieszania i braku orientacji władz. Próbowano wracać na dawne gospodarstwa, poszukiwano reszty rodziny lub przenoszono się tam, gdzie spodziewano się zastać lepsze warunki. Gdy wychodziło na jaw, że nie wszyscy postępują zupełnie samowolnie, gdyż znajdują się urzędnicy powiatowi, którzy wystawiają pozwolenia na czasowe lub stałe wyjazdy, winnych karano, rodziny sprowadzano z powrotem, a opisy sprawy rozsyłano do zainteresowanych urzędów jako przestrogi<sup>123</sup>. Aby położyć kres ciągłej rotacji nakazano sołtysom pilnowanie zamieszkałych w ich wsiach rodzin i meldowanie o podejmowanych przez nie próbach wyjazdów. Spodziewano się, że przedstawiciele samorządu i administracji najniższego szczebla będą takim próbom przeciwdziałać.

O ile ogólne tendencje związane z rozmieszczeniem ludności ukraińskiej i polsko-ukraińskiej rysują się w źródłach stosunkowo jasno, to obraz zaciemnia się, gdy tylko próbujemy bliżej zorientować się w statystycznych wynikach akcji osiedleńczej. Materiały, na których opiera się ta praca traktują ten problem fragmentarycznie i nieproporcjonalnie: możemy odtworzyć stan uchwycony w jakiejś części jakiegoś powiatu czy woje-

---

121. AAN MZO 784 *Pismo MZO w sprawie osadników z akcji specjalnej 'Wisła', VII. 1947*, k. 224-225.

122. Za: K. Pudło, *Łemkowie. Proces wrastania w środowisko Dolnego Śląska 1947-85*, Wrocław 1987, s. 39.

123. AAN MZO 1032 *Korespondencja urzędowa dotycząca starostów powiatów Górowo Iławeckie i Wołów*, k. 78-89.



wództwa w konkretnym dniu, ale stajemy bezradni wobec zupełnej niemożności pozyskania ścisłych danych odnoszących się do całego obszaru objętego omawianym tu osadnictwem. Niewielką pociechę stanowi fakt, że tak naprawdę nikt nigdy nie miał pełnego rozeznania w sytuacji. Nasze dzisiejsze trudności były wcześniej udziałem wysyłanych w teren pracowników MZO. Donosili oni swoim przełożonym, że indagowane przez nich „odpowiedzialne czynniki” nie wiedzą, ilu przesiedleńców znajduje się na podległym im obszarze i gdzie dokładnie są oni umieszczeni. Często listy posiadane przez zarządy gminne nie zgadzały się z tymi, którymi dysponowały powiatowe UBP i starostwa, a te z kolei też wcale nie musiały być identyczne. Zdarzało się, że skonsternowany urzędnik stwierdzał, iż wyniki jego własnej pracy w kontrolowanym powiecie nie są zbieżne z ani jednym z udostępnionych mu wykazów. Zwróćmy jeszcze uwagę jak szybko zebrane dane tracily aktualność.

Wszystkie te nawarstwiające się elementy składowe ówczesnej rzeczywistości powodują, że informacje zawarte na mapie i poniżej mogą mieć walor wyłącznie orientacyjny.

Ludność przybyła na Ziemię Zachodnie i Północne do września 1947 roku została rozmieszczona w sposób następujący<sup>124</sup>:

województwo	liczba zasied. powiatów	liczba rodzin	liczba osób	proc. ogółu lud. woj.
wrocławskie	14	4755	21014	5,9
poznańskie	10	1692	7666	3,7
szczecińskie	18	11330	48123	8,2
gdańskie	6	1323	6226	4,7
olsztyńskie	17	13361	55446	11,5

Łącznie 32.461 rodzin (138.475 osób) zostało osiedlonych na terenie 65 powiatów. Różnica z wcześniejszym rozlokowaniem w Polsce południowo-wschodniej jest zauważalna od razu; tam Ukraińcy i Łemkowie żyli w 22 powiatach, w części z nich stanowiąc znikomy odsetek ludności.

Autorzy książki „Droga donikąd” podają, że akcją „Wisła” objęto 412 wsi, spośród których w 182 nie pozostawał nikt (nie wiemy, czy jest to szacunek ostateczny, bowiem liczbę wysiedlonych ocenia się w tym samym miejscu na 97 tys.)<sup>125</sup> Na Zie-

124. AAN MZO 784 *Opracowanie wyników kontroli zasiedlenia ludności ukraińskiej*, 27. X. 1947, k. 52.

125. A. Szcześniak, W. Szota, *Droga donikąd*, Warszawa 1973, s. 451.

miach Odzyskanych przybyłą ludność rozproszono w kilku tysiącach wsi. Przykładem ilustrującym dekoncentracyjny zamysł władz często bywa los mieszkańców Florynki (pow. Nowy Sącz) rozrzuconych do kilkudziesięciu gromad, co nie musi być typowe, gdyż władze mogły się tu kierować obawą przed szczególną aktywnością tej grupy (w latach 1918-20 Florynka była centrum Ruskiej Narodowej Republiki Łemków).

W rejonie północnym pomieszczono 80 % wszystkich przesiedlonych, 20 % (przede wszystkim Łemkowie) zajęło powiaty Dolnego Śląska.

Tylko 5 % ludności osiedlono poza wsiami — najczęściej w małych miasteczkach. Procent ludności ukraińskiej w poszczególnych regionach był zróżnicowany. Na przykład w powiatach woj. olsztyńskiego wahał się od prawie 50 w Górowie przez ponad 30 w Braniewie, Węgorzewie do około 2 w powiatach Szczytno, Pisz, Olsztyn. Na poziomie gromad dysproporcje były jeszcze większe — mimo podejmowanych działań wyrównawczych pozostały wsie niemal wyłącznie ukraińskie.

#### ROZDZIAŁ IV

### PROBLEM ADAPTACJI PRZESIEDLEŃCÓW Z AKCJI „WISŁA” W PIERWSZYCH LATACH OSADNICTWA NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH

Ludność przesiedlaną w ramach akcji „W” wyrwano w sposób nagły i brutalny ze znajomego jej otoczenia i przetransplantowano w warunki nowe, zupełnie dla niej obce. Obejmujący wszystkie dziedziny życia proces przystosowania się do odmiennego środowiska przyrodniczego i społecznego był złożony i długotrwały.

Gdy w 1958 roku A. Kwilecki przeprowadził badania ankietowe wśród Łemków dotyczące początków ich pobytu na Ziemiach Odzyskanych okazało się, że za największą trudność w normalizacji życia najczęściej uznawali oni swoje położenie materialne. Od przedstawienia tego zagadnienia rozpocznijmy więc omawianie ówczesnej skomplikowanej sytuacji.

O skromnym zaopatrzeniu przesiedleńców była już mowa: zabierali ze sobą tylko część dobytku, czasem coś im jeszcze odbierano po drodze, coś usiłowali sprzedać zmuszani koniecznością. Majątek, w wypadku wielu rodzin i tak bardzo skromny, jeszcze ulegał uszczupleniu. Chociażby z raportu z pow. łęborskiego dowiadujemy się, że 30 % właśnie przybyłych rodzin nie posiada inwentarza, 50 % siły pociągowej, a 60 % nie przy-

wiozło żadnych zapasów żywnościowych<sup>126</sup>. Ocen zbliżonych, a odnoszących się do innych powiatów i województw, można by przytoczyć więcej.

Po przybyciu na miejsce rzadko zastawano gotowe do objęcia, dobrze utrzymane gospodarstwa poniemieckie ze wszystkimi budynkami gospodarczymi i obsianymi polami. Od razu dawała się odczuć przydatność wielu rzeczy, które pozostawiono na dawnym miejscu zamieszkania. Uspokajające obietnice poczynione swego czasu przez władze wysiedleńcze nie znajdowały potwierdzenia, a część osób wierzyła optymistycznym zapewnieniom licząc, iż państwo postara się zrekompensować fakt wysiedlenia. Tym większe następowało rozczarowanie. Osadnictwo na ziemiach przyłączonych trwało już przecież od dwóch lat. Wszystkie atrakcyjne siedliska dawno pozajmowano. Pozostały te najbardziej zniszczone wojną i szabrem; domy o zdewastowanych wnętrzach, położone na uboczu, otoczone zaminowanymi polami. Już 21 lipca Departament Osiedleńczy MZO alarmował:

„Wszelkie znajdujące się w stanie możliwym do zamieszkania budynki zostały wyczerpane, ponad 20 tys. rodzin znajduje się w budynkach zniszczonych ponad 50 % i nie nadających się bez remontu do zamieszkania w ogóle. Stwierdzono szereg wypadków opuszczania zajmowanych ruin i przenoszenia się do dawnych niemieckich bunkrów wojennych położonych przeważnie w lesie<sup>127</sup>”.

Zajmowano domy pozbawione drzwi, okien, pieców. W zależności od regionu zniszczenia szacowano na 10-60 %. Na przykład w powiatach Lidzbark, Bartoszyce, Górowo Iławeckie wszystkie gospodarstwa zajęte przez nowych osadników wymagały remontów<sup>128</sup>. Kontrolerzy MZO i korespondenci Biura Studiów Osadniczo-Przesiedleńczych zaznaczali, że w oglądanych przez nich pomieszczeniach ostatecznie można żyć latem, ale nadejście zimy niechybnie spowoduje katastrofę; obawiano się masowych zachorowań, a nawet zamarzeń, gdyż już napotymano na trudności w gromadzeniu opału. Bywało, że ludzie przenosili się do lepiej zachowanych budynków gospodarczych prowizorycznie przystosowując je do swoich potrzeb, innym razem — gdy akurat te zostały zniszczone — w domach umie-

---

126. AAN MZO 785 „Sprawozdanie z kontroli akcji 'Wista' na terenie powiatu łębskiego przeprowadzonej w dniach 22-25. IX. 1947 roku”, k. 43.

127. AAN MZO 784 Pismo Departamentu Osiedleńczego do ob. Ministra Odbudowy, 21. VII. 1947, k. 73.

128. AAN MZO 786 Sprawozdanie z inspekcji w powiatach woj. olsztyńskiego, k. 154-166.

szczali także przywieziony inwentarz. Organizujący rozmieszczenie usiłovali zapewnić każdej rodzinie dach nad głową: dokwaterowywano przybywających do osadników już zagospodarowanych (nie trudno sobie wyobrazić, jak potencjalnie konflikto-genne stwarzało to okoliczności), czasami (głównie w woj. wrocławskim) lokowano po kilka rodzin w jednym domku robotniczym, bez przydziału ziemi i pomieszczeń dla zwierząt.

Najwyższe władze informowano o dramatycznym położeniu przybyłych. Na posiedzeniu Biura Politycznego w dniu 3 lipca 1947 roku ustalono, że „Prezydium Rady Ministrów uchwali kredyty na materiały budowlane, jako akcję pomocy państwa dla przesiedlanych<sup>129</sup>”. Z wyasygnowanych postanowieniem KERM-u z 19 września 450 mln zł na remonty i odbudowę woj. olsztyńskie otrzymało 160 mln zł, szczecińskie 117 mln zł, wrocławskie 67 mln zł, gdańskie i poznańskie po 32 mln zł. W październiku Naczelny Komisarz Odbudowy Wsi zawiadomił MZO o przyznaniu w związku z akcją „Wisła” 315 mln zł kredytów skarbowych, z której to sumy prawie połowę odprowadzono do woj. olsztyńskiego<sup>130</sup>. Wspomaganie tej grupy mieszkańców miało być preferowane: m.in. dyrekcji Centrali Materiałów Budowlanych nakazano realizację zamówień dla osadników z akcji „Wisła” w pierwszej kolejności, nawet z odłożeniem rozliczeń na czas późniejszy.

Choć przytaczane liczby wydają się imponujące, a rozporządzenia dowodzą zainteresowania władz, w rzeczywistości pieniądze nie były duże, a ich wydatkowanie nasuwało wiele wątpliwości. Uznano, iż wysokość dotacji na odbudowę dla jednej rodziny nie może przekraczać 30 tys. zł. Właściciele bądź użytkownicy gospodarstw zachowanych w nieco lepszym stanie musieli się zadowolić 10 tys. zł. Sum tych nie wypłacano w gotówce lecz wyceniano przekazany materiał budowlany, robociznę lub transport. Dla porównania przypomnijmy propozycje kredytowe dyskutowane przy okazji obejmowania osadnictwem ziem poukraińskich w Polsce południowo-wschodniej: reflektanci mieli otrzymywać po 100 tys. zł na remont jednego gospodarstwa, a 200 tys. na odbudowę<sup>131</sup>.

Wobec braku dostatecznych środków finansowych, opóźnień w nadsyłaniu materiałów, problemów ze znalezieniem fachow-

---

129. AAN VI Odz. KC PPR 295.V.3 *Protokół nr 17 z posiedzenia Biura Politycznego*, 3. VII. 1947., k. 95-96.

130. AAN MZO 1032 *Pismo Naczelnego Komisarza Odbudowy Wsi do MZO*, 4. X. 1947, k. 97-98.

131. AAN MAP 780 „*Plan osadnictwa na terenach woj. rzeszowskiego i lubelskiego*”, k. 63-73.

ców postępy prac nie były imponujące. Zabezpieczano głównie budynki mieszkalne (w kolejności: dachy, 1-2 pokoje, drzwi wejściowe, płyty kuchenne i piec chlebowy) drobniejsze prace pozostawiając do wykonania mieszkańcom. I tak jednak tylko nieliczni mogli skorzystać z pomocy. Na 10 tys. gospodarstw wymagających remontu przed zimą w woj. olsztyńskim do grudnia 1947 roku dokonano najważniejszych prac w około 2,5 tys. obejść; z 10,5 tys. w woj. szczecińskim wyremontowano nieco ponad 700, w poznańskim z 1300 — prawie 500, w gdańskim żadnego z 30 % zakwalifikowanych do poważniejszych napraw<sup>132</sup>.

Inny, istotny problem stanowiła ziemia. Co prawda stosunek przesiedleńców do podejmowania upraw na większym areale był w tych pierwszych miesiącach zróżnicowany, ale nawet przy zapale do pracy przystąpienie do niej nie zawsze okazywało się możliwe. Wydawanie aktów własności nie łączyło się automatycznie z wcześniejszymi, dokładnymi pomiarami gruntów i ścisłym określaniem powierzchni i granic poszczególnych działek. Starzy osadnicy często jeszcze przed oficjalnymi regulacjami ustalali między sobą zasady użytkowania wolnej ziemi. Pojawienie się nowych osadników burzyło układ. Na przyznawanych przybyszom polach ktoś już coś zasiał, ktoś zorał, ktoś zajął sąd czy ogród. „Roli dostałem 7 ha, ale tylko na papierze, bo gdzie pójść orać, to każdy mówi, że to jego<sup>133</sup>” — tak mogło się skarżyć wielu gospodarzy. Z powodu wynikających sporów oczekiwanie na przydział przedłużało się. Zaostrzające się konflikty antagonizowały lokalne środowiska i utrudniały wzajemną akceptację.

Obejmowana ziemia zwykle leżała od kilku lat odłogiem, była zachwaszczona i wyjałowiona, a gryzonie polne stanowiły prawdziwą plagę. Specyficzne i szczególnie ciężkie warunki panowały na Żuławach. Dopiero co osuszone tereny porastały trzciny i tartak o wysokości do 4 metrów. Przygotowanie tej ziemi pod uprawę wymagało sprowadzenia traktorów, co nie było łatwe przy niedostatku maszyn. Przesiedleńcy narzekali również na brak koni, bez których każda praca stawała się znacznie bardziej uciążliwa i czasochłonna.

Grupy przesiedleńców przybyłe najwcześniej i posiadające

---

132. AAN MZO 791 *Pismo Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku do MZO, 26. XI. 1947, k. 16; Pismo UW białostockiego do MZO, 1. XII. 1947, k. 21; Pismo UW szczecińskiego do MZO, 3. XII. 1947, k. 22; Pismo UW olsztyńskiego do MZO, 9. XII. 1947, k. 28-33; Pismo UW poznańskiego do MZO, 9. XII. 1947, k. 34-38.*

133. AAN MAP 782 *List interwencyjny A. Fryndusia przekazany przez „Chłopską Drogę” MAP-owi do rozpatrzenia, k. 99-101.*

pełne rezerwy ziarna siewnego i sadzeniaków zagospodarowały część pól, ale z powodu zbyt późnych zasiewów i suszy plony były niewielkie. I im, i olbrzymiej większości tych, którzy przyjechali w następnych miesiącach należało pomóc.

Wydaje się, iż regułą było przyznawanie przez PUR 300 lub 400 zł na osobę doraźnej zapomogi zaraz po przybyciu na miejsce osiedlenia. Ponadto przekazywano od 1500 do 2500 zł rodzinom najbardziej potrzebującym co, jak słusznie zauważano, „nie da możliwości przetrzymania zimy wraz z inwentarzem<sup>134</sup>”.

Oprócz skromnych datków pieniężnych udzielano wsparcia w naturze. Praktycznie wszystkim należała się większa bądź mniejsza pomoc żywnościowa. Do rozdziału między ludność przeznaczono pewne ilości ziemniaków, fasoli, konserw, zup w proszku, chleba i innych produktów spożywczych. Nie posiadającym własnych zapasów wydawano tzw. karty „Rol”. Uprawniały one do pobrania co miesiąc przez każdą osobę 2 kg pszenicy, 10 kg kukurydzy, 2 kg kaszy i 45 dkg cukru<sup>135</sup>. Faktycznie przydziały były mniejsze i na dodatek często rozprowadzane z 1-2 miesięcznym opóźnieniem. Zdarzało się, że miesięczną rację potracano na... odbudowę Warszawy<sup>136</sup>. Małe znaczenie ze względu na symboliczne rozmiary miała pomoc odzieżowa. Poza tym dostarczano również paszę dla zwierząt, których ludność już zaczynała się pozbywać, opał. W ramach tzw. akcji siewnej pożyczano ziarno na wiosenne zasiewy, proponowano orkę kredytową. Potrzebujący nie zawsze chętnie przyjmowali pomoc w tej formie, gdyż obawiali się, że nie będą w stanie spłacić zaciągniętych zobowiązań i zostaną zmuszeni do sprzedaży dobytku i opuszczenia gospodarstw.

Jak to się zdarza przy ograniczonych zasobach dóbr, a znacznej liczbie potrzebujących, odnotowano liczne sygnały na temat niewłaściwego rozdziału i popełnianych nadużyć. Obok typowej tendencji do uwzględniania w rozdzielniku krewnych i znajomych wystąpiły i ciekawsze przypadki np. w postaci prób różnicowania przybyłych: należących do kategorii „A” lub „B” pomijano argumentując, iż pomoc im się nie należy z powodu prowadzenia przez nich wcześniej szkodliwej działalności<sup>137</sup>.

Nie możemy się dziwić, że już pobieżny ogłąd sprawiał, iż

---

134. AAN MZO 784 *Opracowanie wyników kontroli zasiedlenia ludności ukraińskiej*, 27.X.1947, k. 52.

135. CAW Sztab Gen. IV.111.511 *Pismo Wydz. Osiedleńczego UW w Olsztynie do dowódcy GO „Wisła”*, 18.VII.1947, k. 58.

136. AAN MZO 1662 *Sprawozdanie korespondenta BSOP-u z powiatu reszelskiego*, X.1947, k. 52.

137. AAN MZO 788 *„Sprawozdanie z kontroli akcji 'W' na terenie pow. oławskiego”*, 15.IX.1947, k. 58.

wiele rodzin wystąpiło o pozwolenia na sprowadzenie pozostawionego majątku i zbiorów. Domyślamy się, jak ogromne rozgorczenie musiały wywoływać odmowne odpowiedzi. Mimo deklaracji pomoc była ograniczona i niewystarczająca. Zablokowanie najbardziej naturalnego sposobu polepszenia kondycji materialnej oburzało przesiedleńców. Nieustępliwość władz w tej sprawie powszechnie odbierano jako kolejną szykanę.

Musimy również zwrócić uwagę na ustosunkowanie się pozostałej ludności do faktu wspomagania nowych osadników. Niezwykle interesujące z tego punktu widzenia są dla nas sprawozdania przysyłane przez korespondentów terenowych BSOP-u, w których autorzy dają wyraz i swoim przekonaniom, i opisują nastroje panujące w konkretnych miejscowościach, nastawienie „miejscowych” do osadników z akcji „Wisła”.

W większości materiałów sprawozdawcy wskazują na sprzeczności interesów i rodzącą się rywalizację ekonomiczną. Jednym z jej elementów była walka o względy państwa — wspomożyciela. Z przygotowanej pod koniec 1947 roku oceny stanu finansowego wszystkich gospodarstw na Ziemiach Odzyskanych<sup>138</sup> wynikało, iż tylko około 15 % spośród nich przynosiło dochód i nie wymagało nadzwyczajnej pomocy z centrum. W woj. olsztyńskim 98,6 % gospodarstw wykazywało deficyt. Stosunkowo najlepiej radzono sobie na Śląsku, gdzie 26,2 % gospodarstw osiągnęło dodatni bilans. Autorzy opracowania wyliczyli, że około 25 % ziemi w przeciętnym gospodarstwie osadniczym pozostawało ugorami niemożliwymi do zlikwidowania bez dalszych dostaw materiału siewnego, maszyn, koni. Przewidywali, że ograniczenie lub wstrzymanie pomocy doprowadzi do masowych wyjazdów. Utrzymanie obciążeń fiskalnych na poziomie z 1947 roku, względnie ich wzrost, miało spowodować analogiczne skutki. Ponieważ nie spodziewano się większych sum z budżetu na powyższe cele, postulowano usprawnienie systemu dystrybucji i baczny kontrolę właściwego korzystania z dotacji. Jak więc widzimy, sytuacja wielu polskich osadników nie powinna budzić zazdrości. Niewątpliwie przyczyniała się ona do pogłębiania niezadowolenia, które zwracało się przeciwko „niesprawiedliwym” władzom i „obcym”, przejmującym skąpe środki.

Uczyniono wiele dla odizolowania ludności ukraińskiej od reszty społeczeństwa. Wykreowano ją na jedną z sił odpowiedzialnych za śmierć tysięcy Polaków i przeciągającą się destabilizację w części kraju. Zauważmy, że większość ludności polskiej

---

138. AAN MZO 793 „Stan finansowy rolnych gospodarstw osadniczych na Ziemiach Odzyskanych i wytyczne dalszej dla nich pomocy ze strony państwa”, 15.XII.1947, k. 357–359.

przyjęła propagandowy wizerunek i teraz daremnie doszukiwała się konsekwencji w postępowaniu władz. Polacy nie mogli zrozumieć, dlaczego ich kosztem — i dlaczego w ogóle — pomaga się Ukraińcom.

Trzeba przyznać, że nie wszyscy ujmowali rzecz w ten sposób. Warte wzmianki są — znacznie rzadsze — sądy dowodzące większej wrażliwości na los drugiego człowieka i zwykłego rozsądku. Współpracownicy BSOP-u sugerują powoływanie specjalnych komisji operujących w terenie i mogących decydować o stosowaniu konkretnych rozwiązań. Nie bagatelizują również czynników psychologicznych:

„Jeżeli nie chcemy pogorszyć ich stosunku do Polski, należy otoczyć ich pewną opieką<sup>139</sup>”.

„Wszakże ludzi tych należy raczej zjednać dla państwa, a nie powiększać i tak już wielkiego rozgoryczenia i niechęci. Nadmieniam, że (...) opieka jest żadna, a w ogóle ludzie ci są niesłusznie lekceważąco traktowani i we wszystkim zaniebywani<sup>140</sup>”.

Obok poczucia zagrożenia interesów ekonomicznych dość powszechne były obawy przed pogorszeniem się stanu bezpieczeństwa w miejscowościach, w których osiedlono Ukraińców. Nowych współmieszkańców obserwowano niezwykle uważnie. Ludność często ustosunkowywała się do nich wrogo „wiedząc z góry skąd ten element pochodzi” i jakimi winami się go obciąża<sup>141</sup>.

Stosunki między przybyłymi, a resztą osadników kształtowały się jako wypadkowa wielu czynników. Wiele zależało od liczby nowych osiedleńców w danej wsi czy majątku. Jeśli osiedlono kilka rodzin i znajdowały się one w wyraźnej mniejszości, to wpływało to na zachowanie i ich, i otoczenia. Mając świadomość zdominowania ludność ukraińska starała się być wówczas jak najmniej widoczna, nie „prowokować” swoimi zwyczajami, językiem w miejscach publicznych. Reakcje Polaków były zróżnicowane i wahały się między otwartą nienawiścią, a przychylnym zainteresowaniem: „osadnicy odnoszą się w stosunku do nich życzliwie i starają się ich zjednać<sup>142</sup>”. Informacje o udzielaniu

---

139. AAN MZO 1662 *Sprawozdanie korespondenta BSOP-u z powiatu waleckiego*, k. 146.

140. AAN MZO 1669 „*Sprawozdanie bieżące za miesiąc wrzesień z pow. bartoszyckiego*”, k. 232.

141. AAN MZO 787 „*Sprawozdanie z przyjętych transportów i rozmieszczenia przesiedleńców z akcji 'W' na terenie powiatu kołobrzskiego*”, k. 144.

142. AAN MZO 787 *Sprawozdanie z kontroli powiatu miastecckiego, 20.IX.1947*, k. 185–186.



pomocy sąsiedzkiej, włączaniu się przesiedleńców w życie wioski — uczestnictwie w zabawach i uroczystościach, wspólnym spędzaniu przez młodzież wolnego czasu — należą jednak do rzadkości.

„W gromadzie, gdzie jest ich wiele i do tego w skupieniu, zauważa się niechęć do pracy, arogancję (...) W tej chwili są jeszcze pod wrażeniem strachu, lecz gdy to przeminie, może przerodzić się w złe następstwa<sup>143</sup>”.

Efektom było powstawanie swoistej psychozy, której ulegali prawie wszyscy. Przesłanki dla jej utrzymywania się były znakomite: „zbierają pozostałe po Niemcach kawałki broni<sup>144</sup>”, kradną z pól, demonstrują swoje niezadowolenie. Rzeczywistych intencji raczej nie dociekano zadowolając się stwierdzeniami typu: „są nieufni i zachowują się dość podejrzliwie<sup>145</sup>”; „wszyscy zieją nienawiścią do władz i Rządu<sup>146</sup>”; „element ponury, butny i niepokorny<sup>147</sup>”.

Faktem jest, że większe grupy ukraińskie wyróżniały się pewną aktywnością — z jednej strony występowano z postulatami wobec władz, z drugiej konsolidowano własną zbiorowość. Solidarność i wzajemne wspieranie się w potrzebie rzucały się w oczy i — choć oczywiście — wydawały się groźne postronnym obserwatorom. Wiązało się to również z wyraźniejszym zwykle w takich okolicznościach akcentowaniem odrębności, zamykaniem się w swoim gronie przy jednoczesnym sygnalizowaniu negacji tego, co na zewnątrz. Liczba dawała poczucie wymiernej siły przejawiającej się niekiedy — przynajmniej — w werbalnej agresywności. Zdaje się jednak, że uspokojenie ludności polskiej nie należało do zadań łatwych. Przyczyną był bardzo wąski margines tolerancji, jaki większość była skłonna wyznaczyć mniejszości. Odmienność narodowa, językowa, kulturowa były nie tylko niepożądane, lecz stawały się wręcz oczywistym dowodem wrogości i braku lojalności. Konsekwencją było dążenie do jak najszybszej neutralizacji obcych. Dla realizacji tego celu za niezbędną uważa się ścisłą współpracę między władzami a społeczeństwem:

---

143. AAN MZO 788 „Sprawozdanie z kontroli akcji 'Wisła' na terenie pow. średzkiego”, 16-19.IX.1947, k. 81-83.

144. AAN MZO 784 *Sprawozdanie z kontroli powiatu ilaweckiego*, V.1947, k. 35.

145. AAN MZO 1665 „Sprawozdanie bieżące za miesiąc IX.1947 roku z pow. kwidzyńskiego”. k. 277.

146. AAN MZO 784 *Notatka służbowa inspektora MZO*, 30.VII.1947, k. 219.

147. AAN MZO 784 *Sprawozdanie z kontroli pow. kwidzyńskiego*, V.1947, k. 36.

„Wójtowie i sołtysi jak również MO otrzymali polecenie roztoczenia stałej i czujnej opieki nad tymi przesiedleńcami<sup>148</sup>”.

Kiedy rodziny ukraińskie mieszkają nieco na uboczu, zorganizowanie „niekrępującej kontroli” jest utrudnione:

W tym wypadku nadzór Wójta jak też Sołtysa nie jest skuteczny. W ich obecności osiedleńcy mogą zachowywać pozory lojalności (...) Stan taki może być niebezpieczny, gdyż nie są pod obserwacją swych sąsiadów, lojalnych mieszkańców gromady<sup>149</sup>”.

Pojawiają się sugestie zagęszczenia sieci UB i MO, a także nakaz współdziałania lokalnych władz:

„Powiatowy UBP ma być informowany o każdej sprawie w jakiej osiedleńcy z akcji 'W' zwraca się do władz administracji ogólnej. Kontakt z PUBP w sprawach osiedleńców z akcji 'W' ma być stały i utrzymywany możliwie osobiście<sup>150</sup>”.

Każdy postulat, z jakim zwracali się przesiedleńcy, przesyłano „wyżej” niezależnie od tego, czy jego spełnienie — bądź ustosunkowanie się do niego — leżało w kompetencji administracji najniższego szczebla czy też nie. Władzom nadrzędnym raportuje się więc o żądaniach sprawniejszego przydziału pól i ogrodów, ponagleniach w sprawie pomocy materialnej, prośbach związanych z zamianą gospodarstw, a także z wyjazdami. Formułowane są również ogólniejsze dezyderaty: „żądadą równych praw<sup>151</sup>”; proszą o „wyznaczenie komisji, która by rozpatrzyła sprawę słuszności przesiedlenia<sup>152</sup>”.

Terenowym urzędom wytrwale powtarzano, że oprócz konkretnych działań zgodnych z obowiązującymi przepisami do ich podstawowych zadań należy łagodzenie rysujących się konfliktów, praca nad zbliżeniem między grupami. Już 30 kwietnia 1947 roku wojewoda olsztyński pisał do starostów:

„Do przybyłych przesiedleńców władze powiatowe winny odnosić się przychylnie. Wskazany jest, by władze powiatowe przy udziale przedsta-

148. AAN MZO *Sprawozdanie z kontroli pow. elbląskiego, IX.1947*, k. 16.

149. AAN MZO 788 „*Sprawozdanie z kontroli akcji 'Wisła' na terenie pow. średzkiego*”, 16-19.IX.1947, k. 81-83

150. AAN MZO 784 *Pismo ministra Ziemi Odzyskanych do wojewodów wrocławskiego, gorzowskiego, szczecińskiego, gdańskiego, olsztyńskiego i białostockiego w sprawie osadników z akcji „Wisła”*, 10.XI.1947, k. 14.

151. AAN MZO 788 *Sprawozdanie z kontroli pow. legnickiego, 20.IX.1947*, k. 37.

152. AAN MZO 1032 *Prośba byłych mieszkańców wsi Berdyszczce i osady Dorohusk do prezydenta, 3.VII.1947*, k. 90-91.

wicielei partii politycznych i organizacji społecznych przyjęły każdy transport zapoznając przesiedleńców z warunkami miejscowymi i podając cel ich przybycia<sup>153</sup>”.

Praktyka znów jednak odbiegała od teorii. Obraz funkcjonowania administracji wyłaniający się z dokumentów raczej przygnębia: zaniedbywanie obowiązków, brak zainteresowania, ignorancja, biurokracja i inercja to grzechy powszednie. W znacznej mierze wynikały one ze specyfiki Ziemi Odzyskanych w pierwszych powojennych latach. Obsadę urzędów niezbyt często — nawet jak na oczywisty niedostatek kadr — tworzyli tu ludzie przypadkowi, niekompetentni, czasem nie wykazujący odrobiny dobrej woli. Bezład administracji uderzał we wszystkich, ale Ukraińcy czy Łemkowie byli szczególnie poszkodowani — niezbyt dobrze znali język polski i unikali publicznych kontaktów. Przeszkadzał także brak orientacji w strukturze urzędów oraz niechęć do urzędników, których rzadko obdarzano zaufaniem.

Argumentem usprawiedliwiającym stosowanie środków ostrożności była działalność niewielkich oddziałków UPA na Ziemiach Odzyskanych. Pojedyncze osoby i małe grupki wymykały się z południowo-wschodniej Polski i wypełniając rozkazy udawały się w ślad za ludnością cywilną w regiony północno-zachodnie. Co prawda, pod szyldem UPA dokonywano teraz głównie napadów rabunkowych, ale znów odbudowywano kontakty i szukano oparcia wśród pobratymców. Władze zatrzymywały podejrzanych o przynależność do OUN lub UPA. Akcje pościgowe, zasadzki, strzelaniny długo jeszcze stanowiły element codzienności. Przez cały 1948 rok, każdego miesiąca w jednym tylko woj. olsztyńskim dokonywano aresztowań kilkudziesięciu osób<sup>154</sup>. Informacje o starciach, rozbijaniu kolejnych utajnionych siatek rozchodziły się szybko. Cień padał nie tylko na schwytanych — zresztą niekoniecznie winnych. Natychmiast pogłębiła się przepaść wzajemnej podejrzliwości, ludność polską paraliżował strach przed niebezpieczeństwem spisków i konspiracji. I być może władze liczyły na wzbudzenie i podtrzymywanie takich właśnie odczuć.

Tak naprawdę bowiem dominowały postawy dalekie od czynnego oporu. Wyszędlenia nie przyjmowano radośnie, ale próby przeciwstawienia się były tylko sporadyczne. W źródłach

---

153. AAN MZO 786 „Uzupełnienia do instrukcji — techniczne wskazówki dla władz osiedleńczych dotyczące akcji 'Wista' — pismo wojewody olsztyńskiego do starostów, 30.IV.1947, k. 1-2.

154. Por.: B. Łukaszewicz, *O nową Polskę. Z dziejów aparatu bezpieczeństwa i porządku publicznego na Warmii i Mazurach w latach 1945-50*, Olsztyn 1989.

znajdujemy np. opis kilkudniowego koczowania na stacji i odmowy grupy osób udania się na wyznaczone miejsca osiedlenia, czemu kres położyła „energiczna postawa Wójta i przetrzymanie w areszcie wszystkich mężczyzn przez jedną noc<sup>155</sup>”.

Z ogółem przesiedleńców władze nie miały kłopotów. W dokumentach zwykle mówi się o ich „spokojnym”, „cichym”, „nienagannym” zachowaniu. Nawet po etapie wstępnej apatii, przygnębienia i zniechęcenia nie zauważono — wbrew pesymistycznym przewidywaniom — tendencji do radykalizacji. Przez pewien czas nastroje ulegały częstym zmianom: to powtarzano sobie plotki o mających rychło nastąpić powrocie, to znów martwiono się wiadomościami o rzekomych przygotowaniach do umieszczenia wszystkich Ukraińców w obozach.

Po lekturze źródeł pozostaje wrażenie, iż władze historycznie odnosiły się do przejawów aktywności przesiedleńców, jeżeli tylko wykraczały one poza zakres zajęć czysto gospodarskich. Szczególną nadwrażliwość wykazywano wobec działań mających na celu — jak możemy to dziś ująć — ocalenie więzi grupowej:

„Zachowanie się ich jest nielegalne, początkowo zbierali się, lecz zaprzestali po napomknięciu sołtysa (...) W niedzielę odwiedzają się rodziny z sąsiednich wiosek (...) Zbierają się grupami, przyjeżdżają do nich konni z sąsiednich wiosek, prawdopodobnie pop grekokatolicki odwiedza ich (...) Mieszkają wszyscy razem, przyjeżdżają do nich nieznani ludzie na rowerach w każdą niedzielę i przesiadują całymi dniami (...) Z końcem sierpnia chodził po wioskach mężczyzna z brodą, jak przypuszczają pop, i agitował (...) Chodzą po nocach, schadzają się z innych wiosek, rzekomo kuzyni<sup>156</sup>”.

„Zbierają się wieczorami, każdym razem w innym domu. W niedzielę robią zbiorową wycieczkę do sąsiednich gromad. (...) Ich stosunek jest dość poprawny lecz zbierają się wszyscy u Jewusiaka. Jak oświadcza sołtys zjeżdżają się do niego ze wszystkich gromad. Jewusiak zaś często wyjeżdża do Wrocławia i w innych nieznanych kierunkach (...) Mówią do siebie po ukraińsku (...) Do Kowalczuka przychodzą gazety ukraińskie z Ameryki<sup>157</sup>”.

Jeżeli do powyższych, tak poruszających zjawisk dodać jeszcze zainteresowanie polityką i prowadzenie rozległej korespondencji (z osobami mieszkającymi na Ziemiach Odzyskanych, w Polsce południowo-wschodniej, a nawet za granicą) to — zdaniem władz — spodziewanie się wydarzeń nadzwyczajnych i

---

155. AAN MZO 785 „Sprawozdanie z kontroli akcji 'W' na terenie woj. gdańskiego w miesiącu IX.1947 r.”, k. 10–11.

156. AAN MZO 788 „Sprawozdanie z kontroli powiatu legnickiego, 20.IX.1947, k. 37–38.

157. AAN MZO 788 „Sprawozdanie z kontroli akcji 'W' na terenie pow. oławskiego we IX.1947 r.”, k. 60–61.

strasznych jest uzasadnione. Jedynym ratunkiem wydaje się znów być maksymalna uwaga i „ukrócenie” podobnych praktyk.

Kontrolerzy wysłani w teren we wrześniu 1947 roku ocenili, że około 70% przybyłych już pogodziło się ze swoim losem i przystąpiło do pracy, pozostałe 30% żyje natomiast wyłącznie w oczekiwaniu na zmiany. Nie wiemy, jakie kryteria przyjęto przy przygotowywaniu tego szacunku i dane te nie muszą być dokładne. Pewne jest jednak, że przez pierwsze miesiące znaczna część ludności nie podejmowała żadnych poważniejszych prac. Najczęściej ludzono się nadzieją, że władze uznają swój błąd i odeślą wszystkich z powrotem: „każdy z nich myśli, że to chwilowe przesiedlenie<sup>158</sup>”. Czasami bierność służyła zamanifestowaniu niezgody na istniejący stan rzeczy i wyrażała protest przeciwko akcji i zastanym warunkom: „nie sieją i nie sadzą mówiąc: kto nas tutaj przywiózł niechaj się martwi o nasze wyżywienie na przyszłość<sup>159</sup>”. Obiektywnym utrudnieniem były — już wcześniej wspomiane — braki inwentarza, ziarna, odpowiedniego sprzętu. Ten czynnik nie miał początkowo znaczenia dla części osób, które w ogóle nie interesowały się uzyskaniem jakiejś długoterminowej pomocy od państwa. Wszelkie ostateczne decyzje usiłowano odkładać: „Grupuje się po kilka rodzin razem i całymi dniami siedzą żyjąc z zapasów przywiezionych ze sobą<sup>160</sup>”. Ponieważ jednak trzeba było z czegoś się utrzymywać, wynajmowano się dorywczo do pracy u miejscowych gospodarzy. Zbierano również siano i obsiewano nieduże działki przydomowe.

Gdy z czasem panujący stan tylko się utrwał, konieczność zapewnienia sobie dalszej egzystencji zmuszała do jego niechętniej i w założeniu czasowej, ale jednak akceptacji. Problemy materialne, którymi zajmowaliśmy się do tej pory — chociaż doku- czliwe — miały przynajmniej zaletę oczywistości... To, co w pierwszych dniach szokowało, po pewnym czasie przestawało oddziaływać tak silnie. Jednocześnie zaczynały pojawiać się nowe trudności, których istnienia początkowo nie uzmysławiano sobie w pełni.

Zwykle przy omawianiu procesów przystosowania się do zmienionego środowiska dokonuje się podziału na adaptację kulturalną, społeczną i ekonomiczną. Rozpocznijmy od zasygnalizowania najistotniejszych w analizowanym przypadku czynników opóźniających przebieg tej ostatniej.

---

158. AAN MZO 787 „Sprawozdanie z kontroli akcji 'W' na terenie pow. człuchowskiego”, 16.IX.1947, k. 103.

159. AAN MZO 784 *Sprawozdanie z kontroli pow. szczecinieckiego, V*. 1947, k. 37.

160. AAN MZO 784 *Notatka służbowa inspektora MZO, 30.VII.1947, k. 219.*

Przystosowanie się do zmienionych warunków pracy zakłócała w znacznym stopniu odmienność gleby i klimatu. Ponieważ 95 % przesiedlonych stanowiła ludność rolnicza, niemal wszyscy musieli się uporać z nową sytuacją. Warto tu odnotować, że władze, przewidując masowe ruchy ludności i perspektywę zasiedlania Ziemi Odzyskanych, poświęciły nieco uwagi temu zagadnieniu. Zamierzano opanować żywiołowość przemieszczeń i w oparciu o wyniki badań naukowych rozlokować setki tysięcy osób w sposób logiczny i racjonalny.

W połowie 1945 roku Rada Naukowa dla Zagadnień Ziemi Odzyskanych opracowała plan, którego głównym założeniem było regionalne rozmieszczenie przesiedleńców i repatriantów<sup>161</sup>. Zwarte grupy pochodzące z jednego rejonu miały być osiedlane na terenach, możliwie najbardziej przypominających ziemię, które opuścili — typem upraw, klimatem, rodzajem gleby, a nawet krajobrazem. W planie nie uwzględniono ludności ukraińskiej, gdyż jego autorzy założyli, że wyjedzie ona do ZSSR. Chociaż cały program — z wielu przyczyn — nie znalazł zastosowania, dla nas pozostaje ciekawe przygotowane dla jego potrzeb zestawienie powiatów leżących w różnych częściach kraju, a posiadających zbliżone warunki środowiskowe. Generalnie proponowano, aby przyjeżdżających z Rzeszowszczyzny umieszczać na Śląsku, w woj. poznańskim i w województwach olsztyńskim i białostockim. Zwraca naszą uwagę, że nie zalecono sprowadzania ludności z Polski południowo-wschodniej do woj. szczecińskiego, a znaczną część Śląska wyłączono z omawianego osadnictwa ze względu na nasycenie ludnością i przygraniczne położenie. Poza tym, jeśli rodziny z województw rzeszowskiego i lubelskiego trafiały odpowiednio na Śląsk i Pomorze Wschodnie, to wynikało to z przypadku, a nie z przemyślanych działań. Reasumując możemy stwierdzić, iż tylko część osób znalazła się w warunkach przypominających te, w których żyła wcześniej.

Kontrast między północno-zachodnią a południowo-wschodnią Polską był wyrazisty. Z obszarów należących do najbardziej zaniedbanych, wyróżniających się niską kulturą rolną przenoszono się do rejonu dość wysoko rozwiniętego cywilizacyjnie. Ustalone doświadczeniem pokoleń i sprawdzające się na ziemiach podgórskich, w ostrym i suchym klimacie sposoby gospodarowania, na nowym miejscu zawodziły. Łagodne i krótkie zimy, wilgotność ziemi i powietrza powodowały, że na Ziemiach Odzyskanych obowiązywał nieco inny rytm prac rolnych. Takie rośliny jak owies i grykę uprawiano w niewielkich ilościach, pod-

---

161. Por.: S. Pietkiewicz, M. Orlicz, *Plan regionalny przesiedlenia osadników rolnych na Ziemi Odzyskane*, Kraków 1945.

czas gdy przesiedleńcy uważali je — obok ziemniaków — za podstawę swojej gospodarki. Odmienny był również profil gospodarstw. Przybysze dążący do samowystarczalności, nawykli do produkcji wielokierunkowej zetknęli się z dominacją modelu specjalizacyjnego. Przekonanie się do niego, rozpoczęcie uprawy buraków cukrowych czy roślin oleistych wymagało kilkuletniej obserwacji własnych niepowodzeń i dobrych wyników sąsiadów. Pomimo to wielu starych gospodarzy konsekwentnie unikało wszelkich nowinek i pracowało w sposób tradycyjny. Przesiedleńcy często po raz pierwszy stykali się z nawozami sztucznymi, bardziej skomplikowanymi maszynami. Przywiezione narzędzia, zazwyczaj drewniane, okazywały się nieprzydatne, chociaż np. płytko orzące pługi i brony wcześniej dobrze spełniały swą rolę na lekkich glebach. Trzeba było również wymieniać wąskie, zwrotne (i wywrotne) wozy przystosowane do górskich drożyn. Sprowadzone zwierzęta także aklimatyzowały się z trudnością.

Z licznych udogodnień zastanych na nowych gospodarstwach w ogóle nie korzystano: usiłowano odtwarzać wnętrza pozostawionych domów; starano się o identyczny skład i rozstawienie mebli, zmieniano rozplanowanie, czasem usuwano instalacje wodociągowe i kanalizacyjne, choć nie zawsze były one zniszczone. Latami wykorzystywano tylko niektóre pomieszczenia, pozostałymi wcale się nie interesując. To, co widziano, zbyt różniło się od tego, co wszyscy dobrze znali i do czego przywykli. W obcym otoczeniu próbowano stworzyć świat podobny do utraconego, choćby częściowo „oswoić” nową przestrzeń. Stopniowo oczywiście rezygnowano z dawnych przyzwyczajęń; dostrzegano użyteczność wielu urządzeń, porównywano się z sąsiadami, których reakcje również nie pozostawały bez znaczenia. Stosunkowo najszybciej zniknęły montowane na samym początku żurawie, charakterystyczne ogrodzenia itp. modyfikacje na terenie obejść. Dłużej zachowywały swój odmienny styl wnętrza „chronione” przed członkami nie swojej grupy.

Z największymi oporami przebiegała adaptacja społeczna, czyli jak pisze A. Kwilecki:

„Stopniowe przyzwyczajanie się do zmienionego środowiska społecznego i do nowego otoczenia ludzkiego, wchodzenie w nowe układy międzyludzkie i dostosowanie się do nich, czynienie ustępstw na rzecz zgody społecznej dla wyrobienia sobie pozycji społecznej<sup>162</sup>”.

Problem wzajemnych relacji między osadnikami z akcji „W”, a resztą mieszkańców Ziemi Odzyskanych został już poruszony

---

162. A. Kwilecki, *Łemkowie. Zagadnienie migracji i asymilacji*, Warszawa 1974, s. 21.

ny w kontekście konkurowania ekonomicznego i nieufności wywołanej oddziaływaniem szeroko rozpowszechnionego stereotypu Ukraińca — wroga wszystkiego, co polskie. Zatrzymajmy się jednak jeszcze nad kwestią odniesień międzygrupowych, gdyż ciężące uprzedzenia na długie lata określiły stosunek Polaków do Ukraińców i Ukraińców do Polaków, a i dzisiaj nie można powiedzieć, by całkowicie należały do przeszłości. Złożoność ówczesnej rzeczywistości wynikała z zająknięcia się tak wielu okoliczności, iż przedstawienie modelu sprawdzającego się zawsze i wszędzie nie jest możliwe. Jak w innych, także i w tym wypadku jesteśmy w stanie wskazać na główne występujące tendencje, zarysować ogólny mechanizm.

Ludność Ziem Odzyskanych tworzyła mozaikę gdzie indziej niespotykaną. Obok siebie zaczęli żyć autochtoni, repatrianci ze Wschodu, reemigranci z krajów Europy Zachodniej i Południowej, osadnicy z każdego zakątka Polski. Członkowie każdej z tych grup ustawicznie stykali się z odmiennością — inne narzędzia, ubiory, potrawy, obrzędowość towarzysząca weselom, chrzcinom i pogrzebom, sposoby wykonywania drobnych codziennych czynności. Wszystko to dziwiło i odpychało, gdyż ogół danej społeczności dotychczas po prostu nie wyobrażał sobie, że „można inaczej”. Pierwszym rezultatem zderzenia kultur było zamykanie się w kręgu swoich połączone z przekonaniem o wyższości stosowanych rozwiązań. Jednak po wstępnym okresie negacji, a potem przyjmowania różnic do wiadomości, nieuchronnie jakieś elementy stawały się wspólne dla wszystkich, jakieś zanikały w powolnym procesie formowania się „nowego”, akceptowanego przez wszystkich.

Wydawać by się mogło, iż taka sytuacja sprzyjała łatwemu włączeniu się nowej grupy w powstający system; wielość grup, a więc i różnorodność wzorców sprzyja szybkiej adaptacji. Tak zapewne by się stało, gdyby nie zadziałała odmienność narodowa i — może w trochę mniejszym stopniu — wyznaniowa oraz językowa. Ludność z Polski południowo-wschodniej przybyła w 1947 roku, gdy powyższe przemiany już zachodziły. Większość mieszkańców Ziem Odzyskanych odnalazła swoje miejsce, mniej lub bardziej szczęśliwie funkcjonowała w lokalnych społecznościach: pewien układ — jeszcze chwiejny i podlegający korektom — już się wykształcił i ten fakt utrudniłby położenie każdej bez wyjątku „wchodzącej” zbiorowości.

Pewnym nadrzędnym zwornikiem dla wszystkich wymienionych na wstępie grup było poczucie związku z Polską. Etnografowie i socjologowie badający te zagadnienia dostrzegli nawet swoiste współzawodnictwo, wręcz prześciganie się w dowodzeniu, kto jest lepszym Polakiem. Stąd i pewna skłonność do



rezygnacji z regionalizmów, gdy tylko stwierdzano, że odbiegają one od normy. W tym m.in. widzi się przyczynę względnie szybkiego ujednoczenia się polszczyzny, tak przecież obrosłej wyrażeniami gwarowymi, swoistymi melodiami i sposobami akcentowania. W tej sytuacji pojawienie się Ukraińców (ujmijmy to tak umownie, dostosowując się do powszechnego wówczas osądu) często automatycznie doprowadzało do polaryzacji. Bywało, że błyskawicznie organizowały się dwa obozy: nagle zintegrowanych Polaków i osadników z akcji „W”.

Oczywiście wiele zależało jeszcze od liczebności i zachowania się przybyłych — o czym już była mowa — i od pochodzenia polskich sąsiadów. Pogląd tych, którzy nigdy wcześniej ośobiście nie spotkali Ukraińców, formował się na podstawie informacji pośrednich i przy osobistej konfrontacji mógł ulec szybszej zmianie. Wyjątkowo negatywne stanowisko zajmowali repatrianci z Ukrainy, którzy przeżyli terror ukraiński, czasem stracili bliskich. Często cechowała ich chęć uzyskania osobistej rekompensaty. Również przybysze z Rzeszowszczyzny i Lubelszczyzny pamiętali o dramatycznych przeżyciach. Opinie wygłaszane przez takie osoby miały znaczenie, gdyż pełniły rolę bezpośredniego źródła wiadomości dla mniej zorientowanych.

Obowiązywanie dyskryminacyjnych zarządzeń dotyczących swobody poruszania się także miało aspekt ogólnospołeczny. Ci, których nie sprowadzano pod eskortą, nie objęto szczególnym nadzorem, nie przywiązano na lata do jednego miejsca, często widzieli w tym dowód swojej wyższości. Co ważniejsze, powstawało wrażenie jakby sankcjonowania dystansu wobec przesiedleńców tej kategorii: skoro stosuje się takie zabezpieczenia, to widocznie istnieje niepewność co do prawdziwych zamysłów tych osiedleńców.

Podkreślmy tutaj z całą mocą wagę przymusowego charakteru akcji „Wisła”. Polakom przybywającym na Ziemię Zachodnie i Północne dano w pewnej chwili alternatywę. Mogli oni wybrać pozostanie we Francji, Rumunii, ZSSR czy na gospodarce gdzieś w Krakowskiem. Gdy człowiek samodzielnie waży „za” i „przeciw”, odpowiada za swoje postanowienia i ma szansę pokierowania własnym losem, inaczej zachowuje się w obliczu nawet poważnych trudności. Przymusowo przesiedlonym zabrakło pozytywnej motywacji.

Większość przesiedleńców jeszcze bardziej utwierdzała się w poczuciu krzywdy, gdy doświadczała pełnego drwin i pogardy traktowania. Oto przykładowe fragmenty wypowiedzi polskich osadników:

„Można było umrzeć ze śmiechu, jak zwozili oni zboże i ziemniaki

(...) Ich żniwa i omłoty to tak wyglądały, że i kina nie trzeba było, by się nadziwić i naśmiać<sup>163</sup>”.

W relacjach wspomina się nierzadko o wykorzystywaniu ciężkiego położenia przesiedleńców przez wielu polskich gospodarzy. Widząc, że przybyłym brakuje niemal wszystkiego i dlatego zgodzą się na pracę na każdych warunkach, wynagradzano ich minimalnie. Sprawa ta nie ulegała zapomnieniu i uczyniła wiele złego dla stosunków między obydwoma narodowościami. Dochodziło również do bojkotowania Ukraińców w miejscach publicznych. Zważmy, iż w zasadzie nie było wyjścia satysfakcjonującego polskich współmieszkańców; w licznych raportach pojawia się zdumienie — jak ci ludzie mają czelność otwarcie przyznawać się do ukraińskości i na dodatek nie chcą mówić po polsku. Takie zachowania starano się tępić, donoszono o nich władzom, a w najlepszym razie ograniczano się do werbalnego ostracyzmu wyrażającego się w używaniu określeń: „banderowcy”, „Ukraińcy” (co w źródłach bynajmniej nie niesie neutralnej informacji), czy wprost „mordercy”. Natomiast kiedy pochodzenie etniczne ukrywano lub wypierano się go, okazywało się to równie podejrzane, gdyż dowodziło nieczystych intencji.

Obserwowano, że ludność ukraińska o wiele łatwiej nawiązuje kontakt z Niemcami czy też z nękanymi akcjami weryfikacyjnymi autochtonami. To również obracano przeciwko niej, choć szukanie zbliżenia z innymi izolowanymi grupami jest całkowicie zrozumiałe.

Władze zupełnie pomijały kwestię pozamaterialnych potrzeb ludności ukraińskiej. Nie było to dziełem przypadku. W pierwszych latach bardzo konsekwentnie realizowano politykę asymilacyjną, nie dopuszczając do jakiegokolwiek organizowania się przesiedleńców z akcji „W”. Mamy tu zresztą do czynienia ze swoistym paradoksem. Oprócz terytorialnego rozproszenia asymilacji niewątpliwie sprzyja wspólna praca, działalność w różnego rodzaju organizacjach, słowem pełne włączenie się danej zbiorowości w ogólne życie społeczne. Chociaż w dyrektywach napływających z urzędów ministerialnych momenty te eksponowano, to częstokroć władze lokalne działały stopująco. Jeśli będziemy mieć w pamięci panującą wokół przybyszów aurę podejrzliwości, to stanie się jasne, iż obawiano się napływu potencjalnych „destrukcjonistów”. Dlatego np. partie polityczne zajmowały negatywne stanowisko w sprawie przyjmowania nowych członków wywodzących się spośród ludności ukraińskiej (inna rzecz, że

---

163. Za: K. Pudło, *Łemkowie. Proces wrastania w środowisko Dolnego Śląska 1947–85*, Wrocław 1987, s. 59–60.

chętnych nie było zbyt wielu). O ile ten kierunek „pracy wyradawiającej” nie był doceniany przez administrację terenową, to z reguły pilnie stosowała się ona do wytycznych nakazujących torpedowanie wszelkich usiłowań zmierzających do tworzenia szkolnictwa narodowego czy zapewnienia swobodnego wyznawania wiary.

Trafnie rozpoznano, że największym „zagrożeniem” jest inteligencja. Warstwa ta stanowiła co prawda tylko około 2% ogółu przesiedlonych, ale przypisywano jej znaczące wpływy. W planie działań GO „Wisła” zaznaczono wybitną rolę inteligencji w inspirowaniu i wspomaganiu podziemia. Najniebezpieczniejszy wydawał się władzom kler greckokatolicki. Ponieważ domyślano się, że dzięki kontaktom towarzyskim i zawodowym z Polakami inteligenci będą mogli lepiej się zakonspirować, zalecono przygotowanie oddzielnych, niezwykle starannych spisów osób wykształconych i wysiedlenie bezwzględnie każdej z nich. Etapem pośrednim dla wielu był obóz pracy w Jaworznie. Na Ziemiach Odzyskanych poddano tę kategorię przesiedleńców szczególnie ścisłemu nadzorowi: osiedlano w oddaleniu od gromad zamieszkiwanych przez innych osadników z akcji „Wisła”, uniemożliwiano pracę na stanowiskach odpowiadających posiadanym przez tych Ukraińców kwalifikacjom.

Oświata ukraińska przeżywająca swój rozkwit za czasów okupacji niemieckiej stopniowo ulegała likwidacji. Motywowano to masowymi wyjazdami Ukraińców do ZSSR. Na Ziemiach Odzyskanych zabroniono otwierania szkół ukraińskich stwierdzając, że:

„Ludność ukraińska jest rozproszona wśród ludności polskiej i w zasadzie w dużej mniejszości nie istnieje. Nie ma w tej chwili kwestii tworzenia szkół ukraińskich. Młodzież ukraińska zna język polski i z początkiem roku szkolnego pójdzie do szkół polskich<sup>164</sup>”.

Cel takiego postępowania sformułowano jasno:

„Natychmiast musimy przystąpić do wychowania młodzieży, którą w dość szybkim czasie można by wychować na przyszłych obywateli<sup>165</sup>”.

Cytowany dokument zawiera jeszcze następującą konstatację:

---

164. CAW Sztab Gen. IV.111.511 „Sprawozdanie z przeprowadzonej kontroli zasiedlenia ludności ukraińskiej na Ziemiach Odzyskanych w ramach akcji 'W', 24.VII.1947, k. 36.

165. CAW Sztab Gen. IV.111.511 Notatka Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku, 16.VII.1947, k. 123.

„Stare pokolenie uważam za stracone i winno być ono pozostawione samo sobie, przez dłuższy czas pod obserwacją<sup>166</sup>”.

Ludność usiłowała protestować: czasami odmawiano posyłania dzieci do polskich szkół, pisano prośby o zezwolenie na zorganizowanie własnych placówek. Jednak do 1952 roku nic się nie zmieniło i przez kilka lat nie istniały żadne oficjalne możliwości nauki języka i dziejów ojczystych. Ukraińców i Łemków skazano na — tak dobrze Polakom znane — nauczanie domowe.

Rozpatrując tę sprawę zwróćmy także uwagę na bardziej ogólne tendencje ujawniające się w wystąpieniach polityków, w artykułach prasowych. Silnie wówczas akcentowano potrzebę duchowego zintegrowania Ziemi Zachodnich i Północnych z resztą kraju i wyraźnie dążono do maksymalnego przyspieszenia tego procesu. Oto charakterystyczny fragment z przemówienia W. Gomułki:

„Nie można mówić na serio o zespoleniu Ziemi Odzyskanych z macierzą, jeżeli nie zespolimy naszej kultury, naszego ducha narodowego z tym okresem historycznym, który nam wrócił na te ziemie (...) Zespolenie w jedną całość wszystkich ziem państwa polskiego wymaga, aby macierz połączyła się ze swoimi Ziemiami Odzyskanymi. A to nie jest już problem zaludnienia i zagospodarowania Ziemi Odzyskanych. Jest to problem odrodzenia kultury polskiej (...) Bez żywego tętna życia kulturalnego, które obejmowałoby całą ludność tych ziem, proces ich zespolenia z resztą kraju będzie się opóźniał. Można powiedzieć, że tempo tego procesu jest ściśle uzależnione od tempa rozwoju życia kulturalnego<sup>167</sup>”.

Nurt unifikacyjny jest widoczny. Oczywiście przede wszystkim chodzi tu o zduszenie wszystkiego, co mogłoby kojarzyć się z niemiecką przeszłością, ale chęć absolutnego ujednoczenia szła dalej. Mówiliśmy o kulturalnym skrępowaniu mniejszości ukraińskiej, ale do 1956 roku (a praktycznie do lat 60-tych), nie zezwalano na zakładanie polskich regionalnych towarzystw społeczno-kulturalnych, a instytucje już działające zamykano: np. Towarzystwo Miłośników Ziemi Kłodzkiej, Instytut Śląski w Katowicach.

Według przybliżonych obliczeń około 30 % ludności generalnie zaliczanej do ukraińskiej wyznawało prawosławie, 70 % zaś katolicyzm w obrządku wschodnim. W 1948 roku prawosławni

---

166. CAW Sztab Gen. IV.111.511 *Notatka Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku, 16.VII.1947*, k. 124.

167. W. Gomułka, „Dajcie narodowi kulturę wyrosłą z rzeczywistości” — przemówienie wygłoszone 9.VI.1946 r. we Wrocławiu, „Głos Ludu”, 16.VI.1946.

posiadali na Ziemiach Odzyskanych 2 kościoły, 3 kaplice i 2 domy mieszkalne<sup>168</sup>. Nie było to wiele, ale Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny zyskał przynajmniej możliwość legalnego — co nie znaczy, że wolnego od przeszkód i ograniczeń — działania. Sytuacja grekokatolików przedstawiała się znacznie gorzej. Władze państwowe odmówiły uznania tego obrządku powołując się na fakt pozostania większości jego wyznawców na terenach przyłączonych do ZSSR tudzież na wysiedlenie z Polski dalszych kilkuset tysięcy. Argumentowano również, że w Polsce północno-zachodniej nie ma wystarczającej liczby duchownych dla stworzenia odrębnej hierarchii. W 1948 roku na Ziemiach Odzyskanych istniała 1 kaplica i 1 cmentarz grekokatolicki<sup>169</sup>. Prośby o zezwolenia na budowę cerkwi załatwiano odmownie. Duchowni grekokatolicy odprawiali więc zamknięte nabożeństwa w prywatnych mieszkaniach lub świątyniach katolickich, w tajemnicy udzielali sakramentów i kontaktowali się z wyznawcami. W swojej działalności księża ci często korzystali z pomocy Kościoła katolickiego, co zapewne wiązało się z formalnym poruczeniem jego opiece grekokatolików (prymas nosił tytuł „ordynariusza Kościoła grekokatolickiego i ormiańskiego”). Rozsądna i wyważona postawa księży katolickich mogła kształtować opinię i łagodzić zdarzające się zatargi na tle religijnym. Grekokatolików i prawosławnych traktowano bowiem podejrzliwie jako tych, „co to wierzą inaczej” i „obchodzą ruskie święta”. Gdy bywało, że ujawniony konflikt jeszcze podsycano z ambony, władze kościelne reagowały zwykle przeniesieniem księdza, który nie potrafił właściwie ocenić sytuacji.

Ostatnim problemem, któremu poświęcimy nieco miejsca — a wypadnie jeszcze do niego nawiązać — jest zagadnienie powrotów w rodzinne strony. Największe nasilenie interwencji w tej sprawie przypadło na pierwsze lata osadnictwa. W podaniach wysyłanych do różnych instytucji petenci często powoływali się na zasługi wojenne, przyznawanie się do polskości w czasie okupacji. Podkreślali, że zaliczali się do lojalnych obywateli płacących podatki, a ich stosunki z Polakami układały się dobrze. Niektórzy deklarowali szczególną sympatię dla Polski Demokratycznej i obowiązującego ustroju, inni usiłowali przekonać decydentów o niesłuszności swego wysiedlenia:

„Przesiedlenie nasze spowodowane zostało albo przez pomyłkę, albo przez jakąś złość. Jesteśmy ludźmi spokojnymi, którzy nigdy nie mieli naj-

---

168. AAN MAP 50 „Mienie kościelne na Ziemiach Odzyskanych w 1948 roku w/g wyznań”, k. 236.

169. AAN MAP 50 „Mienie kościelne na Ziemiach Odzyskanych w 1948 roku w/g wyznań”, k. 236.

mniejszej styczości z jakimikolwiek ludźmi podejrzanymi lub bandami, jesteście zagrożeni w swojej pracy na roli<sup>170</sup>”.

Do powrotu skłaniają zwykle trudności w zagospodarowaniu się — stan gospodarstw, miejscowa gleba, niekorzystny klimat, brak odpowiedniego inwentarza („nasze małe konie i krowy zupełnie się do tego nie nadają<sup>171</sup>”). Szczególnie dramatyczne było położenie ludzi starych, często chorych i samotnych, nie mających sił, by zaczynać życie od nowa. Oni byli najsilniej związani emocjonalnie z dawnymi miejscami. Większość z nich nigdy nie poczuła się na Ziemiach Odzyskanych jak w swej „małej ojczyźnie”: np. mimo zamieszkiwania kilkanaście kilometrów od morza nie wybierano się, aby je zobaczyć. Przeniesieni w odmienne otoczenie załamywali się, poddawali smutkowi i apatii. Ta kategoria wieku miała poważne kłopoty z aklimatyzacją: narzekano na dolegliwości reumatyczne, choroby dróg oddechowych i serca. Prośby kierowane przez takie osoby sprawiają przejmujące wrażenie. Dla przykładu przywołajmy jeden konkretny przykład: mieszkaniec woj. olsztyńskiego chciał wraz z żoną powrócić do wioski w powiecie Biała Podlaska. Nie był w stanie zagospodarować przyznanej mu ziemi, wyremontować domu. W ciągu półtora roku wysłał 27 podań do Prezydium Rady Ministrów, MAP-u, MBP i prezydenta. Ciągłe na nowo niewprawną ręką, borykając się z gramatyką i ortografią, opisywał swoją prostą historię. W połowie 1950 roku otrzymał ostateczną, odmowną odpowiedź.

Kiedy proszącym zarzucano tendencyjną interpretację starali się oni o udokumentowanie prawdziwości swoich słów. Do podań dołączali czasem po kilkanaście załączników — opinie ze starego i nowego miejsca pobytu wydane przez administrację, MO, partie polityczne, poświadczenia sąsiadów, nieraz osobiste dokumenty. Jednak pozwoleń udzielano tylko wyjątkowo. Nawet poparcie prezydenta nie zamykało ostatecznie sprawy. Decydujący głos należał do MBP.

Władze przede wszystkim obawiały się sporów o gospodarstwa. Powroty natychmiast wzburzyłyby tych, którzy zajęli ziemię poukraińską. Ewentualne, precedensowe przyznanie dawnym właścicielom prawa pierwszeństwa spowodowałoby lawinę podań. Często jednak pozytywna decyzja nie niosła za sobą zagrożenia niczyich interesów, a mimo to nie wydawano jej. Dzięki korespondencji dawni posiadacze dobrze orientowali się, co się dzieje z ich gospodarstwami. Nierzadko wysuwano istotny argument: pozostają one wolne i popadają w ruinę.

---

170. AAN MAP 782 *Podanie J. i B. Kochan do MAP, XII.1948*, k. 160.

171. AAN MAP 781 *Prośba o zezwolenie na powrót*, k. 63

W wyniku akcji „Wisła” w trzech województwach południowo-wschodnich zwolniło się około 150 tys. ha dotychczas uprawianej ziemi<sup>172</sup>. Część gruntów przekazano na upelnorolnienie, część na zalesienie. Gros ziemi chciano jednak objąć polskim osadnictwem. Początkowo decydujące rozstrzygnięcia nie były możliwe, gdyż nie istniały stosowne regulacje prawne. W czerwcu 1947 roku ukazało się tymczasowe zarządzenie Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych mówiące o wydzierżawieniu gospodarstw poukraińskich. Dopiero dekret z 27 lipca 1949 roku „O przejęciu na własność państwa nie pozostających w faktycznym władaniu właścicieli nieruchomości ziemskich położonych w niektórych powiatach województw białostockiego, lubelskiego, rzeszowskiego i krakowskiego” ostatecznie wyjaśnił tę kwestię. Akcja osiedleńcza nie osiągnęła jednak szerszych rozmiarów. Do końca 1947 roku w woj. rzeszowskim osiedliło się 39 tys. osób. A. Maryański podaje, iż do 1956 roku na terenie Bieszczad pozostawało 70 całkowicie opuszczonych wsi zajmujących obszar 1,5 tys. km<sup>2</sup><sup>173</sup>.

## ZAKOŃCZENIE

Pierwszy sygnał zmian w postrzeganiu kwestii ukraińskiej stanowiła uchwała KC PZPR z kwietnia 1952 roku<sup>174</sup>. Oprócz decyzji o umorzeniu zaległości w spłatach pożyczek na zasiewy i przypomnienia o konieczności regulacji spraw majątkowych przynosiła ona także postanowienie o dopuszczeniu Ukraińców do prac w radach narodowych, co oznaczało dążność do włączenia tej grupy w ogólne życie społeczne. Chociaż jednak KC PZPR w liście otwartym do organizacji partyjnych z czerwca 1955 roku nakazał sprawniejszą realizację wytycznych z 1952 roku<sup>175</sup>, to istotniejsze przemiany przyniósł dopiero szeroko rozumiany Październik 1956 roku. Już na VII Plenum KC (lipiec 1956) poddano krytyce postawy szowinistyczne i nacjonalistyczne podkreślając równość wszystkich obywateli niezależnie od ich pochodzenia. Stanowisko to podtrzymywano w uchwałach VIII Plenum (październik 1956) i IX Plenum (maj 1957). W styczniu 1957 roku powstała Komisja KC PZPR d/s Narodowościowych (istniała do przełomu 1966/67 roku). W jedenastu

---

172. AAN MAP 780 „Plan osadnictwa na terenach województw rzeszowskiego i lubelskiego”, k. 66.

173. A. Maryański, *Migracje w świecie*, Warszawa 1984, s. 113.

174. K. Pudło, *Lemkowie. Proces wrastania w środowisko Dolnego Śląska 1947–85*, Wrocław 1987, s. 92.

175. *Tamże*.

na siedemnaście ówczesnych województw powołano jej odpowiedniki na szczeblu komitetów wojewódzkich PZPR. Na interesujące nas tematy precyzyjniej wypowiedziano się w kwietniu 1957 roku. Wynikiem rozmów z delegatami mniejszości było przygotowanie przez Sekretariat KC PZPR specjalnej uchwały. Czytamy w niej m.in.:

„Uznajemy za konieczną realizację zasad narodowego równouprawnienia, prawa do szkół z językiem ojczystym, do pełnego poszanowania i rozwijania tradycji własnych, narodowych kultur, prawa tworzenia stowarzyszeń kulturalnych, prasy w języku ojczystym itp. praw równych dla wszystkich mniejszości narodowych w Polsce<sup>176</sup>”.

W czerwcu 1957 roku, na I zjeździe Ukraińców w Warszawie powołano do życia Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne. Organizacja ta praktycznie nigdy nie zdobyła szerszego poparcia ludności ukraińskiej (np. w 1982 roku w 168 kołach skupiło się tylko około 6,5 tys. członków<sup>177</sup>). Nieufność budziła ugodowość UTSK, minimalistyczne cele i ideologiczna frazeologia. Od wewnątrz UTSK rozsadzał spór ukraińsko-łemkowski. Zakończył się on przyznaniem Łemkom reprezentacji w zarządzie, powołaniem Sekcji d/s Rozwoju Regionalnej Kultury Łemkowskiej i udostępnieniem łam tygodnika „Nasze Słowo” także autorom łemkowskim. Jednak antagonizm nie wygasł ostatecznie do dnia dzisiejszego i obejmuje nie tylko samych działaczy.

Szkolnictwo ukraińskie reaktywowano w 1952 roku, ale w pierwszym roku szkolnym nauczaniem objęto jedynie 450 chętnych<sup>178</sup>. W grudniu 1956 roku Ministerstwo Oświaty ogłosiło rozporządzenie w sprawie organizowania nauki języka ukraińskiego w szkołach. Na życzenie rodziców, przy co najmniej 7 zgłoszonych uczniach (dla innych mniejszości minimalny pułap wynosił 10 osób) szkoła polska miała zapewnić lekcje języka ukraińskiego. W większych skupiskach ludności, na wniosek rodziców, Wydziały Oświaty przystąpiły do tworzenia szkół podstawowych z ukraińskim językiem nauczania. W kilku szkołach średnich przewidywano wprowadzenie klas równoległych. Zaplanowano także powstanie odrębnych placówek z internatami dla młodzieży ukraińskiej. Stan posiadania oświaty ukraińskiej w PRL podlegał ciągłym fluktuacjom. W roku szkolnym 1960/61 funkcjonowało 9 szkół z ukraińskim jako wykładowym i prawie

---

176. *Tamże*, s. 93.

177. K. Podlaski, *Białorusini, Litwini, Ukraińcy*, Londyn 1985, s. 75.

178. S. Mauersberg, *Szkoły dla mniejszości narodowych w Polsce Ludowej*, w: *Z badań nad organizacją szkolnictwa*, „Materiały i Studia”, 1970, nr 3, s. 196.



150 szkół z ukraińskim jako jednym z przedmiotów. Naukę pobierało wówczas łącznie około 3 tys. uczniów<sup>179</sup>. Był to moment największego rozkwitu szkolnictwa ukraińskiego. Przez cały czas bardzo poważnie odczuwano brak podręczników i odpowiednio przygotowanych kadr. Ratowano się zatrudnianiem nauczycieli niezawodowych, gdyż absolwenci filologii ukraińskiej w studium nauczycielskim w Szczecinie lub klas równoległych w liceum pedagogicznym w Bartoszycach nie zawsze podejmowali pracę w zawodzie, a ich liczba — przy potrzebach diaspory — i tak była zbyt niska.

Cytowany wyżej dokument partyjny dawał również potencjalną szansę rozwoju ruchu wydawniczego i nadzieję na możliwość kultywowania własnej odmienności kulturowej; rozpoczęto wydawanie „Naszego Słowa” (o tygodniowym nakładzie 8-12 tys. egz.), rocznika „Ukraiński kalendarz” (10 tys. egz.); w kilku regionalnych rozgłośniach radiowych rozpoczęto nadawanie cyklicznych audycji w języku ukraińskim. Tam, gdzie zaistniały w miarę ku temu sprzyjające warunki powstawały amatorskie zespoły artystyczne (liczba chórów, grup dramatycznych i różnych zespołów folklorystycznych nigdy nie przekroczyła kilkadziesiątu w skali kraju), zorganizowano kilka festiwali ukraińskiej muzyki i pieśni. Jednak w zestawieniu z rzeczywistymi potrzebami 200-300 tysięcznej mniejszości nie było to wiele. Musimy zdać sobie sprawę z ograniczeń, których twórcami były z jednej strony władze, z drugiej — sami Ukraińcy. W latach 1956-57 zagadnienia ukraińskie wprawdzie zostały odblokowane, ale w zwężonym zakresie. W wielu artykułach publikowanych w tym okresie przypomniano o obecności Ukraińców, pracowano nad likwidacją wzajemnych uraz i propagowano wizję rychłej, zgodnej koegzystencji Polaków i Ukraińców. Władze zachowywały jednak czujność i ściśle zakreśliły ramy dopuszczalnej aktywności. W zupełności zadowalano się działalnością w znacznej części fasadową, a wszelkie próby autentycznych inicjatyw oddolnych utracano. U przeciwnej strony dużą rolę odgrywały bariery psychologiczne. Większość Ukraińców niechętnie odnosiła się do ewentualności ujawnienia swego pochodzenia narodowego. Po latach, które upłynęły od przesiedlenia, stosunki polsko-ukraińskie zostały już ustalone w każdej konkretnej miejscowości. Otwieranie szkół i punktów nauczania języka ukraińskiego, tworzenie terenowych kół UTSK czy parafii prawosławnych mogło naruszać nie zawsze jeszcze stabilną równowagę. Odradzały się dawne obawy i uprzedzenia. Wielu wołało

---

179. M. Wierzbicki, *Awans społeczno-kulturalny ludności ukraińskiej w PRL po 1956 roku*, „Lud”, 1974, s. 18.

zrezygnować z nagle otwierających się możliwości na rzecz zachowania poprawnych kontaktów z sąsiadami.

W 1956 roku zniesiono ograniczenia meldunkowe, a od kwietnia 1957 roku pojawiła się szansa na powroty do południowo-wschodniej Polski. Warunkiem miało być uprzednie stwierdzenie przez przedstawicieli władz, że dawne gospodarstwo pozostaje wolne, lub że nie jest ono wykorzystywane w sposób właściwy. Ci, których domy i pola miały nowych właścicieli mogli próbować je wykupić albo nabyć ziemię w pobliżu. Powracający, którym jeszcze nie przyznano zaległych rekompensat otrzymywali grunty bezpłatnie. Pozostali musieli zapłacić, ale zachęcająco ustalano ceny niższe od obowiązujących w całym kraju. Stworzona na przełomie 1957/58 roku komisja rządowa miała nadzorować przebieg akcji. Falę napływu odnotowano w latach 1957-58. Powróciło około 5 tys. rodzin ukraińskich<sup>180</sup>, z czego znaczna część nie wystąpiła w ogóle o aprobatę władz. Taki scenariusz przewidywano i, dążąc do zachowania kontroli, manewrowano obietnicami pomocy finansowej, której przybywający „na dziko” mieli zostać pozbawieni. Chodziło tu o przyznawanie pożyczek umarzalnych, ulg podatkowych na 3 lata i pierwszeństwo w zakupie materiałów budowlanych.

Szacunkowe obliczenia liczby podań o zezwolenie na powrót i zwrot własności wahają się od 8 do 15 tys.<sup>181</sup>. Każdy przypadek rozpatrywano i udzielano odpowiedzi, która nie musiała być wynikiem rzetelnego oglądu sprawy. Szczególną niechęć do całego przedsięwzięcia wykazywały władze powiatowe tam, gdzie spodziewano się przybycia dawnych mieszkańców. Na przykład w powiatach Nowy Sącz i Nowy Targ wydano formalny zakaz meldowania Łemków i Cyganów, który obowiązywał jeszcze w 1981 roku. Zdarzało się, że wydane już zezwolenia cofano, a przyjeżdżających ponownie wysiedlano na Ziemię Zachodnie i Północne. Czasem informowano fałszywie, innym razem usilnie starano się o szybkie sprowadzanie polskiego osadnika, by móc umotywić odmowną odpowiedź. Czasem przeszkodą w powrocie stawał się okólnik Ministerstwa Rolnictwa z 18 października 1957 roku zabraniający oddawania gospodarstw włączonych do Państwowego Funduszu Ziemi.

Zatrzymaniu części niezdecydowanych osób na Ziemach Odzyskanych miała służyć uchwała Prezydium Rządu jeszcze z czerwca 1956 roku o pożyczkach bezzwrotnych oraz uchwała

---

180. K. Pudło, *Łemkowie. Proces wrastania w środowisko Dolnego Śląska 1947-85*, Wrocław 1987, s. 167.

181. Por: A. Sław, *O kwestii ukraińskiej w Polsce*, „Nowe Drogi”, 1958, nr 8, s. 57 oraz tekst deklaracji Tymczasowego Komitetu Społeczno-Oświatowego Rusinów-Łemków w Polsce w: „Spotkania”, 1980, nr 12-13.

Rady Ministrów z grudnia 1958 roku o korzystnym kredytowaniu (z możliwością umorzenia do 75 % pobranej sumy). Dla osiedleńców z akcji „Wisła”, którzy już się zagospodarowali niejednokrotnie inwestując własne środki pieniężne, była to okazja do polepszenia swojej sytuacji materialnej i czynnik ten musiał mieć pewne znaczenie.

Mimo ograniczonego zasięgu całej akcji hasło „Ukraińcy wracają” budziło niepokoje wśród ludności polskiej. Dla wzburzenia Polaków wystarczało pojawienie się jednej lub kilku rodzin ukraińskich czy łemkowskich. Jak gorzko zauważył jeden z dziennikarzy: „W Polsce granice internacjonalizmu przebiegają przez miasta wojewódzkie, niżej ich nie szukaj”. Choć i to wysoce problematyczne, na pewno „w terenie” stosunki były najbardziej napięte. Konstatacje owego reportażysty nie skłaniały do optymizmu. Jego zdaniem, tak naprawdę, mimo przemian nawet „władze centralne nie posiadają wyrobionego, jednolitego i obliczonego na dłuższy okres czasu poglądu na politykę narodowościową (...) brak nam koncepcji, czyli syntezy dwóch poglądów — polskiego i ukraińskiego<sup>182</sup>”. Tej koncepcji władze Polski Ludowej nie dopracowały się nigdy.

Sami Ukraińcy nie byli zadowoleni z rozmiarów przekształceń, chociaż niewątpliwie ich położenie uległo pewnej poprawie. Jednak ustępstwa poczynione przez władze ominęły fakty najboleśniej i najistotniejsze — decyzje z 1947, 1949 i 1958 roku<sup>183</sup> utrzymano w mocy. Przedstawiane w następnych latach postulaty przemijały bez echa. Latami walczono na przykład o cerkwie niszczone na Rzeszowszczyźnie. Do 1982 roku przestało tam istnieć ponad 180 obiektów spośród 529 w 1939 roku, a tylko kilkanaście z nich zostało zniszczonych podczas działań wojennych prowadzonych faktycznie nie na tym obszarze do 1947<sup>184</sup>. Gdy nie tylko środowiska ukraińskie, ale także historycy sztuki i konserwatorzy starali się coś ocalić z dawnej kultury materialnej tych okolic, władze konsekwentnie dążyły do jej zatarcia — w 1977 roku zmieniono ponad 100 starych nazw na Łemkowszczyźnie. Kolejną próbę Ukraińcy podjęli w roku 1980. Doszło do rozmów między UTSK a przedstawicielami Wydziału Administracyjnego KC PZPR, podczas których dyskutowano

182. S. Stanuch, *1000 km szowinizmu*, „Życie Literackie”, 22.IX.1957.

183. W marcu 1958 roku Sejm podjął decyzję o zakończeniu regulacji spraw majątkowych. Ci, którzy odmówili przyjęcia aktu nadania lub zaniedbali tę sprawę tracili prawo do bezpłatnego otrzymania ziemi w ramach ekwiwalentu za gospodarstwo pozostawione w Polsce południowo-wschodniej.

184. R. Brykowski, *Zabytkowe cerkwie*, „Architektura”, 1983, nr 5, s. 52–58.

problemy oświaty, cenzury, konserwacji zabytków, zmiany struktury organizacyjnej i rozszerzenia zakresu działalności UTSK. Efektem były tylko mgliste obietnice.

Do niedawna przesiedleńczy aspekt akcji „W” znajdował wielu obrońców. Dowodząc politycznej słuszności przyjętego rozwiązania powtarzano argumenty o niemożności skutecznego przeprowadzenia akcji militarnej przy obecności ludności cywilnej. Niezbędność operacji wojskowej uznano za pewnik wskazując na destabilizację i straty ponoszone przez ludność polską. Tymczasem nawet z zestawienia oficjalnych danych wynika, iż w latach 1944-47 ofiarami UPA padło 2139 osób (997 żołnierzy, 603 funkcjonariuszy UBP, MO i ORMÓ, 599 osób cywilnych). Natomiast w nieco krótszym okresie od czerwca 1945 do lipca 1947 zginęło 3392 Ukraińców (około 1000 należało do UPA, a reszta podobno do OUN i SKW)<sup>185</sup>.

Oczywiście trudno jest — mimo wszystko — podejmować polemikę na temat politycznego sensu akcji „Wisła”, a to z tej prostej przyczyny, że realizacja jednego z możliwych wariantów nie daje już szansy sprawdzenia pozostałych, co czyni dyskusję bezprzedmiotową. Nie ulega wszakże wątpliwości, iż wykroczone przeciwko uznanym przez świat normom moralnym. Co prawda wojna wstrząsnęła obowiązującym systemem wartości, ale tym silniej zaznaczył się ruch na rzecz odbudowy etycznego porządku. Odmówienie komukolwiek prawa do stosowania zasady odpowiedzialności zbiorowej — tak zrozumiałe w świetle wydarzeń wojennych — zderzyło się z kolejnym jej wykorzystaniem. Niezależnie od intencji przesiedleńcu towarzyszyła przemoc, poniżanie godności ludzkiej. O losach tysięcy ludzi zdecydowano wbrew ich woli i trudno się dziwić, że mimo zmian pokoleniowych i upływających lat ciągle żywa jest wśród Ukraińców pamięć o opisywanych w tej pracy wydarzeniach. W tym kontekście nie przekonuje dowodzenie, iż przesiedleńcy tylko zyskali na przeprowadzce — osiedlili się na ziemiach znajdujących się na wyższym stopniu rozwoju cywilizacyjnego, otworzyły się przed nimi możliwości grupowego i indywidualnego awansu. Subiektywne odczucia mają w tym wypadku większe znaczenie niż obiektywne uwarunkowania.

Pewną satysfakcją moralną mogła stać się dla społeczności ukraińskiej w Polsce uchwała Senatu RP z 3 sierpnia 1990 roku

---

185. E. Misiło, *Deportacje. Obóz w Jaworznie*, „Tygodnik Powszechny”, 21.III.1990.

zawierająca potępienie akcji „Wisła” i zapowiedź naprawienia krzywd powstałych w jej wyniku. Musimy jednak pamiętać — nie odmawiając symbolicznej wagi powyższemu aktowi — że uchwała nie zmieniła i zmienić nie mogła stosunków między społecznościami polską i ukraińską. Na pewno stanowiła ważny krok na drodze ku wzajemnemu zrozumieniu, bliższemu poznaniu, ale późniejsze wydarzenia — choćby spór o kościół w Przemyślu w 1991 roku — usprawiedliwiają obawy, iż droga ta jest jeszcze daleka.

„Spotykałem czasem w życiu Ukraińców, ale bardzo rzadko, tak rzadko, że można rzec, iż w ogóle ich nie spotykałem. I wiem dlaczego nie mogłem ich często spotykać. Bo oni są i zarazem ich u nas nie ma. Coś się stało między nimi a nami. I to wszystko legło milczkiem niczym góra lodu<sup>186</sup>”.

Aldona CHOJNOWSKA

## SPIS WYKORZYSTANYCH ŹRÓDEŁ I OPRACOWAŃ

### I. ŹRÓDŁA

#### 1. Archiwum Akt Nowych — Warszawa

Ministerstwo Administracji Publicznej: 780, 781, 782, 783, 1040, 1047.

Ministerstwo Ziem Odzyskanych: 50, 784, 785, 786, 787, 788, 789, 790, 791, 792, 793, 1032, 1662, 1665, 1668, 1669, 1670, 1673.

#### 2. Archiwum Akt Nowych, VI Oddział — Warszawa

Komitet Centralny Polskiej Partii Robotniczej: 295.V.3; 4. 295.VII.168; 181; 182; 184; 186; 191; 199; 200; 201. 295.IX.410. 295.X.83. 295.XII.140; 143.

#### 3. Centralne Archiwum Wojskowe — Rembertów

Sztab Generalny: IV.111.75; 77; 439; 511; 512; 513; 615; 630; 643; 644; 675.

Główny Zarząd Polityczno-Wychowawczy: IV.112.243; 290.

9 Dywizja Piechoty: IV.310.09.44; 58; 62; 73; 78; 79.

3 Dywizja Piechoty: IV.310.03.51; 60; 68; 128; 155.

2 Dywizja Piechoty: IV.310.02.62.

---

186. T. Konwicki, *Kalendarz i klepsydra*, Warszawa 1989, s. 105–106.

## II. OPRACOWANIA

Banasiak S., *Działalność osadnicza Państwowego Urzędu Repatriacyjnego na Ziemiach Odzyskanych w latach 1945-47*, Poznań 1963.

Bar N., Załęski A., *Wojna straconych nadziei. Ukraiński ruch niepodległościowy w latach 1939-45*, „Krytyka”, 1984, nr 17.

Blum I., *Udział Wojska Polskiego w walce o utrwalenie władzy ludowej. Walki z bandami UPA*, „Wojskowy Przegląd Historyczny”, 1959, nr 1.

Brykowski R., *Krzyże Łemków*, „Tygodnik Powszechny”, 7.X.1984.

Brykowski R., *Zabytkowe cerkwie*, „Architektura”, 1983, nr 5.

Burszta J., Jasiewicz Z., *Zderzenie kultur na Ziemiach Zachodnich i Północnych w świetle materiałów ze wsi koszański*, „Polska Sztuka Ludowa”, 1962, nr 4.

Chojnowski A., *Koncepcje polityki narodowościowej rządów polskich w latach 1921-39*, Wrocław 1979.

Czerniakiewicz J., *Repatriacja ludności polskiej z ZSRR 1944-48*, Warszawa 1987.

Dulczewski Z., Golczewski K., Kersten K., *Przeobrażenia społeczne na Pomorzu Zachodnim w latach 1945-47*, Poznań 1964.

Dziurzyński P., *Akcja przesiedleńcza województwa krakowskiego na Ziemiach Odzyskane w latach 1945-48*, „Studia Historyczne”, 1963, nr 3.

Dziurzyński P., *Osadnictwo grupowe na Pomorzu Zachodnim w latach 1946-48*, „Przegląd Zachodni”, 1966.

Dziurzyński P., *Osadnictwo rolne na Ziemiach Odzyskanych*, Warszawa 1983.

Gerhard J., *Dalsze szczegóły walk z bandami UPA i WiN na południowo-wschodnim obszarze Polski*, „Wojskowy Przegląd Historyczny”, 1959, nr 4.

Heydenkorn B., *Aktywizacja mniejszości ukraińskiej w Polsce*, „Kultura”, 1981, nr 7.

Iwanicki M., *Oświata i szkolnictwo ukraińskie w Polsce w latach 1918-1939*, Siedlce 1975.

Kersten K., *Kształtowanie stosunków ludnościowych*, w: *Polska Ludowa 1944-50. Przemiany społeczne*, praca zbiorowa pod red. F. Ryszki, Wrocław 1974.

Kersten K., *Ludzie na drogach. O przesiedleniach ludności w Polsce 1939-48*, „Res Publica”, 1987, nr 4.

Kersten K., *Między państwami przesiedlenia ludności w XX wieku*, „Kwartalnik Historyczny”, 1966, nr 1.

Kersten K., *Polska — państwo narodowe. Dylematy i rzeczywistość*, w: *Narody. Jak powstawały i wybijały się na niepodległość*, Warszawa 1989.

Kersten K., *Przemiany struktury narodowościowej Polski po II wojnie światowej. Geneza i wyniki*, „Kwartalnik Historyczny”, 1969, nr 2.

Kozłowski M., *Łemkowie*, „Tygodnik Solidarność”, 14.VIII.1981.

Kozłowski M., *Między Sanem a Zbruczem. Walki o Lwów i Galicję Wschodnią 1918-19*, Kraków 1990.

Kwilecki A., *Fragmety najnowszej historii Łemków*, w: *Materiały szkoleniowe SKPB* pod red. P. Lubońskiego, Warszawa 1984.

Kwilecki A., *Grupa Łemków na Ziemiach Zachodnich. Szkic socjograficzny*, w: *Tworzenie się nowego społeczeństwa na Ziemiach Zachodnich. Szkice*

i materiały z badań socjologicznych w woj. zielonogórskim, praca zbiorowa pod red. Z. Dulczewskiego, Poznań 1961.

Kwilecki A., *Kształtowanie się nowego społeczeństwa na Ziemiach Zachodnich*, „Przegląd Zachodni”, 1965, nr 5.

Kwilecki A., *Liczebność i rozmieszczenie grup mniejszości narodowych na Ziemiach Zachodnich*, „Przegląd Zachodni”, 1964, nr 4.

Kwilecki A., *Łemkowie. Zagadnienie migracji i asymilacji*, Warszawa 1979.

Lovell J., *Polska, jakiej nie znamy*, Kraków 1970.

Lovell J., *Ukraiński kompleks*, „Życie Literackie”, 13.III.1966; 20.III.1966.

Lubart-Krzysica J., *U Łemków na Łemkowynie*, „Życie Literackie”, 2.VIII.1984.

Łukasiewicz B., *O nową Polskę. Z dziejów aparatu bezpieczeństwa i porządku publicznego na Warmii i Mazurach 1945-50*, Olsztyn 1989.

Łukaszewicz G., *Wokół genezy i przebiegu akcji „Wisła”*, „Dzieje Najnowsze”, 1974, nr 4.

Malinowski M., *Działalność społeczno-kulturalna jako czynnik integracji i adaptacji ludności Ziemi Kłodzkiej*, w: *Nad Odrą i Nysą Łużycką 1945-70. Materiały z sesji naukowej poświęconej XXV rocznicy powrotu Dolnego Śląska do Macierzy*, Wrocław 1971.

Mauersberg S., *Szkoły dla mniejszości narodowych w Polsce Ludowej*, w: *Z badań nad organizacją szkolnictwa*, „Materiały i Studia”, 1970, nr 3.

Misiło E., *Akcja „Wisła”*, „Mówią wieki”, 1991, nr 3.

Misiło E., *Deportacje. Obóz w Jaworznie*, „Tygodnik Powszechny”, 21.III.1990.

Misiło E., *Jaworzno*, „Kontakt”, 1990, nr 4.

Misiło E., *Ukrainoznawcza sesja naukowa w Lublinie*, „Kwartalnik Historyczny”, 1986, nr 2.

Maryński A., *Migracje w świecie*, Warszawa 1984.

Mokry W., *Dzisiejsza droga Rusina do Polski*, „Tygodnik Powszechny”, 11.XI.1981.

Mokry W., *Gdzie jest ojczyzna. Dylematy ukraińskiej mniejszości wysiedlonej w 1947 roku*, „Res Publica”, 1989, nr 9-12.

Mokry W., *Krzyż Łemków*, „Tygodnik Powszechny”, 2.IX.1984.

Myśliński S., *Akcja zagłady*, Warszawa 1988.

Nowakowski S., *Adaptacja ludności na Śląsku Opolskim*, Poznań 1957.

Nowiński Cz., *Osadnictwo rolne na Dolnym Śląsku w latach 1945-49*, w: *Nad Odrą i Nysą Łużycką 1945-70. Materiały z sesji naukowej poświęconej XXV rocznicy powrotu Dolnego Śląska do Macierzy*, Wrocław 1971.

Papierzyńska-Turek M., *Między tradycją a rzeczywistością. Państwo wobec prawosławia 1918-39*, Warszawa 1989.

Papierzyńska-Turek M., *Sprawa ukraińska w II Rzeczypospolitej 1922-26*, Kraków 1979.

Paprocki S.J., *Kwestia ukraińska*, Londyn 1949.

Pietkiewicz S., Orlicz M., *Plan regionalny przesiedlenia osadników rolnych na Ziemiach Odzyskanych*, Kraków 1945.

Podlaski K., *Białorusini, Litwini, Ukraińcy*, Londyn 1985.

Prus E., *Atamania UPA. Tragedia kresów*, Warszawa 1988.

Pudło K., *Łemkowie na Dolnym Śląsku 1974-82*, „Rocznik Dolnośląski”, 1985.

Pudło K., *Łemkowie. Proces wrastania w środowisko Dolnego Śląska 1947-85*, Wrocław 1987.

Pudło K., *Zasiedlanie Dolnego Śląska po II wojnie światowej i prze-*

*miany kulturowo-społeczne ludności grup napływowych. Zarys problematyki*, „Rocznik Dolnośląski”, 1985.

Radziejowski J., *Ukraińcy i Polacy — kształtowanie się wzajemnego obrazu i stereotypu*, „Znak”, 1984, nr 360-361.

Sahajdaczy B., *Przyszłość stosunków polsko-ukraińskich*, „Kultura”, 1978, nr 11.

Serczyk W.A., *Historia Ukrainy*, Wrocław 1979.

Seret J., *Rząd polski w Londynie a kwestia ukraińska (1943)*, „Krytyka”, 1987, nr 26.

Skubiszewski K., *Akcja „Wisła” i prawo międzynarodowe*, „Tygodnik Powszechny”, 21.III.1990.

Ślabek H., *Wieś i rolnictwo w: Polska Ludowa 1944-50. Przemiany społeczne*, praca zbiorowa pod red. F. Ryszki, Wrocław 1974.

Ślaw A., *O kwestii ukraińskiej w Polsce*, „Nowe Drogi”, 1958, nr 8.

Sodeł H., *Walka o utrwalenie władzy ludowej na Dolnym Śląsku w latach 1945-48, w: Nad Odrą i Nysą Łużycką 1945-70. Materiały z sesji naukowej poświęconej XXV rocznicy powrotu Dolnego Śląska do Macierzy*, Wrocław 1971.

Stanuch S., *1000 kilometrów szowinizmu*, „Życie Literackie”, 22.IX.1957.

Stepek J.A., *Z dziejów kościoła obrządku greckokatolickiego*, „Spotkania”, 1980, nr 12-13.

*Stosunki polsko-ukraińskie 1917-47. Od tragedii do współpracy*, Warszawa 1990.

Szcześniak A.B., Szota W., *Droga donikąd. Działalność Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i jej likwidacja w Polsce*, Warszawa 1973.

Szcześniak A.B., *Walka przeciw ukraińskiemu nacjonalistycznemu podziemiu w Polsce w latach 1944-47, w: O utrwalenie władzy ludowej w Polsce 1944-48*, praca zbiorowa pod red. W. Góry i R. Halaby, Warszawa 1982.

Szostkiewicz A., *Tam, gdzie sięgają cerkwie*, „Kultura”, 1982, nr 1-2.

Tomaszewski J., *Rzeczpospolita wielu narodów*, Warszawa 1985.

Tomaszewski J., *Z badań nad integracją społeczną na Ziemiach Zachodnich*, „Przegląd Zachodni”, 1958, nr 2.

Torzecki R., *Kontakty polsko-ukraińskie na tle problemu ukraińskiego w polityce polskiego rządu emigracyjnego i podziemia (1939-44)*, „Dzieje Najnowsze”, 1981, nr 1-2.

Torzecki R., *Kwestia ukraińska w Polsce w latach 1923-29*, Kraków 1989.

Wasiak K., *Szkolnictwo i kultura grup narodowościowych w Polsce Ludowej*, „Przegląd Zachodniopomorski”, 1972, nr 4.

Wichrowski H., *Z walk ze zbrojnym podziemiem na Warmii, Mazurach i Powiślu 1945-48*, „Wojskowy Przegląd Historyczny”, 1982, nr 4.

Wierzbicki Z.T., *Awans społeczno-kulturalny ludności ukraińskiej w PRL po 1956 roku*, „Lud”, 1974.

Winnicki M., *Osadnictwo ludności ukraińskiej w województwie olsztyńskim*, Olsztyn 1965.

Woźniakowski K., *Mniejszości narodowe w krajobrazie kultury Polski Ludowej*, „Zdanie”, 1982, nr 2-3.

Wrześniński W., *Proces zasiedlania woj. olsztyńskiego w latach 1945-49, w: Problemy rozwoju gospodarczego i demograficznego Ziemi Zachodnich w latach 1945-48*, praca zbiorowa pod red. B. Gruchmana i J. Ziółkowskiego, Poznań 1960.

Żyromski S., *Procesy migracyjne w woj. olsztyńskim w latach 1945-49*, Olsztyn 1971.



Roman DZWONKOWSKI SAC

## KOŚCIÓŁ KATOLICKI W DAWNYM ZSSR

### *Uwagi wstępne*

Wprowadzenie ustroju komunistycznego w Rosji oraz w krajach, które w okresie międzywojennym znalazły się w obrębie ZSSR, łączyło się, bez wyjątku, z walką z Kościołem i religią w ogóle. Oznaczała ona praktycznie niszczenie wszystkich instytucji kościelnych oraz represje wobec związanych z nimi osób, a w wielkiej mierze także i eksterminację. Towarzyszyła temu prowadzona przy pomocy wszystkich możliwych środków dyskredytacja religii w świadomości wiernych, jako „opium dla ludu”. Obecnie jednym z najbardziej znamienitych przejawów upadku tego ustroju stało się odrodzenie życia religijnego w jego wymiarze indywidualnym i społecznym.

Celem niniejszego szkicu jest zwięzłe ukazanie stanu posiadania Kościoła katolickiego obrz. łac. w pierwszych latach istnienia ZSSR, a więc przed kompletnym zniszczeniem jego struktur duszpasterskich i administracyjnych w okresie międzywojennym oraz religijnych i demograficznych uwarunkowań jego współczesnego odrodzenia.

### *I. Kościół katolicki w ZSSR (1917-1991)*

Na temat losów Kościoła katolickiego w ZSSR w ciągu ubiegłych 70-ciu lat istnieje już dość bogata literatura. Ciągłe jednak pozostają one mało znane, gdyż źródłowych prac na ten

temat jest jeszcze niewiele<sup>1</sup>. Zdecydowała o tym niedostępność, jak dotychczas, najważniejszych archiwów, dotyczących Kościoła w ZSSR. Przyjęcie wymienionej w tytule daty 1991 jest uzasadnione faktem, iż w tym roku ogłoszono w ZSSR nowe prawo wyznaniowe. Zmieniło ono w sposób zasadniczy sytuację Kościoła w tym państwie, a pośrednio i w wyłaniających się zeń nowych państwach. Pominięte tu zostaną problemy Kościoła w okresie powojennym w krajach bałtyckich oraz na Białorusi i Ukrainie.

### *1. Zasięg terytorialny i struktury administracyjne Kościoła katolickiego obrz. łac. na początku lat dwudziestych*

Na początku lat dwudziestych administracja kościelna w tym państwie wyglądała następująco:

1. Archidiecezja mohylowska, obejmująca Rosję europejską i wschodnią Białoruś z 75 księżmi, 115 kościołami i 250 tys. wiernych. Administrator apostolski abp Jan Cieplak.

2. Diecezja mińska, obejmująca Białoruś centralną z 14 księżmi, 46 kościołami i 150 tys. wiernych. Ordynariusz bp Zygmunt Łoziński (od 3. VII. 1921 r. w Polsce).

Diecezja żytomierska, obejmująca Ukrainę północną z 66 księżmi, 107 kościołami i 350 tys. wiernych. Ordynariusz bp Ignacy Dub-Dubowski (od 1920 r. w Polsce).

4. Diecezja kamieniecko-podolska, obejmująca południowo-zachodnią Ukrainę z 48 księżmi, 100 kościołami i 300 tys. wiernych. Ordynariusz bp Piotr Mańkowski (od 1920 w Polsce).

5. Diecezja tyraspolska, z siedzibą w Saratowie, obejmująca Powołże i południową Ukrainę ze 100 księżmi, 90 kościołami i 300 tys. wiernych. Ordynariusz bp Józef Kessler (od 1919 r. za granicą).

6. Diecezja władystocka, obejmująca Syberię Środkową i Daleki Wschód, z 6 księżmi i 6 kościołami i 20 tys. wiernych, istniejąca od 2 II 1923 r. Ordynariusz bp Karol Śliwowski.

7. Wikariat apostolski na Syberii (istniejący od 1 XII 1921 r.) obejmujący Syberię Południową, a w niej okręgi: irkucki, omski, tomski oraz okręg taszkiencki we wschodnim Kirgistanie, z 12 księżmi, 35 kościołami i 75 tys. wiernych. Wikariusz apostolski, ks. Juliusz Groński.

---

1. Por. R. Dzwonkowski SAC. *Stan badań nad historią Kościoła i życiem religijnym katolików obrz. łacińskiego w ZSSR (1917-1990)*. W: *Mniejszości polskie i Polonia w ZSSR*. Uniwersytet Jagielloński. Instytut Badań Polonijnych. Pod red. H. Kubiaka, T. Palecznego, J. Rokickiego i M. Wawrykiewicz. Ossolineum 1992, s. 103-118.

8. Wikariat apostolski Krymu i Kaukazu z 30 księżmi, 30 kościołami i 70 tys. wiernych.

9. Administracja apostolska dla katolików obrz. ormiańskiego z 47 księżmi, 45 kościołami i 66.618 wiernymi. Adm. apostolski, ks. Emmanuel Wardzidze.

W sumie na początku lat dwudziestych było w ZSSR, według powyższych obliczeń, około 1.650 tys. wiernych, blisko 580 kościołów i parafii i pracowało w nich 397 księży<sup>2</sup>. Były metropolita mohylowski, abp Edward Ropp, oceniał jednak liczbę katolików, którzy pozostali w Związku Sowieckim na ok. 2 miliony<sup>3</sup>. Odmianą większość z nich, bo od 70 do 80 % stanowili Polacy zamieszkali, jako ludność autochtoniczna, na kresach wschodnich I Rzeczypospolitej. Na Ukrainie liczyli oni 650 tys., a na Białorusi ok. 300 tys. osób<sup>4</sup>. Niemala część była mniej lub bardziej rozproszona na ogromnych terenach wschodnich.

W wielkich miastach w Rosji i na Syberii ludność polska przed I wojną światową tworzyła większe skupiska, liczące od kilku do kilkudziesięciu tysięcy osób. W Petersburgu Polacy liczyli np. 70 tys., a w Moskwie ok. 20 tys. osób. W sumie w guberniach rosyjskich i azjatyckich mieszkało ich w tym czasie ok. 600 tys.<sup>5</sup>. Niemal w 100 % byli to katolicy. O ich postawie religijnej może świadczyć fakt, że w latach 1825-1910 Polacy zbudowali jedynie na terenie Rosji europejskiej i azjatyckiej (a więc poza granicami dzisiejszej Ukrainy i Białorusi) ponad 86 kościołów i 76 kaplic, służących bardzo rozległym parafiom i wiernym także innych narodowości. W dekanacie petersburskim znajdowało się 17 kościołów i 14 kaplic, w dekanatach moskiewskim, irkuckim, tomskim i omskim były 34 kościoły i 22 kaplice, a w Rosji europejskiej, poza dekanatem moskiewskim i poza wymienionymi dekanatami, oraz w Rosji azjatyckiej było 36 kościołów i 24 kaplice<sup>6</sup>. Istniały przy nich organizacje charytatywne, społeczno-kulturalne, a w większych miastach i szkoły, co znacznie ożywiało życie religijne.

Ludność polska w Rosji europejskiej i azjatyckiej składała się z kilku kategorii osób. Zesłańców z czasów carskich i ich

---

2. *Die römisch-katholische Kirche in der Sowjetunion, Kirche in Not/Ost-priesterhilfe*, 2. Auflage 1990. s. 19-20.

3. Liczbę 2 milionów wymieniał b. metropolita mohylowski, abp Edward Ropp. Por. *Roczniki Katolickie 1928* (Poznań), s. 526.

4. Por. M. Iwanow. *Pierwszy naród ukarany. Polacy w Związku Radzieckim 1921-1939*. Warszawa 1991, s. 82.

5. Por. Z. Łukawski. *Ludność polska w Rosji 1863-1914*. Ossolineum 1978, s. 90-91.

6. *Directorium Divini Officii et Missarum pro Achidioecesi Mohiloviensi nec non Dioecesi Minscensi in Annum 1917*. Piotrogród, s. 145-154, 180-193.

potomków, emigrantów zarobkowych pracujących w przemyśle, w miastach i na wsi, inteligencji różnych zawodów, żołnierzy z armii carskiej i innych. Po Traktacie Ryskim zawartym między Polską i ZSSR (1921), większość świeżych emigrantów wróciła do Polski. Wielu jednak pozostało. Pozostała oczywiście cała niemiecka ludność katolicka i protestancka.

Warto, choćby ogólnie, zilustrować liczebność parafii i dekanatów w Rosji europejskiej i azjatyckiej, ponieważ do dziś, pomimo głębokich wstrząsów społecznych, ma ona niemałe znaczenie w procesie ich obecnego odradzania się. Resztki dawnych parafian lub ich potomkowie pozostali bowiem na miejscu i dziś stanowią zalążek wracających do życia dawnych wspólnot religijnych. Otóż w 1916 r., do liczącego 31 parafii dekanatu petersburskiego należało 101.330 parafian, sześć parafii dekanatu moskiewskiego liczyło 31.600 wiernych, siedem parafii dekanatu irkuckiego 35.700, dziesięć parafii dekanatu tomskiego 35.770, a dwanaście parafii dekanatu omskiego 38.000 osób. Ponadto, poza dekanatem moskiewskim w 28 parafiach Rosji europejskiej było 53.845 osób. Natomiast w Rosji Azjatyckiej, łącznie z ówczesnym Turkiestanem, osiem parafii liczyło 36.940 wiernych. Dla przykładu jedynie można podać, że parafia we Władywostoku liczyła, w 1916 r., 10.440 wiernych, w Taszkencie 9.000, a w Nikolsku-Ussuryjskim 6.000 tys.<sup>7</sup> Przytłaczającą większość z nich stanowiła ludność polska. Znacznej części, rozproszonej po mniejszych ośrodkach, powyższe statystyki nie obejmowały, a niektóre parafie nie nadesłały danych.

W utworzonej w 1848 r. diecezji tyraspolskiej (z siedzibą w Saratowie), obejmującej Powołże, Krym i okręg wokół Odessy, było w 1918 r. 368.685 wiernych, w tym 114.172 Polaków (39,9 %<sup>8</sup>).

Należy dodać, że istniał ponadto, stworzony w 1917 r., liczący kilka niewielkich parafii, rosyjski egzarchat katolicki obrządku wschodniego z siedzibą w Moskwie (egzarcha Leonid Fiodorow).

## 2. Zniszczenie duszpasterskich struktur kościelnych

Rok 1917 rozpoczyna w ZSSR mający trwać 70 lat okres walki z religią i Kościołem. Jakkolwiek jej zasadniczy cel nie uległ w tym czasie zasadniczym zmianom, to jednak jej forma i metody zmieniały się, zwłaszcza po II wojnie światowej.

7. Por. *tamże*, s. 192.

8. Por. *Directorium Cultus Divini in Dioecesi Tiraspolensi anno Domini 1919*, Odessae 1919.

Dekret z 13 stycznia 1918 r. pozbawił wszystkie Kościoły i gminy religijne własności oraz osobowości prawnej, co w gruncie rzeczy stawało je poza prawem. Trudna sytuacja wewnętrzna, a głównie trwająca wojna domowa i wojna z Polską, spowodowały odłożenie na pewien czas ostrej kampanii przeciwko Kościołowi, w szczególności katolickiemu, mającej na celu ostateczną z nim rozprawę. Za jej zdecydowane rozpoczęcie można uznać pierwsze tygodnie 1922 r. W dniu 22 lutego ukazał się dekret rządowy polecający konfiskatę całego mienia cerkiewnego i kościelnego, nie wyłączając przedmiotów sakralnych codziennego użytku liturgicznego, takich jak kielichy mszalne, monstrancje, puszkki itp. Formalnym ich uzasadnieniem była pomoc 20 milionom głodujących, lecz rzeczywisty cel rozporządzeń był inny. Chodziło o sprowokowanie konfliktu, który byłby okazją do zadania ciężkiego ciosu Cerkwi i Kościołowi katolickiemu<sup>9</sup>. Funduszami na rzecz głodujących, zebranymi przez komitety cerkiewne i kościelne, władze nie były zainteresowane i odmówiły ich uznania.

Rozpoczęcie konfiskat dało początek bardzo ostrym konfliktom i starciom z władzami. Na skutek oporu stawianego w cerkwiach, jedynie w tym roku stracono ok. 8.100 popów, zakonników i zakonnic<sup>10</sup>. Dla Kościoła katolickiego oznaczało to falę aresztowań i procesów duchowieństwa, a także i wiernych na terenie całego ZSSR. Kulminacyjnym punktem tej ostatniej akcji był znany proces w Moskwie, wiosną 1923 r., 13 księży z abp. Janem Cieplakiem, administratorem apostołskim archidiecezji mohylowskiej na czele<sup>11</sup>. Był to formalnie rezultat jego sprzeciwu wobec działania władz na terenie kościelnym. Proces wykorzystano dla pozbawienia Kościoła w ZSSR ważnego dlań

---

9. W tajnym okólniku na ten temat z 15 marca 1922 r., skierowanym do członków Politbiura, Lenin pisał: „Myślę, że teraz nasz przeciwnik popelnia ciężki błąd, gdy usiłuje nas wciągnąć w decydującą walkę w chwili, gdy jest ona dla niego szczególnie niekorzystna i beznadziejna. Dla nas, przeciwnie, obecny moment wydaje się nie tylko szczególnie pomyślny, ale wprost jedyny. Możemy, mając 99 szans na 100, rozgromić naszego przeciwnika i zapewnić sobie pozycję nie do zaatakowania na wiele dziesiątków lat”. Precyzując dokładniej swoją instrukcję Lenin pisał: „Im większą liczbę reprezentantów burżuazji i reakcyjnego kleru będzie można pod tym pretekstem rozstrzelać, tym więcej będzie to znaczyć. Teraz właśnie trzeba dać temu towarzystwu nauczkę, i to taką, by przez kilka lat nie odważyli się myśleć o jakimkolwiek oporze”. Por. Nikita Struve. *Le Messenger Orthodoxe* 1970 nr 52, s. 62-67. Cyt. za A. Wenger. *Rome et Moscou 1900-1950*. Paris 1987, s. 142-144. Por. także: M. Heller i Al. Niekrycz, *Utopia u władzy*, Londyn 1985, s. 111.

10. Por. Nikita Struve, *dz. cyt.*, s. 34.

11. Por. Fr. Mac Cullagh. *Prześladowanie chrześcijaństwa przez bolszewizm*. Kraków 1924. Tłum. z angielskiego.

ośrodka kierowniczego. Wraz z prał. Konstantym Budkiewiczem z Petersburga został on skazany na karę śmierci za działalność kontrrewolucyjną. Wyrok wykonano jedynie na ks. Budkiewiczzu. Pod wpływem protestów zgodnej opinii międzynarodowej, bp. Cieplakowi zamieniono go na 10 lat więzienia i w następnym roku wydano go z ZSSR. Ponieważ był on jedynym czynnym biskupem katolickim w tym państwie, tym samym Kościół został tu pozbawiony hierarchii. Najbliższe lata miały pokazać, że władza sowiecka zmierzała do całkowitego jego unicestwienia na terenie całego państwa.

Ze względu na międzynarodowy charakter Kościoła katolickiego, jego autorytet wśród wiernych i stosunek do komunizmu, a także z uwagi na fakt, że jego ośrodek kierowniczy był poza zasięgiem władzy sowieckiej, Kościół ten uznany został za wroga numer jeden systemu sowieckiego. Uruchomione przezeń środki w celu walki z religią i z Kościołem, są niezwykłym i nie mającym precedensu zjawiskiem w skali światowej, czekającym dopiero na opis i analizę historyków<sup>12</sup>.

Władza sowiecka od samego początku głosiła programowy ateizm oraz całkowite zniszczenie dotychczasowego porządku społecznego i moralnego. W tym celu na masową skalę stosowała terror i bezprawie. Dla ogółu duchowieństwa katolickiego była to jasna zapowiedź bardzo niepewnej i groźnej na przyszłość sytuacji osobistej. Potwierdza to cała literatura wspomnieniowa, dotycząca tego okresu. Dlatego uznanie i szacunek musi budzić fakt, że przytłaczająca większość księży katolickich z archidiecezji mohylowskiej i diecezji tyraspolskiej oraz innych diecezji świadomie wybrała pozostanie na miejscu z zamiarem ich spełnienia w nowej sytuacji. Konsekwencją tej decyzji miało być ostatecznie dla wszystkich (z wyjątkiem dwu obywateli francuskich, pozostających przy kościołach, w Moskwie i w Leningradzie), uwięzienie, pobyt w łagrach lub zesłanie. Tylko kilkanaście procent z nich, po kilkuletnich pobytach w więzieniu lub łagrach, zostało wymienionych z Polską, Litwą i Łotwą na aresztowanych w tych krajach miejscowych komunistów<sup>13</sup>.

12. Ważnym źródłem będą tu następujące prace bp. Michel'a d'Herbigny: *L'aspect religieux de Moscou en Octobre 1925*, Rome 1926; *La guerre antireligieuse en Russie soviétique*. Paris 1930; *Les „Sans Dieu” militants et la propagande mondiale du communisme*. Paris b.d. Por. także *Schemat walki z religią w ZSSR 1923-1941*. *Bulletin Périodique d'Information*. Entente Internationale Anticommuniste. 3, rue Maurice, Genève b.d.

13. Nie licząc uwolnienia biskupów: Edwarda Roppa, Zygmunta Łozińskiego, Jana Cieplaka i Antoniego Maleckiego, w latach 1924-1932 wymieniono 38 więzionych księży polskich na 179 komunistów. Por. Ks. Fr. Rutkowski. *Biskup Antoni Malecki 1861-1935*. Warszawa 1936, s. 109. Nieznane są fakty wymiany księży do Niemiec.

Należy dodać, że razem z księżmi represjom poddana była ludność katolicka.

Osobnym rozdziałem w dziejach Kościoła katolickiego w ZSSR, którego tu nie będziemy bliżej omawiać, jest próba zagwarantowania praw w dziedzinie życia religijnego polskiej mniejszości narodowej, a potem ich obrony, przez rząd polski. Art. VII traktatu pokojowego, zawartego w 1921 r. w Rydze między Polską a ZSSR, opiewał: „Rosja i Ukraina zapewniają osobom narodowości polskiej, znajdującym się w Rosji, Ukrainie i Białorusi, na zasadzie równouprawnienia narodowości, wszystkie prawa zabezpieczające swobodny rozwój kultury i języka oraz wykonywanie obrządków religijnych”.

Punkt trzeci tego artykułu precyzował m.in. „Kościoły i stowarzyszenia religijne, do których należą osoby narodowości polskiej w Rosji, Ukrainie i Białorusi, mają prawo, w granicach prawodawstwa wewnętrznego, samodzielnie urządzać swoje wewnętrzne życie kościelne (...). Na tych samych zasadach mają one prawo do korzystania z kościołów i instytucji, koniecznych do wykonywania obrządków religijnych”.

Polska jako pierwsza z państw europejskich, poza Finlandią i jako piąte państwo w ogóle, nawiązała, w marcu 1921 r., stosunki dyplomatyczne z Sowietami. Powyższe klauzule traktatu ryskiego, dotyczące życia religijnego, miały charakter bezprecedensowy. Jednakże zawarte w art. VII sformułowanie „w granicach prawodawstwa wewnętrznego”, które, jak wspomniano wyżej, pozbawiało Kościół i wiernych podstawowych praw w dziedzinie religijnej, przekreślało możliwości skutecznej interwencji w ich obronie<sup>14</sup>. Podejmowane w tej dziedzinie próby okazały się nieskuteczne.

Próbę ratowania Kościoła w ZSSR podjął w 1926 r. papież Pius XI. Polegała ona na reorganizacji całej, dotychczasowej administracji kościelnej oraz przywróceniu Kościołowi w tym państwie hierarchii, w postaci tajnych biskupów i zarządców nowych administratur apostolskich. Podstawą prawną tych działań było tajne *Motu proprio — Plenitudine potestatis* oraz dekret papieski *Quo aptius*. Obydwa dokumenty podpisane zostały przez Piusa XI 10 marca 1926 r. i długo pozostawały nieopublikowane. Na ich podstawie, tajny delegat papieski, bp Michel d'Herbigny T.J., w czasie dwóch podróży do ZSSR w 1926 r. ustanowił, na terenie diecezji mohylowskiej, która tym samym

---

14. Por. Korespondencja i raporty Poselstw, a następnie Konsulatów i Ambasady RP w Moskwie z okresu międzywojennego. Archiwum Akt Nowych (Warszawa). Abp Edward Ropp przyjęcie tej klauzuli przez władze polskie określał mianem głupoty politycznej.

przestała istnieć, dziesięć administratur apostolskich dla katolików obrządku łacińskiego, wschodniego i ormiańskiego i konsekrował potajemnie czterech ukrytych biskupów. Byli to: ks. Pie-Eugène Neveu, dotychczasowy duszpasterz Francuzów w Zagłębiu Donieckim, liczący 32 lata ks. Bolesław Sloskans, wikariusz z par. św. Katarzyny w Leningradzie, łotewskiego pochodzenia, ks. Aleksander Frison z diecezji tyraspolskiej pochodzenia niemiecko-rosyjskiego oraz ks. Antoni Malecki, Polak, proboszcz par. św. Katarzyny w Leningradzie, wikariusz generalny archidiecezji mohylowskiej z nominacji abp. Cieplaka.

Wspomniane wyżej administratury i ich siedziby wymieniło, bez podania ich granic, *Annuario Pontificio* dopiero w 1930 r. W archidiecezji mohylowskiej były to: 1. Moskwa — bp Pie-Eugène Neveu; 2. Mohylew — bp Bolesław Sloskans; 3. Leningrad — bp Antoni Malecki; 4. Charków — ks. Wincenty Ilgin; 5. Kazań-Samara-Symbirsk — ks. Michał Jodokas.

Diecezja tyraspolska została podzielona także na pięć administratur, wśród których były jednostki administracyjne innych niż łaciński obrządków. Były to: 1. Odessa — bp Aleksander Frison; 2. Administratura apostolska Powołża — ks. Augustyn Baumtrog; 3. Administratura apostolska Kaukazu — ks. Jan Roth; 4. Tyflis i Gruzja — administrator i wikariusz generalny *ad interim* — ks. Jan Demurow; 5. Administrator apostolski dla Ormian-katolików w całej Rosji — ks. Jakub Bagaratian z rezydencją w Tyflisie<sup>15</sup>. Ordynariuszom podzielonych w ten sposób diecezji rezydującym w Polsce (abp Edward Ropp, bp Zygmunt Łoziński, bp Adward Szlążek) oraz bp. Józefowi Kesslerowi, przebywającemu także poza ZSSR, została tym samym wycofana jurysdykcja na terenie tych diecezji. Poza bp. P.-E. Neveu, który pozostawał pod opieką ambasady francuskiej, wszyscy inni zostali wkrótce uwięzieni, zesłani, wydaleny z kraju lub nawet rozstrzelani, jak np. bp Frison. Ponieważ funkcji swoich faktycznie spełniać nie mogli, próba niesienia pomocy Kościołowi w ZSSR, podjęta przez papieża Piusa XI, nie przyniosła pożądanych rezultatów.

Po wyjeździe z Moskwy bp Neveu w 1936 r. z powodów zdrowotnych, Kościół katolicki w Rosji na długo pozostał bez hierarchii. Były to ostatnie lata istnienia w ZSSR widzialnych, nielicznych już parafii i otwartych kościołów. W 1938 r. na terenie całego państwa pozostały otwarte jedynie dwa, tzw. francuskie: w Moskwie i w Leningradzie. Pozostawali przy nich dwaj księża francuscy, korzystający z opieki ambasady Francji. Jako cudzoziemcy nie mieli jednak prawa spełniania funkcji duszpasterskich wobec obywateli sowieckich.

---

15. Po. A. Wenger, *dz. cyt.*, s. 190-258.



Ogromna większość z ok. 400 księży katolickich narodowości polskiej, niemieckiej, litewskiej, łotewskiej, rosyjskiej i innej, zmarła w więzieniach, łagrach lub na zesłaniu<sup>16</sup>. Przejawy życia religijnego na długi okres zeszyły do podziemia. Przekaz wiary mógł dokonywać się jedynie wewnątrz rodziny. Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 r. w niczym nie zmienił sytuacji religijnej katolików w głębi ZSSR.

Po zakończeniu II wojny światowej w nowych granicach tego państwa znalazł się Kościół katolicki w krajach bałtyckich oraz kilka diecezji i ok. 800 parafii istniejących na wschodnich terenach II Rzeczypospolitej. W wyniku rozpoczętego natychmiast procesu niszczenia organizacyjnych struktur kościelnych, z liczby tej pozostało do 1984 r. zaledwie ok. 100 parafii. Istniało ponadto kilkadziesiąt parafii na Ukrainie za przedwojenną polską granicą, otwartych tam samorzutnie podczas okupacji niemieckiej przez tamtejszą ludność katolicką polskiego pochodzenia i obronionych przez nią w okresie powojennym.

Dzięki przetrwaniu, pomimo wszelkiego rodzaju trudności, życia religijnego w środowiskach ludności katolickiej na terenie całego ZSSR, w nowej sytuacji politycznej, stworzonej przez tzw. *pieriestrojkę* w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, możliwa stała się stopniowa odbudowa zniszczonej niegdyś struktury duszpasterskiej oraz hierarchii kościelnej i innych, służących życiu religijnemu instytucji. Jednakże obok rekonstrukcji lub reorganizacji dawnych struktur, jak to miało miejsce w 1991 r. np. na Białorusi i Ukrainie, stworzone zostały w tym samym roku nowe struktury w formie trzech administratur apostolskich na terenach należących już niegdyś do archidiecezji mohylowskiej. Dwie z nich powstały na terenie Federacji Rosyjskiej, trzecia obejmuje b. republiki azjatyckie b. ZSSR. Będzie rzeczą interesującą, jak sądzę, prześledzić różnorodne uwarunkowania, które powołanie do życia tych ostatnich umożliwiły i Stolicę Apostolską do niego zobowiązały.

## II. DEMOGRAFICZNE I RELIGIJNE PRZESŁANKI ODRODZENIA I ROZWOJU KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO OBRZ. ŁAC. W FEDERACJI ROSYJSKIEJ I REPUBLIKACH AZJATYCKICH

### 1. *Przemieszczenia ludności na tereny Federacji Rosyjskiej i republik azjatyckich w okresie międzywojennym i po II wojnie światowej*

W latach trzydziestych, a następnie czterdziestych i pięć-

---

16. Liczna ustalona w badaniach własnych.

dziesiątych, terrorem i siłą dokonano w ZSSR przemieszczenia na odległe terytoria milionów ludzi. Dotknęły one na wielką skalę takie narodowości jak Polacy, Niemcy, Tatarzy krymscy, Czeczeńcy, Ingusze, Kałmuci, Ukraińcy, Białorusini, Litwini, Łotysze, Finowie i inni. Interesują nas tu bliżej deportacje Polaków i Niemców, ponieważ w ich wyniku powstały na stałe nowe, wielkie skupiska ludności katolickiej w Kazachstanie i na Syberii. Liczą one obecnie setki tysięcy osób.

Jako pierwsi deportacjami na wielką skalę objęci zostali w ZSSR Polacy<sup>17</sup>. W latach 1936-1937, w wyniku nieudanej próby skomunizowania skupisk polskich na Ukrainie i Białorusi oraz ich oporu przeciwko kolektywizacji, ponad 100 tys. Polaków z Ukrainy lewobrzeżnej (obwody: żytomierski, winnicki i kamieniecko-podolski) zostało deportowanych do Kazachstanu. W tym samym czasie ogromną większość liczącą ok. 300 tys. ludności polskiej z terenu Białorusi, a także z Leningradu i innych wielkich miast, zesłano na Syberię i do republik azjatyckich. Karnych, indywidualnych i grupowych deportacji Polaków z Białorusi i Ukrainy na mniejszą skalę dokonywano jednak już w drugiej połowie lat dwudziestych, w związku z oporem przeciwko zdecydowanym próbom wprowadzenia kolektywizacji.

Z licznych publikowanych dziś relacji wiadomo, że od zakończenia II wojny światowej do 1954 r. deportowano na Syberię i do Kazachstanu polską ludność katolicką z zachodnich terenów dzisiejszej Białorusi, czyli kresów wschodnich II Rzeczypospolitej<sup>18</sup>. Deportacji podlegały rodziny, należące niegdyś do nieco zamożniejszych i bardziej świadomych religijnie i narodowo. To samo, o ile wiadomo, dotyczyło zachodniej części obecnej Ukrainy. Brak jest dokładniejszych danych liczbowych, lecz na podstawie geograficznego zasięgu relacji można przypuszczać, że objęła ona kilkadziesiąt tysięcy osób. Duża część tej ostatniej kategorii ludności mogła, jak się zdaje, wrócić w swoje rodzinne strony w 1957 r. lub wyjechać do Polski, pod warunkiem jednak, że posiadała odpowiednie dokumenty stwierdzające narodowość polską. Wiele osób podczas dramatycznych przejść deportacyjnych utraciło je jednak, założyło rodziny na miejscu lub o możliwości wyjazdu dowiedziało się zbyt późno albo nie dowiedziało się wcale i w rezultacie pozostało na miejscu. Na stałe natomiast pozostała w Kazachstanie ludność polska z Ukrainy i Białorusi.

W 1941 r. deportowana została do Kazachstanu i na Sybe-

---

17. Por. M. Iwanow, *Pierwszy naród ukarany...*, *passim*.

18. Por. roczniki *Kuriera Wileńskiego* (Wilno) z lat 1990-1992 oraz dwutygodnik *Głos z nad Niemna* (Grodno) z lat 1990-1992.

rię, licząca ok. dwóch milionów ludność z Niemieckiej Autonomicznej Republiki na Powołżu oraz na Ukrainie. Według spisu ludności z 17 stycznia 1979 r. w ZSSR było 1.936 tys. Niemców, z czego prawie połowa, bo 900 tys., żyła w Kazachstanie, a 791 tys. w Rosyjskiej Republice Federacyjnej. Na rejon ąłtajski przypadało 125 tys., a na obwód omski 121 tys. w Kirgiskiej SSR żyło 101 tys. Niemców, w Tadżyckiej 39 tys., a w innych republikach 105 tys.<sup>19</sup>. Około jedną czwartą ogółu ludności niemieckiej stanowili katolicy.

O ile oficjalne dane dotyczące Niemców przyjmuje się bez zastrzeżeń, to wyniki spisów ludności dotyczące Polaków w ZSSR są powszechnie kwestionowane jako niewiarygodne. Gdy chodzi o ludność polską, to bezwzględne represje zastosowane wobec niej przez władze sowieckie w okresie międzywojennym na miejscu zamieszkania i na deportacji w Kazachstanie<sup>20</sup>, a następnie na zajętych terenach w okresie powojennym sprawiły, że młodsze pokolenie z obawy przed nimi oraz dla zapewnienia sobie możliwości pewnego awansu zawodowego i społecznego, nieosiągalnego zwykle dla Polaków, ukrywało często swoje pochodzenie. Same władze były również zainteresowane zmniejszaniem ich oficjalnej liczby. Świadczą o tym choćby powojenne, malejące ciągle wyniki spisów ludności, gdy chodzi o Polaków. W 1959 r. było ich w ZSSR 1.380 tys., a w 1979 r. już tylko 1.151 tys., co oznacza spadek o 16,5% w ciągu 20-tu lat, pomimo braku w tym czasie jakichkolwiek naturalnych przyczyn tak dużego ubytku. Jego rzeczywistą przyczyną był wpis narodowości białoruskiej i ukraińskiej Polakom, bardzo często bez informowania o tym samych zainteresowanych.

W 1970 r. spis ludności wykazywał w Kazachstanie 61 tys. Polaków. W Rosyjskiej Republice Federacyjnej było ich 107 tys. Według ostatnich ocen osób, znających dobrze Kazachstan z autopsji, ludność polska liczy tam co najmniej ok. 200 tys.<sup>21</sup> Według spisu ludności z 1989 r. w Federacji Rosyjskiej jest obecnie 100,2 tys. Polaków<sup>22</sup>, a więc o 5 tys. mniej, niż przed 20-tu laty. Tymczasem według opinii działaczy powstałego 30 maja 1992 r. Związku Polaków w Rosji jest ich w Federacji ok.

---

19. Por. *Die römisch-katholische Kirche...* s. 80.

20. Przez 20 lat żyli pod tzw. komendanturą, co oznaczało obowiązek meldowania się co tydzień na milicji i zakaz samowolnego oddalania się z miejsca zamieszkania na kilkanaście kilometrów.

21. Por. J. Surwiłło, *Polskie losy wczoraj i dziś*. M. Gawęcki, Instytut Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Informacja z 7 VI 1992 r.; R. Badowski, *Z dziejów Polaków w Kazachstanie*, *Kierunki*, 14. I. 1990.

22. Por. *Argumenty i Fakty* (Moskwa) 19 VIII 1990.

300 tys., a niektórzy z nich podają liczbę ponad pół miliona<sup>23</sup>. Tę ostatnią ocenę potwierdzałaby pewna prawidłowość, spotykana we wszystkich rejonach b. ZSSR, polegająca na dużej różnicy między wynikami państwowych spisów ludności dotyczącymi Polaków, a opiniami osób miejscowych mniej lub bardziej znających stan faktyczny. I tak np. według oficjalnej statystyki, w Tomsku i obwodzie mieszka łącznie 1.700 Polaków. Natomiast odrodzone tam dawne stowarzyszenie „Dom Polski” podaje, że jest ich ponad 26 tys.<sup>24</sup>. W Sankt-Petersburgu spis ludności z 1989 r., wykazywał 9,5 tys. Polaków. Tymczasem organizacje polskie w tym mieście wymieniają liczbę ok. 100 tys. osób polskiego pochodzenia w samym mieście i okolicy<sup>25</sup>. Oznaczałoby to w tym wypadku powrót do stanu z 1917 r., lecz już w nowej postaci kulturowej i religijnej. Jeśli przed 70-ciu laty była to polska społeczność katolicka, to obecnie jest to głównie, jak się wydaje, zbiorowość polonijna, odnajdująca dopiero, gdy chodzi o jej ogół, swoje korzenie polskie i katolickie. Podobna sytuacja panuje w Moskwie, gdzie w dowodach osobistych narodowość polską ma wpisanych 6.920 osób, ale liczbę Polaków w 1990 r. szacowano tam na 22 tys.<sup>26</sup>

Uwagę zwraca fakt, że w warunkach panującej od niedawna wolności religijnej ujawnia się wszędzie ciągle rosnąca liczba takich osób, które w okresie braku wolności wyznania ukrywały swoją wiarę, a obecnie pragną ją jawnie praktykować, choć dawny strach nierzadko jeszcze ma nadal negatywny wpływ w tej dziedzinie<sup>27</sup>. Ta „milcząca” dotychczas pod względem religijnym grupa osób stanowi dużą część nieujawnionej jeszcze w pełni społecznej bazy odradzającego się katolicyzmu.

Drugie źródło powiększające liczbę katolików to osoby wyrosłe niegdyś w całkowitym ateizmie lub agnostycyzmie, nie mające kontaktu z Cerkwią prawosławną, a obecnie zwracające się do Kościoła katolickiego i bardzo świadomie wybierające,

---

23. Por. P. Łączkowski, *Na terenie Rosji*, Ład 14 VI 1992 nr 24. Warto zauważyć, że „Wszeczziązkowe Stowarzyszenie Niemców Radzieckich” powstało już w pierwszej połowie 1989 r.

24. Por. Jan Rózdzyński, *Wioska „wrogów ludu”*, *Spotkania* 18 IX 1991, s. 25.

25. Informacja podana 18 VII 1989 w Warszawie przez prof. Włodzimierza Odyńca z Leningradu na III Światowym Kongresie Uczonych Polskiego Pochodzenia.

26. Por. Wł. Strzyżewski, „*Dom Polski w Moskwie*”. *Zorza* 10 II 1991 nr 6, s. 11.

27. Por. *Biskup z Kazachstanu* Z ks. bpem Janem Lengą, pierwszym w dziejach Kościoła katolickiego administratorem apostolskim Kazachstanu, Kirgizji, Tadżykistanu, Turkmenii i Uzbekistanu, rozm. Krzysztof Renik, *Przegląd Powszechny* 1991 nr 7/8 (839/840), s. 67.

spośród innych wyznań, katolicyzm obrządku łacińskiego<sup>28</sup>. Fala nawróceń zaczęła się już w latach sześćdziesiątych. Największy procent stanowią wśród nich wszędzie Rosjanie należący do inteligencji oraz środkowoazjatyccy katolicy, utożsamiający się zresztą przede wszystkim z Syberią, Kazachstanem lub jeszcze innym krajem<sup>29</sup>. Rzeczą niezwykle interesującą byłaby bliższa analiza motywacji wspomnianych konwersji, lecz kwestia ta wykracza już poza ramy niniejszych rozważań<sup>30</sup>.

Dotychczas nie zwracano uwagi na jeszcze jeden czynnik wpływający na powiększenie się liczby katolików obrządku łacińskiego w wielkich i średnich miastach Rosji, Syberii oraz Dalekiego Wschodu. Otóż stały się nim migracje wewnętrzne w b. ZSSR. Od lat powojennych, ze stosunkowo gęsto zaludnionych terenów zachodniej Białorusi i Ukrainy, zarówno tych które do II wojny światowej pozostawały w granicach ZSSR, jak i z tych, które stanowiły kresy wschodnie II Rzeczypospolitej, a więc z licznych wiejskich skupisk ludności katolickiej, pewna liczba młodzieży, kończąca różnego rodzaju szkoły zawodowe, udawała się na wschód. Istniały tam bowiem znacznie lepsze możliwości zarobku i uzyskania mieszkania, niż na miejscu. Proces ten był popierany przez władze, bardzo zainteresowane rozwojem tamtejszych ośrodków przemysłowych. Kontakty w terenie, np. kolęda odbywana obecnie w wiejskich rodzinach pracujących w kolchozach w obwodach: żytomierskim, chmielnickim (Płoskirów) i winnickim na Ukrainie, pozwala stwierdzić, że duża ich część ma swoich bliskich, często braci, synów i córki, na wspomnianych terenach<sup>31</sup>. Podobne zjawisko spotyka się, jakkolwiek dużo rzadziej, i na Białorusi. Odnajdują oni stopniowo powstające tam wspólnoty katolickie i powoli włączają się w życie religijne na miejscu.

Wielka część ogółu Polaków w Rosji i na Syberii jest w dużej mierze zrusyfikowana, nie zna już języka polskiego i niekiedy nie rozumie jeszcze w sposób właściwy tego, na czym polega życie religijne. Zainteresowana jest jednak Kościołem

---

28. Por. *Dramat rosyjskiego katolicyzmu. Miejsce dla mniejszości*. Z O. Aleksandrem Hauke-Ligowskim rozm. Andrzej Grajewski. *Gość niedzielny* 1992 7 VI 1992 nr 23.

29. *Tamże*.

30. Por. przykładowo na ten temat: *Katolicy moskiewscy*. Z Grigorijem Litynskim, członkiem rady klubu katolików moskiewskich „Dialog duchowy”, rozm. Artur Michalski. *Ład* 1989 nr 52-53; *Dramat rosyjskiego katolicyzmu. Miejsce dla mniejszości*. Z O. Hauke-Ligowskim rozm. Andrzej Grajewski, *Gość niedzielny* 7 VI 1992 nr 23.

31. Osobiste obserwacje autora i relacje duszpasterzy miejscowych w wymienionych obwodach.

katolickim obrządku łacińskiego, w którym, obok instytucji przekazującej wartości religijne, widzi także pomoc w odnalezieniu swojej duchowej i narodowej tożsamości. Katolicyzm łaciński uważany jest bowiem przez nich za istotny element polskości.

Na Powołżu, w obwodach saratowskim i wołgogradzkim, a więc w dawnych granicach diecezji tyraspolskiej, według oceny pracującego tam do niedawna ks. Józefa Wertha, obecnego biskupa i administratora apostolskiego azjatyckiej części Federacji Rosyjskiej, żyje ok. 50 tys. Niemców i stanowią oni 90 % tamtejszych katolików<sup>32</sup>.

## 2. Demograficzne i religijne tło odrodzenia i rozwoju duszpasterskich struktur kościelnych w okresie powojennym.

Mało znane są jeszcze pierwsze, powojenne próby organizowania w wielkich, historycznie nowych, skupiskach ludności katolickiej na Syberii i w republikach azjatyckich różnych form opieki religijnej. Z opublikowanych wspomnień księży Władysława Bukowińskiego i Józefa Kuczyńskiego, którzy wraz z niewielką grupą innych duchownych katolickich uwolnionych z łagrów znaleźli się w Kazachstanie, a także z istniejących już opracowań wiadomo, że podjęto je w połowie lat pięćdziesiątych. Otwarte wówczas samorzutnie przez katolików pierwsze kaplice w domach prywatnych, zostały jednak wkrótce przez władze zamknięte, a pracujący w nich księża ponownie skazani na wieloletnie więzienia i łagry<sup>33</sup>. Pierwszą parafię zarejestrowano dopiero w 1968 r. Jednak trwające przez lata, niezwykle ofiarne starania wiernych sprawiły, że stopniowo powstało tam kilkadziesiąt stałych i dojazdowych placówek duszpasterskich, obsługiwanych przez kilkunastu księży<sup>34</sup>.

Relacje duszpasterzy pracujących na Syberii i w republikach azjatyckich oraz relacje publikowane obecnie w polskiej prasie

---

32. Por. *Biskup Syberii*. Z ks. bpem Josephem Werthem, administratorem apostolskim azjatyckiej części Federacji Rosyjskiej rozm. Krzysztof Renik, *Przegląd Powszechny* 1991 nr 9/841, s. 195; *Administrator apostolski Syberii*. Z księdzem biskupem Josephem Werthem rozm. ks. Adam Boniecki, *Tygodnik Powszechny* 8 IX 1991, s. 5.

33. Por. np. Ks. Wł. Bukowiński. *Wspomnienia z Kazachstanu*. Rzym 1981, Editions Spotkania wyd. II; Ks. J. Kuczyński. *Między parafią a łagrem*. Paryż 1985. Editions Spotkania; H. Warachim OFM Cap. *Włóczęga Boży O. Serafin Kaszuba — Kapucyn, Apostoł Wołynia, Kazachstanu i Syberii*, Kraków 1991, s. 169.

34. Por. *Biskup z Kazachstanu...*, s. 61-69. Por. także: J. Mirski [Roman Dzwonkowski SAC]. *Polacy w Kazachstanie*. *Kultura* (Paryż) 1988 nr 6/489, s. 30-37.

katolickiej tych księży, którzy udali się do pracy w Rosji, na Syberii i w Kazachstanie, jak również reportaże udających się tam dziennikarzy świadczą o tym, że praktycznie w każdym większym mieście rosyjskim oraz w miastach północno-wschodnich i azjatyckich terenów b. ZSSR można spotkać Polaków. Są wśród nich potomkowie dawnych, dziewiętnastowiecznych zesłańców politycznych, zesłańców międzywojennych i powojennych oraz wspomniani wyżej migranci w celach zarobkowych. Obok nich są Litwini z okresu deportacji i migracji w celach zarobkowych, Niemcy, Rosjanie, Łotysze, Ukraińcy, Ormianie i inni. Organizujące się stopniowo na wspomnianych terenach wspólnoty katolickie mają więc charakter wielonarodowościowy, choć proporcje poszczególnych narodowości bywają różne.

W ostatnich latach w republikach azjatyckich, a szczególnie w Kazachstanie, istniejące już tam parafie zostały często bardzo osłabione przez emigrację do Niemiec katolików pochodzenia niemieckiego.

Wieloletnie już doświadczenie na wszystkich terenach, o których tu mowa, wskazuje na to, że wszędzie tam gdzie pojawia się kapłan katolicki, odnajdują się nowi katolicy różnych narodowości, których liczba ciągle rośnie. Do odradzających się, czy też powstających wspólnot religijnych przychodzą ludzie różnych nacji, pragnący przyjąć chrzest i w Kościele katolickim obrz. łac. rozpocząć sakramentalne życie religijne<sup>35</sup>.

W ostatnich latach, wraz z upadkiem systemu totalitarnego, dzięki nader rzadkim wizytom duszpasterzy w dawnych ośrodkach katolickich i wielkich, nowych miastach, zaczęły odradzać się w Rosji europejskiej i na Syberii, dawne parafie rzymskokatolickie, a w republikach azjatyckich rozpoczęło się stopniowe tworzenie sieci coraz to nowych, głównie dojazdowych, punktów duszpasterskich tam, gdzie istnieją większe skupiska wiernych. Wszystkie cytowane wyżej źródła, którymi są wypowiedzi pracujących tam księży i nowomianowanych biskupów mówią o tym, że w każdej z podległych im jednostek administracyjnych można by natychmiast otworzyć co najmniej kilkadziesiąt nowych, stałych placówek. Zasadniczą przeszkodą jest jednak wszędzie brak księży.

---

35. Por. Józef Świdnicki (Fergana, Uzbekistan), *Kościół katolicki w terenie Syberii i Azji środkowej*. W: *Polacy w Kościele katolickim w ZSSR*. Pod red. ks. Z. Walewandra. Lublin 1991, s. 229-303; *Proboszcz z Irkucka*. Z ks. Ignacem Pawlusem rozm. Z. Trojanowiczowa, *Tygodnik Powszechny* 26 I 1992; J. Gruszyński, *Wspólnota katolicka we Władywostoku. Polacy nad Pacyfikiem*, *Słowo Powszechne* 14-15 III 1992; T. Samborski, *W Irkucku, Samarze i gdzie indziej. Tam, gdzie pojawia się kapłan, odradza się życie religijne*. *Słowo Powszechne* 22 IV 1992.

Liczba wiernych Kościoła katolickiego nie jest dokładnie znana. Abp Francesco Colasuonno, pronuncjusz apostolski w Moskwie (od marca 1990 r.), liczbę katolików wszystkich obrządków, łacińskiego, grekokatolickiego i ormiańskiego, żyjących w b. ZSSR, ocenił w 1991 r. na 15 milionów<sup>36</sup>. Przyjmuje się, że katolicy obrządku grekokatolickiego liczą ok. pięciu milionów (takie są, o ile wiadomo, oceny hierarchii Kościoła tego obrządku). Jeśli z kolei liczbę katolików na Litwie, Łotwie, w Estonii, w obwodzie kaliningradzkim, na Białorusi, na Ukrainie, w Mołdawii, na Zakarpaciu i na Kaukazie ocenić, jak pozwalają na to różne dane dotyczące tych krajów, na ponad 7 milionów, to na Federację Rosyjską i republiki azjatyckie przypadnie łącznie ok. 2 milionów katolików różnych narodowości. Najliczniejsze grupy stanowią wśród nich nadal katolicy pochodzenia polskiego i niemieckiego. Coraz bardziej jednak nabiera na znaczeniu grupa katolików pochodzenia rosyjskiego, jeśli nie w sensie liczbowym, to intelektualnym.

Niezależnie od takich lub innych obliczeń i ocen, należy stwierdzić, że zaistniała możliwość, a zarazem paląca potrzeba zapewnienia ludności katolickiej różnych narodowości, rozproszonej na ogromnych terenach, od wschodnich granic Białorusi i Ukrainy na zachodzie, do wybrzeży Pacyfiku na wschodzie i granicy chińskiej na południu, możliwej w istniejących warunkach opieki duszpasterskiej. Odpowiedzią na te potrzeby było ustanowienie, przez papieża Jana Pawła II, dn. 13 kwietnia 1991 r., trzech administratur apostolskich. Są to: administratura apostolska dla europejskiej części Rosji z siedzibą w Moskwie — adm. ap. abp Tadeusz Kondrusiewicz; administratura apostolska dla azjatyckiej części Federacji Rosyjskiej z siedzibą w Nowosybirsku — adm. ap. bp Joseph Werth; administratura apostolska dla Kazachstanu, Kirgizji, Tadżykistanu, Turkmenii i Uzbekistanu z siedzibą w Karagandzie — adm. ap. bp Jan Lenga.

Powołanie do życia tej całkowicie nowej, tymczasowej zresztą na razie, duszpasterskiej struktury Kościoła katolickiego, wywołało, jak wiadomo, ostrą i bardzo nieprzyjazną reakcję najwyższej hierarchii Cerkwi prawosławnej. Uznała je ona za wyraz ekspansji Kościoła katolickiego obrz. łac. na tereny, jak powiedziano, „kanoniczne” i tradycyjnie prawosławne oraz traktowanie ich jako terenów misyjnych. Podnoszony bywa również niekiedy zarzut polonizacji Rosji przez Kościół katolicki. Ponieważ na zarzuty te wielokrotnie już padała odpowiedź, wystarczy tu

---

36. Por. *Rosja potrzebuje ewangelizacji*. Z abp. Francesco Colasuonno, pronuncjuszem apostolskim w Moskwie, rozm. Bogumił Luft i Marcin Przciszewski. *Ład*, 17 XI 1991 nr 46.



kilka zasadniczych uwag. Otóż nie istniały nigdy, nie istnieją i nie mogą istnieć tereny kanonicznie prawosławne lub katolickie. Jest to kryterium absurdalne<sup>37</sup>. Jego przyjęcie oznaczałoby odrzucenie elementarnego prawa do wolności wyznania. Cerkiew prawosławna korzysta w krajach tradycyjninie katolickich z całkowitej wolności tworzenia własnych struktur duszpasterskich i ma do tego prawo. Takie samo prawo ma Kościół katolicki, który w Rosji tworzy je, rzecz jasna, tylko tam, gdzie żyją już od dawna jego wyznawcy i gdzie często, jeszcze w cesarstwie rosyjskim, nieprzyjaznym zresztą Kościołowi Katolickiemu, struktury takie istniały. Katolicy, jak wszyscy inni, mają prawo do posiadania własnej opieki duszpasterskiej i własnej hierarchii, niezależnie od miejsca zamieszkania.

Jeśli Kościół katolicki pozyskuje nowych wiernych, to nie kosztem Cerkwi prawosławnej. Rekrutują się oni bowiem zwykle z osób stojących z dala od jakiegokolwiek religii i Cerkwi. Nie nawracają się więc na katolicyzm z prawosławia. Jeśli poznając Cerkiew i Kościół katolicki i dokonując porównań wybierają oni chrzest w tym ostatnim i przynależność religijną do wyznania rzymskokatolickiego, trudno jest obciążać za to Kościół katolicki i określić to jako prozelityzm. Cerkiew nie podejmuje zresztą żadnych widocznych prób dotarcia przez własną pracę misyjną do tej kategorii osób. Jeśli w wielkich miastach w Rosji i na Syberii zaledwie kilka procent mieszkańców chodzi do cerkwi, to można je określić mianem terenów misyjnych. W żadnym wypadku jednak nie w znaczeniu poddawania ich kompetencjom rzymskiej Kongregacji Ewangelizacji Ludów.

Polacy w Rosji i na Syberii stanowią zaledwie ułamek procentu w stosunku do ogółu ludności. W Moskwie np. jest ich zaledwie ok. 20 tys. na 9 milionów mieszkańców tego miasta. Dlatego zarzut polonizacji jest mało poważny, a obawa przed nią jest chyba wyrazem zaskakującej niewiary w siłę kultury rosyjskiej, której integralną część stanowi prawosławie. Odradzający się obecnie Kościół katolicki na terenach b. ZSSR potrzebuje różnego rodzaju pomocy, przede wszystkim duszpasterzy dla pozbawionych przez kilkadziesiąt lat opieki religijnej setek tysięcy ludzi. Tak się składa, że Kościół w Polsce, pod wieloma względami najbliższy katolikom na Wschodzie, z własnego doświadczenia znający różnorakie konsekwencje w życiu indywi-

---

37. Tak określa je ks. Wiaczesław Połosin, przewodniczący Komitetu ds. Wolności Wyznania i Działalności Dobroczynnej przy Radzie Najwyższej Federacji Rosyjskiej. Por. *Prawosławie, katolicyzm, Rosja* Z ks. Wiaczesławem Połosinem rozmawia Krzysztof Renik, *Przegląd Powszechny* 1992 nr 5/849, s. 255.

dualnym i społecznym komunizmu, pomocy tej jest w stanie udzielać, dzięki posiadaniu dużej liczby księży. W środowiskach rosyjskiej inteligencji katolickiej ich praca jest pozytywnie oceniana<sup>38</sup>. Dlatego wymienione wyżej zarzuty wypada określić mianem bardzo przykrego nieporozumienia co do misji i zadań jednego i drugiego Kościoła. Warto na koniec odnotować opinię niektórych przedstawicieli prawosławnej elity rosyjskiej, iż Rosja może jedynie zyskać przez obecność na jej terenie niewielkiej, lecz bardzo świadomej religijnie mniejszości katolickiej. Argument o terenach „kanonicznie prawosławnych” oceniany jest w tym środowisku jako niedopuszczalny<sup>39</sup>. Niezależnie od wszelkiego rodzaju przemian religijnych Rosja, w której prawosławie stanowi integralną część jej kultury, zachowa swoją tożsamość na prawosławiu opartą.

Roman DZWONKOWSKI SAC

---

38. Por. np.: *Pamiętajcie o nas*. Z profesorem Juliuszem Sznajderem, prezesem Katolickiego Klubu „Duchowy Dialog” z Moskwy rozmawia Kazimierz Sowa. *Ład* nr 25, 28 VI 1992.

39. Por. *Dramat rosyjskiego katolicyzmu. Miejsce dla mniejszości...* s.9 oraz: *Prawosławie, katolicyzm, Rosja...* s.254-255.

## WSPOMNIENIA

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

### JULIANA KRZYŻANOWSKIEGO LISTY Z SYBERII (W stulecie urodzin)

Zamieszczone poniżej listy są wyborem z kolekcji 70-ciu listów, pisanych przez mego Ojca w latach 1919-1920 do jego ówczesnej narzeczonej, a później żony, matki mojej Emilii z Sobieszkańskich Roszkowskiej. Listy te zachowały się do dzisiaj dzięki pieczołowitości moich siostr, dr Wandy Roszkowskiej i dr Teresy Dziedzińskiej, która je starannie uporządkowała i przepisała, umożliwiając tym samym przygotowanie niniejszego wyboru. Listy te stanowią interesujący dokument mało znanego rozdziału współczesnych dziejów Polski i tym samym, jak sądzę, zasługują na opublikowanie.

Julian Krzyżanowski urodził się 4 lipca 1892 r. w Stojanćcach koło Lwowa, do szkoły uczęszczał w Rzeszowie, potem w Sanoku, w roku zaś 1911 został studentem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Latem 1914 r. wyjechał na Podole, gdzie zastał go wybuch I wojny światowej, co w konsekwencji spowodowało internowanie poddanego austriackiego przez władze rosyjskie i wyjazd w głąb Rosji, podobnie jak stało się to z wieloma tysiącami cywilnych i wziętych do niewoli Polaków z Cesarstwa Austro-Węgierskiego. Po wybuchu rewolucji Polacy ci, z których wielu służyło uprzednio w Legionach, stworzyli szereg formacji wojskowych, od 1918 r. oddanych pod komendę gen. Józefa Hallera. Po wyjeździe do Francji z oddziałów znajdujących się na Syberii stworzono 5. Dywizję Syberyjską pod dowództwem płk. Waleriana Czumy, późniejszego dowódcy obrony Warszawy we wrześniu 1939 r. Stanowiąc część Sił Sprzymierzonych na Dalekim Wschodzie i Syberii pod ogólnym dowództwem francuskiego generała Maurice Janin, 5. Dywizja wraz z rosyjskimi

armiami admirała Aleksandra Kołczaka i Czeskim Legionem pod dowództwem generała Jana Syrowego, była jedną z najsilniejszych jednostek wojskowych (ponad 12.000 ludzi) usiłujących powstrzymać rewolucję bolszewicką na Syberii. Główne dowództwo Dywizji mieściło się w Nowonikołajewsku (dzisiaj: Nowosybirsk), nieomal w geograficznym centrum Syberii, Dywizja bowiem, wraz z Czeskim Legionem, w roku 1919 ochraniać miała przed bolszewikami i oddziałami rozmaitych formacji czy po prostu band rozbójniczych linie kolei transsyberyjskiej, zasadnicze w planach dowództwa Sił Sprzymierzonych dla ewakuacji wojsk Kołczaka i innych z ogarniętej rewolucją i anarchią Rosji. W Dywizji tej Ojciec mój, który w okresie niewoli wyuczył się księgowości w syberyjskiej mieścinie Kurgan, zajmował stanowisko Młodszego Kontrolera Wojsk Polskich w Korpusie Intendentów, co odpowiadało stopniowi podporucznika w oddziałach liniowych. W Rosji też spotkał starszego od siebie zaledwie o lat dziewięć swego profesora anglistyki z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Romana Dyboskiego, człowieka, jak miał nam później napisać, „niepospolitego, niezwykłego, niezastąpionego”, co zaważyło miało na losach mego Ojca w przyszłości. „Gdy w 1919 roku — pisał we wstępie do monumentalnego dzieła Dyboskiego *Sto lat literatury angielskiej* (Warszawa, 1957) — znalazłem się w Charbinie, pierwszą rzeczą, która rzuciła mi się w oczy na ścianach 'Domu Polskiego', było zawiadomienie o niedawno odbytym cyklu odczytów Dyboskiego, wygłoszonych przezeń mimojazzdem, w drodze z Chabarowska do ówczesnego Nowonikołajewska (dzisiaj Nowosybirsk), gdzie przywdział mundur polski, wstępując w szeregi Dywizji Syberyjskiej”. I wtedy też, podczas jednego z wyjazdów służbowych do Charbina w Mandżurii, poznał Emilię Roszkowską.

Losy Matki mojej przebiegały nieco podobnie do losów jej narzeczonego. Urodzona 27 czerwca 1894 r. w Lublinie, w przededniu I wojny światowej wyszła za inż. Bolesława Roszkowskiego, z którym wyjechała do Rosji, gdzie mąż jej otrzymał pracę. Z małżeństwa tego urodziła się córka, Wanda, wkrótce osierocona przez ojca. Odcięta linią frontu od Polski młoda matka z dzieckiem ruszyła na Daleki Wschód, by znaleźć schronienie pod dachem najbliższej rodziny zmarłego męża, Mariana i Jadwigi Giewartowskich (w listach często nazywanych „dyrektorstwem”), prowadzących pod Charbinem cukrownię. Zamieszkawszy u nich w odległej od Charbina o parę godzin jazdy miejscowości Aszyche, tam właśnie poznała Młodszego Kontrolera Wojsk Polskich, który od pół roku podróżował po Syberii i Mandżurii wojskowym „eszelonem” w poszukiwaniu zaopatrzenia dla 5. Dywizji. Zawarta wczesnym latem 1919 r.

znajomość dwojga wygnańców wkrótce przerodziła się w uczucie, i w dniu 13 lipca nastąpiły oficjalne zaręczyny. Ale już w sierpniu tegoż roku Ojciec mój wyrusza z Charbina do Władywostoku, a stamtąd z powrotem w głąb Rosji, do Nowonikołajewska, pokonując trasę długości ok. 5 tysięcy kilometrów w okresie trzech miesięcy. Z tej właśnie podróży pochodzą listy pisywane do narzeczonej codziennie, a nieraz dwukrotnie jednego dnia, a wysyłane przez najrozmaitsze „okazje” w polowych warunkach.

Literatura dotycząca losów Polaków na Syberii i Dalekim Wschodzie ogólnie w tym okresie, a 5. Dywizji w szczególności, nie jest obfita i w zasadzie ogranicza się do trudno dziś dostępnych wydawnictw z połowy lat dwudziestych, jakkolwiek w nowszych periodykach specjalistycznych znaleźć można nieco opracowań na ten temat, m.in. mówiących o bogatym życiu wielkiej kolonii polskiej w Charbinie, aż do największych lat po II Wojnie Światowej stanowiącej jedno z największych skupisk Polaków na terenie Związku Sowieckiego. Wśród pierwszych na specjalną uwagę zasługują znakomicie napisane i obiektywne wspomnienia profesora Romana Dyboskiego zatytułowane *Siedem lat w Rosji i na Syberii* (Warszawa, 1922), podczas gdy bardziej subiektywne wrażenia z tych czasów próbują oddać książki Jerzego Bandrowskiego, takie jak pamiętnikarskie *Przez jasne wrota* (Lwów, 1920), czy upowieściowana autobiografia *Niezwalczone sztandary* (Lwów, 1923) i kilka innych. Prace obu autorów zostały całkowicie przemilczane w okresie po II wojnie światowej, usiłującym pokryć milczeniem udział Polaków w walkach „kontrewolucji”. Dopiero ostatnio ukazała się praca Wojciecha Materskiego *Bolszewicy i samuraje* (Warszawa, 1990) przypominająca sprawy i dzieje tamtego okresu. Zupelnemu też zapomnieniu uległy drobniejsze prace innego jeszcze żołnierza 5. Dywizji, profesora Józefa Birkenmajera, poległego w obronie Warszawy w 1939 r. Nurt wspomnieniowy kontynuuje wydana ostatnio książka Edmunda Hery pt. *Z biegiem lat, z biegiem wydarzeń* (Warszawa, 1992). W sumie zatem listy mego Ojca stanowią jeden z nielicznych zachowanych dokumentów tego okresu i tym samym zasługują na pamięć.

Dokonując wyboru ograniczonego możliwościami wydawniczymi, usunąłem prawie wszystkie pasażę osobiste, często głęboko liryczne, skierowane do młodej narzeczonej; te i inne usunięte fragmenty zaznaczone są nawiasami kwadratowymi, w jakich umieściłem kursywą drobne komentarze. Nie pomijałem jednak części anegdotycznych, często pisanych z humorem i zacięciem literackim, sądzę bowiem, że mimo ich niejednokrotnej błahości oddają one charakter życia Polaków w tej specyficznej sytuacji. Starłem się do koniecznego minimum ograniczyć przy-

pisy objaśniające tekst, w którym zmodernizowałem tylko pisownię, zwłaszcza nazw geograficznych, i wprowadziłem kilka korekt oczywistych omyłek. Zachowałem też kilka ogólnych, opisowych partii Syberii, utrzymanych w poetyce Młodej Polski, co nie dziwi u krakowskiego studenta. Wyeksponować natomiast starałem się sprawy historyczne, polityczne i społeczne nurtujące grupę Polaków rzuconych na szlak kolei transsyberyjskiej, pozabawionych nieomal całkowicie kontaktu z krajem, nieufnych wobec „aliantów” i wobec własnych władz podejrzanego nieraz autoramentu. Sądzę, że odbijają one nader wiernie nastroje większości ludzi myślących, którzy znaleźli się pod „niezwalczonymi sztandarami” podobnie, jak powtórzyć się to miało po dwudziestu paru latach, w okresie następnej wojny, przy czym dla historyka spraw bardziej współczesnych porównania są nieuniknione.

Na zakończenie słów parę o losach głównych postaci tej korespondencji. Dywizja Syberyjska zmuszona została do kapitulacji pod przeważającymi siłami oddziałów bolszewickich w dniu 10 stycznia 1920 r. Dodać warto, że w 5. Armii RKKA jednym ze zgrupowań kawalerii dowodził dwudziestotrzyletni Konstanty Rokossowski, o czym zresztą dyskretnie milczy w swej autobiografii *Soldatskij dołg*. Większość oficerów i żołnierzy 5. Dywizji internowano lub zgoła uwięziono, inni, szczęśliwi, uniknęli tego losu. Jak widać z listu ostatniego, datowanego 23 marca 1920 r., ślub zawarty został zgodnie z nastrojem całej odysei, w wagonie kolejowym, po czym młode małżeństwo wraz z małą „Dudą” starym frachtowcem SS „Yaroslavl”, obsadzonym angielską załogą a przewożącym resztki 5. Dywizji do Polski opłynęło połowę świata, aby przez Japonię, Ocean Indyjski, Kanał Sueski, Morze Śródziemne, Atlantyk, Morze Północne i Bałtyk trafić do kraju, gdzie statek zawinął do gdańskiego portu w lipcu 1920 r. Rodzice moi osiedli początkowo w Lublinie, gdzie z małżeństwa ich narodziło się dwoje dzieci — ja i moja młodsza siostra, Teresa Magdalena.

## JERZY R. KRZYŻANOWSKI

### 1. Charbin, 11 lipca 1919, piątek, rankiem

[...] I mimo, że pani G. jest mi ogromnie sympatyczna, tak że w jej obecności mój humor traci dużo kwasu, omal że nie przekonywałem jej, że w Charbinie zbyt... gorąco. Cóż robić — terpy kozacze, atamanem będziesz — Pani Mita przyjedzie tutaj — a tak chciałbym zobaczyć Panią wesołą i rozbawioną...

Jak pisałem: wyjazd mój do Władywostoku uzależniam zupełnie od przyjazdu Pani tutaj — a na myśl, że to będzie chyba dopiero kiedyś po niedzieli — dochodzę do przekonania, że cnotę rycerską, cierpliwość — wykształciłem w sobie, że lepiej nie potrzeba. A jest to bardzo wesoła cnota, tylko że... nie zawsze.

Ale by i swoje i Pani myśli oderwać od tych nieciekawych refleksji poczną chwalić przyjemności charbińskiego żywota. Dobrze?

Zaczynam tedy od ciepła; jest ciepło, i to nawet bardzo ciepło. Tak do 50 [stopni] R[eaumera]<sup>1</sup>. Pracować absolutnie nie podobna. Toteż biedna komisja poci się i wypija całe morze rozmaitych wód, robionych przy pomocy sacharyny i benzyny, jak twierdzi jeden wesoły jegomość. Poza tym zawieszają się na kołku tzw. przyzwoitość i wieczorami, przed pójściem do ogrodu, gdzie stosunkowo najprzyjemniej, Komisja „odpoczywa”. Siadamy tedy w kostiumach rajsko-kąpielowych obok wagonu lub na schodkach i od czasu do czasu robimy mahomekańskie ablucje. Mam malusieńki „kubek polowy”, objętości butelki. Co chwila ktoś chwyta za ów kubek — i wystarczy wylać ich dziesięć na głowę — by przez pół godziny mieć miły chłód. Operacji tej towarzyszą zazwyczaj najrozmaitsze swojskie odgłosy i pisk, ryk, kwik, rzenie — zależnie od humoru lub temperamentu. Choć sam, muszę się pochwalić, zdradzam dość mało zdolności wokalnych. Mimo tzw. nerwów etc. wytrzymuję całe strugi wody doskonale. Być może, że pozostają pod wpływem opowieści Pani o kąpielach w Aszyche wiosną; być może. Ale przy tym wszystkim — chcąc czuć się choć trochę człowiekiem — należałoby wylewać na siebie co godzinę po wiadrze wody — choć wątpliwe, czy pomogłoby to skutecznie.

Szkoda, że do Sungari tak daleko. Byłem tam wczoraj — i przynajmniej ubawiłem się trochę. Dość prymitywne łaźienki podobne są do beczki, w której pluska się parunastu żydowskich śledzi. Gwałt-rejwach jak w Palestynie. Nagle wpada właściciel, mały „Armiaszka” z miotłą do zmywania pomostu w rękę — i poczyna co sił okładać tym instrumentem po głowie i plecach jednego z kąpiących się, klnąc go przy tym z całym artyzmem kaukasko-sybirskim. Co się stało? Oto ów młodzian wdął się poprzez kratę do oddziału, gdzie kąpią się piękności lokalne, dał nurka i chwycił kogoś za nogę. Przerazona piękność uważała za stosowne omdleć. A winowajca przyjmował najspokojniej ciosy, powtarzając tylko: niech-no pan ostrożnie macha pałką! — podziwiam jego iście spartańską wytrzymałość. Dopóki mu to

---

1. 50 stopni Reaumura — ok. 60 stopni Celsjusza.

nie sprzykrzyło się. Dał więc susa i dopiero gdy zwinny Ormianin zniknął, Żydziak wylał gdzieś spod pomostu odgrządzając się jeno, że połamie na nim tę samą pałkę. Ten kochany Wschód jest jeszcze tak naiwnie prymitywny, że za dobre od razu znajduje się nagrodę, a za złe karę. Z czego wyprowadzam bardzo nieoczekiwany wniosek, że muszę zrobić coś nadzwyczaj dobrego, by mogła mnie spotkać tak nadzwyczajna nagroda, jaką będzie zobaczenie Pani. [...]

## 2. Charbin, 13 sierpnia 1919

Jakoś mi dzisiaj dzień cały tak niemrawo przechodzi. Siedzę od rana w wagonie i nawet nie wiem, czy pójdę do miasta i dokąd mianowicie. Zaleciało tą specyficznie nowonikołajewską apatią, pokrywającą beznadziejną pustkę życia. Na tym tle nawet tęsknota wydaje się jakby szarą — jakby babim latem.

Przyjechało wczoraj ze „stolicy” dwóch oficerów — jeden jedzie jako kurier do kraju, drugi po odwiezieniu naszego ryżu powraca do Władywostoku. Przywieźli sporo nowin, z których wynika, że tam nad Obiã ta sama czczość i próżnia, to samo pijaństwo i bezmyślne niedołęstwo, które się pozostawiło w kwietniu. Dwa pułki pod dowództwem Skorobohatego<sup>2</sup> uganiają się po stepach, gdzieś koło Karaczej, ale polowanie nie bardzo im się wiedzie. Reszta rozpija się po knajpach i kasynach. Z ciekawością najpierw a odrazą przy końcu przeglądałem pliki rozkazów. Cała powódź frazesów z racji 3-go Maja, Grunwaldu i innych świąt i świątek, fale retoryki maskujące takie fakty, że rozstrzelano coś 15 ludzi — wśród nich 10 żołnierzy za udział w ruchu bolszewickim, sprzedawanie bolszewikom broni itd. Gdybyś wiedziała, Kochanie, jakie to wszystko męczące, jak beznadziejnie nęka ta jałowość, jak chciałoby się wyrwać z tego zapowietrzonego bagna i odetchnąć innym środowiskiem. Dlatego tym bardziej jeszcze tęsknię za tym cichym domkiem, gdzie z moją Dudą jedną i Dudą drugą będzie można patrzeć na życie jako coś, co nie truje i nie zabija. [...]

Ów oficer-kurier dziś rano spostrzegł, że skradziono mu z wagonu spodnie i płaszcz. Trudno! Złodziej widocznie przysta-

---

2. Skorobohaty — Jakubowski Jan (1878-1955), major, potem pułkownik, dowódca I pułku strzelców polskich (wrzesień 1918), następnie szef sztabu Dywizji Syberyjskiej, dowódca Brygady Syberyjskiej i szef Dowództwa Wojsk Polskich na Syberii; po kampanii wrześniowej 1939 r. we Francji, skąd w 1940 r. przybył do kraju jako Tymczasowy Delegat Rządu; następnie w Komendzie Głównej AK. Od 1944 generał brygady. Zmarł w Warszawie.



wił do okna drabinkę, ściągnął co było pod ręką i spłoszony przez psa dał nura między wagony. Przy tej okazji ja skonstatowałem, że i mój płaszcz ulotnił się. Ruszyłem ramionami; dobrze, że wziąłem ze sobą ów zielony, który miałem tam u was. Dam go przerobić — i po sprawie. [...]

Dzisiaj dowiedziałem się, że tutaj mają w czasie niedługim stworzyć bazę Intendentury; gdyby sprawa mego zwolnienia się z wojska przybierała obrót niepomyślny lub zaciągała się na czas zbyt długi — spróbuję przejść do Intendentury z tym, by przeniesiono mnie do Charbina właśnie.

A wówczas może sytuacja zmieniłaby się o tyle, że można pobrać się, choćby nawet w Fudiadanie, by nie wejść w zbyt otwartą kolizję z przemądrymi zarządzeniami „dziadka Czumego”<sup>3</sup>. Ano — zobaczymy, w każdym razie rad jestem, że Charbin porzucimy jutro. [...]

### 3. Charbin, 15 sierpnia 1919

[...] Jak wczoraj — jak przedwczoraj — spędziłem znów wieczór na werandzie klubu kolejowego; przysłuchiwałem się rozmaitym plotkom garnizonowym, o tyle ciekawym, że bohaterów ich znam przeważnie i to właśnie ze strony najmniej ciekawej. Nie jestem i nie chcę być idealistą — wolę widzieć ludzi takimi jakimi są w rzeczywistości — ale trudno spokojnie przyglądać się galerii wyrzutków, drabów bez czci i wiary, galerii, o której opowiadał tutejszy komendant. Stykać się z tą hołotą, pracować z nią razem a niekiedy popadać w pewną od niej zależność — to przecież bardziej jak upokarzające. [...]

Mam jakieś specjalne szczęście do spotykania rozmaitych eks-dygnitarzy; przed rokiem, jadąc do Bugurusłanu korzystałem z uprzejmości niejakiego p. Serafina, członka P.K.W.<sup>4</sup> Pan ten miał do swojej dyspozycji wagon, robił bardzo poważne i tajemnicze miny, senatorskie co najmniej, forytował, gdzie mógł i jak mógł wszelką kanalię etc. Niedawno spotkałem go we Władystoku; po cywilnemu, zaniedbany — robił wrażenie opryszka z przedmieścia; podobno wybierał się do kraju; z P.K.W. usunięto go, bo przekonano się o rozmaitych naduży-

---

3. Czuma Walerian (1890-1962), major, następnie pułkownik, dowódca Wojsk Polskich na Syberii, w okresie międzywojennym generał, m.in. komendant główny straży granicznej; we wrześniu 1939 r. dowódca obrony Warszawy, następnie w niewoli. Zmarł w Anglii.

4. P.K.W. — Polski Komitet Wojenny, zorganizowany latem 1918 r. w Omsku, następnie w Nowonikolajewsku — najwyższa polska władza na Syberii w latach 1918-1920.

ciach, sprzedaży spirytusu, podobno rzekomo dla armii etc.

Do kraju również przed kilkoma dniami pojechał zdegradowany kapitan Jaworski<sup>5</sup>; mój pierwszy dowódca pułku, rycerz bez skazy i trwogi, zaciekły wróg bolszewizmu, autor przykazań kadecko-żołnierskich etc. Okazało się, że pan ów, wbijający w pamięć szaremu żołnierzowi, że „prawa nasze wówczas dopiero uznane będą, gdy bagnietami wypiszemy je na grzbietach wrogów naszych”, potrafił rekwirowane konie sprzedawać i kraść otrzymane za nie pieniądze, wysyłał żołnierzy na spekulację do Charbina etc.

Z rozkazów znowu dowiedziałem się, że mój były dowódca kompanii, niejaki Rzewuski, za kradzież majątku wojskowego został zdegradowany i osadzony w więzieniu. W ten sposób wszystkie eks-zabory mają swych przedstawicieli, bo Serafin to Galicjanin, Jaworski — Poznaniak, a Rzewuski — o ile pomnę — kresowiec. Dodaj do tego, Mito, że w Nowonikołajewsku normalnie słyszę o całym szeregu spraw zakulisowych, które dopiero z biegiem czasu trafią do sądu, a bardzo często zupełnie nawet nie trafią — i osądź, jak ja muszę czuć się w tym środowisku.

A w dodatku każdy taki pan, który zdołał tu ukraść, ile się dało, potrafi koniec końcem na podstawie otrzymanego z wojska „wilczego biletu” dostać się do kraju; widocznie nasze rewolucyjne „naczalstwo” uważa kraj za rodzaj zbiornika, służącego do zlewania wszelkich szumowin i pomyj emigranckich.

Czyż można się dziwić, że żołnierz, który patrzy na to wszystko, robi się „bolszewikiem”? A wówczas proceder jest bardzo prosty, zdradza lub chce zdradzić własnych braci — więc sąd doraźny, kula w łeb, patetycznie-obłudny nekrolog w rozkazie i lakoniczna uwaga: wyrok wykonano dnia dzisiejszego o godzinie 5. min. 40 rano...

Wiesz, kochanie, był czas, że wszystkie te brudy formalnie dusiły mnie, gdy myślałem już to o dezercji, już to o samobójstwie. Że po powrocie do Sztabu odpadnie i jedno i drugie — to tylko myślom o Tobie zawdzięczać będę. Bo niedobrze jest stawiać zbyt górne wymagania świata i zbyt wrażliwie na jego przejawy reagować. [...]

Śmieszne są losy i niekiedy złośliwe. Proszę sobie wyobrazić, że w sąsiednim przedziale wiozę byłego właściciela fabryki, gdzie pracowałem. Kiedyś idę tu — z bluzkami właśnie — ul. Chińska, nagle: „A! Stanisław Josifowicz!” — patrzę, mierny adwokacina z Kurganu, którego biografię niegdyś odcyfrowałem

---

5. Jaworski albo Jaworowski, dowódca 4 pułku piechoty, rozformowanego wiosną 1919 r.

z konta księgi handlowej. Uciekł przed bolszewikami — tu trafił na strajk — z lamentem prosił, by go zabrać choćby na bufory. Gdy dostał dla siebie i swej Marusi po ławce — wierzyć nie chciał, że spotyka go taki zaszczyt. I na dobitkę — o ile lubiłem dwóch innych „dyrektorów” — o tyle tego stale ignorowałem, co oczywiście nie zawsze trafiało mu do przekonania. A nic — słodka jest zemsta sercu człowieczemu. [...]

#### 4. Władystok, 19 sierpnia 1919

Przeszedł pierwszy dzień poświęcony „pracy” ku mocnemu niezadowoleniu Dulki. „Co pan tylko przyjdzie i przywita się i już bierze się do roboty?” — Jutro, dziecko, dziś nie ma czasu. — Choć prawdę mówiąc cała moja praca sprowadza się do zmarnowania kilku godzin na psucie papieru, kilku godzin na spożywanie obiadu i kilku na kąpiel.

Zajęcie centralne było najlepsze, choć nie ze względu na jakość obiadu. Było bajecznie oprawione w ramy urzędowe. Bo trzeba się w nie wciskać coraz głębiej. Proszę sobie wystawić, jak chcą mnie urządzać: wczoraj naciągnąłem na siebie mundur sukieny, podciągnąłem wszystkie rzemienie, wyciągnąłem się w strunę i przedstawiłem tutejszemu najwyższemu naszemu dygnitarzowi, zjechał on tutaj podczas naszej nieobecności. Pan ten oświadczył mi z kantu, że mam pozostać tutaj, bo nie otrzymał dotychczas żadnej depechy o moim odwołaniu. Zdębiałem na to: projekt pozostania tutaj w danej chwili całkowicie nie podoba mi się, bo jak mówiłem Ci, Kochanie, już w Aszyche, chciałbym zorientować się w Sztapie, co właściwie mam do zrobienia. Koniec końcem dałem depechę z zapytaniem, czy mam pozostać czy wyjechać, i jestem przekonany, że każą mi zrobić to ostatnie. Ale nim dojdzie — może wypadnie mi tu posiedzieć tydzień lub dwa, a tymczasem koledzy wyjadą i przyjazd mój do A. może być narażony na szwank. W rezultacie prawie zdecydowałem się wyjechać z innymi bez względu na to, co sobie p. Burckhard pomyśli. I w zamiarze tym utwierdził mnie jeszcze sławetny obiad dzisiejszy. Dwunastu apostołów w mniej-więcej złotych, kiepsko przerobionych mundurach, rozmowa bardzo ożywiona, rej wodzi dwóch pułkowników na miejscach honorowych. Rozprawia się o stojącej nad grobem Rosji, która może odrodzi się dopiero po przejściu tego, co myśmy przeszli. I nagle niespodziewany trick: przedstawiciel dowództwa opowiada o depechy do bazy francuskiej, mają ograniczyć i zakupna i transporty, bo czasy niespokojne; być może, że nasi opiekunowie znad Sekwany pójdą śladem Kanadyjczyków, Włochów i

innych pobratymców tj. wyniosą się cichaczem do pięknej Galii, a my, Polacy? — „Być może, że panowie będziecie musieli rozsytać się” — powiedział grzeczny Francuz. Opiekunowie nasi doszli do tego samego poglądu, który w marcu jeszcze słyszałem w bardzo pesymistycznie nastrojonym kółku byłych „legunów”. Kochany prezes myśli już o zdobyciu paszportu polskiego „na wszelki wypadek”. Chałat wzdycha do ubrania cywilnego, choć równocześnie propaguje ideę, że około Bożego Narodzenia będziemy wszyscy siedzieć gdzieś w Rozdolnem lub Nikolsku, tj. o kilka godzin od Władywostoku, a wiosną „36-ciomilionowy naród pomyśli o wyratowaniu tych kilkunastu tysięcy ludzi i przyśle okręty”.

Przed paru dniami przyjechała czeska delegacja z kraju; po prostu diabli biorą, gdy się patrzy na nich, bo dlaczego my, Polacy, czy rząd nasz nie mógł się na coś podobnego zdobyć, dlaczego my dotychczas nie dostaliśmy tego wdowiego grosza z dalekiej ojczyzny — choćby dobrego słowa. W dodatku Czesi poczynają patrzeć na nas wilkiem; przywieziono i pokazują żołnierzom filmy przedstawiające boje na Śląsku, bombardowanie stacji i miast polskich etc. To znaczy, że problematyczna przyjaźń polsko-czeska rwie się coraz bardziej.

Właśnie dochodzą mnie fragmenty rozmowy dyrektora z kolegami: doszli do przekonania, że kraj umyślnie ignoruje nas, by nie obciążać swego budżetu i powiada: „radźcie sobie sami, jak możecie, bo myśmy bezsilni”.

Więc radzić sobie — to znaczy wybrać drogę najkrótszą, czyli najprostszą i dlatego chcę być w Nowonikołajewsku. W tamtejszym Domu Polskim wisi ogłoszenie, zapowiadające, że organizuje się powrót do kraju: przejazd klasą drugą wynosi około 500 do 550 yenów — czyli na starą miarkę 500 rubli, na nową zaś co najmniej 20 000 „sybirskich”. Tkwiąc przez rok jeszcze w wojsku, w Rozdolnem czy Nikolsku, nigdy sumy tej mieć nie będę, bo w najlepszych warunkach pensja moja wysokości tej nie przekroczy. Pracując zaś poza ramami francuskich landsknechtów można w przeciągu roku dołożyć 1 500 yen, to znaczy wrócić z moją panią Mitą do kraju. [...]

##### 5. 7-go [września 1919] w południe

Pociąg mknie sobie — powoli a systematycznie — przez równiny nie bardzo ciekawe. Od czasu do czasu przemyka wśród jezior i komyszy. Na błękitnych szybach wód całe roje kurek wodnych i kaczek. Gdzieniegdzie podrywają się ciężko czaple i niezgrabnie szybują nad roztrzepotanymi stadkami

drobniejszego ptactwa. Po prostu dusza się wyrывa do strzelby i łódki, choć mój instynkt myśliwski ulega pewnemu zboczeniu, oto zamiast dziadka wołałbym w łódce mieć taką maleńką Mitę. [...]

Daruj, że piszę tak niedbale — ale stół zastępuje mi teczka położona na kolanie, na stole bowiem pisać by nie można, mimo że wagon trzęsie stosunkowo niewiele. Ale dobrze mi tak siedzieć w promieniach słońca jesiennego — słuchać monotonnego turkotu pociągu i rozmawiać z moją Panią. Śmiać mi się chce trochę, że tak prędko awansowałem na narzeczonego i bawiło mnie trochę, gdy Klein dopytywał się: „jak zdrowie narzeczonej”, albo Grochulski dworował sobie, że już wtedy, gdy widział nas razem, przepowiadał mi, że przez dzieciaka chcę trafić do serca mamusi — a ja się nie przyznałem. [...]

Dojeżdżamy do Cocyharu — skąd chcę wysłać list, więc kończę. [...]

## 7. Ołowiannaja, 9 września 1919

[...] Listy od Ciebie, kochanie, są dla mnie czymś w rodzaju obrachunków sumienia: pisząc je spostrzegam aż nazbyt często, jak strasznie puste i jałowe jest nasze życie. Tylko co powróciłem z przechadzki po peronie; przyjechał trzeci po nas pociąg osobowy — to znaczy na nieznacznej stosunkowo przestrzeni opóźnił się na 2 doby — nie mogłem się nawet nadziwić fragmentowi zasłyszanego dialogu:

— Kiedyż u diabła pojedziemy dalej?...

— Poczekaj. Dokąd ci się spieszy? Masz czas.

Istotnie — ma się czas — cały dzień trzeba leżeć czy spać czy grać w karty; dawniej godzina stracona na czekanie pociągu denerwowała — dziś wszystko jedno. Wojsko to w ogóle rzecz oglupiająca, skonstatował dziś Jur; wojsko beczynne jeszcze głupsza, a najgłupsza — ludzie beczynni w tym „wojsku”, ludzie czyli my, „straszni ludzie”, jak nas nazwała jedna sympatyczna siostrzyczka o hrabskich koligacjach i wdzięku hrabskiej pokojówki... Doprawdy — męczące jest to wszystko i śmieszne. Znasz mnie, Mito, na tyle, by móc określić, o ile jestem „straszny” człowiekiem; Groblickiego i innych znasz z moich listów — możesz tedy wytworzyć sobie pojęcie o naszych stosunkach pociągowych. Dodaj do tego, że dają nam jeść podle — że jesteśmy „na kotle”, podczas gdy przygodni goście, oficerowie rosyjscy, rozmaite rosyjskie siostry miłosierdzia (osobliwie nocnego) etc. „prawosławni” otrzymują stół oficerski — niewiele wprawdzie lepszy — ale bądź co bądź obfitszy i mniej od kotła

odrażający. Wszystko to są drobiazgi — nie warte uwagi — ale bardzo charakterystyczne dla naszej ogólnej atmosfery.

Trochę dla zabicia czasu, trochę z ciekawości, ale więcej dyletanckiej, czytuję po kilka godzin dziennie. Obecnie czytam historię literatury, rozpoczętą jeszcze we Władywostoku przed poznanieniem Ciebie, Kochana. I dobrze mi z tą lekturą.

Przypomina mi dawne — ale to dawne czasy, gdy jako uczeń chodziłem z tą samą książką po polach pod Sanokiem — bo dziedziną tą interesowałem się już jako chłopak 15-toletni i w domu po raz pierwszy rozczytywałem się w Brücknerze. Czasami napotykałem rozmaite zagadnienia, nad którymi pracowałem na uniwersytecie i myśli biegają do cichej biblioteki przy muzeum Czartoryskich, do tych czystych, sklepionych sal, gdzie skupioną w sobie ciszę przerywał tylko szelest przewracanych pożółkłych kart, gdzie w chłodnym wirydarzu, pomiędzy starymi, gotyckimi murami chadzało się z papierosem, dzieliło spostrzeżeniami, komunikowało nowości, słuchało lub dawało rady. Ci, którzy tam byli, dziś — dziś daleko; może tam, skąd się nie powraca. To znowu przypomina mi się pierwszy rok życia na Syberii: pracowałem dużo i każda nowa hiobowa wieść o zgonie tego czy owego z kolegów i przyjaciół wywoływała zawsze jedną i tę samą myśl: powstał nowy wyłom — musisz na nim stanąć i bronić kilku placówek. To było tak dawno...

W ten sposób książka czytana i studiowana poprzednio w życiu — staje mi się jakby różańcem wspomnień najrozmaitszych a zarazem budzi cały szereg pytań, wątpliwości, problemów... Niegdyś kochałem wiedzę i kochałem namiętnie... Samo postawienie sprawy, zda się, wskazuje, że dziś jej nie Kocham — a jednak czy to prawda? Wiesz, są czasami takie subtelne tony uczuć, że uchwycić ich od razu niepodobna; wiem, że czas pokrył tę moją miłość grubą warstwą rdzy, lenistwa, obojętności, odzwyczajenia się od pracy, co wprost śmieszne, bo byłem fanatykiem pracy i jej sprawdzianem ludzi mierzyłem. Co tedy pod ową rdzą pozostało? co? — odpowiedzieć nie umiem. [...]

## 8. Chilok, 11 września 1919

[...] Jur był wczoraj ogromnie zmartwiony — w gazecie wyczytał, że Niemcy szykują 800 000 żołnierza, przeciw Polsce oczywiście. Koalicja nam nie dopomoże — i cóż wówczas biedne sieroty poczniemy. Jur nie lubi dyskusji politycznych ze mną — bo bardzo często zamiast uznać się za położonego na obydwie łopatki ruszam ramionami. Zacząłem mu dowodzić, że obawy te są bezpłodne, bo przecież od tego mamy rząd, ministe-

ria, główną komendę etc., by nie prześlepić wypadków, że ludzie ci, tam w Warszawie, mają trochę więcej danych niż my tutaj, że lepiej ufać im niż tutaj tonąć w panicznym strachu przed Niemcem i dochodzić do przekonania, że może w rezultacie nawet niepodległości Polski nie da się z wojny wyciągnąć. Ot!, masz, Mito, typowy obrazek myślenia naszych politykantów emigranckich, którzy gotowi są uwierzyć w samego diabła, choćby czy zwłaszcza w pikielhaubie, a w samych siebie wierzyć nie potrafią.

Zamiast tedy słuchania i prowadzenia jałowych dyskusji, które nawet zdolności dialektycznych nie rozwijają, wolę stać przy oknie lub siedzieć we drzwiach wagonu i patrzeć na góry. Wczoraj kilka godzin przesiedziałem w ten sposób — przyglądając się prześlizcznej dolinie jakiejś rzeki, podobno Chorchantej [raczej: Chilok]. [...]

Niekiedy trafiają się wioski syberyjskie, typowo syberyjskie, szare i ciemne, dużo domów o płaskich, z gliny ubitych dachach, cerkwie o jaskrawo zielonych kopułach, ogrodzenia z żerdzi. „Nastwiącu Sybir”, jak mówią nasze kochane Polaki<sup>6</sup>.

O tak! Sybir. Odczułem to doskonale w Czycie, gdzie staliśmy kilka godzin. Stacyjka przeładowana eszelonami: tu całe platformy jaszczów i przodków armatnich, dalej rosyjski pociąg sanitarny, ówdzie długi szereg pół-wagonów amerykańskich z relsami i innym dobytkiem kolejowym — a wreszcie jakiś eszelon wojskowy: Boże miły — co za gęby! — jakieś Buriaty, jakieś muzyki, brudne, cuchnące, w pomiętych czapkach, wykrzywionych butach, z zapachem machorki i dziegciu, tym specyficznie „kazionnym” nieodłącznym w tiumie, policji i koszarach. Każdy z nas ma tyle wrodzonej niechęci czy nienawiści do tej tłuszczy, że aż ręce świerzbią, by kropić tych sprzymierzeńców i z prawdziwą satysfakcją myśli się, że tam nasi tłuką ich pod Bobrujskiem<sup>7</sup>.

Tak odwykłem od tego wszystkiego tam w Charbinie i Władywostoku, że poczułem wprost wstręt fizyczny wchodząc znowu do tego bagna syberyjsko-rosyjskiego. Już nawet Chińczycy trafiają mi daleko bardziej do przekonania. Ano — nie! W niedługim czasie rozstanę się z tym wszystkim — oby na zawsze — bo z moją Maleńką wracać będziemy nie tędy — prawda, Kochanie? [...]

---

6. Nastwiącu — zniekształcone: *nastojaszczaja* (ros.) — prawdziwy.

7. Bobrujsk został zajęty przez Wojsko Polskie w dniu 29 sierpnia 1919 r. w ramach tzw. Operacji Białoruskiej.

9. *Piotrowskiej Zawod* [obecnie: *Pietrowsk Zabajkalskiej*]  
11 września 1919, wieczorem

Koledzy wybrali się na „połów” — wątpię jednak, czy pomyślny, bo stacja mała, pustkowie w górach, a zresztą... straszniejsze to w słowach, niż w rzeczywistości. Nudów niepodobna zabić codziennym preferansem, więc próbuje się mało wybrednych, żołnierskich koperczaków — i bez powodzenia. Muszę się zresztą pochwalić, że walnie bronię „czystości” naszego wagonu; kiedyś tu ktoś chciał zaprosić na podwieczorek czy coś podobnego którąś z sióstr miłosierdzia, przeciwko czemu zaprotestowałem tak energicznie, że dał spokój. „Uspokoił się” — jak powiada Jur o gościu, co dostał pałką po głowie i nakrył się nogami.

Stoimy znowu, bo lekarzowi prowadzącemu pociąg bardzo nie spieszy się do N. Nikołajewska, a ciągną ta jazda męczy — zaczynają mnie boleć wszystkie kości; nawet materac, który mi dotychczas zupełnie wystarczał poczyna razić mnie swą cienkością. O sławetnym „kotle” pisałem już; na dobitkę poczyna dokuczać zimno: nieoceniony Mielczarek dopilnował dziś, by zapalono i Stanisław tkwi przy piecu — ponoć tej nocy będzie już ciepło.

I gdzie podziały się nasze upalne dni charbińskie? — i jak to wszystko przeminęło tak szybko...

Stoimy właśnie w miejscowości, gdzie przed laty była katorga. Świadczą o niej jeszcze krzyże zdobące tyse czoła gór, świadczy droga, zwana podobno „polskim traktem”, bo ręce skazańców wykuwały ją począwszy od Irkucka. Tak dziwnie się czułem dojeżdżając tutaj. Jak pisałem, jedzie z nami charbiński spekulant; opowiada, że dziad jego leży na „mogiłkach” tutaj, przy cerkwi „osnowanej dekabrystami” etc. Mimo woli przypomniało mi się, co powiedziano Anhellemu: Stąpaj ostrożnie, bo ziemia tu wybrukowana ciałami ojców i braci twoich. Spoglądałem na zbocza gór pokryte żółkniejącymi lasami, na szarzące ugory nad rzeką Balagą, na szare, próchniejące dachy domów miejskich i wydawało mi się, że lada chwila zobaczę szare, ziemiste postacie skazańców. Ale nie. Na pustych polach ponad plantem pasie się bydło, stare, paskudne babska [?] i młode pastuszki gapią się na pociąg — i gdyby nie biały krzyż nad rzeką — nic nie mówiłoby o przeszłości. I wydaje się, że to jest charakterystyczne dla całego życia rosyjskiego: o tym, co było na Sybirze, o całej tej martyrologii więcej wiedzą w Polsce, silniej ją czują niż w Rosji samej. [...]



Pociąg jedzie sobie pachciarskim truchtem — dzień ciemny, posępny i przenikliwie zimny — czytać się nie chce, w karty nie gram — nie pozostaje tedy nic innego, jak tylko wziąć teczkę na kolana i rozpocząć pogawędkę z moimi małąkami, tak kochanym a tak dalekim panem i Dzieciakiem równocześnie. W coupé dość ciepło, na ten raz sztuka Mielczarkowa święci triumfy; nawet sąsiedzi schodzą się, bo w innych wagonach palić nie umieją. Przyszedł więc rachityczny pułkownik, jakiś przeraźliwie długi a chudy kapitan, „prawosławni” wprawdzie, ale dość przyjaźnie nastroszeni wobec rozbajającego preferka. Socjocie całej przewodzi Jur oczywiście; co chwila rozlega się jego basowe: bronić Żyda! (tak w preferansie galicyjskim wabi się pula) — mizerka! — bez atu! — wszystko to przeplatane kpinami z palenia nocnego, które nie przeszkodziło uciekaniu do „patentowanego płaszczu”.

Stuk pociągu głuży to wszystko. Znużyły mnie trochę wrażenia turystyczne. Od rana prawie jedziemy nad Bajkałem. Mroczny dzień — u nas takie chyba w listopadzie bywają — uwydatnia jeszcze bardziej i jakby podkreśla posępność morza sybirskiego. Pociąg sunie po pustym, pokrytym strzępami szerniałej trawy i szarym szutrowisku, dziwnie smutnym brzegiem. Doskonale słyszę głuchy szum fali: bo Bajkał burzy się i bije o brzeg szeregami pienistych bałwanów, gryzie i szarpie żółty brzeg i coraz ponawia ataki. Gdzieś w dali majaczeje siny brzeg przeciwny — bliżej nad naszym góry pokryte ciemnym borem, poprzec który przeświecają srebrzyste spłachcie śniegu. Dziwnie tu ciężko duszy, dziwnie ponuro. [...]

Zimny, mocny wiatr wtóruje rykowi fal — i wszystko to razem, spotęgowane jeszcze przez ów dzień posępny padło mi jakby kamieniem na duszę, obudziło jakieś niejasne wspomnienia o czymś bardzo dawnym a bardzo bolesnym, o czymś dotąd nie wypowiedzianym a co wypowiedzi stanowczo się domaga. Coś niby — wieczna pieśń żołnierza-tułacza, co walczył w imię najświętszego ideału i poniósł straszną klęskę — ujrzał, jak chamski but przemocnego wroga stratował jego święty sztandar, a on, bezsilny obrońca pohańbiony znalazł się tutaj, daleko, nad tą martwiącą duszę tonią, wśród niemych gór, wydany na łup szponom samotności...

Nie umiem tego zlokalizować — nie potrafię znaleźć w pamięci jakiegoś faktu, jakiegoś Łukasińskiego nad Bajkałem — czuję tylko, że w chmurnym tym powietrzu, w buro-granatowej powierzchni wody, pociętej białymi pręgami fal czai się jakaś

tajemnica, którą przyszłość dopiero pozna, bo myśmy na to za mali.

I jakimś małym i banalnym wydał mi się w porównaniu z tym ulubiony obraz rosyjski, przedstawiający katorżnika umykającego w beczce przez to „czudnoje morie, swiaszczennyj Bajkał”. Być może, że szowinizm, którym przepełniło mnie moje życie syberyjskie, zabija wrażliwość na niejedną z głębszych motywów życia rosyjskiego, być może — ale ta wyłączość, chwilowo przynajmniej, wcale mnie nie martwi. A nawet bawi:

bo właśnie z głową przepelnioną tego rodzaju myślami powracałem znad brzegu, gdy powiedziano mi o nalepionej na stacji odezwie kozactwa syberyjskiego do Polaków. Jak jednak ironiczna bywa niekiedy historia, jak prowadzi przysłowiową kozę do wozu. Gdy często za żadną cenę na front zwabić się nie dadzą a ze „stanicami” zaczyna być krucho, bo zagraża im „rozbójnicza międzynarodówka — bolszewizm”, Kozacy przypomnieli sobie „wspólnego wroga”, Grunwald, śp. odezwę Mikołaja Mikołajewicza<sup>8</sup> etc., i wyrażają pewność, że waleczne pułki polskie nie zawiodą pokładanych w nich nadziei. [...]

Dziś jednak śmiech mnie bierze, gdy czytam to wezwanie do braterstwa broni: pod Grunwaldem Kozaków nie było — ale byli na Pradze, byli w Warszawie zawsze wtedy, gdy tak bombastycznie witana dziś niepodległość Polski dokumentowała się krwią pod ich właśnie nahażkami, choćby w 905 r.; oni to wreszcie nie tak dawno skutecznie bronili Chełmszczyznę od germanizacji, bo po prostu palili wsie a ludność wypędzali na tułaczkę i nędzę w objęcia „matuszki-Wszerassiej”. I dlatego odezwa ta, osobliwie tu, nad Bajkałem, wygląda tak dziwnie, że te ponure wody, gdyby śmiać się umiały, wybuchnęłyby ironicznym, wzgardliwym śmiechem.

A jednak... jednak nie ma nikt z nas pewności, czy jakieś „prawosławne” motywy nie skłonią naszego „D.W.P.” do zrealizowania tego braterstwa — czy naprawdę nie poleje się krew naszych Maćków i Bartków w obronie stanic kozackich, choć równocześnie tam, daleko, może zabraknąć rąk do obrony zagród polskich przed napływem hord bolszewicko-moskiewskich. Ironia dziejów bywa wszak obosieczna. [...]

### *11. Innokientewska, 13 września 1919*

[...] Całe prawie popołudnie spędziłem w Irkucku. I żałowałem bardzo, że mej Maleńkiej nie było ze mną. Tyle widzi się

---

8. Odezwa Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza z sierpnia 1914 r. mgliście przyrzekała niezależność Polski pod berłem rosyjskim, powołując się m.in. na wspólną walkę przeciw Niemcom pod Grunwaldem.

9. D.W.P. — Dowództwo Wojsk Polskich.

po drodze niezapomnianych obrazków, tyle spotyka się najrozmaitszych ludzi. Stacje zapchane najrozmaitszymi „bieżeńcami”. Po co ci wszyscy ludzie uciekają — nie wiem; śmiech i litość na przemian ogarnia na widok tylu rodzin duszących się w ciasnych i brudnych „ciepluszkach”, snujących się obok wagonów jak włóczęgi-cyganie, przy samowarach, kociołkach, garnkach i innych sprzętach domowych, aż do małych umywalni poprzybijanych na zewnętrznych ścianach wagonów. Mija nas pociąg — okratowany wagon arezstancki, dalej inne z brudnymi nędzaczami i żołnierstwem błyskającym sztykami — to „tiumra” z Jałutorowska. To znowu po stacji przechadzają się gromadki oficerów — jeńców austriackich. Widok tych ludzi po prostu przygnębia, pięcioletnia beczynność, tęsknota, ciągły niedostatek, strach bata czy bagnetu — wszystko to fatalnie odbiło się na twarzach tych ludzi. Brudni, obrośnięci, wymiętoszeni, bardzo często w strzępach mundurów noszonych co najmniej przez lat pięć, niekiedy w najrozmaitszych, ciepłych „własnego pomysłu” paltach i płaszczach — wyglądają jak żywe urągowisko pokoju i pisanim traktatom. Nie, nie podobna uwierzyć, że ci okryci ze wszech stron łatami pajace, to ludzie nie tak dawno jeszcze może przeciętni, ale choćby przeciętnie elegancy, kulturalni, wykształceni, ludzie o „białych rączkach”. Dziś jadą z Petropawłowska — nie wiadomo jeszcze dokąd i jeśli czego się obawiają, to jeszcze jednej zimy syberyjskiej, którą przepędzić im wypadnie Bóg wie w jakich warunkach. Może opowiadałem Ci, Mito, o obozie jeńców w N. Nikołajewsku, zmobilizowano ich przemocą, gdy jednak uparcie obstawali przy tytule „wojenno-plennyj” a odżegnywali się od Polaków, potrzymano ich przez czas jakiś w oddziale robotniczym, później zaś „zwrócono” władzom rosyjskim — z delikatnym zaznaczeniem, że to zwolennicy bolszewizmu. Spotkaliśmy wczoraj właśnie jednego z nich w pociągu. W brudnym, straszliwie znoszonym i wyświechtanym, burym szynelu, przepasanym sołdeckim rzemieniem, z opaską „B.N.”<sup>10</sup> na ramieniu. Siedzi ich stu w „lagrze”; pracują. Ten właśnie wiozł do miasta całą skrzynkę papierosów; daje to wcale niezły zarobek. Inni robią liczydła, inni zajmują się stolarką. I na jedno tylko czekają: do domu. Typowi psychopaci, maniacy — za punkt honoru uważają nie poddać się, choć sami nie wiedzą czemu i w imię czego. Do naszej sławetnej armii pretensji nie mają; szturmowcy<sup>11</sup> dali im wprawdzie „szkołę”. W Wielką Sobotę, gdy wszyscy żołnierze poszli do kościoła im

10. B.N. — zniekształcone rosyjskie litery W.P. — *wojenno-plennyj* (jeniec wojenny).

11. Szturmowcy — batalion szturmowy 5. Dywizji, uważany za jej chlubę.

kazano myć podłogi w koszarach — myli; kazali im wywozić śnieg z podwórzy — wywieźli; kazali pompować wodę, robota iście katorżna — pompowali; przy tej ostatniej, nadzwyczaj ciężkiej robocie nawet o „szytk” nie upominali się, bo na wszystko mieli jedną odpowiedź: „zrobimy, ale postawcie żołnierza ze szykiem”. Raz tylko i tu o „szytk” się upomnieli i wypadku tego darować nie mogą: musieli pompować wodę na kąpiel dla utrzymania dowódcy Szturmówki. Tego nie zapomną.

Ci, co najwięcej robili hałasu, protestowali przeciwko zdjęciu z nich strzępów cesarsko-królewskiego munduru, poszli po rozum do głowy, „zmienili przekonania”, trzeba rozumieć ducha czasu i kraju, wstąpili do wojska. Cóż bowiem pozostało innemu „aktywnemu” oficerowi austriackiemu, mężowi, który od dzieciństwa wrósł w mundur i jeśli wysiłał głowę nad czymś, to jedynie nad szlifowaniem bruków miejskich w ten sposób, by nie spotkać wierzyieli. Inni wzięli się do pracy — ci byli bezsilni, w wojsku przydadzą się, będą skutecznie szczepić kult sztandaru, na który wczoraj nie pluli li tylko z obawy oberwania „po zębach” — może jako bohaterowie powrócą do kraju. W wojsku polskim wszelkie śmiecie popłaca — im więcej go, tym lepiej.

Rad byłem, gdy wyrwałem się wreszcie z tego zakłętego koła tej śmiesznej a tak okropnej nędzy polskiej. Zderzyły się z jednej strony ślepy upór ludzi chorych i wyczerpanych całkowicie przez życie, z drugiej taki sam upór, bardziej chamski i bezwzględny, bo li tylko na sile bagnetu oparty — oba wyrzuczone poza sferę działania sił polskich — rezultaty więcej niż bolesne.

Stary, przedziwnie mądry mit grecki opowiada, że Prometej po wyzwoleniu musiał nosić pierścień z ogniw łańcucha, którym był przykuty do skał Kaukazu, wyrobiony; bo człowiek, który przeszedł mroki nieszczęścia czy niewoli, boskiej pogody nigdy już nie odzyska, gdzieś w „najgłębszych” warstwach duszy pozostanie coś przytalonego, coś, co wystąpi jednak w pewnej chwili i przypomni, że droga przebyta nie była li tylko tryumfalnym pochodem bez skazy... A my — my włóczymy jeszcze całe pęta, jeszcze nie doszliśmy do jasnej godziny wyzwolin — jedni zdolni jesteśmy do największych upokorzeń i salwujemy się tylko ułudą przemocy („dobrze, ale dawać tu szytk!”) — a drudzy śpieszymy ochotnie ze szykiem czy batem, jakby właśnie kat był najwyższym stopniem w hierarchii ludzi wolnych.

Byłoby to śmieszne — gdyby nie było tak wstrętne podłe, gdyby nie było... Widzisz, Jedyne, że owo morze chłodnego, galaretowatego paskudztwa, naszego życia wojskowego, poczyna coraz to bardziej zbliżać się. Tego rodzaju kwiatków będą spoty-

kać coraz to więcej w miarę skracania się odległości między naszym pociągiem a naszą „stolicą”.

Spodziewam się — niestety — że w tego rodzaju sprawach będę Ci pisać jeszcze niejednokrotnie, wolę tedy o czymś innym — choćby o Irkucku. Cały zresztą Irkuck oddałbym za jego rzeki — spokojny, mieniący się jak tęcza wśród zielonych, wysokich brzegów Irkuś [poprawnie: Irkut] — i rwącą, a świetną jak brylant Angarę. Podobała mi się ona wiosną, gdy na niedużej, odartej z lodu przestrzeni, chodziły statki; teraz zaś, oglądana z mostu pontonowego, po prostu zachwyca. Pędzi skądś, z jakiegoś cudnego zakątka gór, gdzie na tle fioletowych borów i jasnozielonych wzgórz bieleje jakaś cicha cerkiewka czy klasztor, olśniewa srebrem i błękitem szerokiej powierzchni, koło mostu zadziwia przeźroczeniem szmaragdowej toni. Woda rwie się, kipi, tworzy drobne lejki wirów — w zalewie wartki prąd jednak nie dopuszcza fali. Podobnie ruchliwej, rwącej i silnej, a pozornie tak pogodnej rzeki nigdy jeszcze nie widziałem. Jakiś Czech nieborak wjechał koło mostu w wodę z beczką i nim zdążył się połapać, co się stało, popłynął z koniem i beczką — jego samego przy mnie wyłowiono; czy odratowano — nie wiem. W mieście samym spotkał mnie zawód. Przeniesiono tu redakcję „Głosu Polskiego” — chciałem zobaczyć się z jednym z kolegów, współpracowników gazety, okazało się, że przed dwoma dniami wyjechał. Bajeczny za to miałem powrót. Jur, którego z wielkim mozołem namówiliśmy na wycieczkę, ustawicznie obawiał się, by pociąg nam nie uciekł — a pociąg stał o 12 wiorst od miasta, na jakimś przystanku wojskowym. Dojechać było trudno, bo na pocztowy odmówiono nam biletów, podmiejski zaś miał odejść coś za godzinę dopiero. Wobec tego Jur postanowił iść pieszo. Zgoda. Przeszliśmy w ten sposób około wiorsty i właśnie moja nieznośna noga zaczęła mi trochę dolegać, gdy w tyłu rozległ się huk: ów pociąg podmiejski namyślił się i poszedł sobie, zostawiając nas na plancie. Właśnie mijał nas ostatni wagon, gdy pociąg zwolnił biegu. Niewiele myśląc podbiegłem do ostatniego buforu i wskoczyłem na platformę. Przykład zelektryzował innych. Andrusz — Jur puścili się za pociągiem. Jur jednak pierwszy zrezygnował z awantury — Groblicki za nim, musieli się wprzód wysapać. Ja zaś oglądałem sobie cały Irkuck — tak ładny z daleka, że ani bym przypuszczał.

Białe cerkwie wznoszące się ponad szarą płytą dachów, ciemno-brązowy masyw soboru, górujący nad całym miastem, a wszystko to opasane dwiema błękitnymi wstęgami rzek, rzuczonych na zielen pastwisk, otoczone wzgórzami i dalej wysokimi górami — jest naprawdę malownicze i zajmujące, zwłaszcza pod

wieczór, gdy górskie powietrze, jakąś leciuchną, na wskroś prześwieconą mgłą czy poświatą uwydatnia kontury, ale równocześnie dziwnie je łagodzi i harmonizuje.

Potem spotkałem ową panią, o której pisałem poprzednio — przesiedziałem u niej jakąś godzinę — tyle właśnie, ile trzeba było, by spotkać pozostawionych na torze kolegów. Na jakimś przystanku wskoczyli na pociąg pocztowy i trochę pomęczeni marszem zjawili się w samą porę — na pół godziny przed wyjazdem naszej budy sanitarnej.

Na wycieczce zyskały tylko nasze apetyty — osobliwie mój. Zmartwiłem tym biednego Jura. Ten Krzyżan zrobił się taki „żrun” — „furt” siedzi tutaj, niby to pisze, a naprawdę to tylko wsuwa.

Istotnie — jem za trzech.

## 12. Zima, 14 września 1919

[...] Bądź co bądź przeszliśmy pod komendę Piłsudskiego. Przytnie to trochę rogów naszym domorosłym dyktatorom; przede wszystkim jednak zaczynamy nabierać przekonania, że kraj o nas wie i poczyną się dołą naszą interesować. Czy opieka ta, wobec piętrzących się trudności lokalnych i technicznych, wyda jakiegokolwiek owoce — wątpić się godzi; Pan Bóg wysoko, Piłsudski daleko; bądź co bądź widać choć słabe przebłyski tego, na co wszyscy czekają. Fakt faktem, że Czesi, posiadający daleko lepsze warunki, bo rozporządzający daleko większymi środkami, w żaden sposób wyrwać się z tego nie potrafią.

Zobaczę za parę dni, czy choćby tygodni, w jaki sposób nasze perspektywy odbijają się na naszych, Kochanie Ty moje, losach. Myślę, że albo nic się nie zmieni, albo przynajmniej niewiele. [...]

Twój Julek

## 13. Ilanskij, 16 września 1919

Mito Moja Najdroższa

tak wciągnąłem się (zaczynam ślicznie mówić po polsku! nieprawdaż?) do pisania, że gdybym któregoś dnia nie chwycił za pióro, nie tylko współlokator i rozmaite „łapiduchy” (doktory, felczery i inne czerwonokrzyżowce) mocno by się dziwiły. Całe bowiem to życie wagonowe układa się w taki deseń, że do roboty jakiegokolwiek, nauki czy czegoś podobnego wziąć się

trudno: czytuję wprawdzie od czasu do czasu — ale niewiele; o ile pociąg mknie przez lasy i góry trudno nie cieszyć oczu pysznymi resztkami jesieni — przecież za tydzień lub dwa będzie tu całkiem pusto i martwo; na stacjach znowu chodzi się aż do przesytu. Bo gdyby nie Czesi — stacje byłyby szare i smutne, jak te długie chorowody pociągów „bieżeńskich”.

Właśnie wróciłem z takiej przechadzki: przyglądałem się Czechom stojącym tu garnizonom. Koszar nie mają — ale postawili sobie gdzieś na uboczu, na ślepych torze kilkanaście wagonów. Dziwna rzecz — ci na wskroś zmaterializowani, obcy wszelkiej estetyce Czesi stworzyli bardzo ładny, wabiący oko zakątek. W słońcu przewija się ładna, nie wyblakła jeszcze trójbarwna chorągiew, biało-czerwona w obramowaniu lazurowym, ze złotym monogramem „C.S.”. Drzwi wagonów obite girlandami z gałęzi sosnowych — wewnątrz zaś girland zdobne niekiedy bardzo pomysłowymi ornamentami. Z kory brzozy wystrugał ktoś ładny zamek Hradczański, bielejący na czerwonych deskach, na innym błękitnieje Wełtawa, dalej połyska żółta głowa Husa z napisem: „Choć twe ciało w grobie gnije — duch twój między nami żyje”. W ogóle inskrypcje niezbyt wybredne: „w jedności siła”, „wolności nie można wypłakać” i stary Masaryk figuruje tutaj: „tatirsku stary nasz — wrócim do domu aż nas zawolasz”... A obok tego pstra, pomalowana na jaskrawe kolory klatka-chałupina, mieszkanie oswojonej kawki; żołnierze weseli, ubrani wprost elegancko, bawią się... Z progów kolejowych zrobili kręgielnię; dość prymitywne figury i kule — ale humor nie opuszcza nikogo, grają, krzyczą... Dziwni ludzie. Wczoraj jechał z nami oficer czeski — opowiadał o walkach pod Bachmanem, Samarą. Ot! taki sobie dość ograniczony i zabawny „Wenclik”. Mówiąc przymykał jedno oko, otwierał pociesznie usta i podnosił palec; równocześnie obawiał się bardzo by nie splamić spodni „eszcze syzrańskich”. Ale w tych jego prostych opowiadaniach „jak deset lidu” z bombami w ręki zdobyło doskonale obwarowany dom i zmusiło do kapitulacji bolszewików, i inne podobne, uderzały taką siłą — taką pewnością siebie — że musiało się skłonić czoła...

Na stacji podeszła do nas jakaś wążka, zwiędła kobiecina. Polacy? — Polacy. Skąd? dokąd? i posypały się trwożne pytania, co będzie dalej. Ma syna przy wojsku; dobre dziecko, złote serce, wychowane według wszelkich zasad wiary i moralności — koledzy jednak — och! ci koledzy — namówili go, by wstąpił do wojska. I wstąpił i tkwi w tej zgniliznie — i co z niego będzie... Biedne serce matczyne! uciekła z Warszawy, by chłopiec mógł się uczyć, by go przypadkiem nie zabrano do budowy okopów... Bardzo oględnie, ale i bardzo brutalnie wytłumaczy-

łem jej, że byłaby wychowała gagatka, którego życie zmięłoby, wtlamsiło w błoto syberyjskie, a wojsko da jej, bądź co bądź, chłopaka energicznego, samorzutnego i zdolnego do własnego życia. Ma dopiero 20 lat, więc niech się uczy. Czy bardzo ją pocieszyłem nie wiem, w każdym razie z tego, co mówiła wynikało, że inni ją straszili, opowiadali niebawale historie o okrucieństwach bolszewickich etc. [...]

#### *14. Krasnojarsk, 18 września*

Gdybyś wiedziała, Mito, jak tu ohydnie, jak wstrętne — po prostu wstrząsam się nerwowo wchodząc coraz głębiej w to życie syberyjskie. Szare tłumy burków, cuchnących machorką i brudem, monotonne, doprowadzające do mdłości śpiewy — wszystko to razem wygląda jak brudna, znoszona szmata... [...]

Wczoraj, w przeciągu całej doby przejechaliśmy zaledwie 120 wiorst, bolszewicy popsuli gdzieś po drodze tor, stacja przeładowana zbiegami etc., tak że całe godziny wypadało przestać w polu. Pod wieczór, z drugiego brzegu Jeniseju poszliśmy piechotą do miasta. Opętanie daleko — to pierwsze wrażenie. Most długi — końca doczekać się niepodobna. W mieście błoto — brudy — olbrzymie kałuże i bajora na ulicach i placach. Dotarliśmy wreszcie do „klubu”. Małeńki ogródek o kilku topolach, osypujących już liście — wciśnięty pomiędzy brudne mury jakichś domów, przy nim ordynarne werandy, zbite z białych desek — oto centrum i chluba miasta. Trochę oficerów rosyjskich, trochę Rosjanek, już to takich, polujących na „gości”, już to solidnie-przysadzystych, ubranych pretensjonalnie, w wdziękiem za to isticie syberyjskim — oto wszystko. Naprawdę, zbyt przewrażliwiony jestem: ale było mi to wszystko tak obce, tak obojętne, co większa nawet, nienawistne, że patrzeć spokojnie nie mogłem. Spotkałem dawnego znajomego. Nie mogłem go poznać — ktoś dobrze znany, ale kto? Dopiero nazwisko przypomniało zimę 1917 na 1918 rok, wiosnę, polowania na głuszce itd. Rozmawiałem z nim czas jakiś, o polityce oczywiście — temat nieunikniony — w głębi duszy zrodziło się przeświadczenie, że to z tym syberyjskim okresem życia jest tak samo. Niby to życie, niby przeszło się to wszystko i zna się te rysy, ale naprawdę to wszystko, to całkiem zewnętrzne, obce, nieciekawe, i chcąc umiejscowić cokolwiek z tego w pamięci — trzeba spojrzeć na etykietę.

Przejeżdżając przez ulice miasta — od stacji wzięliśmy dorożkę — spoglądałem na domy tonące w mroku, tym osobliwym przepelnionym światłem mroku sybirskim, i dziwne myśli



kłębiły mi się w głowie. „Wszędzie mi dobrze i wszędzie mi chata”, przemknął refleks wiersza o niewolniku tańczącym...<sup>12</sup> Wszędzie jednakowo, bo wszędzie ten dziwny mrok i ta zimna pustka, bo nigdzie, poza marzeniem w przyszłości, nie ma ciepłego, jasnego domu, bo jest się człowiekiem bezdomnym. Choć są domy — a tak, są... Długi rząd czerwono-błęskających okien — koszary, wstrętne koszary rosyjskie, oto jedynie godny żołnierza-Polaka przybytek... I tak dobrze znany sprzed pięciu lat, z Podola i sprzed roku, z Bugurusłanu<sup>13</sup>. O! tak... [...]

Trudno — przed rozstaniem się z moją prawdą sybirską muszę raz jeszcze spojrzeć jej w oczy.

Choć z góry wiem, że „nasza polska prawda” niczym różnić się nie będzie od rosyjskiej. A rosyjska? Obok nas stoi niezwykle długi eszelon: wiozą aresztantów czy może jeńców-bolszewików. Pod bagnietami idą po wodę nędzarze w strzępach, o zupełnie zdziczałych twarzach, chude szkielety. Wagony zamknięte hermetycznie, i drzwi i okna — w wagonie więc musi panować całkowita ciemność — i brud, i zaduch, i ciasnota, a przede wszystkim głód, bo ludzie ci dostają tylko gliński chleb i wodę, przynajmniej gorącą. Warto spojrzeć na bydlęce gęby strażników; od razu cała głąb owej „prawdy” wystąpi jak na dłoni. [...]

### 15. 21 września 1919, niedzielne popołudnie

Doczekaliśmy się przecie tego, że mamy pierwszą kolejkę, co zwiastuje, że wreszcie wyjedziemy. Pomyśl tylko — pociągi sanitarne (bo prócz naszego dwa jeszcze stoją na stacji i trzeci odszedł dopiero dziś w nocy), a więc pociągi nieodzownie potrzebne na froncie, trzyma się nie wiadomo po co po kilka dni na małych stacyjkach. Wedle wszelkich obliczeń dziś powinniśmy byli być w N. Nikołajewsku — a będziemy najwcześniej za 2 dni — pozostaje bowiem jeszcze 500 wiorst<sup>14</sup>. W dodatku nie wiadomo, jak tam dalej linia wygląda. Tu widzi się cały szereg pociągów zapchanych rozmaitym „szmelcem”. Starymi automobilami, połamanymi wozami, samowarami, betami, wybiórkami ludzkimi i czym kto chce. Wśród wagonów paradują

---

12. Z szyderczego poematu Marii Konopnickiej, „Sclavus saltans” (1881), przeciwstawiającego odważną postawę wojowników „Słowianinowi współziemkiemu”: „wszędę mu dobrze — i wszędę mu chata, byle miał płasy i trochę muzyki”.

13. Bugurusłan, miasto ros. na wschód od Samary, od sierpnia 1918 r. centrum formowania Wojsk Polskich.

14. 560 wiorst — ok. 600 km.

często stare, odrapane i potłuczone lokomotywy — co zupełnie zrozumiałe: nowe automobile czy parowozy pozostawia się „zwycięzcom”, niepotrzebne gruchoty wywozi się, co w języku urzędowym nosi nazwę „ewakuacji, która dokonała się w najzupełniejszym porządku”.

Coraz to więcej pocynam tęsknić do bardziej aktywnego, wytężonego życia... Gdybym powrócił dziś do kraju i pozostał w tych ramach, w których tkwię, powiększyłbym szereg niedołęgów, zdolnych li tylko do pobierania gotowej pensji... A takich będzie cały legion. [...]

#### 16. [Nowo Nikołajewsk] 2 października 1919

[...] Bo coraz częściej poczynają mówić o jeździe... złośliwi podśpiewują sobie „pojedziemy do kraju, do kraju, lecz nie wcześniej niż w maju, aż w maju” i może coś doprawdy wyśpiewają. W każdym razie w powietrzu coś wisi. Być może, że rychło znajdziemy się nad piękną Angarą.

Właśnie wrócił Jur. Opowiada, że w kasynie i Klubie Żołnierskim ludzie chodzą jak pijani od radości, opowiadają sobie, jak i którędy będziemy przejeżdżać — że stoimy wobec konkretnego faktu. Oby! — bo pomimo wszystko jestem „małej wiary” i dopóki nie będę stać na pokładzie, dopóty w szybkość całej operacji nie wierzę. A gdy pojedziemy bliżej, zarezerwowawszy przezornie miejsce w wagonie, wpadnę do Aszyche, zabiorę moje obydwie kochane Dudy — i dalej naprzód. Cała „chińszczyzna” weźmie wprawdzie w łeb — ale to nic nie szkodzi. Być może, że sam los raz jeszcze okaże się dowcipniejszy niż przypuszczałem i sam da klucz do rozwiązania zagadki jutra. [...]

#### 17. 2 października 1919

Dużo myślałem, Kochanie, o Tobie wczoraj. Byłem wieczorem w kasynie. Profesor<sup>15</sup> miał odczyt; mówił o Mickiewiczowskich „Księgach Narodu i Pielgrzymstwa” i mówił niezwykle zajmująco i głęboko. Nigdy nie przypuszczałem, że ten wytworny badacz myśli i sztuki angielskiej potrafi zdobyć się wprost na siłę Skargi. Nigdy nie myślałem, że potrafi uderzyć w

---

15. Profesor — Roman Dyboski (1883-1945), anglista, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, autor m.in. wspomnień *Siedem lat w Rosji i na Syberii (1915-1921)*.

tony proroka, wskazywać gwiazdy, do których dążyć trzeba i potępiać błędne ścieżki, na które nas zapędziła niedola. Mówił specjalnie o życiu — o życiu ludzi, którzy niosą wolność dopiero co zdobytą i o tym, jakie to życie być powinno. Bo przecież inni na nas patrzą i chcą zobaczyć, jak ta nowa wolność przez nas przemawia. A trudno za najwznioślejszy czyn człowieka wolnego uważać grabież i mord.

Tak dawno, tak dawno nie słyszałem podobnych rzeczy... Od pierwszych dni wojny gwałt i przemoc tylko miały prawo wypowiadać się, zwierzę zabijało stale człowieka i wszelkie protesty przeciw brutalnej sile pięści milkły zazwyczaj w poczuciu swej bezużyteczności. Doszedłem do tego, że mówienie tych starych prawd wydawało mi się czymś bezcelowym, niepotrzebnym. [...]

18. 6 października 1919

[...] Bo dziś znów jestem w klasycznym humorze — że gdyby tu moja Pani była, to podrwiłbym sobie i z niej, i ze świata, i z samego siebie. Wyobraź sobie (*écoutez!* obrazek z mego żywota) — duża sala, ongiś szkolna, przedzielona drewnianym przepierzeniem na dwie nierówne części. Jedna to skarbiec, zawierający całe góry drukowanych na lichym papierze biletołów wizytowych rządu lokalnego. Stale sterczy tam srogi mąż z piką, strzegący dobra pospolitego. Obok „główna kontrol” (można pisać i „głuwna”, to nie ma znaczenia). Brudne stoły — ten największy pokryty szarym suknem, na stołach liczydła, plamy od atramentu, osobliwie zaś czerwonego — dalej stołki z numerami (zarekwirowane w jakimś eks-teatrze) świecą bezwstydną białością powstawianych deszczulek, dalej podejrzaną białości szafka archiwalna — w kącie wreszcie łożo mego przyjaciela, przybytek odgradzony od reszty dwoma namiotami. Oto rezydencja, w której spędzam czas od 9 rano do 16 po poł. (po ludzku nazywa się to do 4-tej), wliczając w to godzinną przerwę na drugie śniadanie. Czas przechodzi bardzo przyjemnie — tylko, że nie zawsze. Ogół wita najchętniej godz. 12-tą, zwiastującą śniadanie, potem godz. 16-tą, zwiastującą uroczysty obiad. W interwałach można poziewać aż do skutku. Co prawda mam takiego kochanego młodzieńca, który w takim lokalu spędził 15 lat i z przyzwyczajenia dba o moją rozrywkę. Młodzian ten podsuwa mi ustawicznie „pocztę”, tj. góry mniej-więcej ortograficznie skomplikowanych (?) papierków — a ja automatycznie, z zamkniętymi oczyma podpisuję mniej-więcej ortograficznie nazwisko, a miłą tę czynność urozmaicam sobie słodko-uprzejmym

zapytaniem: „czy pan z byka spadł”? Kiedy się to u diabła skończy?”... [...]

19. 10 października 1919

Chciałem wysłać ten list przez żołnierzy Chałata, powracających do Władywostoku — ale napisałem coś tak niewesołego, że nie mogłem zdecydować się... Bo debatujemy ustawicznie, co będzie i co robić, i do żadnego rezultatu tu dojść niepodobna. Jedni już pakują rzeczy, by jechać na wschód, inni znowu melancholijnie spoglądają na drogi sercu zachód, osobliwie ten bliższy, między Dnieprem a Wołgą... Słowem zupełnie „bezholowie<sup>16</sup>” rozgardiasz i co kto chce wreszcie...

Złośliwi opowiadają sobie, że bogi olimpijskie przykazały wybić wagon 1-ej klasy sukнем amarantowym, by w tryumfie do kraju powracać; nieodzowni komentatorzy dodają, że może lepiej byłoby zaopatrzyć tzw. „tiepluszki<sup>17</sup>” w wołok, by nie marzło „mięso armatnie”, ale mięso to nie jest przecież materiałem na bohaterów narodowych, więc niech sobie wymarza.

Słucha się tego wszystkiego — i nawet diabli już człowieka nie biorą, bo i po co, skoro denerwować się rzecz bezowocna, za radę nie starczy... [...]

Byłem dziś w tzw. „miasteczku wojskowym” — tj. koszarach miejscowych. Wzywano mnie tam w sprawie z wczesnej wiosny, sprawie, o której nieomal zapomniałem. Co za jazda — i co za miejsca! Najpierw niepodobna było przedostać się przez ulice, bo aż do złudzenia przypominały plastyczną mapę kraju nawiedzonego przez trzęsienie ziemi. Jamy, wyboje, pagórki zeschniętego błota i wszystko inne, co służy do utrudnienia komunikacji. A potem przeprawa przez jar, na którego dnie płynie rzeczulka Kamienka. Wjeżdża się wąskim, stromym a błotnistym korytarzem... po drodze spotkałem pułkownika „na piechotę”, konie utknęły pośród drogi i ani rusz z miejsca...

Wreszcie cały system błyskających w słońcu koszar z cegły czerwonej... A dalej szeregi brudnych, szarych bud, byłych baraków dla jeńców, a dziś przybytku wojska polskiego... Gdzieś tam prawdopodobnie przebywa i mój, nieznaný dotąd rywal — doprawdy nie zazdroścę mu...

Wszystko to razem wzięte utrudnia ogromnie życie — zwłaszcza gdy rzucić je na tło żmudnej, a niewdzięcznej roboty... Codziennie po powrocie do wagonu, z którego wresz-

16. *Bezholowie* (ukr.) — zamieszanie.

17. *Tiepluszka* — ogrzewany wagon towarowy.

cie rychło się wyniosę, odleguję całodzienne zmęczenie. Żeby też to wreszcie się skończyło... [...].

## 20. 18 października 1919

I znowu sobota i znowu wieczór — i jeszcze jeden tydzień minął. I znowu różaniec trumien — długi łańcuch szarych zórawi-wędrowców, co dolecieć do kraju nie zdołali. Myślę o tym wszystkim, ale tak jakoś osobliwie, jakby to ktoś inny we mnie, a raczej poza mną myślał. Atmosfera bowiem robi się coraz cięższa, coraz to mniej swobodzie myślenia sprzyjająca. Czasami wydaje mi się, jakby dwóch ludzi we mnie siedziało. Jeden z nich wstaje rano o określonej godzinie, ubiera się, myje, wypija herbatę i odbywa co najmniej 3-wiorstowy marsz... Poranki są dziwnie piękne, odświeżające, słońce doskonale grzeje i przepędza przymrozek — idzie się wybornie, przychodzi i wprzęga do jarzma. Na wszystko ma się gotową odpowiedź i jeden stereotypowy półśmieszek, w którym dobry obserwator dojrzałby co najmniej lekką przymieszkę wzgardy...

A drugi człowiek, to człowiek zmęczony, wieczorem, po powrocie do domu. Wówczas dużo myślę o Tobie, tęsknię — i poddaję się wprost wściekłości, że tak beznadziejnie czekać się musi. I nawet pretensji do nikogo o to mieć nie mogę. We wszelkie ułudy, cacanki pokazywane ogółowi nie wierzę, bo wierzę natomiast w coś innego, że igranie z ogniem prędzej czy później pomścić się musi. Nie mogę mieć pretensji o swe sprawy osobiste do ludzi, którzy — nie zdając sobie sprawy z doniosłości wypadków — kwestie pierwszorzędnej doniosłości rozwiązują tak, jak gdyby chcieli pozować na Aleksandrów ze sceny małomiasteczkowej... [...]

## 21. 31 października 1919

Wróciłem właśnie do domu — i zamiast wziąć się do jakiegokolwiek „pozytywnej” roboty, biorę się do najpozytywniejszej pogawędki z panią Dudą... [...] Ale wracam do siebie: zawiedziony w nadziejach, poszedłem do starych kompanionów nie tyle po to, by rozweselić serce, ile by skaptować sobie współlokatorów, bo wobec tzw. „gęszczenia” czy też uszczelniania mieszkań gotów mi wpaść na kark jakiś kochany rodak, z tych, co to nie mogą pojąć, co za idioci zrobili to „ó” i „u” w gramatyce, te przekłete litery, których ani rusz odróżnić nie

podobna... Sprawę załatwiłem połowicznie — i poszedłem na kawę do kasyna. Zebrała się wokół stolika gromadka swojej wiary... i dalej opowiadać o rozmaitych dziwach, o tych czasach, gdy w najlepszej wierze i otusze naciągało się ten ohydny mundur zielony, by choćby za jego cenę utorować sobie drogę do domu. Kasyno ma bardziej koszarowy wygląd; krążą kieliszki z „kakaówką”, gdzieś w kącie rzną w wista czy bridge’a, przygrywa wprawdzie muzyka, ale pań nie ma — więc dość to szare, spowite w obłoki dymu tytoniowego... O 9-tej wyruszam do domu — i już w przedpokoju widzę, co mnie czeka. Pojawiają się goście obieleni — aż miło — śniegiem. Istotnie, na ulicy rozhukał się „buriańczyk”<sup>18</sup>, dmie, co się zowie. I to w twarz. Podnoszę kołnierz — kryję uszy i maszeruję pod wiatr bacząc, by nóg na deskach chodnika nie połamać. I by się nie rozbić! Bo dzięki temu bardzo zrozumiałym pomysłom — słupy telegraficzne sterczą właśnie po środku owych pseudotrotuarów i trzeba je ostrożnie obchodzić. Ale za to słyszy się bajeczną i z niczym nie porównaną, zajękliwą pieśń drutów... Pieśń tę pamiętam jako coś, co na zawsze utkwiło mi w pamięci. Jako chłopiec 11-letni wracałem na ferie Bożego Narodzenia do domu. Jechałem sam — pierwsza, samodzielna, 6-ciogodzinna podróż koleją i to jeszcze z przesiadaniem. Około północy wysiadłem na maleńkiej stacyjce, z której dopiero rano odchodziła poczta. Musiałem więc przenocować u pocziarza... Opuściłem ciepły, zaciszny, jasny wagon i znalazłem się prawie w czystym polu, przy samotnym przystanku. Pociąg ruszył i poszedł, i nagle usłyszałem nad sobą przeciągłe, przejmujące, dziwnie smutne i tęskne zawodzenie. To wiatr grał na drutach telegrafu swą monotonna, nieuchwytną, skarżącą się pieśń pustki i samotności. Zrobiło mi się w sercu dziecięcym tak żałośnie, że omal nie rozplakałem się — i kto wie, gdybym był przeczuł, że za lat kilkanaście słuchać będę tej samej dzikiej dumki na Sybirze — istotnie bym płakał... Skłębiona, mętna głąb ulicy nie zdziwiła mnie zresztą — bardzo rzadko potrafię stawać na tym jedynym w swoim rodzaju stanowisku, pozwalającym mi zestawić dwa takie bieguny; dawno już przestałem dziwić się rozmaitym niespodziankom losu... Zdziwiło mnie natomiast coś innego: oto że przed rokiem, o tym samym czasie widziałem tę samą ulicę, że wyglądała dosłownie tak samo, że znowu tu jestem, a rok już przeszedł przecież... Że przeszedł przecież najmarniejszy rok życia... [...]

A teraz — niestety listy do Ciebie, Kochanie, stają mi się bardzo często rozmyślaniami, rozmowami z samym sobą. Nie

---

18. *Buriańczyk* (ros.) — wiatr syberyjski.

wiem dlaczego, ale pisując do Ciebie mogę — mimo wszystko — wznieść się ponad normalny horyzont naszego bagienka garnizonowego. Nie dają mi tego rozmowy z kolegami, np. znajomymi. Bo do moich własnych, zgoła nie optymistycznych obserwacji przyłączają się obserwacje cudze... Mnie nie trafia do przekonania, że szefem moim jest wybitny analfabeta, ex-pisarz wojskowy; ktoś inny ciska się, bo stoi w pewnym stosunku do kapitana, który „w cywilu” był podmajstrem murarskim. Ktoś inny musi kłaniać się pułkownikowi, który w innej armii dawno siedziałby w kryminale itd., itd. Słuchając tego wszystkiego i wiedząc, że jest się po staremu niewolnikiem, jednostką w bezgłowej gromadzie ludzi, którą para warcholów dla kariery lada chwila może sprzedać samemu diabłu, byle dobrze za to zapłacił... cały świat brzydnie do tego stopnia, że tylko ogólnemu ogłupieniu zawdzięczać należy, że dotąd prawie nie mieliśmy samobójstw...

Pisząc do Ciebie, Dziecinek, mogę na chwilę choćby zapomnieć o tych brudnych i wstrętnych historiach, silniej odczuwać ich przejściowość, jak przejściowe w ogóle jest wszystko, co dzieli mnie od Ciebie... [...]

## 22. 13 listopada 1919

W dzisiejszym 59-tym numerze „Żołnierza” wyczytałem wiadomości o bardzo pociesznym tworze — tzw. uniwersytecie lubelskim<sup>19</sup>. Rozmaite przezacne klechy i inne prałaty, a wśród nich rewolucjonista z urodzenia, prof. Baudouin de Courtenay...<sup>20</sup>. Jak tam wpadł ten gorąco kąpany staruszek — odgadnąć nie umiem. Ale okazuje się, że ta grupka zyczyliwych kolegów i przyjaciół z Petrogradu, o której opowiadałem Ci, Mito, przeniosła się znad Newy i pracuje w kraju. Brak tylko Jędrzejewskiego<sup>21</sup>, który zapewne w Warszawie siedzi i pracuje w największym wirze robót. Więc — gdyby nie kochany rodak — komisarz, który w 1917 r. uniemożliwił mi wyjazd z Syberii, dziś zapewne również siedziałbym w Twoim grodzie i ani domyślał się, że tam gdzieś, na kresach świata, wśród Chinusów przebywa ta mała, Kochana Lublinianka... Prawdopodobnie będę pisać do

---

19. Katolicki Uniwersytet Lubelski założony został 1 grudnia 1918 r.; autor listów był tam w latach 1925-1926 wykładowcą historii literatury polskiej.

20. Baudouin de Courtenay Jan (1845-1929), językoznawca, profesor kilku uniwersytetów rosyjskich i polskich, m.in. KUL.

21. Jędrzejewski Franciszek (1865-1950), ksiądz, historyk, działacz kolonii polskiej w Petersburgu; po 1919 r. w kraju.

p. Bańkowskiego<sup>22</sup> — sędzę, że list prędzej czy później dojdzie. Gdybym znał adres Twych rodziców — prosiłbym o zakomunikowanie, że niejaka pani Duda, inaczej pani Julkowa kłania się pięknie — i zawiadamia, że jest Julkowa. Może zresztą niedługo list ten wspólnymi siłami skomponujemy — dobrze, Duduś?

Być może do tygodnia będę mieszkać „na kołach”... nasi pisarze porzucili pióra a chwycili za bardziej mordercze narzędzia: siekiery, piły, dłuta i inne heble. Szykują wagony aż miło. Coś z tego przecież być musi — i nudząc się w wagonie będę miał tę przynajmniej pociechę, że każda przebyta wiorsta znaczyć będzie, że szanse życia wzrastają a odległość między mną a Tobą zmniejsza się.

I znowu: dobrej nocy! Jeszcze poprzedniego listu nie wysłałem. Lada dzień ktoś z naszych pojedzie do Irkucka — więc chcę list przesłać, bo poczcie tutejszej zbyttnio nie dowierzam. Tęsknię i czekam na parę słów chociażby — bo zaczynam się coraz to więcej niepokoić... [...]

### 23. 20 listopada 1919

O czym pisać Ci, Duduś? Czy o własnej tęsknocie — czy o wypadkach bieżących (mimo wszystko nie bardzo ciekawych) — czy o nastrojach dnia dzisiejszego — nudnych aż do obrzydzenia — czy wreszcie o perspektywach jutra wcale nie pocieszających? Prawdę mówiąc — wszystko to razem wzięte nie warte przelotnej chwili [...] a równocześnie stało się do tego stopnia chlebno powszednim — że pisać o czym innym naprawdę trudno. Choć może w ogóle trudno... pisać. Dziwnie smętne są listy — „które nie doszły” — a niekiedy właśnie wydaje mi się, że los to wspólny i Twoich i moich listów. Bo jakkolwiek zupełnie już utraciłem nadzieję otrzymania jakichkolwiek wiadomości od Ciebie w przeciągu długich tygodni — to jednak — po południu codziennie konstatuuję, że pół dnia przeszło — a druga połowa może jednak coś przyniesie... I choć nie przynosi, to jednak...

Ale mniejsza z tym. — Kiedyś to przejdzie. Moja pani Duda będzie ze mną — i to tęsknocie położy kres. Wolę opowiedzieć o czymś weselszym.

Omsk — jak to światu całemu wiadomo — zmienił właściciela. Były posiadacz ex-carskich godności spalił się — nie całym zresztą, bo wczoraj nasza stolica miała szczęście oglądać jego oblicze — co prawda przez okna wagonu. Spełniła się

---

22. Bańkowski Piotr, polonista, jeden z założycieli KUL.



przepowiednia kuplecisty, który niedawno dostał się do kozy za następującą piosenkę:

*Mundir angijskij,  
pagon rossijskij  
tabak japonskij  
prawitel omskij...*

*Mundur snositsja  
pagon swalitsja,  
tabak skuritsja, prawitel... skrytsja...<sup>23</sup>*

„*Prawitiel*” tedy — jak rzekłem — pojawił się tutaj. Generał Janin<sup>24</sup> zrobił się dowcipny i zawczasu wyjechał — nasz sławetny dowódca zachorował. To jednak nie uchroniło go od wizyty dwóch bardzo poważnych naszych oficerów, którzy oświadczyli mu, że zakładają w imieniu 90 % całego wojska protest przeciwko honorowaniu Kołczaka czy to przez złożenie wizyty, czy przez wysłanie oddziału honorowego. Wielki wódz był bardzo zmieszany — ale cóż robić; przed godziną właśnie byli u niego dowódca dywizji<sup>25</sup> i szef sztabu — i przekonali go, że Kołczak to potęga, której gruzom nawet pokłon od „błagonadiożnych” się należy. I oni właśnie udali się do niego z wizytą! Oto masz naszych wodzów! Eks-lokaj carski lokajską naturę na zawsze zachowa!

Lepiej poszło z tzw. kompanią honorową. Niezaszczytna ta rola przypadła właśnie szturmowcom. Cóż robić! Poszli. Czeka ją na stacji całą godzinę — zimno!; zrobiło im się wtedy markotno. „Panie poruczniku! A cóż ten psi syn nawet wyjść do nas nie raczy? A jak byśmy tak poszli do domu!?” Oficer niewiele myśląc wyciągnął się: „Kompania! Sekcjami na prawo zachodzić — marsz!” I poszli. Orkiestra, myśląc że zaczyna się

---

23. Mundur angielski/ naramiennik rosyjski/ tytoń japoński/ władca omski.../ Mundur znosił się/ naramiennik zleciał/ tytoń się wypalił/ władca się ukrył... (ros.).

24. Janin Maurice, francuski generał, dowódca Sił Sprzymierzonych na Syberii. Napisał *Ma mission en Sybérie, 1918-1920* (Paryż, 1933), jedną z niewielu pozycji w obfitej literaturze obcojęzycznej dotyczącej tego tematu, która wspomina o Polakach. Większość innych autorów — angielskich, amerykańskich, czeskich, francuskich i rosyjskich — ich istnienie na Syberii pomija na ogół całkowicie.

25. Dowódca dywizji — Rumsza Kazimierz (1886-1970), podpułkownik b. armii rosyjskiej, w 1918 r. dowódca I. pułku strzelców w Dywizji Syberyjskiej, od kwietnia 1919 r. jako pułkownik dowódca Dywizji; zwolennik ścisłej współpracy z admirałem Kołczakiem; w okresie międzywojennym w stanie spoczynku. Zmarł w Anglii.

defilada, już chwyciła za instrumenty — ale po chwili „doszłusowała” do kompanii — i na tym cała parada skończyła się. A raczej końca nie znam — bo oficera tego wieczorem zawezwano do dywizji — być może, że siedzi w kozie<sup>26</sup>.

Niejeden Polak, czytając Sienkiewicza czuł głębokie zadowolenie, gdy Skrzetuski w chwili wręczenia Chmielnickiemu odznak krzyknął: „dragonia! za mną — w tył” — i nawet Chmielnicki to zrozumiał. Ale nasi Polacy sybirscy odsądziliby za to Skrzetuskiego od czci i wiary, nigdy nie darowaliby mu, że furazerce z „carskim okiem” kłaniać się nie chce, czy nie potrafi.

Przed Kołczakiem i za Kołczakiem ciągnie się długi wąż pociągów. Stoją na stacjach, poza stacjami, w czystym polu. Głód i chłód porywają już teraz podobno dziesiątki ofiar codziennie. A my? My w chwilach wolnych od honorowania Kołczaków i innych tego rodzaju dygnitarzy, „zaopatrujemy wagony” i czekamy, aż wszystkie lokomotywy zdmuchną nam sprzed nosa. Na dobrą sprawę postąpimy jak Kołczakowcy, którzy w Omsku pozostawili całe parki artyleryjsko-amunicyjne, całe góry ciepłych ubrań, całe magazyny cukru, mąki i innego prowiantu. I przyjmujemy oficerów, którzy teraz właśnie przypomnieli sobie, że można wstąpić do wojska polskiego. Dziś tego rodzaju kandydatów, zarówno eks-jeńców jak i „upagonowanych” widziałem około setki.

I od czasu do czasu namyślały się, co zrobić z tzw. społeczeństwem polskim, które przecież w armii widzi naturalnego obrońcę. Jakiś komitet przemysłowy ofiarował 40 000 na nasz Czerwony Krzyż, ale pod warunkiem, że członkowie jego dostaną na przejazd 7 wagonów, ambulans z obsługą medyczną, i że wojsko w razie potrzeby będzie karmił miłych gości. Zdumiewająca ofiarność, gdy się zważy, że za otrzymanie prostego wagonu towarowego i odesłanie go do Irkucka płaci się łapówkę od 100 do 200 tysięcy rubli! Czyli że raz wreszcie spotkało się dwóch godnych kumotrów: spekulancko-zruszczale „społeczeństwo” z rozbójniczo-sfrancuziałym wojskiem. [...]

24. 24 listopada 1919

Znowuż jeden ze znajomych wyjeżdża na wschód — ma aż do skutku poszukiwać generała Knoxa<sup>27</sup> — prawdopodobnie

---

26. Oficer ten, nazwiskiem Raczyński, został następnie zamęczony w więzieniu w Omsku.

27. Knox Alfred W.F., generał, szef misji angielskiej w służbie sprzymierzonych, odpowiedzialny za sprawy zaopatrzenia i organizacji.

tędy będzie przejeżdżał przez Charbin i Aszyche — korzystam więc ze sposobności, by listy wysłać. [...]

Pisałem Ci, Mito, przed kilkoma dniami o „moskiewskich parobkach” — i niestety każdy dzień utwierdza w tym przekonaniu nawet największych optymistów. Bolszewicy, a więc regularna armia, jest już niedaleko — nasze oddziały, które były w okolicach Omska na froncie, cofają się — i to nawet niezbyt honorowo... Linie kolejowe formalnie zapchane pociągami, podobno tedy niektóre bataliony musiały zrezygnować z wagonów i wycofują się na podwodach. Dookoła huczy coraz bardziej wzbierające morze czerni chłopskiej — a nasi wodzowie urządzają bankiety i piją zdrowie pobitych na łeb, na szyję Kołczakowców. Od góry idzie hasło, że jedynym naszym zbawieniem jest trzymać się z Rosją — bo Czesi zajmują wobec nas stanowisko coraz bardziej wrogie. Istotnie — trzymać z Rosją — z tą Rosją, do której żaden, nawet najbardziej spodłały Europejczyk przyznać się nie chce, Rosją popieraną przez koalicję. Tylko że Rosji tej nie ma, bo uciekające w popłochu trzody oficerów Kołczakowskich to przecież nie Rosja — przedstawiciele zaś wojsk koalicyjnych są na tyle przezorni, że dziś w Nowonikołajewsku ani jednego nie znajdziesz; zemknęli zawczasu. Czesi zaś istotnie spoglądają na nas nie zanadto życzliwie — ale trudno się temu dziwić. Na czele wojsk stoi człowiek może nawet uczciwy — ale głupi; o wszystkim zaś decyduje człowiek niegłupi, może nawet nie zaprzędany Moskałom, ale od dzieciństwa z nimi zrosnięty i bodajże za zaszczyt uważający sobie to, co każdy Polak poczytywałby za hańbę.

O tym zaś, co dzieje się wśród wojska najlepsze wyobrażenie dać może nasz stosunek do Amerykanów. Przed kilku dniami wyjechał z Omska Amerykański Czerwony Krzyż. Na jednej stacji do lekarza prowadzącego pociąg przyszedł nasz oficer i przy pomocy rewolweru zmusił go do zabrania naszych. Mało tego. Na innej stacji żołnierze nasi rozbili dwa wagony owego pociągu, zrabowali, co się dało, a napotkane zamiast wódki, którą spodziewali się znaleźć, skrzynie z lekarstwami potłuki. Amerykanin wniósł protest do konsula — i dowództwo lata teraz, skomli i przeprosza „za omyłkę”, by rzecz nie dostała się do Washingtonu, nie popsuka nam reputacji w Ameryce, która może do pewnego stopnia decydować o naszych losach.

U góry parobek czy żandarm moskiewski — u dołu rabuś od Moskala gorszy — oto nasze wojsko. Zarówno oficerowie, jak żołnierze w oczy się śmieją, gdy ktoś na serio próbuje o wojsku mówić. Wszyscy czekają, że wreszcie nadejdzie chwila, gdy karki tu pokręcimy — i mówi się o tym spokojnie, jak o

rzeczy prostej, naturalnej i nieuniknionej. Oczywiście — w duszy każdego tli się jeszcze nadzieja, że może stanie się coś, co pozwoli nam wyrwać się z tej matni — ale gdyby dziś otworzyła się jakakolwiek droga do kraju, każdy porzuciłby wszystko — dezercja zredukowała wojsko do połowy.

Ja sam czekam okazji, która pozwoliłaby mi przedostać się do Mandżurii — za jej granicami od razu skończę karierę wojskową. Wypadki jednak absolutnie nie pozwalają przewidzieć, kiedy to będzie — spodziewam się jednak, że na Boże Narodzenie... [...]

## 25. Nowonikołajewsk, 26 listopada 1919

[...]

W tej chwili wróciło całe towarzystwo z sąsiedniego pokoju i opowiada o awanturze, jaka wydarzyła się w jakimś „bałaganie<sup>28</sup>” — oficer rosyjski uderzył w twarz naszego żołnierza, a ten położył go na miejscu z rewolweru. Rozpoczęła się strzelanina — nowy temat starych historii. Mimo że na wszystko spoglądam bardzo sceptycznie i obojętnie — bo sam wyrwać się nie mogę, a sprawa ogółu jest tak zabagniona, że na żadne nadzieje nie pozostawia miejsca, że wtedy niczego się nie obawiam, bo mi to podłe życie zobojętniało — przeżywam chyba najbardziej godną pogardy jego fazę — mimo to wszystko wracając wieczorem do domu ściskam rękęjęć rewolweru...

Bo czasy idą coraz gorsze. Ów arcy-parobek moskiewski, pułkownik Rumsza, sformował sobie tu latem odrębny batalion litewski, rodzaj gwardii przybocznej... Dziś właśnie otrzymaliśmy wiadomości, że batalion ten, a więc około 400 bagnietów, w pełnym ekwipunku przeszedł na stronę bolszewicką. Podobno zabrał ze sobą „aresztowanych” oficerów — dwóch z nich zaś zamordowano. Krążą pogłoski, że jeden nie należał do batalionu a do Intendentury. Gdyby tak — to zapewne był Groblicki. Wierzyć temu trudno; pewności dotąd nie ma, ale wszystko jest możliwe.

Jeśli wiadomości te nie sprawdzą się, będę rad pod każdym względem — bo Andrusz jest i uczciwym człowiekiem, i dobrym oficerem, i serdecznym kolegą. Śmierć jego postawiłaby mnie zresztą w sytuacji finansowej mocno niewyraźnej — bo przed tygodniem wręczyłem mu pieniądze dla p. Mariana przeznaczone. Ale to detal — dług cały w najgorszym razie nawet sam mógłbym zwrócić...

---

28. *Balagan* (ros.) — teatrzyk rewiowy.

Nie powtarzaj tego w domu — spodziewam się, że Andrusz zmartwychwstanie wbrew wszelkim pogłoskom i strachom. [...]

20. Bogotol, 22 grudnia 1919

Od dłuższego czasu nie wysyłam listów, jedziemy bowiem w tyle, tak że żaden list nie doszedłby.

Śpieszę się, by list wysłać, więc: jestem zdrow i jadę, bez nadmiernej ciekawości, kiedy i dokąd dojadę. Okoliczności składają się w ten sposób, że na święta przyjechać nie mogłem — i w danej chwili nie potrafię nawet określić, kiedy uda mi się przyjechać do Charbina. Spodziewam się — że bądź jak bądź kiedyś mi się to uda. Więcej napiszę z punktu, gdzie poczta zacznie funkcjonować normalnie, to znaczy albo z Krasnojarska, albo z Irkucka. Choć spóźnione — przesyłam serdeczne życzenie świąteczne i Noworoczne, zarówno Tobie, Dziecinek, jak i pp. Marianostwu. —

*Twój Julek*

27. [Charbin?] 23 marca 1920

Mituśka!

Sprawy przybierają taki obrót, że może pojutrze wyjedziemy przez Władywostok — pociągiem sanitarnym.

Na wyjazd potrzebne są papiery dla Ciebie, wobec czego zabierz paszport, czy metrykę, czy w ogóle jakie *masz* legitymacje i *przyjeżdżaj jutro litera*<sup>29</sup>, o ile nie byłoby mnie na stacji — zaczekaj parę minut w poczekalni. Dudę zostaw u p. Dąbrowskich i przyjeżdżaj koniecznie.

Być może — że jutro weźmiemy ślub (w wagonie!).

O sam wyjazd, spakowanie rzeczy etc. nie niepokój się niepotrzebnie — wszystko to będzie załatwione w porę.

Całuję bardzo i czekam

*Julek*

PS. Obecność Twa jest konieczna i dlatego, że na paszport wymagane są *fotografie*.

[Karta pisana w pośpiechu, ołówkiem, dużym pismem]

---

29. Litera — tu: bryczka.

### STUDIA GEN. GUSTAWA ORLICZ-DRESZERA Z 1926-1927 R. NA TEMAT WOJNY Z NIEMCAMI

Druga połowa lat dwudziestych i początek trzydziestych to okres najstąbiej zbadany, jeżeli chodzi o polskie planowanie wojenne. Dopiero w latach 70-tych i 80-tych podjęto próbę wypełnienia tej luki, głównie za sprawą artykułów i opracowań Jerzego Romualda Godlewskiego, Piotra Staweckiego i Celestyna Filusa<sup>1</sup>. Wciąż jednak stan badań pozostawia wiele do życzenia. Zasadniczą przyczyną niepełnego opracowania powyższych zagadnień jest niepełna baza źródłowa, szczególnie w odniesieniu do powszechnie dostępnych wydawnictw dokumentów. Tym ciekawszym przykładem są więc krótkie studia gen. Gustawa Orlicz-Dreszera.

Ich autor (ur. 2 X 1889, zm 16 VII 1936), dowodzący podczas przewrotu majowego wojskami Piłsudskiego, został we IX 1926 r. jednym z generałów do prac przy GISZ<sup>2</sup>. To właśnie w GISZ-u skupiono większość prac związanych z planowaniem operacyjnym wojny z Niemcami. Jego powstanie zainicjowało serię prac planistycznych, których celem było przestudiowanie warunków terenowych, komunikacyjnych i możliwości działań własnych na poszczególnych odcinkach frontu przeciwniemieckiego. Generałowi Dreszerowi przydzielono odcinek od jezior mazurskich do Olsztyna<sup>3</sup>, który został

---

1. M.in.: J.R. Godlewski: *Wybrane zagadnienia polskiego planowania wojennego w latach 1918-1939*. Gdańsk 1982. J.R. Godlewski, W. Odyniec: *Pomorze Gdańskie. Koncepcje obrony i militarnego wykorzystania od wieku XIII do roku 1939*. Warszawa 1982; liczne artykuły wymienionych Autorów.

2. T. Kryśka-Karski, S. Żurkowski: *Generałowie Polski niepodległej*. Warszawa 1991, s. 52.

3. Protokół posiedzenia pp. Inspektorów Armii dnia 23,24,25 VII 1926 r. CAW, zesp. GISZ, 302.1.1.

opracowany w formie obszernego studium<sup>4</sup>.

Nieco inny natomiast charakter mają prezentowane studia generała. Zachowały się one w postaci rękopisu, bardzo niewyraźnie napisanego i miejscami niezwykle trudnego do odczytania. Datę ich powstania można określić jedynie w przybliżeniu na lata 1927-1929 na podstawie zawartej w nich treści. Niestety brak jakiegokolwiek daty na dokumentach. Każde studium posiada nieco odmienny kształt. Pierwszy dokument nie stanowi oryginalnego opracowania Autora, a jedynie skrótowe podsumowanie już opracowanych elaboratów generałów: Leona Berbeckiego, Leonarda Skierskiego i Aleksandra Osińskiego<sup>5</sup>. Drugi zawiera już oryginalne rozwiązania gen. Dreszera, wykorzystujące wcześniej powstałe studia samego Autora oraz generałów: Stefana Dąb-Biernackiego i Wacława Fary. Wreszcie w trzecim znajdują się zestawienia sił Polski, Niemiec i Litwy, wraz z terminami gotowości mobilizacyjnej i repartycją pomiędzy poszczególne fronty działań wojennych, oraz odrębne mapy, ilustrujące rozważania Autora.

W tekście pozostawiono stosowane przez Autora skróty, drobne zmiany dotyczą jedynie pisowni oraz interpunkcji. Publikowane dokumenty mają w oryginale kształt dużych tabel, stąd, ze względów wydawniczych, zmieniony został nieco układ treści (w przypadku dok. 1 i 3). Z powyższych powodów, jak również w wyniku fatalnej jakości i małej czytelności, zabrakło dołączonych do dokumentów odrębnych szkiców Autora. Oryginały elaboratów przechowywane są w Centralnym Archiwum Wojskowym w Rembertowie pod Warszawą i znajdują się w zespole GISZ, w tece studium operacyjnych gen. Orlicz-Dreszera pod sygnaturą 302.4.2183.

Andrzej GRZYWACZ

---

4. G. Orlicz-Dreszer: *Studium A. Mława z punktu widzenia Naczelnego Dowództwa i dowództwa Grupy Armii Zachód. Wypadek wojny Polski z Niemcami i Litwą 25 IX 1926 r.* CAW, zesp. GISZ, 302.4.286 i szereg studium stanowiących kontynuację powyższego, a dotyczących komunikacji i osłony.

5. M.in.: L. Berbecki: *Studium kolejowe, 27 VII 1927 r.* CAW, zesp. GISZ, 302.4.287; *Plan osłony korytarza pomorskiego. 19 XI 1926 r.* CAW zesp. GISZ, 302.4.287; L. Skierski: *Studium operacyjne nr 1 (Zachód). 24 IX 1926 r.* CAW, zesp. GISZ, 302.7.15; kontynuacja pod tym samym tytułem: nr 2.8 XI 1926 r., sygn. 302.7.16, nr 3.14 I 1927 r., sygn. 302.7.17; nr 4.19 II 1927 r., sygn. 302.7.19.

## WŁASNE DZIAŁANIA DEFENSYWNE PRZECIW NIEMCOM (PRZY JEDNOCZESNEJ AKCJI OFENSYWNEJ NA PRUSY WSCH. I LITWĘ)

ODCINEK ZACH.-POMORSKI (GEN. BERBECKI<sup>6</sup>):

*Siły własne i nieprzyjacielskie:*

Niemcy na odcinku zach. pomor.:

od x do x+5:2 DP osłon.+DP gdańska+1 DP

od x+5 do x+7:2 DP osłon.+3 DP regul.+DP gdańska+1

DK

od x+7 do x+15:2 DP osłon.+7-9 DP+1 DP gdańska+1-2

DK

Polska na odcinku zach. pomorskim:

do x+3:2 LDM+osłona złożona z 7 baonów i szwad. KOP\* i 7 baonów i szwad. PW\*

od x+10:detto+2 DP i 1 Br.K.

\* — proponowane

*Teren*

*vide* mapa (wycinki terenowe, przeszkody i proponowane linie obronne): terenowo 2 możliwe kierunki działań nplskich:

1) po osi Bytów-Tczew i koncentrycznie z Gdańska, ma oparcie o rz. Wierzycę i daje bezpośrednie połączenie z Prusami Wsch., ale słabość prądu transportowego szczecińskiego ogranicza możliwość użycia tu większych sił;

2) po osi Złotowo-Fordon — prowadzi do zupełnego zlikwidowania korytarza, ale utyka na Kanale Bydgoskim i Wiśle. Koncentracja wymagałaby jednak uprzedniego zabezpieczenia rejonów wyładowniczych (Piła i Złotowo), co możliwym jest jedynie przez przeprowadzenie akcji wstępnej na Bydgoszcz.

*Możliwości obrony naszej:*

— pn. wyjście z Puszczy Tucholskiej w razie wtargnięcia

---

6. Gen. Berbecki sprawował w latach 1926-1928 funkcję dowódcy OK VIII Toruń.



npla z rejonu Bytów;

— pd. zach. wyjścia z tejże puszczy i szereg południkowych linii wodnych (Brda) dla wtargnięcia npla z rejonu Złotowo lub Neustettin;

— Wisła i Kanał Bydgoski.

Puszcza Tucholska stanowi poza tym *pivot* dla działań naszych kontrataków.

### *Hipotezy akcji nieprzyjacielskiej*

Gen. Berbecki przewiduje:

Od  $x+7$  akcję wstępną dla zlikwidowania korytarza, suponując dla tego celu uderzenie główne po osi Złotowo-Fordon; uderzenie pomocnicze: po osi Bytów-Starogard i po osi Gdańsk-Starogard.

Od  $x+10-15$  po uzyskaniu powodzenia w działaniach wstępnych uderzenie główne po osi Kutno-Warszawa.

### *Własne zamiary działania*

Być w stanie przeciwstawić się od samego początku wszelkim działaniom przeciwnika. W tym celu:

1) zorganizować silną osłonę bierną już w dniu  $x$ ;

2) między  $x$  a  $x+10$ :

a) zająć ewentualnie wypadem jednej DP zach. część terytorium Gdańska (po Wisłę), celem unieruchomienia Gdańska;

b) wspólnie z gen. Skierskim wypadem na Złotowo-Schneidemühl uniemożliwić koncentrację niem. w tym rejonie;

3) po  $x+10$ ;

a) prowadzić akcję opóźniającą, umieszczając na głównych osiach obie LDM i Brygadę Kawal.

b) w stosownym momencie uderzyć z Puszczy Tucholskiej 2 DP na skrzydło npla prowadzącego akcję na południe czy ewent. na północ od puszczy — (*vide* mapa);

4) od  $x+20$  (ewentualnie); obrona na Wiśle (z przyczółkami mostowymi).

### *Podział sił i wykonanie:*

*vide* mapy: Sytuacja osłonowa i Plan działań;

na osi Bytów-Starogard umieścić 1 LDM\*;

na osi Złotowo-Bydgoszcz umieścić 1 LDM\*;

na osi Chojnice-Tuchola umieścić 1 Br. Kawal.\*;  
w Puszczy Tucholskiej umieścić 2 DP.

\* na tyłach wydzielonych oddziałów osłonowych.

### ODCINEK POZNAŃSKO-KALISKI (GEN. SKIERSKI):

*Sily własne i nieprzyjacielskie:*

*Niemcy:*

osłonowych: około 3 DP nieregul.;  
regularnych: na froncie występu poznańskiego: 1 DP;  
na skrzydle północnym ok. 11 DP i 1-2 DK;  
na skrzydle południowym ok. 5-7 DP i 1-2 DK;  
(nie wcześniej niż około  $x+20$ ).

*Polska:*

a) osłonowych: 1 DP osłonowa (nieregul.), 1 DP regul., 1 LDM (gotowe dopiero w  $a+48$ );

b) do  $x+20$  gotowych prócz osłony w rejonie koncentracji: 7 DP, 1 Br.K.

Razem w działaniu na występ poznański w  $x+20$ :

Niemcy około 20-22 DP+3-4 DK;

Polska dla obrony: gen. Skierski: 8 DP, 1 Br.K., 1 LDM, 1 DP osłony niereg. + siły gen. Berbeckiego; czyli: 20-22 DP+3-4 DK (Niemcy): maximum 13-14 DP+2 DK (gen. Skierski i gen. Berbecki).

*Teren:*

Przeszkody taktyczne i proponowane linie obronne: *vide* mapa. Obronność Noteci i Obry można ewent. wzmocnić przez zatopienie ich dolin. Cały odcinek nadaje się do prowadzenia walki opóźniającej i obronnej. Terenowo możliwe nast. działania npla:

Korytarzem Czarnków-Rogoźno: obrona nasza na jeziorach, Welnie i Warcie; przez Pniewy na Poznań: obrona na liniach wodnych: Szamotuły-Staszew i na Warcie;

przez Krotoszyn na Jarocin: trafia na Wartę;

przez Ostrów na Kalisz: trafia na Prosnę, potem na Wartę;

przez Wieluń w kier.pn.-wsch. lub wsch.: aż do Warty nie ma możliwości obrony, Warta jest tu niezbyt solidną przeszkodą;

---

6. Gen. Skierski sprawował w latach 1926-1931 funkcję Inspektora Armii.

przez Nakło na Gniezno; słaba obrona na linii Wełny między Janowiec a Klecko.

Wniosek: najdogodniejsze dla Niemców 2 ostatnie kierunki.

#### *Hipotezy akcji nieprzyjacielskiej:*

Gen. Skierski przewiduje:

1) osłonę aktywną: unieruchomienie węzła Ostrów; unieruchomienie nadgranicznej linii kolejowej Międzychód-Wolsztyn-Leszno-Ostrów;

2) akcję wstępną: zajęcie przejść na Noteci *vis a vis* Schneidemühl dla stworzenia podstawy wyjściowej dla działań głównych;

3) działania główne: liczyć się musimy z koncentrycznymi działaniami:

a) z rejonu Piły i Złotowa przez Nakło (bardzo dla npla dogodne) na Inowrocław z ewent. bocznym na Poznań;

b) z Dolnego Śląska na Koło z jednoczesnym opanowaniem uprzednio Ostrowa i Kalisza.

Obydwa działania główne: niszczą naszą żywotną siłę odporności (spichrz poznański, węzły kolejowe), doprowadzają do wczesnej likwidacji przynajmniej części armii polskiej i nie przedstawiają dla Niemców żadnego ryzyka, gdyż są krótkie i nie wystawiają tyłów na niebezpieczeństwo.

#### *Własne zamiary działania:*

Być w stanie przeciwstawić się przeciwnikowi na każdym kierunku jego ewent. działań. W tym celu:

1) silna osłona bierna, manewrująca w razie silnego naporu na z góry przygotowane pozycje: prócz tego osłona czynna (*vide* dodatkowy załącznik do mapy „Osłona”);

2) umieszczoną na wsch. od Poznania grupą manewrową przeprowadzić przeciwakcję zależnie od sytuacji (od  $x+20$ ).

#### *Podział sił i wykonanie:*

*vide* mapy: „Sytuacja osłonowa” i „Plan działań”.

#### *Osłona bierna:*

odcinek Rogoźno: osłona kierunków na Gniezno i kierun-

ków prowadzących z pd. zach. na Noteć; ostateczna linia odwrotu: Noteć;

odcinek Poznań: osłona kierunków na Poznań, na Jarocin i Ostrów;

odcinek Złoczew (LDM): osłona kierunków na Ostrów-Kalisz i Sieradz (uderzenie na flankę npla w razie jego ruchu na Ostrów lub Kalisz).

*Oslona czynna: około x+3*

a) wypadem unieruchomić Piłę i Krzyż;

b) możliwie jak najwcześniej posunąć dla zabezpieczenia Ostrowa swą osłonę na Baryczę między Odolanów a Trachenberg;

c) proponowany również wypad na Odrę (na odcinku od Opoła do zgniłej Obry) zaskoczeniem przed x+7 przy pomocy odvodu osłony, umieszczonego w rejonie Poznań-Jarocin-Kcynia.

*Działania obronne:*

Przygotowanie pozycji obrony: *vide* mapa „Plan działania”.

*Przeciwdziałania własne:*

a) Jeżeli npla atakuje od pdnia: oddziały osłony (1 DP+1 LDM) oraz 1 DP z grupy manewrowej, rozmieszczonej na zach. od Poznania manewrują odwrotnie aż do Warty, zaś 4 DP+1 BK z grupy manewrowej wykonują przeciwuderzenie na jego skrzydło;

b) jeżeli npl atakuje od pncy i południa równocześnie: na południu osłona+2 DP z grupy manewrowej manewrują odwrotnie do Warty; na pncy gros grupy manewrowej (5 DP+1 DK) współdziała łącznie z armią gen. Berbeckiego.

### ODCINEK GÓRNOŚLĄSKI (GEN. OSIŃSKI<sup>8</sup>):

*Sily własne i nieprzyjacielskie:*

*Niemcy:*

od x lub wcześniej do x+2 około 3 DP osłonowe;

od x+3 do x+5 a najdalej do x+9:5 DP osłonowych w czym tylko 14 baterii+ewentualnie 1 DP regularna+5-6 pociąg

---

8. Gen. Osiński sprawował w latach 1926-1935 funkcję Inspektora Armii.

gów pancernych i duża ilość samoch. panc.

*Polska:*

do  $x+9:12$  baonów regul.+9 baterii (proponowane 32 baony+18 baterii);

od  $x+9$ : proponowane razem 6 DP+grupa forteczna+1 LDM+2 pacy+2 pociągi pancerne+duża ilość środków samochodowych.

*Teren:*

Wycinki terenowe: *vide* mapa.

Po stronie niem. wyróżniają się 2 korytarze:

1) opolski (po osi Bytom-Gr. Strelitz-Opole) — możliwości obrony dla npla: wzniesienia Annaberg: flankowy jest ten korytarz przez Lubliniec i Rybnik.

2) wrocławski, *recte* oleśnicki z odgałęzieniami na Częstochowę (przez Kreutzburg) i na Lubliniec (przez Rosenberg); odgałęzienia powyższe dają nplowi możliwość wykonania:

a) uderzenia na węzeł Częstochowa;

b) oskrzydlenia przez Lubliniec od północy zagłębia przemysłowego.

Po stronie polskiej:

1) dwa powyższe odgałęzienia korytarza oleśnickiego, zbiegające się w węzle częstochowskim;

2) korytarz katowicki (25 km szeroki ale nadaje się do manewrowania z powodu gęstych kompleksów fabrycznych — jedynie w pasie na pnc od szosy Bytom-Będzin) z możliwymi liniami obrony:

a) wzgórze w pasie Góry Tarnowskie-Król. Huta;

b) wzgórze na wsch. od rz. Brynica-Katowice;

c) wzdłuż rz. Czarna Przemsza;

3) korytarz mikołowski: flankuje od pdnia Król. Hutę ale łatwy do obrony (wzgórza w rej. Mikołów);

4) korytarz rybnicki: umożliwi obejście od pdnia całego zagłębia i nie przedstawia dogodniejszych warunków obronnych.

*Hipotezy akcji nieprzyjacielskiej:*

Gen. Osiński przewiduje:

1) już w pierwszych godzinach alarmu zaskoczenie przez Grenzschutz ośrodków przemysłowych Górn. Śląska celem zneutralizowania niebezpieczeństwa grożącego Bytomowi i zni-

szczenie przygranicznego centrum przemysłowego za pomocą uderzenia na Król. Hutę i Katowice oraz na Góry Tarnowskie i usadowienie się na prawym brzegu rz. Brynicy;

2) około  $x+10$  uderzenie przy pomocy Grenzschtzu głęboko na tyły całego zagłębia i znajdujących się tam sił polskich a to celem zneutralizowania niebezpieczeństwa grożącego całemu występowi opolskiemu, flankowanemu przez korytarz Częstochowa-Opole i Katowice-Gross Strelitz i zniszczenia całego zagłębia. Najdogodniejsze dla przeciwnika byłyby tu 2 działania zbieżne i oskrzydłujące:

jedno z rejonu Lubliniec na Będzin;

drugie z rejonu Mikołów na Będzin;

oraz uderzenie na węzeł kolejowy Częstochowa;

3) w okresie działań głównych (od  $x+20$ ) utrzymanie zdobytego terenu i osłona flanki południowego działania głównego na Łódź lub Warszawę.

*Resumé:* właściwe działania przeciwnika na Górnym Śląsku wypadłyby zatem w okresie osłony.

#### *Własne zamiary działania:*

Nie dopuścić do choćby nawet częściowego zajęcia i zniszczenia zagłębia przemysłowego. W tym celu:

1) od  $x$  (a nawet wcześniej) do  $x+9$  równowżyć liczebną przewagę artylerii, przewagę Niemiec. Proponowane siły własne dla początkowej osłony: *vide* załącznik do mapy „Osłona”;

2) od  $x+10$  wystąpić zaczepnie (wykorzystując własną przewagę sił: proponowane razem 6 DP+grupa forteczna =równowartość 1 DP+1 LDM+2 pacy) likwidując:

a) występ bytomski;

b) korytarz opolski, wykonując uderzenie główne po osi Bytom-Gr. Strelitz-Opole i 2 drugorzędne po osiach Lubliniec-Gr.Strelitz, Rybnik-Gross Strelitz.

#### *Podział sił i wykonanie:*

Nierozpatrywane.

## WŁASNE DZIAŁANIA OFENSYWNE (NA PRUSY WSCH. I NA LITWĘ)

### PODZIAŁ SIŁ I WYKONANIE

#### *Prusy Wschodnie:*

Do akcji  $x$  (główne natarcie): 6 DP+1 DK+2 pacy; począ-

tek natarcia:  $x+10$ ; skorelowanie w czasie: *vide* mapa. I cel: sforsowanie w jak najkorzystniejszych warunkach (to zn. przed zakończeniem gotowości bojowej ze strony przeciwnika) najtrudniejszy odcinek Oberländerkanal. Przed tą przeszkodą musiałyby być gotowe wszystkie 3 rzuty (około  $x+18$ ) podczas gdy przed pierwszą, mniejszą przeszkodą (Liebe) wystarczyłoby mieć 3 DP (w  $x+12$ ) a przed drugą przeszkodą (Sorge) 4 DP (około  $x+15$  lub 16).

Dla akcji y (natarcie drugorzędne): 4 DP; początek natarcia z podstawy wyjściowej (*vide* mapa) w  $x+12$ . W pierwszym rzucie 3 DP, w drugim rzucie 1 DP (żądane przez gen. Dreszera razem: 5 DP+2 pacę). Osiągnięcie linii Allenstein około  $x+18$ , przy czym wysiłek główny byłby prowadzony po osi Chorzele-Ortelsburg-Allenstein, a drugorzędny po osi Chorzele-Ortelsburg.

Dla demonstracji z: wyjście tej akcji w  $x+8$ ; zadanie: demonstracja przeciw bazie sił niemieckich w rejonie Insterburg; siły 1-2 DP+0,5 DK; gen. Biernacki proponuje prowadzić tu natarcie drugorzędne (zamiast demonstracji) siłami: 2 DP+1 DK w I rzucie+1 DP w II rzucie i rozpocząć to działanie w  $x+12$  a skończyć w  $x+20$ .

Dla obserwacji rejonu między Ortelsburg a Augustów: grupy forteczne i formacje nieregularne (np. PW). gen. Dreszer proponuje tu 1 LDM.

*Litwa:*

Poza danymi w rubryce „Własny plan operacyjny” nie ma bliższych szczegółów.

## WŁASNY PLAN OPERACYJNY

*Prusy Wschodnie:*

2 uprzywilejowane kierunki działań:

x i y (*vide* mapa): zabezpiecza dużo lepiej łączność naszej ofensywy z naszym frontem defensywnym i na odwrót umożliwia nam prędką koncentrację i odrzuca siły Prus Wsch. trwale od reszty sił niemieckich;

z (*vide* mapa): zabezpiecza naszą ofensywę na Litwę i ma bliżej cel operacyjny (Wystruć), ale rzuca armię Prus Wsch. na gros armii niemieckiej, oddala naszą ofensywę od frontu defensywnego (przez co ryzykujemy ewentualną klęskę, co jest niedopuszczalnym) i koncentracja nasza jest utrudniona;

*Wniosek*: prowadzić jako główne działanie  $x$  i  $y$ , zaś działanie  $z$  — jako demonstrację (*vide* mapa), wreszcie między obu działaniami obserwacja (*vide* mapa). Działanie główne składa się z 2 akcji:  $x$  i  $y$  współdziałających z sobą i działających przez obchodzenie — tak jedna jak i druga na tyły przeciwnika (*vide* mapa). Dla całego frontu ofensywnego odwód (ewent. w dyspozycji Naczelnego Wodza) za prawym skrzydłem grupy głównej, mający za zadanie bądź wzmocnić wzgl. rozszerzyć akcję zaczepną, bądź wzmocnić nasz front defensywny (nieprawdopodobne przed  $x+21$ ), bądź w razie potrzeby zabezpieczyć flankę naszej akcji ofensywnej.

### *Litwa*

1) Nie pozwolić przeciwnikowi na wygrywanie na czasie, a więc zakłócić mu mobilizację i koncentrację możliwie jak najwcześniejszym działaniem.

2) Oddzielić go od Prus Wschodnich.

*Wniosek*: jak najwcześniej (możliwie od  $x+5$ , a najpóźniej od  $x+8$ ) akcja 3 DP (jeśli od  $x+5$ ) a 4 DP (jeśli od  $x+8$ ) po osi Suwałki i Sejny-Kowno; demonstracja możliwie całą 1 DK po osi Wilno-Kowno; cel: obez władanie Litwy zanim się zmobilizuje (gen. Fara liczy się ze spotkaniem 3 DP+1 dyw. osł.+1 Br.K. w  $x+10$  a 4 DP+1 dyw. osł.+2 Br.Kaw. w  $x+16$ , suponując szybszy tok mobilizacji litewskiej niż wyżej podano, żąda więc dla akcji rozpoczętej w  $x+8$  — 4 DP+1 DK).

### *HIPOTEZY AKCJI NPLSKIEJ:*

#### *Prusy Wschodnie:*

Jeśli nas npl uprzedzi w akcji zaczepnej możliwe są nast. kier. jego działań:

operacja a (*vide* mapa): cel cenny ale daleki, odstania dość znacznie Prusy Wschodnie;

operacja b (*vide* mapa): mąci naszą koncentrację ale nie osiąga cennych celów;

operacja c (*vide* mapa): mąci koncentrację i niszczy cenne koleje, odstania pdn. granicę Prus Wsch. ale trudną do przebycia;

operacja d (*vide* mapa): musi sforsować Wisłę i odstania Prusy Wschodnie.

Operacje b i c wydają się najprawdopodobniejsze.



Operacje na kompleks bagien Narwi lub obejście ich od pn. wsch. nie trafiają nas w żywotne kierunki, są trudne i nieprawdopodobne.

Jeśli npl prowadzić będzie akcję obronną wówczas: atak nasz na wsch. granicę Prus Wsch. byłby za niebezpieczny, na rejon Wald und Seesperre za trudny, a jedynie możliwy między Wisłą a rejonem Ortelsburga, toteż Niemcy zgromadzą tu prawdopodobnie gros swych sił (*vide* mapa).

#### *Litwa:*

Jeśli nas npl uprzedził w akcji zaczepnej (nieprawdopodobne), logiczne jedynie działanie na rejon Suwałki-Grodno (współdziałanie z Pr. Wsch.): działanie na Lidę, a jeszcze więcej na Wilno byłoby rozbieżne, jest mało prawdopodobne. Każde jednak z powyższych działań ryzykuje bezpieczeństwo Kowna.

Jeśli npl prowadzić będzie akcję obronną: hipoteza prawdopodobniejsza, bo ryzyko odcięcia od Prus Wschodnich jest mniejsze, jednocześnie baza operacyjna (Kowno) więcej zabezpieczona, a teren nadaje się dobrze dla akcji opóźniają. i dla obrony. Jako główna linia obronna: Wilia i dolny Niemen z Kownem jako przyczółkiem mostowym, zwróconym na pdnie. Najprawdopodobn. hipoteza: zyskanie na czasie przez akcję opóźniającą na pdnie do Wilia-dolny Niemen i obrona na tej linii, jednocześnie koncentrowanie się poza tą linią i niedopuszczanie do utraty łączności z Prusami Wschodnimi.

### TEREN

#### *Prusy Wschodnie (vide mapa):*

Operacja w ogólnym kierunku Królewiec-Wystruć przekracza dwie różne strefy:

strefę I — strefę jezior do linii Saalfeld-Mohrungen-Angerburg, głęboką na 50-100 km, rozszerzającą się od zach. ku wschodowi i wymagającą 5-8 dni dla przebycia jej (licząc 10-15 km dziennie dla ofensywy). Zasadniczą przeszkodę dla naszych operacji stanowi tu bariera jezior (wzmocniona na dużym odcinku umocnieniami Wald und Seesperre — *vide* mapa). W barierze tej znajdują się jednak następujące luki:

a) Saalfeld-Drausensee (bagna i jeziora w rejonie Elbląga), luka szeroka na 20 km i zwężająca się na Kanale Oberlandzkim do 10 km;

b) Schilling-Roelofsee-Eising-Mariensee na kierunku Hohenstein-Mohrungen, luka szeroka 8-12 km;

c) Allenstein-Plautzigersee-Eisingsee-Schillingsee — luka szeroka na 15-20 km i zwięzająca się dalej do 2 przejść Jablonken około 10 km i Stabigstten około 5 km;

d) Omulefsee-Lanskersee — dalej kierunek Allenstein-Wartenburg (5-10 km);

e) Ortelsburg w kierunku Wartenburg albo Bischofsburg (6-8 km).

Dalej na wsch. bariera jezior potężnieje i zanadto oddala się od wymienionych wyżej korzystnych luk, dopiero na wsch. peryferiach strefy jezior zjawia się szeroki korytarz (korytarz Suwałki-Goldap-Gerdauen), nadający się dla działań.

Terenowo występują więc następujące odcinki w pasie działań:

zachodni między Wisłą a pasem jezior na pn. od Brodnicy do Saalfeld (szeroki około 35 km);

odcinek na wschód od poprzedniego, aż do linii Gilgenburg-Mohrungen, szeroki około 35 km, z poważną przeszkodą operac. na linii Gseserich-Gehlsee-Schillingsee;

odcinek na wschód od poprzedniego, aż do linii Ortelsburg-Sorgnitten: posiada dużo jezior, ale między nimi szersze pasaże (szerokość około 70 km);

odcinek na wschód od poprzedniego (Wald und Seesperre), zaś po stronie polskiej rejon bagien Narwi i jej dopływów (dla operacji nie może wchodzić w rachubę);

strefę II (na pnc od poprzedniej) — szeroką na około 120 km i wymagającą dla przebycia 8-12 dni.

### *Litwa:*

2 występy dla ofensywy Polski:

suwalski: jako rejon wyjściowy do marszu na Kowno, przecina szybko linię kolejową Kowno-Kalwaria-Olita, kierunek nie przedstawia przeszkód dla operacji, wymaga jednak zabezpieczenia tyłów akcji od strony Prus Wsch.; wileński: flankuje Kowno od wschodu, na kierunku marszu nie ma przeszkód, przecięcie linii kolejowej w rej. Kowno-Janów odcina stolicę kraju od 2/3 obszaru kraju;

rz. Niemen: wpływałaby niekorzystnie (dzieląco) na obydwie akcje i utrudniałaby koordynację; większe trudności terenowe nastęrczałyby się dopiero dla dalszej fazy działania (na pnc od Kowna do dolnego Niemna).

Dla ofensywy litewskiej:

występ suwalski: służyć może za dogodny rejon dla akcji zaczepnej wspólnie z armią wsch. pruską;

występ olecki: (na pd od Olity) zagraża bezpośrednio linii kolej. Grodno-Wilno i może służyć za rejon wyjściowy do akcji zmierzającej do zajęcia i odcięcia od reszty Polski Wilna (przez opanowanie drugiego i ostatniego połączenia Wilna z krajem, tj. linii kolej. Lida-Wilno).

## ROZDZIAŁ SIŁ POMIĘDZY OPERACJAMI:

*Prusy Wschodnie* przeciwstawiają nam wg założenia: 9 DP+2 DP osłonowe+2 DK z terminami gotowości bojowej, w x+10:2 dyw. osł.+1 DP+1 DK: w x+13:detto; w x+15:detto+1 DP; w x+20:detto co w x+15+2 DP+1 DK, a dopiero w x+32 całością sił, tj. 9 DP, 2d. osłon. i 2 DK;

*Litwa*: przeciwstawia nam wg założenia: 5 DP+1 DP osłonowa+1 DK z terminami gotowości bojowej, w x+10:1 dyw. osł.+1 DP+1 Br.K.; w x+13:detto+1 DP; w x+15:detto co w x+13+1 DP; w x+20:detto co w x+15+1 DP, a dopiero w x+27 z całością sił tj. 5 DP, 1d. osł. i 1 DK.

Operacja przeciw Pr. Wschodnim ważniejsza, bo klęska Niemiec w Prusach Wsch. odbiera warunki egzystencji Litwy a nie odwrotnie, gdyż Niemcy zwycięscy w Prusach Wschodnich zagrażają naszym głównym centrum komunikacyjnym, czego nie robi zwycięstwo Litwy.

*Wniosek*: Propozycja wyznaczenia na Litwę 2-3 DP+0,5-1 DK, zaś 12-13 DP+1-1,5 DK przeciw Prusom Wschodnim.

## CEL OPERACYJNY:

*Przeciw Prusom Wschodnim*: zniszczenie niemieckich sił w Pr. Wsch.; zniszczenie niem. kolei, aby przez wyzyskanie własnej pierwotnej przewagi (w x+13 mamy 11 DP+2 DK, przeciw wsch. pruskim i lit. 3 DP+3 DP osłonowe+1,5 DK; w x+15:15 DP+2 DK przeciw 5 DP+3 DP osłon.+1,5 DK, a dopiero w x+27 nastąpi równowaga sił) zmniejszyć przygotowującą się w nast. okresie niemiecką przewagę w ich ewent. ofensywie przeciw nam. Cel powyższy będzie dopiero osiągnięty po zajęciu bazy niem. w Prusach Wsch. (Królewca i Wystrucia).

*Przeciw Litwie*: obezwładnienie Litwy (dzięki wyższości naszego pogotowia nie tylko nad armią niem. ale i litewską) zanim uda jej się zmobilizować i skoncentrować, a siłom niemieckim interweniować na korzyść Litwy.

## LUŻNE NOTATKI GEN. ORLICZ-DRESZERA BEZ TYTUŁU DOŁĄCZONE DO STUDIÓW

Niemcy+Litwa=42 DP+5 DP

14 DK+3 Br.K.

53 p. osł. cywilnej

---

65 DP+15 DK

Polska=39 DP, 3 DK, 4 BK (=2 DK), 5 LDM (=1 DP i 2 DK), 5 gr. fort. (=2 DP)=42 DP+7 DK

Z tego dla oper. ofensywnych:

Niemcy+Litwa=47 DP+15 DK

Polska=40 DP+7 DK

Z tego na froncie pol-niem.:

Niemcy+Litwa=49 DP (reg. i nier.; z tego 9 DP tylko do defens.) i 9 DK

Polska=34 DP i 6 DK (z tego 1 DP tylko do defensywy)

Na fr. niem.-fr.:

7 DP i 6 DK i 28 p. osł. cywilnej

i pol. ros.:

7 DP i 2 Br. Kawal. oraz 3 gr. fort.

*Gotowość sił niem. i lit. oraz pol. na froncie tylko polskim<sup>9</sup>:*

*Niemcy:*

x+2:8 DP osł.; x+15:detto, 23 DP reg., 8 DK; x+30:8 DP osł., 35 DP, 8 DK;

*Litwa:*

x+2:1 DP osł. x+15:detto, 3 DP, 1 DK; x+30:5 DP, 1 DP osł., 1 DK;

*Polska:*

x+2:cała osłona; x+15:33 DP, 6 DK; x+30:34 DP, 6 DK.

do x+10-równow. sił pol. i niem. (niem. atak na G. Śląsk);

od x+10 do x+20 — blisko 100% przewaga sił pol. nad niem. (wskazana pol. ofensywa na Prusy Wsch. i Litwę);

od x+20 rośnie przewaga niemiecka (zaostrzy się od x+33; wskazana ofensywa niem.-lit.; Polska się broni aż do x+60/walczy o zyskanie na czasie).

---

9. W oryginalnej tabeli.

*Podział sił niem. i polskich:*

*Niemcy:*

Prusy Wsch.: 9 DP reg., 2 DP osł., 2 DK;  
Front zach.-polski: 26 DP reg., 3 DP osł. (3 wycof. do dalszej mobil.), 6 DK;

*Litwa:*

5 DP reg., 1 DK, 1 DP osł.;

*Polska:*

Prusy Wsch.: 15 DP (z tego na Litwę 2-3 DP), 2 DK (z tego na Litwę 1,5 DK); mniej niż Prusy Wsch. razem wzięte, ale za to duża przewaga w pogot. mobil.

*Fr. Zach.:*

19 DP, 4 DK<sup>10</sup>.

---

10. Dalej następują dwie odrębne rysowane mapy z zaznaczeniem kierunków możliwych uderzeń npla i obliczenia gen. Orlicz-Dreszera dotyczące odległości finalnych celów na danym kierunku oraz ilości przemarszów, jak również szkic planowanej akcji ofensywnej przeciwko Prusom Wsch. wraz z możliwymi kierunkami uderzeń wojsk polskich.

## RECENZJE

Tadeusz WYRWA

### ROKOWANIA FRANCUSKO-SOWIECKIE W MOSKWIE W SIERPNIU 1939 ROKU

Wypadki poprzedzające wybuch drugiej wojny światowej są już opracowane w oparciu o archiwalne źródła i mogłoby się wydawać, że trudno jeszcze znaleźć coś nowego na ten temat. Przeczy temu książka, która ukazała się ostatnio we Francji. Autorem jej jest Francuz, urodzony w 1948 roku, a więc z pokolenia, dla którego okres ten stanowi historię w całym tego słowa znaczeniu. Tytuł książki w tłumaczeniu na język polski brzmi: „Tajne pisma generała Doumenca”<sup>1</sup>. Chodzi o „Pisma” gen. Joseph Aimé Doumenca, szefa francuskiej misji wojskowej wysłanej na negocjacje do Moskwy w sierpniu 1939 roku, celem zawarcia z ZSSR konwencji wojskowej, mającej poprzedzić zawarcie traktatu wzajemnej pomocy w razie agresji niemieckiej.

Nie wiadomo, dlaczego „Pisma” te zostały opublikowane dopiero teraz<sup>2</sup>. Rodzina generała Doumenca przekazała je autorowi książki, o której mowa. François Depla pisze, że miał całkowitą swobodę w opracowaniu materiału i dziękuje rodzinie za udzielenie mu nadto wszelkich dodatkowych informacji. Nie ustrzegł się jednak od nadmiernej apologii gen. Doumenca, a niejednokrotnie robi to kosztem zniekształcania rzeczywistości i tendencyjnej interpretacji faktów.

---

1. François Delpla, *Les Papiers secrets du général Doumenc. Un autre regard sur 39-40*, Ed. Olivier Orban, Paryż 1991.

2. W tygodniku *Carrefour* z 21 maja 1947 roku gen. Doumenc ogłosił artykuł oparty na opublikowanych obecnie wspomnieniach. Artykuł ukazał się z dużymi oczywiście skrótami i pominięciem istotnych ustępów.

Na książkę składają się dwie kategorie „Pism” gen. Doumenca: „Wspomnienia z misji w Rosji” i „Dziennik z Głównej Kwatery”. Ten ostatni dotyczy okresu od 10 maja do 29 czerwca 1940 roku i zawiera wiele akcentów polemicznych, zwłaszcza odnośnie Daladiera, Laval, de Gaulle’a, Reynauda i Weyganda, co jest ciekawe, ale nie wiąże się już ze sprawą Polski i nie ma tam nawet mowy o armii polskiej we Francji, której gen. Doumenc nie dostrzegł z zajmowanego w Głównej Kwaterze stanowiska. Delpla opatrzył książkę wstępem, licznymi i obszernymi komentarzami oraz konkluzją. Książka nie wnosi niczego specjalnie rewelacyjnego, ale z uwagi na zadanie, jakie gen. Doumenc miał do spełnienia w Moskwie, wspomnienia jego potwierdzają, a w pewnym stopniu uzupełniają dane o nastawieniu rządu francuskiego do pertraktacji w Moskwie.

Według autora książki, gen. Doumenc napisał swoje wspomnienia — w formie raportu — rok po kapitulacji Francji, pod koniec wojny złożył je w ministerstwie i tam też niektórzy historycy mieli podobno do nich dostęp. Delpla zarzuca gen. Beaufre — który, w randze kapitana, był członkiem misji francuskiej w Moskwie — że korzystał w swojej książce<sup>3</sup> z tekstu gen. Doumenca, przywłaszczając sobie całe ustępy bez użycia cudzysłowu. Nie wchodząc tutaj w tego rodzaju zarzuty wydaje się, że obaj autorzy, Doumenc i Beaufre, korzystali wzajemnie ze sprawozdań jakie prawdopodobnie sporządzili po powrocie z Moskwy do Paryża.



Pertraktacje z rządem sowieckim zainicjowała Francja, związana z ZSSR niezbyt precyzyjnym paktem Laval-Potiomkin z 1935 roku. Wobec wzrastającego niebezpieczeństwa ze strony Hitlera, Francja i z nią Wielka Brytania zaproponowały ZSSR zawarcie traktatu z konkretnym ustaleniem wzajemnej pomocy na wypadek agresji niemieckiej. Dyskusje dyplomatyczne na ten temat zaczęto w kwietniu 1939 roku. Po trzech miesiącach — w międzyczasie Litwinow został zastąpiony Mołotowem — gdy układ polityczny był już gotowy, ZSSR postawił nagle warunek, że podpisze go dopiero po uprzednim zawarciu konwencji wojskowej. Nie zraziło to Francuzów i jak oświadczył ich minister spraw zagranicznych, Georges Bonnet: „Trzeba było trzech mie-

---

3. Chodzi o następującą książkę, gdzie jest rozdział poświęcony misji wojskowej w Moskwie: André Beaufre, *Le Drame de 1940*, Plon, Paryż 1965, str. 115 i nast. Ten sam rozdział znajduje się w książce tego samego autora pt. *Mémoires 1920-1940-1945*, Presses de la Cité, Paryż 1969, str. 109-172.

sięcy, żeby osiągnąć układ polityczny, ale pomimo tej zwłoki bardzo się tym cieszymy... Tutaj kończy się negocjacja polityczna. Odtąd pertraktacje przejmują wojskowi pod kierownictwem Daladiera<sup>4</sup>”.

Dnia 17 lipca 1939 roku gen. Gamelin, szef sztabu obrony narodowej, wzywa gen. Doumenca i oświadcza mu, że ma zamiar wysłać go z misją do Rosji, z którą rozmowy dyplomatyczne utknęły na martwym punkcie i obecnie chodzi o wymaganą przez Sowieców konwencję wojskową. W oczekiwaniu na obiecanie w tej sprawie instrukcje gen. Doumenc kontaktuje się z Drugim Biurem (wywiadem), gdzie — jak pisze w swoich wspomnieniach — o tym co zamierza robić dowództwo polskie „nie wiadano nic, z wyjątkiem tego, że Sztab główny odmawia nam powiedzenia czegokolwiek” (str. 37). Następnie, z polecenia gen. Gamelina, gen. Doumenc składa wizytę Alexis Légerowi, sekretarzowi generalnemu francuskiego MSZ<sup>5</sup>, który „nie rozumiał, jaką fantazją kierowali się Rosjanie, powracając do dawniej wysuniętej propozycji zawarcia najpierw konwencji wojskowej”. Léger przyznał, że „zaakceptowano wiele z ich sugestii, ale w sprawie konwencji utknęliśmy na martwym punkcie” (str. 40). Obiecał zapoznać gen. Doumenca, na jego prośbę, z raportami ambasadora Francji w Moskwie celem zorientowania go w sytuacji, ale obietnicy nie dotrzymał<sup>6</sup>.

Gen. Doumenc został z kolei przyjęty przez min. Bonnetta, który z naciskiem podkreślił, że „wojna będzie nie do uniknięcia, jeżeli nie doprowadzimy do zawarcia konwencji” i zaklinał gen. Doumenca „żeby coś przywiózł, nawet za cenę obietnic”. Na zapytanie, jakich obietnic, Bonnet odpowiedział: „Wszystko to, co będzie pan uważał za pożyteczne, ale trzeba przywieźć podpisany papier”. Kilka godzin później gen. Doumenc uzyskał audiencję u premiera Daladiera, w czasie której premier oznajmił mu: „Niech pan postawi sprawę bez ogródek; zmuscie ich (Rosjan) do wypowiedzenia się, żebyśmy wiedzieli na co możemy liczyć” (str. 41). Gen. Beaufre pisze w swoich wspomnieniach, że Daladier miał wówczas powiedzieć: „przywieźcie nam układ za wszelką cenę<sup>7</sup>”.

Instrukcje jakie otrzymała misja francuska od gen. Gamelina

---

4. Georges Bonnet, *De Munich à la guerre. Défense da la paix*, Plon, Paryż 1967, str. 365.

5. Alexis Léger, nazwisko: Saint-John Perse, dyplomata, poeta, nagroda Nobla 1960 rok.

6. Dnia 18 maja 1940 roku Alexis Léger został zwolniony z zajmowanego stanowiska przez premiera Paul Reynauda, który — po ustąpieniu Daladiera, w marcu 1940 — stanął na czele rządu francuskiego.

7. André Beaufre, „*Mémoires...*” *op. cit.* str. 117.



przed wyjazdem do Moskwy, były bardzo ogólne i zakładały dobrą wolę Sowietów w przeciwieństwie do instrukcji brytyjskich, przystanych do wiadomości rządu francuskiego w nocy z 31 lipca na 1 sierpnia 1939 i wydrukowanych — jak pisze gen. Doumenc — „na grubość szerokości palca, gdzie wszystkie problemy zostały rozpatrzone, ale gdzie nie wylania się żadna myśl przewodnia”. Warte jednak odnotowania było to, że w instrukcjach brytyjskich „zalecono postępować z wielką ostrożnością, nie dawać żadnych informacji i mieć zawsze na uwadze możliwe konszachty niemiecko-sowieckie i w końcu prowadzić negocjacje w sposób jak najbardziej powolny”. Gen. Doumenc wysuwa z tego wniosek, ale dopiero w swoich wspomnieniach, że „Anglicy nie mieli żadnych złudzeń co do wyniku przyszłych rozmów i liczyli przede wszystkim na zyskanie na czasie. Dalekie to było od złudzeń opinii publicznej” (str. 49).

Misja francuska pojechała najpierw do Londynu, tam połączyła się z misją brytyjską, której przewodniczył admirał Drax i dnia 5 sierpnia obie misje odplynęły na statku *City of Exeter* do Leningradu. W czasie podróży zreagowano wspólnie projekt umowy do zaproponowania w Moskwie, który jednak nie był później przez Sowietów wzięty pod uwagę. W Moskwie misje zostały ulokowane w komfortowych warunkach. Gen. Doumenc pisał, że francuski personel dyplomatyczny „był źle i niewystarczająco poinformowany... Gmach ambasady był dozorowany z wszystkich stron przez policję a służba domowa przeważnie rosyjska” (str. 69).

Ambasador Francji w Moskwie, Naggjar, wierzył że Sowietci „szczerze i gorąco pragną zawarcia konwencji wojskowej”. W większym jeszcze stopniu wierzył w to attaché wojskowy gen. Palasse (str. 69). Delpla potwierdza w komentarzu, że amb. Naggjar był raczej „przychylnie usposobiony do Sowietów”, ale — jak pisze w innym miejscu: „amb. Naggjar należy do tych, którzy wobec ZSSR zachowali się jak zawiedzeni kochankowie: bowiem w styczniu 1940 Naggjar wziął energicznie udział w krucjacie antykomunistycznej” (str. 69 i 130). Warto tutaj przypomnieć, że napad ZSSR na Finlandię, dnia 30 listopada 1939 roku, wywołał we Francji silne nastroje antysowieckie, zupełnie niewykorzystane dla sprawy polskiej przez nasz rząd w Angers.

Negocjacje w Moskwie rozpoczęły się dnia 12 sierpnia 1939, nazajutrz po przyjeździe misji francusko-brytyjskiej. Strona sowiecka była reprezentowana przez marsz. Woroszyłowa. Przebieg pertraktacji i obłuda, z jaką były one prowadzone przez Moskwę, są znane, podobnie jak argumenty, którymi operował Woroszyłow. Można jednak przypomnieć, że argumentacja sowiecka obracała się wokół sprecyzowania pojęcia „agresji po-

średniej” i objęcia układem, w razie ataku Hitlera, nie tylko Polski i Rumunii, lecz również krajów bałtyckich. Moskwa uzależniała zawarcie układu od możliwości „przemarszu” przez te kraje, co w planach sowieckich równało się okupacji. Paradokszem w tym wszystkim było to, że ani Polska i Rumunia, ani państwa bałtyckie nie brały udziału w tych rokowaniach, bo nie zostały zaproszone i Moskwa nie mogła mieć złudzeń, że aprobują decyzje podjęte bez ich zgody.

Dzisiaj nie ma wątpliwości, że dwa były główne powody, które kierowały Sowietami w ich pertraktacjach z misją francusko-brytyjską: *primo* uzyskanie większych koncesji w jednocześnie się toczących układach z Hitlerem, *secundo* wydobyć możliwie jak najwięcej informacji o siłach militarnych i strategii państw zachodnich celem przekazania ich swojemu już wówczas sojusznikowi niemieckiemu. Dnia 13 sierpnia gen. Doumenc wygłosił obszerny referat o armii, a po nim referaty mieli: gen. Valin i mjr Vuillaume, po których Woroszyłow stawiał liczne pytania, w tym o linię Maginota, stan sił angielskich, współudział Belgii itp. Odpowiedzi, jakie otrzymał, mogły być cenne dla Hitlera, na co zwraca uwagę gen. Beaufre w swojej książce<sup>8</sup>, ale czemu usiłował zaprzeczyć gen. Doumenc (str. 75), co jest mniej przekonujące, zwłaszcza że w innym miejscu swoich wspomnień pisze, iż wobec nieustępliwej postawy Woroszyłowa misja francuska „zabiegała szczerze o zgodę Polski z jednej strony, a z drugiej podtrzymywała posiedzenia opisem własnych sił zbrojnych” (str. 111 oraz podobnie na str. 87).

Chodziło tutaj o zgodę Polski na „przemarsz” armii sowieckiej w rejonach Wileńszczyzny i Małopolski Wschodniej. Sposób, w jaki misja francusko-brytyjska podeszła do tego problemu świadczy o jej zupełnym nieprzygotowaniu do pertraktacji. Po referacie gen. Doumenc’a z 13 sierpnia Woroszyłow logicznie zapytał: w jaki sposób sztaby wojskowe, francuski i angielski, wyobrażają sobie udział armii czerwonej w razie agresji niemieckiej na Francję, Polskę lub Rumunię, gdyż ustalenie tego jest punktem wyjścia do zawarcia konwencji wojskowej?

Misja francusko-brytyjska nie wiedziała co odpowiedzieć i jak pisze gen. Doumenc „od początku było uzgodnione (przez misję), że nie będzie się mówiło o wejściu Rosji do Polski” (str. 77). Misja francuska nie otrzymała przed wyjazdem żadnych pod tym względem wskazówek. Chcąc jakoś wyjść z sytuacji, gen. Heywood, członek misji — a nie gen. Doumenc, co jest ogólnie przyjęte — zredagował dla Woroszyłowa deklarację, gdzie zostało podkreślone, że „Polska i Rumunia są państwami

---

8. André Beaufre, *Le Drame de 1940*, op. cit. str. 138.

suwerennymi i zezwolenie (na przemarsz) winno być udzielone przez ich rządy. Jest to więc kwestia polityczna i proponujemy, żeby rząd sowiecki przedstawił sprawę rządowi polskiemu i rumuńskiemu” (str. 79). Woroszyłow z kolei oświadczył, że to należy do rządów Francji i Anglii i w tym kierunku misja podjęła starania.

Misja francuska posłała telegraficznie do Paryża sprawozdanie z posiedzeń i czekała na instrukcje. Dnia 17 sierpnia, w braku odpowiedzi, nadano ponownie telegram, gdzie gen. Doumenc powtarzał żądanie sowieckie dotyczące kwestii „przemarszu”, od którego Woroszyłow uzależnił dalsze pertraktacje. Następnie donosił, że misja konstatuje „wyraźną chęć (u Sowietów) gruntownego zaangażowania się. Nie ma wątpliwości, że ZSSR pragnie paktu wojskowego... Atmosfera była stale serdeczna, a przyjęcie sowieckie doskonałe” (st. 88). W rzeczywistości, co nie budziło w tym telegramie wątpliwości, to przekonanie gen. Doumenc'a o dobrej woli ZSSR.

Rząd francuski nie chciał jednak zwracać się bezpośrednio do rządu polskiego o zgodę na „przemarsz” i podjął nieoficjalne kroki za pośrednictwem gen. Musse, swojego attaché wojskowego w Warszawie. Gen. Musse wezwany do Paryża powrócił, po otrzymaniu instrukcji, do Warszawy, gdzie z kolei przyjechał gen. Baufre, wysłany z Moskwy przez gen. Doumenc'a. Dnia 18 sierpnia gen. Musse miał spotkanie z gen. Wacławem Stachiewiczem, naszym szefem Sztabu głównego. Gen. Musse nalegał na konieczność upoważnienia gen. Doumenc'a do omówienia z Sowietami, w imieniu Polski, zagadnień tranzytowych, związanych z „przemarszem”. Gen. Stachiewicz pisze w swoich wspomnieniach<sup>9</sup>, że gen. Musse opowiadał mu z entuzjazmem o wspólnym przyjęciu, jakiego doznała misja francusko-brytyjska w Moskwie i o optymizmie, z jakim wyrażał się o podejściu Woroszyłowa do pertraktacji. Gen. Doumenc natomiast pisze, że gen. Musse obawiał się „złej woli Sowietów” i był w tym wszystkim „za Polakami przeciwko Rosjanom” (str. 90 i 93).

Gen. Stachiewicz ustosunkował się negatywnie do nalegań gen. Musse o nieoficjalne upoważnienie gen. Doumenc'a do zapewnienia Sowietów o możliwości „przemarszu”. Wówczas gen. Musse prosił o przedstawienie całej sprawy marszałkowi Śmigłemu-Rydzowi, co też gen. Stachiewicz zrobił. Marsz. Śmigły-Rydz, podobnie jak gen. Stachiewicz, ustosunkował się zdecydowanie negatywnie do żądań Moskwy, podkreślając że spełnienie ich uzależniłoby Polskę całkowicie od Sowietów i

---

9. Zob. Wacław Stachiewicz, „Pisma”, tom II, *Zeszyty Historyczne* nr 50 Paryż 1979, str. 39 i nast.

doprowadziło do okupacji części naszego kraju.

Gen. Doumenc pisze, że w danym wypadku chodziło mniej o kwestię materialną, jak o nienaruszalną zasadę, polityczną spuściznę Marszałka Piłsudskiego, a mianowicie że „z Niemcami ryzykujemy utratę wolności, Rosjanie odbiorą nam duszę”. Słowa te miał wypowiedzieć do Paul Reynaud — jak twierdzi francuski historyk<sup>10</sup> — nie Piłsudski, lecz Śmigły-Rydz. Gen. Doumenc dodaje tutaj komentarz, iż „chodziło o punkt widzenia najzupełniej osobisty, który był ponad wszelką logiką i dlatego daremne byłyby wszelkie odwoływania się do rozsądku” (str. 92). Delpla nie omieszkął z kolei dorzucić w odnośniku o Piłsudskim, iż chodzi o „dyktatora wojskowego”.

Jednocześnie z akcją czynników wojskowych, nacisk na wyrażenie zgody przez rząd polski odnośnie „przemarszu” był wywierany drogą dyplomatyczną. Minister Georges Bonnet wzywał w związku z tym Juliusza Łukasiewicza, naszego ambasadora w Paryżu<sup>11</sup>, a ambasador Francji w Warszawie, Léon Noël usiłował z kolei przekonać ministra Becka o potrzebie dojścia do porozumienia z Rosją. Min. Beck jasno postawił sprawę: „Byłby to nowy rozbiór... jeżeli ma do tego dojść, to przynajmniej chcemy się bronić<sup>12</sup>”. Po ponownych zabiegach ambasadorów, francuskiego i brytyjskiego, min. Beck — nie chcąc utrudniać akcji aliantom — wyraził 23 sierpnia zgodę na upoważnienie misji francusko-brytyjskiej w Moskwie do oświadczenia, że w razie konfliktu państw sprzymierzonych z Niemcami „istnieją podstawy do życzliwego porozumienia między Polską a Związkiem Sowieckim<sup>13</sup>”.

Gen. Doumenc inaczej to przedstawia, a wymieniając gen. Stachiewicza i amb. Łukasiewicza zniekształca ponownie pisownię ich nazwisk. Najpierw pisze, że 20 sierpnia, „dzięki interwencji brytyjskiego attaché wojskowego, Polacy wreszcie zaakceptowali niewiele mówiącą formułę... iż nie sprzeciwiają się, żeby rządy francuski i angielski, celem przedstawienia rządowi polskiemu warunków pomocy rosyjskiej w razie ataku Niemiec, przeprowadziły na ten temat konsultację w Moskwie” (str. 93).

---

10. Jean-Baptiste Duroselle, *Histoire diplomatique de 1919 à nos jours*, Ed. Dalloz, Paryż 1981, str. 248.

11. Zob. Juliusz Łukasiewicz, *Dyplomata w Paryżu 1936-1939*. Wydanie rozszerzone opracowali Wacław Jędrzejewicz i Henryk Bułhak, PFK, Londyn 1989, str. 295 i nast.

12. Leon Noël, *L'agression allemande contre la Pologne*, Flammarion, Paryż 1946, str. 423.

13. *Polska polityka zagraniczna w latach 1926-1939*, Na podstawie tekstów min. Józefa Becka opracowała Anna M. Cieniela, Instytut Literacki, Paryż 1990, str. 255.

Wiadomość tę miał przywieźć do Warszawy gen. Beaufre, który powrócił do Moskwy dnia 21 sierpnia. Jak pisze gen. Doumenc, w międzyczasie już się zdezaktualizowała, gdyż „po jego wyjeździe z Warszawy nowe starania zostały podjęte przez ambasadora Anglii (Howarda Kennarda), który musiał zagrozić wstrzymaniem przyznanych przez Anglię kredytów. Wtedy dopiero Polska wyraziła zgodę co do samej zasady przemarszu oddziałów rosyjskich przez jej terytorium”. Gen. Doumenc nie podaje, skąd się o tym dowiedział i nadmienia jedynie, że wiadomość tę przyjęto z powątpiewaniem, gdyż „żaden konkretny fakt nie potwierdził tego faktu” (str. 98).

W dalszym ciągu gen. Doumenc pisze, że tego samego wieczora 21 sierpnia o godzinie 22.30 „nadszedł z Paryża telegram od rządu francuskiego zawierający w enigmatycznej formie oczekiwaną odpowiedź, to znaczy pozwalającą odpowiedzieć przychylnie na podstawowe pytanie”. Następnie gen. Doumenc przytacza tekst telegramu: „Jesteście upoważnieni do podpisania, z najlepszą dla ogólnego dobra korzyścią i w porozumieniu z ambasadorem, konwencji wojskowej, z zastrzeżeniem aprobaty rządu francuskiego”. Telegram podpisał Daladier. Gen. Doumenc wzdycha, że wreszcie rząd francuski powziął decyzję, ale że było już za późno; gdyby bowiem telegram został wysłany cztery dni wcześniej, sprawa wyglądałaby może inaczej, ale „wieczorem 21 sierpnia stanowisko Rosjan było już ustalone” (str. 98).

Błędnie też pisze gen. Gamelin, że „na nasze wielokrotne nalegania Polacy w końcu zgodzili się (na przemarsz). Ale premier Daladier, nie chcąc służyć pretekstem do zerwania (negocjacji), na swoją odpowiedzialność zatelegrafował wcześniej do Doumenc’a, żeby „zgodził się (na co? — T.W.) bez dalszego zwlekania<sup>14</sup>”. Tutaj można jedynie jeszcze dodać, że upoważnienie do podpisania konwencji niczego nie rozwiązywało, zwłaszcza uzgodnienia warunków „przemarszu”, na który rząd polski nigdy nie wyraził zgody. Słusznie też zwraca uwagę prof. Cieniąła, że min. Beck mówiąc o ewentualnej możliwości porozumienia Polski z ZSSR, o czym wyżej była mowa, nie mógł nie wiedzieć o wysłaniu dnia 21 sierpnia do gen. Doumenc’a, przez premiera Daladiera, telegramu odnośnie podpisania konwencji<sup>15</sup>.

Jak wiadomo, jednocześnie toczyły się negocjacje niemiecko-sowieckie, w wyniku których, dnia 23 sierpnia, został podpisany pakt Ribbentrop-Mołotow. Wieczorem tego samego dnia gen. Gamelin wysłał do gen. Doumenc’a długi telegram, gdzie nakazał

---

14. Maurice-Gustave Gamelin, général, *Servir*, tom 2, *Prologue du drame (1930 Août 1939)* Plon, Paryż 1946, str. 444.

15. Zob. Anna M. Cieniąła, *op. cit.*: str. 256.

misji pozostanie w Moskwie celem przekonania Rosjan, z powołaniem się na pogarszającą się sytuację w Europie, o potrzebie zawarcia konwencji wojskowej. Dnia 24 sierpnia prasa sowiecka donosiła o podpisaniu paktu o nieagresji między ZSSR i Niemcami, a nazajutrz wojskowe misje, francuska i brytyjska, powracały — jedna do Paryża, druga do Londynu. Przy wyjeździe z Moskwy, jak napisze później gen. Doumenc, misje te „miały przykre uczucie, że wszystkie ich wysiłki okazały się daremne i posłużyły jedynie Rosjanom za przynętę do przygotowania ich układu z Niemcami” (str. 108).

Paul Reynaud nazwie tę porażkę „Waterloo dyplomacji francuskiej<sup>16</sup>”, a historyk francuski przypomni po wojnie, że „dyplomacja francuska pozostała głucha na wszystkie przestrogi i ślepa na liczne zapowiedzi zbliżenia rosyjsko-niemieckiego<sup>17</sup>”. Podobnie było i później wobec zaborczej polityki Sowietów. Jeśli chodzi o okres poprzedzający wybuch drugiej wojny światowej, to książka François Delpla jest tego przykładem.

Tadeusz WYRWA

---

Piotr WANDYCZ

## NOWE KSIĄŻKI

Na przestrzeni ostatniego półtora roku wydawnictwa związane z rocznicą Konstytucji 3 Maja i tematyką wschodnioeuropejską jak też wspomnienia polityków były szczególnie widoczne. Nie oznacza to oczywiście, iż na innych odcinkach panował zastój. Ukazywały się wartościowe książki z różnych dziedzin historii i niektórymi z nich chciałbym zająć się w tym przeglądzie. Pragnę jedynie nawiasem wspomnieć o książce, o której było szczególnie głośno, a mianowicie o pamiętnikach Gen. Jaruzelskiego. Nie próbując ani jej ocenić ani referować, chciałbym zwrócić uwagę na inteligentny i

---

16. Paul Reynaud, *La France a sauvé l'Europe*, tom I, Flammarion, Paryż 1947, str. 132.

17. Maxime Mourin, *Les relations franco-soviétiques (1917-1967)*, Ed. Payot, Paryż 1967, str. 240.

zręczny sposób napisania tej książki jak i na jej pewną sugestywność. Nie wątpię, iż będzie ona jeszcze szeroko omawiana.

Zacznijmy od dzieła zbiorowego pod redakcją Andrzeja Ajnenkiela, Janusza Kuczyńskiego i Andrzeja Wohla pt. *Sens polskiej historii* (Warszawa, 1990). Składa się na nią szereg referatów, m.in. Andrzeja Walickiego, Jerzego Topolskiego, Romana Szporluka, Jerzego Tazbira i Janusza Pajewskiego. Rzecz warta przeczytania i przedyskutowania. Jedynym dziełem dotyczącym filozofii a częściowo i metodologii historii jest tom Jerzego Topolskiego *Wolność i przymus w tworzeniu historii* (Warszawa). Autor, znany historyk poznański, zajmujący się od lat „historyką” z pozycji marksistowskich czy bliskich marksizmowi, rozważa w tym dziele nowe podejście odrzucające determinizm historyczny. Do historii myśli politycznej należy z kolei najnowsza książka Andrzeja Walickiego, *Russia, Poland und Universal Regeneration* (Notre Dame, 1992). Dwa spośród czterech esejów dotyczą Herzena i jego poglądów na problematykę polską. Autor poświęca tom zmarłemu przed kilku laty Wiktorowi Weintraubowi.

Spod pióra Jerzego Kłoczowskiego, płodnego pisarza i w ostatnich latach bardzo aktywnego organizatora życia naukowego — szczególnie na kierunku Europy środkowo-wschodniej — wyszedł drugi tom *Dziejów chrześcijaństwa polskiego* (Paryż, 1991). Obejmuje głównie wiek XIX i XX. Książka, wydana bardzo starannie, zawiera niezwykle cenny atlas map metropolii, biskupstw, parafii, zakonów itp. od zarania historii po dzień dzisiejszy. Dobrze wydane i bardzo przydatne jest syntetyczne opracowanie Marii Boguckiej, *Dzieje kultury polskiej do 1918 roku* (Wrocław, 1991). Na trzystu kilkudziesięciu stronach autorka, znana zarówno z prac o historii gospodarczo-społecznej (np. o rozwoju miast) jak i regionalnych (Gdańsk) i kulturalnych, daje nam zwięzły i przejrzysty wykład. Okres półtora stulecia obejmuje cenna publikacja pod redakcją Wojciecha Wrzesińskiego (rektora Uniwersytetu Wrocławskiego) *W stronę Odry i Bałtyku: wybór źródeł 1795-1950*. Tom IV: *Od Poczdamu do Zgorzelca 1945-1950* (Wrocław, 1991) zawiera ponad sto dokumentów pochodzących z archiwów MSZ i KC PZPR.

Z dzieł poświęconych odległej przeszłości nie sposób nie zauważyć pośmiertnie wydanej pracy Oskara Haleckiego, *Jadwiga of Anjou and the Rise of East Central Europe* (New York, 1991). Wydana na podstawie rękopisu przez ucznia Haleckiego T. Gromadę, książka ta spotkała się, o ile mi wiadomo, z mniejszym oddźwiękiem niżby na to zasługiwała zarówno ze względu na osobę autora jak i na sam temat, nad którym Halecki pracował przez wiele lat. Z wieloletnim opóźnieniem ukazało się dwutomowe dzieło Daniela Beauvois w polskim tłumaczeniu pt. *Szkolnictwo polskie na ziemiach litewsko-ruskich 1803-1832* (Rzym, Lublin, 1991). Z najnowszych prac dotyczących lat przed pierwszą wojną światową wypada odnotować Tomasza Nałęcza *Irrendenta polska* (Warszawa,

1992). Sądząc z bibliografii i przypisów praca jest bogato udokumentowana, ale nie zdążyłem się jeszcze z nią zapoznać bliżej.

Po wydanym dwa lata temu przez Jerzego Tomaszewskiego *Zarysie dziejów Żydów w Polsce w latach 1918-1939* (Warszawa, 1990), ukazał się napisany przez młodego historyka Piotra Wróbla *Zarys dziejów Żydów na ziemiach polskich w latach 1880-1918*. Oba tomiki, liczące ok. stu stron każdy, zawierają krótkie bibliografie. Wobec braku ogólnych i rzetelnych opracowań tego tematu i to w formie przystępnej i *quasi*-podręcznikowej, należy wyrazić uznanie autorom, że dali nam tego rodzaju zwięzłe syntezę. Chyba warto by je przetłumaczyć na angielski czy francuski. Problematyce ukraińskiej poświęcona jest nowa rzecz Eugeniusza Koko, *Wolni z wolnymi. PPS wobec kwestii ukraińskiej w latach 1918-1925* (Gdańsk, 1991). Wszystkie powyższe pozycje ukazały się w tzw. małej poligrafii.

Historia wojny polsko-bolszewickiej wzbogaciła się o dwie pozycje, będące zbiorem materiałów i referatów z konferencji naukowych. Pierwsza z nich, która dopiero niedawno wpadła mi w ręce, to opracowanie G. Łukomskiego, B. Polaka i M. Wrzoska *Wojna polsko-bolszewicka 1919-1920. Działania bojowe. Kalendarium* (Koszalin, 1990). Druga to rezultat konferencji w Instytucie Historii PANu i nosi tytuł *Wojna polsko-sowiecka 1920 roku. Przebieg walk i tło międzynarodowe* (Warszawa, 1991) pod red. Andrzeja Koryna. W obu książkach czytelnik znajdzie sporo interesującego materiału, pióra (w wypadku *Wojny polsko-sowieckiej*) W. Balceraka, A. Leinwanda, P. Łossowskiego, H. Bułhaka, Zdzisława Musialika, Romualda Wojny, M.M. Drozdowskiego, Jerzego Kumanieckiego, M.K. Kamińskiego i innych).

Międzynarodowa konferencja, która miała miejsce kilka lat temu w Londynie, zaowocowała ładnie wydanym tomem pod red. Paula Latawskiego, *The Reconstruction of Poland 1914-23* (London, 1992). Na książkę składają się referaty m.in. R. Szporluka, J. Garlińskiego, A.M. Cienciąły, K. Lundgreen-Nielsena, P. Wandycza, A. Ajnenkiela, Z. Landaua i W. Roszkowskiego. W ostatnim moim przeglądzie w *Zeszytach Historycznych* wymieniłem jedynie tytuł innej pozycji, a mianowicie *Prezydenci Polski* (Warszawa, 1991) pod red. naukową A. Ajnenkiela. Choć ten niewielki tom ma charakter raczej okolicznościowy i przygotowany został tak, aby można go było wręczyć Prezydentowi Wałęsie w dniu objęcia przez niego urzędu, to uważniejsza lektura pozwala odkryć w nim nader interesujący materiał dotyczący na przykład prezydentów na wychodźstwie, kulis wyboru Wojciecha Jaruzelskiego, kampanii wyborczej 1990 r. itp. Bardziej informacyjno-faktograficzny charakter ma opracowanie J. Farysia i J. Pajewskiego, *Gabinety II Rzeczypospolitej* (Szczecin, Poznań, 1991). Drugi ze współautorów, należący do nestorów współczesnego polskiego dzielnictwa, ogłosił niedawno ogromny i imponująco przedstawiający się tom pt. *Pierwsza wojna*



*światowa 1914-1918* (Poznań, 1991). Jeśli zważymy wiek Janusza Pajewskiego, to jest to wielkie osiągnięcie, którego należy autorowi serdecznie pogratulować. Faryś z kolei opublikował na przestrzeni ostatnich dwóch lat dwie prace z tematyki Drugiej Rzeczypospolitej. Są to: Stanisław Stroński, *Bibliografia polityczna do 1939 r.* (Szczecin, 1990) i *Piłsudski i piłsudczycy: z dziejów koncepcji polityczno-ustrojowej 1918-1939* (Szczecin, 1991). Okresu międzywojennego dwudziestolecia dotyczy też przetłumaczona i wydana po angielsku rozprawa *Landowners in Poland 1918-1939* (Boulder, 1991). Autor, lepiej znany szerszemu ogółowi czytelników jako Andrzej Albert (pod tym pseudonimem bowiem ogłosił historię Polski w XX wieku, najpierw w drugim obiegu, a następnie w dwóch wariantach, krótszym i dłuższym) to Wojciech Roszkowski. Publikacja angielska jest bardzo pożyteczna i wypełnia poważną lukę.

Wśród nowych edycji źródeł, przeznaczonych w dużej mierze do celów dydaktycznych wyróżnia się trafnością selekcji i starannością wydania *Najnowsza historia Polski 1918-1939: wybór tekstów źródłowych* (Rzeszów, 1991) pod redakcją Ewy Orlof i Andrzeja Pasternaka. Dokumenty są uszeregowane w dziewięciu częściach, poczynając od Manifestu Dwóch Cesarzy z 1916 r., a kończąc na rozkazie Naczelnego Wodza z 1 września 1939 r. W sumie mamy ich sto dziesięć i dobrze ilustrują najważniejsze problemy tego okresu.

Z historii dyplomatycznej między dwiema wojnami należy zwrócić szczególną uwagę na dwie monografie: B. Winida, *W cieniu Kapitolu: dyplomacja polska wobec Stanów Zjednoczonych 1919-39* (Warszawa, 1991) i Andrzeja Essena *Polska a Mała Ententa 1920-1934* (Kraków, 1992). Obaj autorzy to młodzi i dobrze zapowiadający się historycy. Książki ich wywodzą się z tez doktorskich a tematy przez nich podjęte są nie tylko ważne, ale jak dotąd zaniedbane w literaturze zawodowej. Do obu tych książek chciałbym powrócić w formie recenzji, ograniczam się więc tutaj jedynie do tej krótkiej wzmianki.

Z dziejów dyplomatycznych ogólnoeuropejskich, a więc związanych jedynie pośrednio z polską polityką zagraniczną (albo też wcale) są: Andrzej Harasimowicz, *Dyplomacja brytyjska wobec zagadnienia rozbrojenia 1921-1937* (Łódź, 1990) i Elżbieta Znamierowska-Rakh, *Sprawa Tracji zachodniej w polityce bułgarskiej 1919-1947* (Warszawa, 1991). Pierwsza z tych pozycji, pióra historyka łódzkiego, ucznia Waldemara Michowicza, łączy się tematycznie z ogłoszonym w rok później tomem pt. *Polska wobec problemu rozbrojenia w okresie międzywojennym* (Łódź, 1991). Jest to zbiór cennych artykułów uczonych polskich, francuskich i jednego rosyjskiego, będących pierwotnie referatami na sympozjum zorganizowanym w Łodzi. Sporo tu interesujących ujęć i prezentacji. Książka o zachodniej Tracji jest zasadniczo zaadresowana do specjalistów, choć sposób ujęcia tego kontrowersyjnego i skomplikowanego

tematu stanowi niewątpliwie ważny przyczynek do dziejów dyplomacji w ogóle. Monografia ta jest pracą habilitacyjną i oparta jest, o ile mogę sądzić, na imponującej bazie źródłowej. Czytelnik znajdzie w tej książce interesujący rozdział wstępny, dający tło historyczne od 1878 r. poczynając.

Ważną pozycję stanowi opracowanie Jacka Ślusarczyka *Stosunki polsko-radzieckie* (Warszawa, 1991). Wydawcą jest Instytut Studiów Politycznych PAN, stosunkowo nowa placówka naukowa, której biuletyn w języku angielskim *Politicus* daje dobre pojęcie o strukturze i ukierunkowaniu prac. Wśród interesujących publikacji ISP należy wymienić serię „Dokumenty PRL”. Zeszyt pierwszy w opracowaniu A. Kochańskiego to *Protokół z obrad KC PPR w maju 1945 roku* (Warszawa, 1992); druga pozycja to *Z archiwów OKP: Ekspertyzy zespołu doradców socjologicznych Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, wrzesień 1989-listopad 1990* (Warszawa, 1992).

Wśród wydawnictw periodycznych szczególnie ciekawe są obecnie niektóre roczniki czy kwartalniki zajmujące się tematyką wschodnią. Należy do nich na przykład *Obóz* (numer wiosenny 1992 r.) oraz *Przegląd Wschodni*, którego trzeci zeszyt pierwszego tomu przynosi wiele artykułów dotyczących Litwy. Poza opracowaniami etnograficzno-socjologicznymi mamy tu też rozprawy historyczne jak Zbigniewa Wójcika *Wielkie Księstwo Litewskie wobec Szwecji, Rosji i powstań kozackich w XVII wieku* — pasjonująca lektura — czy Piotra Borowskiego *Szlachta litewsko-polska pochodzenia tatarskiego*. W *Przeglądzie* poza krótkim streszczeniem angielskim spis treści w tym numerze figuruje również w językach litewskim i rosyjskim.

Tematyka niemiecka i zachodnioeuropejska nie jest na szczęście zanedbywana, jak widzimy z bogatego i różnorodnego w ujęciach numeru pierwszego *Polish Western Affairs* z 1991 r. wydawnictwa Instytutu Zachodniego w Poznaniu. Zawiera on m.in. prace Anny Wolf-Pawęskiej, J. Krasuskiego i W. Wrzesińskiego ze strony polskiej i uczonych niemieckich jak Hans-Adolf Jacobsen czy Peter Bender.

Zupełnie specyficzną publikacją, która ukazała się w Pradze w 1991 r. jest tomik *Ztracené dějiny aneb Ziemie Odzyskane: Verlorene Geschichte oder wiedergewonnenes Land?* Składają na nią materiały z sympozjum na temat stosunku Czechów, Słowaków i Polaków do Niemców. Wśród autorów figurują m.in. ambasadorzy RP w Czechosłowacji i Austrii Jacek Baluch i Władysław Bartoszewski, Antonin Meštan, Jan Józef Lipski, Jerzy Holzer, Hans Lemberg, Jan Křen i.in. Bardzo to ciekawa lektura.

Piotr WANDYCZ

Jerzy LERSKI

## VADEMECUM POLONIJNE

Dr Pieńkoś, autor tej pożytecznej książki\*, jest profesorem nauk politycznych na Uniwersytecie Stanowym Wisconsin w na wpół polonijnym mieście Milwaukee. Obecna monografia o niedocenionym wkładzie Polonii Amerykańskiej do historii zmaganiań polskich o wolność i materialne przeżycie w okresie ostatnich 128-miu lat jest logiczną kontynuacją jego uprzednio opublikowanych prac o stuleciu Polskiego Związku Narodowego (1984), największej polonijnej organizacji, oraz o stuleciu zasłużonego patriotycznie Sokolstwa Polskiego w Ameryce (1987). Jako sumienny badacz stał się więc dr Pieńkoś faktycznym spadkobiercą pioniera historii polonijnej, Mieczysława Haimana. Za równoległe rzetelną pracę naukową z dziedziny dyplomatycznych stosunków pomiędzy dwoma odległymi przestrzennie narodami uważam książkę prof. Piotra Wandycza pt. *The United States and Poland* (Cambridge, Harvard University Press, 1980), zrecenzowaną przeze mnie w tomie 58 *Zeszytów Historycznych* (1981).

Po wstępnych rozdziałach sumarycznie ujmujących wkład zorganizowanej Polonii, określanej przez Mariana Kukiela jako „czwarta dzielnica Polski”, do powstania Drugiej Rzeczypospolitej, autor analizuje humanitarne wysiłki na rzecz sprawy polskiej ze strony działającej Rady Polonii Amerykańskiej pod kierownictwem sędziego F. Świetlika w czasie drugiej wojny światowej, a zamyka niemniej imponującym zestawieniem analogicznej akcji dobroczynnej pod firmą Polish American Charitable Foundation, kierowanej przez młodego Eugeniusza Rosypała w okresie „wojny jaruzelskiej” w latach osiemdziesiątych. Najciekawsze są jednak następne dwa rozdziały, szczegółowo przedstawiające zarówno tzw. „erę Rozmarka”, jak i roztropne kierownictwo Kongresu Polonii Amerykańskiej przez jego następcę, mecenasa Alojzego Mazewskiego, który zmarł w sierpniu 1988 roku w wieku lat 72. Schedę objął po nim bez wielkiego przekonania mało znany skarbnik Polskiego Związku Narodowego, Edward Moskal, stając się odpowiedzialnym za widoczne obniżenie lotu obu organizacji jako ich łączny prezes, stosujący

---

\* Donald Pienkos, *For Your Freedom Through Ours: Polish American Efforts on Poland's Behalf, 1863-1931*, New York: East European Monographs, Boulder distributed by Columbia University Press, 1991. 620 stron druku i 73 stron fotografii.

typowe dla Chicago metody otaczania się wyłącznie „swymi ludźmi” kosztem ofiarnych działaczy wojennej emigracji i dynamicznych przedstawicieli najnowszej, „solidarnościowej” fali uchodźczej. Tych drażliwych tematów woli jednak prof. Pieńkoś nie poruszać, zawdzięczając sfinansowanie omawianego wydawnictwa władzom Związku Narodowego Polskiego, co im się zresztą chwali jako jedno z nielicznych właściwych pociągnięć w zaniedbanej przez polonijne centrale dziedzinie kultury.

Niewątpliwie wartość książki Pieńkosia wzrosłaby, gdyby poświęcił więcej uwagi istotnemu politycznie (*pressure group*) działaniu chociażby niektórych szczególnie czynnych wydziałów stanowych KPA oraz potrafił docenić wkład intelektualny wybitniejszych emigrantów politycznych, począwszy od wojennej publicystyki Ignacego Matuszewskiego aż po przywódcę usychającego ostatnio Studium Spraw Polskich, prof. Andrzeja Ehrenkreutza i jego współtowarzyszy. Pochłonięty sprawami finansowo-ubezpieczeniowymi ZNP prezes Moskal dużo mniej uwagi poświęca sprawom Kongresu, uważając że wobec klęski komunizmu organizacja ta winna całkowicie zmienić swój polityczny charakter. Zostało to *de facto* zaakceptowane nawet przez krótkowzroczną żołnierską emigrację (np. Stowarzyszenie Polskich Kombatantów), która nie potrafiła wykoncytować alternatywnego rozwiązania personalnego. Sprawy te, nie poruszane przez autora, wymagają dogłębnej analizy przyczyn degrengolady kulturalnej i politycznej polonijnego życia organizacyjnych w obecnych czasach.

Solidne *opus magnum* profesora Pieńkosia obfituje w ciekawy materiał dokumentalny, zawierając aż 55 ważkich wypowiedzi zarówno kluczowych polityków amerykańskich na polskie tematy, jak i kluczowych oświadczeń przywódców polonijnych oraz bogaty materiał fotograficzny, naukowe przypiski i poprawną choć niekompletną bibliografię tematu wraz z rzeczowym i personalnym indeksem. Cenna ta praca kwalifikuje jej autora na (oby jak najrychlej) następcę E. Moskala jako prezesa podupadającego Kongresu Polonii Amerykańskiej.

W każdym razie dzieło Donalda Pieńkosia powinno być wydane również w polskim języku, by zorientować lepiej kogo należy w Kraju, że Polonia to nie tylko „dojna, dolarowa krowa” ale potencjalnie ważny partner polityczny w niedokończonej walce o pełną niepodległość i prawdziwą demokrację.

Jerzy LERSKI

## KSIĄŻKI O TEMATYCE HISTORYCZNEJ WYDANE PRZEZ INSTYTUT LITERACKI

Z poniżej zamieszczonych książek wyczerpane są do roku 1981 wszystkie tytuły z wyjątkiem:

- Herling Grudziński G. *Inny świat* (1965)  
Koestler A., *Fragmenty wspomnień* (1965)  
Zawadzka-Wetz A., *Refleksje pewnego życia* (1967)  
Reale, E. *Raporty* (1968)  
Swianiewicz, S., *W cieniu Katynia* (1976)  
Wołoszynowski J., *Było tak* (1978)  
Rekulski A., *Czy drugi Katyń* (1980)

Przy książkach wydanych po 1981 r. a wyczerpanych stawiamy literę „w”.

1946: SIENKIEWICZ, H. — *Legiony* (183 s.); SZPOTAŃSKI, S. — *Prometeusz: powieść historyczna* (242 s.).

1947: REYMONT, W. — *Rok 1794: Powieść historyczna* (T. 1-3, 468+477+441 s.); PISKOR, S. — *Siedem ekscelencji i jedna dama* (333 s.).

1948: HORT, W. (H. Ordonówna) — *Tułacze dzieci* (296 s.).

1949: CZAPSKI, J. *Na nieludzkiej ziemi* (320 s.).

1950: KUKIEL, M. — *Księżę Adam* (103 s.)

1954: KORBOŃSKI, S. *W imieniu Rzeczypospolitej* (491 s.).

1956: KORBOŃSKI, S. — *W imieniu Kremla...* (381 s.).

1957: MACKIEWICZ, J. — *Kontra* (272 s.); BOBKOWSKI, A. — *Szkice piórkem: Francja 1940-1944* (T. 1-2, 320+440 s.); ZAREMBA, P. — *Historia Stanów Zjednoczonych* (610 s.).

1958: REMBEK, S. — *W polu: Opowieść* (309 s.)

1959: KATELBACH, T. — *Rok złych wróżb: 1943* (223 s.); SUKIENICKI, W. — *Kolumbowy błąd: Szkice z historii, teorii i praktyki sowieckiego „komunizmu”* (205 s.)

1960: KOT, S. — *Jerzy Niemirycz — w 300-lecie Ugody Hadziackiej* (80 s.); MIŁOSZ, C. (oprac.) — *Węgry* (126 s.)

1961: CIOŁKOSZ, A. — *Róża Luksemburg a rewolucja rosyjska* (260 s.); CZAYKOWSKI, B., SULIK, B. — *Polacy w Wielkiej Brytanii* (581 s.); ZAREMBA, P. — *Historia Polski T. 1: Od zarania państwa do roku 1506* (624 s.)

1962: SINGER, B. — *Od Witosa do Stawka* (400 s.); DŻILAS, M. — *Rozmowy ze Stalinem* (142 s.); MOND, J. (oprac.) — *6 lat temu: kulisy polskiego Października* (200 s.)

1963: CZAPSKA, M. (oprac.) — *Polacy w ZSSR: 1939-1942: Antologia* (360 s.); JEDLICKI, W. *Klub Krzywego Koła* (176 s.)

1964: WITOS, W. — *Moje wspomnienia* (T. 1-3, 357+440+527); KRY-

WICKI, W. — *Byłem agentem Stalina* (220 s.); MACKIEWICZ, S. — *Polityka Becka* (188 s.); SILONE, I. — *Wybór towarzyszy* (96 s.); SUKIENICKI, W. — *Biała Księga: Fakty i dokumenty z okresu dwóch wojen światowych* (178 s.)

1965: HERLING-GRUDZIŃSKI, G. — *Inny świat: Zapiski sowieckie* (256 s.); LEWICKYJ, B. — *Terror i rewolucja* (288 s.); GRZĘDZIŃSKI, J. — *Maj 1926* (109 s.); KOESTLER, A. — *Fragmenty wspomnień* (240 s.)

1966: LEDNICKI, W. — *Rosyjsko-polska entente cordiale: jej początki i fundamenty, 1903-1905* (144 s.)

1967: ZAWADZKA-WETZ, A. — *Refleksje pewnego życia: Wspomnienia* (240 s.); SUKIENICKI, W. — *Legenda i rzeczywistość: Wspomnienia i uwagi o dwudziestu latach Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie* (128 s.); SIERIEBRIAKOWA, G. — *Huragan* (112 s.); ALLILUJEW, S. — *Dwadzieścia listów do przyjaciela* (256 s.); WEISSBERG-CYBULSKI, A. *Wielka czystka* (576 s.)

1968: MITKIEWICZ, L. — *Z gen. Sikorskim na obczyźnie: Fragmenty wspomnień* (400 s.); KULSKI, J. — *Stefan Starzyński w mojej pamięci* (144 s.); REALE, E. — *Raporty: Polska 1945-1946* (288 s.)

1969: *Wydarzenia marcowe 1968* (160 s.); KOSZELIWEK I. (oprac.) — *Ukraina 1956-1968* (272 s.); *Polskie przedwiośnie: „Wydarzeń marcowych” tom 2-gi i Czechosłowacja* (160 s.); MACKIEWICZ, J. — *Nie trzeba głośno mówić* (560 s.); KALINOWSKI F. — *Lotnictwo polskie w Wielkiej Brytanii* (352 s.)

1970: SOŁŻENICYN, A. — *Krąg pierwszy* (T.1-2, 400+302 s.)

1971: *Poznań 1956-Grudzień 1970* (228 s.); SOŁŻENICYN, A. — *Oddział chorych na raka* (480 s.)

1972: WACOWSKA, E. (oprac.) — *Rewolta szczecińska i jej znaczenie* (256 s.); *Sąd orzekł...* (320 s.)

1973: KRZYŻANOWSKI, A. — *Dzieje Polski* (456 s.); ŻELEŃSKI, W. — *Zabójstwo ministra Pierackiego* (104 s.)

1974: SOŁŻENICYN A. — *Archipelag GULag, 1918-1956, T.1, cz.1-2* (554 s.); HELLER, M. — *Świat obozów koncentracyjnych a literatura sowiecka* (323 s.)

1975: KORBOŃSKI, S. — *Polskie Państwo Podziemne: przewodnik po podziemiu z lat 1939-1945* (282 s.); SOŁŻENICYN A. — *Archipelag GULag, 1918-1956. T. 2, cz. 3-4.* (506 s.)

1976: SWIANIEWICZ, S. — *W cieniu Katynia* (359 s.)

1977: SOLSKI, W. — *Moje wspomnienia* (381 s.); STEINSBERGOWA, A. — *Widziane z ławy obrończej* (95 s.); TARNIEWSKI, M. (J. Karpiński) — *Krótkie spięcie — Marzec 1968* (95 s.)

1978: SOŁŻENICYN, A. — *Archipelag GULag, 1918-1956. T.3, cz.5-7.* (540 s.); CZAPSKA, M. — *Czas odmieniony* (157 s.); WOŁOSZYŃSKI, J. — *Było tak* (196 s.)

1979: KRZYŻANOWSKI, B. — *Wileński matecznik, 1939-1945,* (262 s.);

- TARNIEWSKI M.** — *Porcja wolności: Październik 1956* (141 s.)
- 1980:** **REKULSKI, A.** (W. Kulerski) — *Czy drugi Katyń?* (28+18 s.)
- 1981:** **ZAREMBA, P.** — *Historia Dwudziestolecia, 1918-1939*, (T. 1-2, 238+432 s.); **JANUSZKIEWICZ, M.** — *Kazachstan* (197 s.)
- 1982:** **TARNIEWSKI, M.** — *Płonie Komitet: Grudzień 1970 — Czerwiec 1976* (198 s.)
- 1983:** **KORYBUTOWICZ Z.** — *Grudzień 1970* (157 s.)
- 1984:** **HOLZER, J.** — *Solidarność 1980-1981: Geneza i historia* (357 s.) (w); **SIEWIERSKI, H.** — *Spotkanie narodów* (140 s.); **HELLER, M.** — *Polska w oczach Moskwy* (206 s.)
- 1985:** **KRAŚNIEWSKA, W.** (B. Skarga) — *Po wyzwoleniu... 1944-1956* (269 s.); **GIEŁŻYŃSKI, W.** — *Budowanie Niepodległej* (332 s.); **WANDYCZ, P.** — *Polska a zagranica* (294 s.)
- 1986:** *Protokoły tzw. Komisji Grabskiego: Tajne dokumenty PZPR* (430 s.) (w); **NEWERLY, I.** — *Zostało z uczyty bogów* (320 s.)
- 1987:** **BEAUVOIS, D.** — *Polacy na Ukrainie, 1831-1863: Szlachta polska na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie* (294 s.)
- 1988:** **HELLER, M.** — *Maszyna i śrubki* (286 s.); **KARPIŃSKI J.** — *Taternictwo nizinne* (124 s.)
- 1990:** *Polska polityka zagraniczna w latach 1926-1939. Na podstawie tekstów min. Becka oprac. A. Cienciąła.* (448 s.); **TUSZYŃSKA A.** — *Rosjanie w Warszawie* (122 s.)
- 1991:** **KARPIŃSKI J.** — *Dziwna wojna* (160 s.)

Józef LEWANDOWSKI

## BIAŁE PLAMY W HISTORII CZECH

Zjawisko *białych plam* występuje we wszystkich systemach totalitarnych i było powszechne w całym bloku wschodnim. W poszczególnych krajach występowały zarówno tematy tabu, jak i zniekształcenia wynikające z nadrzędnych racji sowieckich oraz lokalne nakazy i zakazy.

Tak było i w Czechosłowacji. Zauważmy, że o ile w Polsce zainteresowanie przeszłością zawsze było duże, tak duże, że często usuwało w cień problemy teraźniejszości i przyszłości, o tyle panowało przeświadczenie, że Czesi przykładają niezbyt wielką wagę do historii. Tak sądzono nie tylko w Warszawie, ale i w Pradze. Pamiętam, jak w 1964 roku, a więc w czasie tamtejszej względnej odwilży, mój przyjaciel, praski historyk, zdenerwował się, gdy jadąc pociągiem usłyszał pytanie rozwiązującego krzyżówkę ucznia licealnego zwrócone do kolegi, „jak nazywał się ów byk, co go spalili w Konstancji” — chodziło, jak by nie było, o największą postać w średniowiecznej historii Czech.

Wrażenie o braku zainteresowania dziejami było złudne. Kto jak kto, ale władze przywiązywały duże, nawet bardzo duże znaczenie do tego, jaka będzie społeczna wiedza o przeszłości i poddawały wiedzę starannej reglamentacji, stosując do tego celu wszelkie środki, włącznie z najokrutniejszymi. Znaczenie wiedzy historycznej może najlepiej i najpełniej zostało wyeksploatowane po wkroczeniu w 1968 roku wojsk Paktu Warszawskiego do Czechosłowacji, gdy w ramach normalizacji usunięto z pracy i

---

Jan Křen, *Bílá místa v našich dějinách?*. Praha 1990, s. 112. nakład 80.000 egz.



pozbawiono możliwości kontynuowania badań niemal wszystkich liczących się historyków czeskich i słowackich. Żaden zawód, żadna grupa zawodowa nie została tak dotknięta represjami jak historycy. Wydane w 1975 roku przez Vilema Prečana *Acta persecutionis* są świadectwem, jaką rolę w tym systemie odgrywała wiedza o przeszłości i jak zapewniano sobie możliwość niekontrolowanego jej fałszowania.

Okazało się również, że brak społecznego zainteresowania był pozorny i w dużej mierze spowodowany instynktownym odrzucaniem narzucanej wersji dziejów własnych i cudzych. Nie wiem, czy istnieją sposoby mierzenia historyzmu, ale faktem jest, że ostatnimi laty wokół przeszłości, niedawnej i dawnej, przez Czechy i Słowację przetoczyła się ostra dyskusja, toczy się zresztą nadal, jako że niemal wszystkie zajmujące opinię społeczną problemy mają swoje dziejowe odniesienia.

Omawiana książka praskiego historyka Jana Křena została wydana w 1990 roku, ale napisana była w 1989, a więc w chwili, gdy dławiący przez dwadzieścia lat reżym nadal panował, ale już chylił się ku upadkowi i na porządku dziennym, przynajmniej dla bardziej dalekowzrocznych działaczy opozycyjnych, stała kwestia przygotowania się do nadchodzącej zmiany. Książka Křena powstała jako próba podsumowania toczącej się w kręgach opozycyjnych dyskusji na temat przeszłości, jej falsyfikacji oraz potrzeby odbudowania świadomości historycznej społeczeństwa. Niestety — pisze autor — dyskusje te toczyły się głównie w kręgu dysydenckim, „...koledzy z reprezentowanych oficjalnych instytucji naukowych zazwyczaj bali się takich kontaktów” (s. 7).

Krótko o autorze. Jan Křen, rocznik 1930, w okresie odwilży lat 60-tych wydał obszerną monografię o początkach czeskiego emigracyjnego ruchu oporu. *Do emigrace* (Praha 1965), która zapewniła mu miejsce w naukowym establishmencie. Monografia, mimo że z cenzuralnymi ograniczeniami i w dużej mierze opisowa, zwracała uwagę zarówno rzadkim u historyków dobrym ujęciem literackim, jak i szerokością w traktowaniu zagadnień. Niebawem jednak nastąpiła *normalizacja* i wyrzucony z uczelni Křen ponad 20 lat pracował jako robotnik w przedsiębiorstwie prac wodnych. Omawianą pracę pisał w pakamerze przedsiębiorstwa.

Spróbujmy przedstawić główne myśli autora. Jego zdaniem, w kryzysie moralnym i duchowym jaki przeżywa Czechosłowacja, manipulacja historyczna jest jednym z czynników sprawczych. Negacja przeszłości i izolowanie od historii działa podobnie jak zamykanie granic otaczającego świata. Jeśli społeczeństwo ma stać się wolne i obywatelskie, musi posiadać rów-

niez i wolną historiografię. Jednak problem *białych plam* wygląda tu inaczej niż na terenie ZSSR czy w Polsce.

„Zdawałoby się, że współczesne dzieje Czechosłowacji nie wypadają jeszcze najgorzej: nie mają ofiar zbrodni hitlerowskich, milionów niepotrzebnie poległych, milionów ofiar terroru, łagrów i deportacji, milionów zamorzonych głodem, jak w Związku Sowieckim, nie mają zbrodni katyńskiej, okrutnego, graniczącego z wojną domową zduszenia powojennego ruchu oporu czy też całej serii dramatycznych konfliktów społecznych jak w Polsce, nie znają nawet historii powstania 1956 roku, włącznie z deportacjami i straceniami jak na Węgrzech. Czechosłowacja nie przeszła przez narodowe i społeczne szoki, będących udziałem państw, które poniosły klęskę, czy — wśród państw zwycięskich — udziałem Polski, którą mocarstwa po prostu przeniosły o setki kilometrów. Oderwanie nieorganicznie złączonej Rusi Zakarpackiej nie zostało dokonane zbyt uczciwie, ale nie zniszczyło krwiobiegu republiki” (s. 21).

Nie znaczy to, że oficjalna historiografia niczego tu nie ukrywa. Procesy polityczne lat 50-tych w Czechosłowacji były i bardziej rozległe i okrutniejsze niż w większości tzw. państw socjalistycznych. Również wkroczenie sojuszniczych wojsk Układu Warszawskiego w 1968 roku ma niewiele analogii w dawniejszych dziejach, a w najnowszych można je porównać z zajęciem Czechosłowacji przez Hitlera.

Nie ma analogii w dziejach innych państw bloku późniejsza okupacja połączona z rozległymi, okrutnymi prześladowaniami, o ich „...powodach, motywacji i skutkach strona oficjalna ze zrozumiałych powodów chętnie milczy” (s. 22).

Autor uważa, że aczkolwiek obecne zainteresowanie zbrodniami stalinowskimi ma pełne uzasadnienie, to jednak źle, że pojęcie białych plam „...obsesyjnie krąży wokół stalinizmu” (s. 52). Uwaga społeczna pozostaje w kręgu pojęć i faktów narzuconych właśnie przez oficjalną deformację. Oficjalne dzieje w systemie sowieckim są skupione na osobach panujących i na uprzywilejowanych warstwach, co wszystkie współczesne kierunki badawcze, włączając i sensowny marksizm, uważają za anachronizm i absurd. I z tego kręgu pojęć nie potrafi wydostać się rewizja, o ile ogranicza się tylko do odkrywania wąsko pojętych białych plam.

Błędem jest widzenie ich w poszczególnych wydarzeniach, jeśli cała niemal historia jest spreparowana i stanowi niekończący się ciąg fałszerstw, tabu i przemilczeń. Białą plamą jest całość historii. Křen próbuje więc sporządzić katalog najpilniejszych zadań czeskiej historiografii. Zauważmy — uwaga dla osób niezbyt zapoznanych z problemami czechosłowackimi — że autor uważa za pewnik odrębność słowackiego procesu dziejowego i koncentruje się na historii Czech, tylko dorywczo sięgając do

materiału słowackiego.

A więc najwięcej plam jest w historii najnowszej, zahaczającej o współczesność. Mnóstwo ich autor widzi np. w historii Praskiej Wiosny. Mimo obszernej literatury, zwłaszcza emigracyjnej i dysydenckiej, nic na przykład nie wiadomo o ówczesnych prowokacjach i ich roli w powtarzających się ekscesach. Podobnie wymaga zbadania to, co się działo „na szczytach”. Tu m.in. wymaga zbadania przygotowana, ale nie zrealizowana koncepcja „rządu robotniczo-chłopskiego”. Innym ważnym zadaniem jest zbadanie rodowodu „normalizacji”.

Są to problemy najbardziej widoczne i politycznie aktualne. Badania historyczne muszą wniknąć głębiej w zjawiska społeczne. Autor dość wyraźnie nawiązuje tutaj do toku myślenia, jaki przed 17-tu laty przedstawił ówczesny czołowy dysydent, prezydent Vacláv Havel w słynnym *Liście otwartym do Gustava Husáka*<sup>1</sup>. Należy więc zbadać społeczne konsekwencje wielkiej fali zakazów wykonywania zawodu, tak jak i likwidacji — administracyjnej i politycznej — reformistycznego komunizmu, będącego w 1968 potężnym ruchem społecznym. Likwidacja ta miała również wielkie znaczenie dla ostatecznego zwyrodnienia całej późniejszej struktury partii komunistycznej i jej kierownictwa. Była to od lat pięćdziesiątych największa i najważniejsza restrukturalizacja społeczeństwa.

Praktyczne znaczenie ma zbadanie odrębności najnowszych dziejów Słowacji, zjawisko dotąd nawet niezauważone, również w literaturze drugiego obiegu, choć wiadomo, że czeski ruch dysydencki, ucieleśniony w Karcie 77, znalazł tylko znikomy oddźwięk na wschód od Morawy.

Nie doczekano się jeszcze żadnej sensownej pracy o latach 60-tych, zwłaszcza o najważniejszym zjawisku tego czasu, czyli o inicjatywach związanych z niezbyt ściśle zdefiniowanym reformistycznym komunizmem. „Kryje się tu skomplikowana historia, zaczynająca się w drugiej połowie lat 50-tych. Na szczytach władzy walka o profil nowego kierownictwa, na dole fale niezadowolonia (...) Ewolucja tego procesu nie zakończyła się nawet podczas Praskiej Wiosny” (s. 31).

Wiele uwagi autor poświęca problemom związanym z introdukcją stalinizmu. Oficjalna nauka historyczna zrobiła dużo, by zjawisko to jak najstaranniej zaciemnić. Wielkie instytuty

---

1. List nie stracił filozoficznego ani poznawczego znaczenia. Po polsku opublikowany pod nieco mylnym tytułem w: Jan Kavan, Jan Daniel, *Socjalistyczna opozycja w Czechosłowacji. Dokumenty 1973-1975*. Polonia Book Fund, Londyn 1976, liczne przedruki samizdatowe w Polsce. Omówienie wraz z obszernymi fragmentami w: *Kultura* 1975, 12, str. 80-88.

właściwie nie zostawiły żadnego godnego uwagi dorobku i pionierskie dzieło Karela Kaplana na emigracji dotąd nie ma kontynuacji.

Włączenie Czechosłowacji do bloku sowieckiego miało poważne implikacje cywilizacyjne. Republika, jedyne w tej części Europy państwo typu zachodniego, które od dawna miało już za sobą kapitalistyczne uprzemysłowienie, w wyniku przyłączenia się do bloku sowieckiego znalazła się w konstelacji krajów zafpanych. Historyczna stagnacja w Europie Środkowej nigdy nie była tak głęboka jak na bezwładnym Wschodzie, gdzie pańszczyźniana niewola nie była wcale regresem, ale stanem ciągłym i trwałym. W Związku Sowieckim rozwój pojmowano jako narastanie ilościowe, a potęgę państwa wyobrażano sobie tradycyjnie jako podbój coraz to nowych terenów. Ewolucja pojęć, dokonująca się w świecie zachodnim po II wojnie światowej, do Moskwy nie docierała. Nowoczesnemu społeczeństwu zaszczytano politycznie represyjny a społecznie prymitywny model, utożsamiany z socjalizmem. Włączenie Czechosłowacji do bloku było dla niej zakretem dziejowym, podobnym do tego, jaki przeszła w XVII wieku, po bitwie pod Białą Górą, gdy protestancka Bohemia, o włos tylko wyprzedzana przez Niderlandy, została podbita przez blok katolicko-habsburski i włączona do feudalnej lub refeudalizowanej struktury krajów wtórnego niewolnictwa. Analogie jednak są złudne, stagnacja Austrii nigdy nie dorównywała stagnacji rosyjskiej.

Wielkim problemem badawczym jest również II wojna i lata poprzedzające komunistyczny pucz w lutym 1948. Nawet najlepsze oficjalne prace o tych latach odstraszą schematycznym prymitywizmem, zwłaszcza w napaściach na Beneša i niekomunistyczne ruchy polityczne, tudzież w apoteozie polityki komunistycznej. W ślad za autorem trudno oprzeć się zdumieniu, że tak podstawowe tematy, jak nazistowska zagłada Żydów w czasie wojny i deportacja Niemców po wojnie, nie doczekały się żadnej poważnej monografii ze strony oficjalnej historiografii. Trudno więc się dziwić, że odłogiem leżą bardziej skomplikowane wielkie tematy jak wzrost nacjonalizmu i ruchów socjalistycznych, połączone z osłabioną wrażliwością na idee humanitarne i demokratyczne. Nawet antynazistowski ruch oporu nie oparł się tym wstecznym tendencjom.

Gruntownego zbadania wymaga historia komunizmu w Czechosłowacji. Autor przypuszcza, że jest dużo przesady w twierdzeniu o narzuceniu partii komunistycznej sowieckiego modelu socjalizmu. „Wydaje się, że przed 1948 rokiem w partii komunistycznej nie było między wizjami programowymi, zwłaszcza czeską a stalinowską, takiej sprzeczności, jak może się *ex*

post wydawać i że tak wówczas wcale nie uważano. (...) W oczach komunistów socjalizm od dawna był utożsamiany z ówczesną sowiecką rzeczywistością, dziś określaną jako stalinizm lub państwowy socjalizm biurokratyczny” (s. 43).

Autor dowodzi, że najnowsza państwowo-polityczna doktryna historyczna uległa w ostatnim czasie korozji i nie ma już owej konsekwencji, jaką miała w latach 50-tych, a jej przedstawiciele są ludźmi małego formatu i nie dorównują Nejedlemu. Próba reanimacji czystego stalinizmu w historii, w latach 70-tych reprezentowana przez niesławnej pamięci Václava Krála, nie powiodła się. Oficjalna historia jest więc zlepkiem relikwów stalinizmu z płodami aktualnymi, często krótkotrwałymi, a więc i sprzecznymi potrzeb.

Deformacja wiedzy historycznej, aczkolwiek najbardziej drastyczna we fragmentach zahaczających o współczesność, wcale się do tego nie ogranicza. Szczególnie zafałszowane i zmystyfikowane są problemy w jakikolwiek sposób związane z centralnym problemem czeskich dziejów, a więc stosunkiem między demokracją a dyktaturą. Dotyczy to zwłaszcza dziejów I Republiki. Z oficjalnej wersji historii wyziera nie demokratyczne państwo o pięknych tradycjach, ale jakieś policyjne monstrum „...jako przeciwwagę mające niepokalanych, bohaterskich, ale szablono- nudnych komunistów, posiadaczy wszelkiej prawdy” (s. 73). Autor obawia się jednak i odwrotnego schematyzmu, czyli apoteozy okresu międzywojennego. „Szczególnym rozdziałem, dotąd nie podjętym, a heurystycznie nadzwyczaj trudnym, jest ówczesne społeczeństwo obywatelskie, jego mentalność, struktura, sposób życia i cała ówczesna kultura polityczna, która była o wiele bardziej społecznie skuteczna niż wszelkie wezwania do kucharek, by nauczyły się rządzić państwem” (s. 75). O ile pod względem społecznym I Republikę cechował postęp, choć pod niektórymi względami dyskusyjny, to pod względem politycznym republikę cechował upadek: pod względem społecznym republika była ponad miarę swej doby, pod względem politycznym jednak poniżej możliwości doby.

Duże niebezpieczeństwo autor widzi w tym, że czeska historiografia zawsze koncentrowała uwagę na własnych dziejach, która to „narodowa ciasność jest nie mniejszym defektem niż otwarty nacjonalizm” (s. 79). Stąd tendencja do apoteozy przeszłości, i to takiej, które bynajmniej się do tego nie nadaje. Nie mniej karygodne jest ograniczenie tematyczne. „Czeskie dzieje na przestrzeni wieków kształtowały się w ścisłym choć konfliktowym współzyciu z Niemcami i Żydami, ale w ostatnim czasie stały się wyłącznie «dziejami narodu czeskiego w Czechach i na Morawie»” (s. 81).

Czeska historiografia skażona jest również „nieuniknionym ateizmem”. Z tym sprawa jest bardziej skomplikowana, albowiem „...oświeceniowe, areligijne, aklerikalne i antykatolickie podejście nie we wszystkim jest wynalazkiem komunistycznej propagandy, gdyż ma dawne korzenie, sięgające do oświeceniowego racjonalizmu, który wywarł wpływ, i do dzieła patriarchy historiografii, Palackiego” (s. 89). Ten racjonalizm został przejęty później przez liberałów i socjalistów. W rezultacie zatracono zrozumienie dla ruchów religijnych czy wyznaniowych i ich konfliktów, redukując je do zjawisk wyłącznie świeckich. Również i pod tym względem Křen radzi nawiązać do spuścizny Masaryka, myśliciela głęboko (choć nieortodoksyjnie) religijnego.

Jest to bardzo pobieżny przegląd podjętych przez autora problemów. Świadomie pominąłem np. to wszystko, co mimo że oczywiście dla czeskiego historyka, wymagałoby — dla czytelnika polskiego — dodatkowych a szczegółowych wyjaśnień. Myślę jednak, że nawet streszczony wykład dość wyraźnie wskazuje, że Křen przedstawił dość rozbudowany program badań historycznych, nie będących kontynuacją zastanego poziomu, lecz budowaniem od podstaw, połączonym z burzeniem przemysłnej, choć wewnętrznie sprzecznej konstrukcji mitów, kłamstw i przemilczeń.

Można wyrazić niepokój, czy tak przedstawiony program badań jest realny. Obawiam się, że wiele z postulowanych badań nawet w najbardziej sprzyjających warunkach nie zostanie podjętych, a podjęcie ich wcale nie zagwarantuje postępu wiedzy. Sama materia badań historycznych, żmudna, czasochłonna, nie obiecuje szybkich a spektakularnych postępów. Ale uświadomienie sobie stojących przed badaczami zadań spełnia rolę inspiracyjną i pod tym względem publikacja może być pożyteczna, zwłaszcza że duży, osiemdziesiątysięczny nakład winien spowodować, że postulaty Křena trafią pod przysłowiowe strzechy.

Wreszcie pytanie z rzędu *Słoń a sprawa polska*, czyli co wykład o stanie i potrzebach historiografii czeskiej mówi badaczowi dziejów polskich. Lektura Křena nasuwa wiele refleksji. Podzielał zdanie, że polskie *białe plamy* mają bardziej drastyczny charakter, ale podobnie jak i autor, zresztą jak i wielu wybitnych polskich historyków, uważam, że ich ujawnienie i opisanie nie wyczerpuje zadań nauki.

Rzuca się także w oczy pewna odmiennosc sytuacji nauki czeskiej i polskiej, mimo że Polska też była wtłoczona w kaleczący system sowyetyzacyjny. O ile po 1968 roku planowa restalinizacja nauki w Czechosłowacji okazała się w pewnym stopniu skuteczna i zamroziła rozwój nauki, o tyle równoległe w czasie (przypomnijmy, że marzec 1968 roku zbiega się w czasie z

wkroczeniem wojsk Paktu Warszawskiego do Czechosłowacji i że zbieżność ta też wymaga zbadania) wysiłki w Polsce dość szybko spaliły na panewce. Opór społeczeństwa oraz rozwój niezależnych form nauki i kultury spowodowały, że pomijając właśnie białe plamy, a więc ściśle zakazy cenzuralne, nauka nie знаła tych ograniczeń, jakie były udziałem Czechów. Przypomnijmy fakt znamieny, że prof. Jaroslav Valenta, objęty ścisłym zakazem pracy naukowej i publikowania w Czechosłowacji, mógł jednak od czasu do czasu publikować w Polsce.

Inna natomiast sprawa, na ile polscy historycy potrafili wykorzystać swą względną swobodę i stworzyć wartościowe dzieła. Wydaje się, że wiele pytań postawionych przez Křena dotyczy również Polski. Ale jest to temat wykraczający poza ramy recenzji.

*Józef LEWANDOWSKI*

## OKRUCHY HISTORII

Tadeusz WYRWA

### UKŁAD SIKORSKI-MAJSKI

Przez wiele lat układ polsko-sowiecki z 30 lipca 1941 roku, zwany przeważnie od imienia jego sygnatariuszy układem Sikorski-Majski, był na emigracji tematem kontrowersyjnym, czemu trudno się dziwić, gdyż został zawarty przez rząd polski w Londynie, gdzie już w trakcie rokowań spotkał się z ostrą krytyką i doprowadził do kryzysu naszego rządu. Historiografia krajowa z „minionego okresu” interpretowała natomiast układ zgodnie z obowiązującą doktryną pomijając to, co było najistotniejsze pod względem konsekwencji na przyszłość. Tym większa jest przeto teraz potrzeba uzupełnienia niedomówień i świadomych przemilczeń, których w dalszym ciągu nie brak na łamach czasopism w Polsce.

Przykładem tego jest artykuł pt. „Polsko-sowiecka umowa wojskowa”, napisany przez dr. Pawła Litońskiego i zamieszczony w *Polsce zbrojnej*<sup>1</sup>. Artykuł poświęcony jest głównie umowie wojskowej, podpisanej w Moskwie dnia 14 sierpnia 1941, która była skutkiem uprzednio zawartego układu Sikorski-Majski i stanowiła właściwie najważniejszą jego część. Litoński pisze na wstępie artykułu, że układ Sikorski-Majski spotkał się „z przychylnym stanowiskiem naszych koalicjantów Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Czecho-Słowacji”, ale ani słowa o presji jaką wywarła w tej sprawie Wielka Brytania na rząd polski. Następnie twierdzi, że w stosunkach polsko-sowieckich układ ten „tworzył podstawy prawno-polityczne do uregulowania

---

1. Dr Paweł Litoński, „Polsko-sowiecka umowa wojskowa”, *Polska Zbrojna*, nr 157, 2-gie wydanie z 12. 8. 1992, Warszawa.



nabrzmiałych spraw sąsiedzkich. Wymagało to jedynie „dobrej woli”. Znowu jednak autor nie wyjaśnia, chociażby w jednym zdaniu, jak to było z tą „dobrą wolą” Sowietów, nie mówiąc już o tym, iż układ odbiegał daleko od podstawowych warunków, na jakich należało ułożyć stosunki polsko-sowieckie. Warto więc przypomnieć okoliczności, które wpłynęły na zawarcie układu.

Kilka dni przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej przyjechał z Moskwy do Londynu Stafford Cripps, ambasador brytyjski w ZSSR. Przywiózł wiadomość, że Moskwa spodziewa się inwazji niemieckiej z dnia na dzień. Rozmawiał też z gen. Sikorskim, którego również o tym poinformował, ale jak napisze gen. Marian Kukiel: „Panowało u nas jednak nadal niedowierzanie nawet w kołach rządowych i wojskowych, a potem zaskoczenie, czego należało się spodziewać i na to się gotować. Zbyt późno uwierzył Sikorski, że to tak bliskie... i nie przeprowadził rozmowy z Churchillem co do reakcji jego i naszej?”. Podobną postawę, wyczekującą wobec sytuacji, przybrał Sikorski w czerwcu 1940 roku, nie wierząc do ostatnich dni w klęskę Francji, co miało fatalne następstwa.

Rok później, w czerwcu 1941 roku, po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej 22 czerwca, Sikorski również czekał, tym razem na to co zrobi i powie Churchill. A Churchill, jak wiadomo, w przemówieniu radiowym, które wygłosił 22 czerwca wieczorem, nie czekając na zwrócenie się Stalina o pomoc i bez stawiania Sowietom żadnych warunków, zapewnił ich po przyjacielsku, że „udzielimy wszelkiej możliwej pomocy Rosji i narodowi rosyjskiemu”. Nazajutrz Sikorski zareagował i w przemówieniu radiowym do Kraju przedstawił postulaty, na jakich winno być oparte porozumienie z ZSSR. Do Moskwy należało przedłożenie oferty, ale i w tym wypadku Stalin nie spieszył się, miał już za sobą Anglię.

Porozumienie polsko-sowieckie było kluczowym zagadnieniem polityki brytyjskiej w jej układzie sojuszniczym z Moskwą, stąd naciski na Sikorskiego o szybkie a jednocześnie łatwe do przyjęcia dla Sowietów uzgodnienie warunków porozumienia. Sikorski konferuje z Edenem, towarzyszy mu, zaproszony przez tego ostatniego, Józef Retinger, „szara eminencja” polityki rządu polskiego na uchodźstwie. Dnia 4 lipca Majski informuje Edena o instrukcji, jaką otrzymał z Moskwy w sprawie podjęcia pertraktacji z rządem polskim, co z kolei Eden podaje do wiadomości Sikorskiemu, który proponuje spotkanie Majskiego w

---

2. Marian Kukiel, *General Sikorski. Żołnierz i mąż stanu Polski walczącej*. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, Londyn 1970, str. 164

hotelu Rubens, siedzibie polskiego premiera. Majski oświadcza, że wolałby aby spotkanie z Sikorskim odbyło się na terenie „neutralnym”<sup>3</sup>. Tak też się stało i do pierwszego spotkania angielsko-sowiecko-polskiego doszło 5 lipca w *Foreign Office*, w gabinecie Aleksandra Cadogana, zastępcy Edena.

Oficjalne układy polsko-sowieckie zostały zainaugurowane 7 lipca notą ministra Zaleskiego do Edena o warunkach porozumienia, uzupełnionych notą z 8 lipca, a dnia 11 lipca miała miejsce rozmowa Sikorskiego i Zaleskiego z Majskim w obecności Edena. Zaczyna się wówczas „uzgadnianie” warunków porozumienia, ściślej szukanie kompromisu, który zadowalałby Sowietów. Od tej daty „urywa się bezpośredni w tej sprawie kontakt polsko-sowiecki. Sikorski wyrzeka się działań własnych, z pełnym zaufaniem zdając się na pośrednictwo brytyjskie”<sup>4</sup>.

Charakterystyczny dla traktowania już wtedy rządu polskiego przez Anglików był fakt, że 12 lipca Cripps i Mołotow podpisują w Moskwie układ o „brytyjsko-sowieckim współdziałaniu w wojnie przeciwko Niemcom”, nie powiadamiając o tym naszego rządu i Sikorski miał się dowiedzieć o układzie dopiero z radia<sup>5</sup>. Było to sprzeczne z sojuszniczym układem polsko-brytyjskim z 25 sierpnia 1939 roku, który — w wypadku układu brytyjsko-sowieckiego — zobowiązywał Anglię, aby przed jego zawarciem poinformowała rząd polski, czego nie zrobiono nawet po fakcie. Ze strony polskiej nie było na to żadnej reakcji.

Negocjacje z Majskim trwały przeszło dwa tygodnie. Eden przynaglał, starał się znaleźć kompromisowe rozwiązanie spornych kwestii, kosztem jednak Polski, naciskał na Sikorskiego i ostrzegał przed złymi skutkami w razie niedojścia do porozumienia. W rezultacie tego Sikorski zrezygnował z szeregu ważnych dla Polski postulatów. W tym wszystkim trzeba pamiętać, o czym pisze Edward Raczyński, ambasador polski w Londynie, przychylnie na ogół oceniający układ, że „...strona angielska (min. Eden) w sposób brutalny odsuwała polskiego ministra spraw zagranicznych (Augusta Zaleskiego, doświadczonego w pertraktacjach polityka — T.W.) od stołu obrad. Generał Sikorski... nie sprzeciwił się taktyce brytyjskiej. Robota wykonawcza prowadzona była ze strony brytyjskiej przez rutynowe siły *Foreign Office*, a zwłaszcza Stranga, a po stronie

---

3. Zob. Henryk Batowski, *Polska dyplomacja na obczyźnie 1939-1941*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1991, str. 312.

4. Władysław Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski 1864-1945*, Londyn 1960, tom 3, str. 178.

5. Tak twierdzi Stanisław Mackiewicz, *Zielone oczy*, PAX, Warszawa 1959, str. 181.

polskiej spoczywała głównie w rękach p. Retingera, zaufanego pomocnika gen. Sikorskiego<sup>6</sup>”. Jak podaje gen. Kukiel, za notatką radcy Wiesława Arleta, „ostateczny tekst traktatu (polsko-sowieckiego) został ustalony przez amb. Crippsa w rozmowie ze Stalinem<sup>7</sup>”. Trudno o bardziej wymowne dowody tego, kto miał w tym wszystkim decydujący głos.

Trzech ministrów — Sosnkowski, Zaleski i Seyda — nie zgadzało się ze sformułowaniem niektórych punktów umowy i zgłosiło dymisję. Prezydent Raczkiewicz odmówił Sikorskiemu pełnomocnictwa do podpisania układu. Pomimo presji ze strony brytyjskiej, prezydent Raczkiewicz zdania nie zmienił. Dzisiaj można przeczytać w notatkach Retingera, w książce jego najbliższego współpracownika, że prezydent Raczkiewicz ostrzegł Sikorskiego „że porozumienie to nigdy nie uzyska jego zgody. Na szczęście byliśmy na to przygotowani i nie było to nam potrzebne<sup>8</sup>”.

Nie licząc się z ostrzeżeniem prezydenta, podpisanie układu przez Sikorskiego i Majskiego nastąpiło dnia 30 lipca w siedzibie *Foreign Office* w obecności Edena i Churchilla. Prezydent Raczkiewicz dowiedział się o podpisaniu układu z komunikatu radiowego i natychmiast wystosował do Sikorskiego list, gdzie podkreślił, że „Pan Generał podpisał układ na własną i nieprzewidzianą w ustawie konstytucyjnej odpowiedzialność, pozbawiając go legalnej podstawy”.

Do układu dołączony był protokół zapowiadający „z chwilą przywrócenia stosunków dyplomatycznych (przewidzianych w układzie) że rząd Z.S.R.R. udzieli amnestii wszystkim obywatelom polskim, którzy są obecnie pozbawieni swobody na terytorium Z.S.R.R....”. Była to najkorzystniejsza część układu, dająca podstawy do utworzenia armii polskiej, której dowódcą, jak wiadomo, został gen. Anders. Użycie jednak terminu „amnestia” w stosunku do bezprawnie więzionych żołnierzy polskich i deportowanej ludności było szczytem cynizmu ze strony Stalina i dowodem zupełnej uległości Sikorskiego wobec presji sowiecko-brytyjskiej. Dla ścisłości warto przypomnieć, że amnestia jest darowaniem kary, ustawodawczym zbiorowym aktem łaski.

Po podpisaniu układu została wysłana do Moskwy misja wojskowa w składzie: mjr. Leona Bortnowskiego, radcy Wiesława Arleta i gen. Zygmunta Bohusza-Szyszko, jej szefa. W wy-

---

6. Edward Raczyński, *W sojusznicy Londynie*, Wyd. II, Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, Londyn 1974, str. 119.

7. Marian Kukiel, *op. cit.*, str. 172

8. Jan Pomian, *Józef Retinger. Życie i pamiątki „szarej eminencji”* Wydawnictwo Pelikan, Warszawa 1990, str. 146.

9. Przetaczam za Pobogiem-Malinowskim, *op. cit.* str. 192.

niku rokowań misji w Moskwie podpisano 14 sierpnia polsko-sowiecką umowę wojskową, która ustalała — w istotnych sprawach po myśli Moskwy — warunki organizacji i kompetencji armii polskiej w ZSSR. Tej misji i zawartej umowie wojskowej poświęcony jest artykuł Litońskiego, o którym była już mowa, gdzie autor ogranicza się do suchych faktów, przechodząc również do porządku dziennego nad słowem amnestia, co przez mało zorientowanego czytelnika może być zupełnie mylnie zrozumiane.

Wkrótce po przybyciu misji wojskowej do Moskwy udał się tam Retinger, który z kuriera dyplomatycznego przeobraził się w *chargé d'affaires* i pełnił tę funkcję do przyjazdu na początek września prof. Stanisława Kota, pierwszego ambasadora R.P. w ZSSR po podpisaniu układu. Wysłanie Retingera miało swoją wymowę, zwłaszcza że istnieje odmienna na ten temat wersja. Prof. Kot pisze, że „kilka dni później (po wyjeździe misji wojskowej) zgłasza się do mnie p. Józef Retinger i proponuje, abym go wysłał do Moskwy, jako kuriera, gdyż ma miejsce w samolocie brytyjskim<sup>10</sup>”.

Inaczej przedstawia to Retinger, a mianowicie, że „Eden zatelefonował z prośbą, bym udał się do Moskwy, jako przedstawiciel polskich interesów. Eden mówił, że chciałby, abym to właśnie ja pojechał, ponieważ byłem przy Sikorskim najważniejszym uczestnikiem negocjacji...”. Retinger dalej wyjaśnia, że pojechał do znajdującego się wówczas w Szkocji gen. Sikorskiego, który „zaakceptował plan podróży”. Następnie, w liście do Sikorskiego z 14 sierpnia 1941 pisze, że na lotnisku w Moskwie „ku mojemu zdziwieniu, przywitali mnie nie tylko nasi i Cripps, ale także wyżsi urzędnicy sowieccy. Od razu powiedziano, że rząd sowiecki uważa, iż przyjeżdżam jako *chargé d'affaires* polski, żeby wznowić stosunki dyplomatyczne” i później dodaje: „uważam się jedynie za informatora Pana Generała oraz Polaków tutaj<sup>11</sup>”. Z tego można by wnioskować, że Retinger został mianowany polskim *chargé d'affaires* przez Brytyjczyków lub Sowieców a rząd polski to następnie zatwierdził.

Na układ Sikorski-Majski patrzy się głównie przez pryzmat uratowania od głodowej śmierci kilkudziesięciu tysięcy Polaków, którzy dzięki temu układowi wydostali się z ZSSR i następnie, jako żołnierze, bohatersko walczyli na ziemi włoskiej, co bezspornie było korzystną stroną tego układu. Równocześnie zapo-

---

10. Stanisław Kot, *Listy z Rosji do gen. Sikorskiego*, *Jutro Polski*, Londyn 1955, str. 19.

11. Jan Pomian, *Józef Retinger. Życie i pamiątki...*, *op.cit.*: str. 149 i 151.

mina się, lub też celowo przemilcza, zwłaszcza w historiografii krajowej, że po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej Moskwa znajdowała się w ogromnie trudnej sytuacji, kiedy można było i należało osiągnąć dużo więcej.

Układ, o którym mowa, nie rozwiązał na przyszłość żadnego problemu, pozostawiono w nim celowo otwarte kwestie, dowolnie później interpretowane przez Moskwę. Moment zawierania układu polsko-sowieckiego był momentem przełomowym w polityce nie tylko europejskiej, lecz i światowej. Na arenie międzynarodowej pojawił się bowiem ZSSR. Sikorski winien był z całą stanowczością i nieustępliwością, na wzór gen. de Gaulle'a, zmanifestować swoją obecność i zdecydowaną, nieugiętą postawę w obronie spraw Polski. Stało się jednak inaczej i rząd polski z roli partnera stoczył się na pozycję klienta z ogromną szkodą dla żywotnych interesów naszego Kraju i równowagi sił w Europie Środkowo-Wschodniej.

*Tadeusz WYRWA*

---

Eryk M. BUDZYŃSKI

## POCZTA JAPONSKA

Starsi z czytelników może pamiętają zabawę, dość popularną na przedwojennych wieczorkach towarzyskich z udziałem tzw. płci pięknej, pod nazwą Poczta Japońska. Polegało to na tym, że wszyscy uczestnicy mieli przyszpilony numer, pod którym można było pisać różne, mniej lub więcej głupie anonimowe listy, które potem, ku uciesze towarzystwa, głośno czytano.

Bawiąc się wtedy beztrwosko w taką japońską korespondencję, nie przypuszczałem nigdy, że niewiele razy „księżyc obróci się złoty”, jak spadnie na moją głowę poczta japońska w zgoła odmiennym fasonie.

O ile mi wiadomo, sprawa Poczty Japońskiej na Litwie — Wileńszczyźnie, wydania 1940 roku, jako fragmentu historii Polskiego Podziemia, dotychczas nie została nigdzie opisana. Połowa wieku upłynęła od tego czasu i większość ludzi z tą akcją związanych już dawno jest na tamtym świecie. Więc chyba

nadszedł czas, aby coś na ten temat powiedzieć i dla potomności zachować.

Pierwsza część niniejszego szkicu, to jest tło samej akcji i jej historia na wyższym poziomie, pochodzi z drugiej ręki, z zasłyszanych tu i ówdzie wiadomości oraz kilku publikacji czy książek, o których poniżej. Druga natomiast część, historia samej akcji w terenie, jest z pierwszej ręki, gdyż sam byłem odpowiedzialny za nią na szczeblu wykonawczym.

W dużym skrócie było to tak:

Jesień 1940 roku. Wilno i sama Litwa wcielona do „Kraju-Raju”, jak się to wtedy mówiło. Załączki ruchu niepodległościowego szukają dróg, którymi można nawiązać kontakt z Londynem; chodzi o przesyłanie raportów, dyrektyw i funduszy na budujące się podziemie.

W tymże okresie w Sztokholmie znajdują się trzy polskie placówki: oficjalne — poselstwo, nieoficjalne — Baza „Anna”, w gestii VI Oddziału Naczelnego Wodza w Londynie i Ekspozytura „L” Oddziału tegoż sztabu.

Historia „Anny” i jej powiązań z II Oddziałem i z poselstwem polskim została szczegółowo opisana przez L.A.B. Kliszewicza w *Zeszytach Historycznych* nr 58, 1981. Historia ta obejmuje okres całej wojny i oparta jest przeważnie na tekstach raportów i depesz między Sztokholmem, Londynem, Warszawą i Wilnem. Z artykułu Kliszewicza wynika, że mimo niektórych tarć między tymi trzema agencjami polskimi w Szwecji, odegrały one ogromną rolę w akcji pomocy dla Kraju, a także, że Poselstwo stanowiło przykrywkę dla działalności „Anny” i Ekspozytury; szereg ich pracowników było w różnych okresach też pracownikami Poselstwa.

Głównym zadaniem „Anny” było ustalenie i utrzymanie stałej, fizycznej (w odróżnieniu do radiowej, choć i taka była) łączności z Krajem — Warszawą i innymi ośrodkami oporu. Późniejszy opis odnosi się do przerwania właśnie takiej poczty do Wilna w okresie kilku miesięcy, na schyłku 1940 roku.

Następny fragment poniżej oparty jest częściowo również na artykule Kliszewicza, na wydanych ostatnio wspomnieniach J. Kozakiewicza i R. Mackiewicza (p. bibliografia) oraz na zasłyszanych wiadomościach.

Do połowy roku 1940, to znaczy do czasu wcielenia Litwy do ZSSR, istniał w Kownie konsulat japoński; konsulem był Sepo Sugihara, podobno osobisty znajomy Marszałka Piłsudskiego, i z tej racji życzliwy dla sprawy polskiej. W konsulacie znalazło oparcie kilku oficerów polskich, m.in. kpt. Alfons Jakubianiec („Kuba”) przedwojenny oficer II Oddziału, Ekspo-

zytura Grodno. Kuba jeszcze przed wojną miał mieć podobno kontakty z pewnym oficerem japońskim, który był wtedy na stażu w Wojsku Polskim. Jak by wynikało z dalszego ciągu niniejszego szkicu, oficer ten prawdopodobnie pozostał w Wilnie, czy w jego okolicy. Prawdopodobne też jest, że mógł być wywiadowcą Imperialnego Sztabu Cesarstwa, zrzucanym na długi okres na dany teren.

Po zlikwidowaniu konsulatu w Kownie Sugihara został przeniesiony do Królewca, a Kuba zakamuflował się w Berlinie, gdzie Japończycy wyrobili mu pewnego rodzaju alibi w ramach poselstwa marionetkowego państwa Mandżuko. Jak widać z następnego fragmentu mego szkicu, Kuba nie był jedynym Polakiem w tym poselstwie.

Ciekawe jest, co na ten temat mówi chyba bardzo miarodajne źródło, jakby to powiedzieć, z drugiej strony płotu, Walter Schellenberg, *SS-Gruppenführer*, szef S.D. okresu wojennego III Rzeszy. W swoich pamiętnikach wydanych w języku francuskim — Schellenberg był z Zagłębia Saary, dwujęzyczny (p. bibliografia) — wspomina on, że w poselstwie Mandżuko w Berlinie pracowało sześciu Polaków i trzech z nich miało nawet prawa dyplomatyczne. Było to kością niezgody w stosunkach japońsko-niemieckich, gdyż S.D. było (i słusznie...) przekonane, że byli oni agentami polskiego wywiadu i jako tacy współpracowali z wywiadem japońskim. Wszyscy zostali aresztowani w związku z przybyciem do Berlina kuriera z Warszawy, u którego znaleźli wysokiej podobno klasy materiały wywiadowcze dotyczące armii niemieckiej. Schellenberg wspomina, że miało to miejsce latem 1940 roku; czy Kuba był już wtedy w Berlinie, czy nie, dziś już chyba trudno ustalić. Ale jasne jest, że poselstwo Mandżuko stanowiło i później oparcie dla polskiej akcji na terenie okupowanej Europy.

Dalej Schellenberg pisze, że nitka polskiej konspiracji prowadziła z Berlina do Rzymu — Generał Jezuitów Ledóchowski — ale głównie do Sztokholmu, gdzie oparcie było znów o ambasadę japońską i jej *attaché militaire*, gen. Makoto Onodera, który miał być jakoby szefem wywiadu japońskiego na całą Europę. Działalność jego, zdaniem Schellenberga, sprawiała Niemcom taki kłopot, że sam Schellenberg kilkakrotnie udawał się do Sztokholmu na nieprzyjemne rozmowy ze swoim japońskim sojusznikiem.

O tym wspomina też L. Farago w swojej pół sensacyjnej, pół historycznej książce *The Game of The Foxes* (p. bibliografia). W rozdziale *The Swedish Cockpit* pisze, że pewien tajemniczy Polak miał wielki wpływ na działalność Onodery, do tego stopnia, że Himmler protestował w Tokio z tego powodu i określił

tego Polaka jako „najgroźniejszego szpiega na świecie”..., i którego agenci Gestapo w Szwecji w żaden sposób nie potrafili zlikwidować.

Jeżeli chodzi o samego Kubę, to musiał on działać w Berlinie w dalszym ciągu w oparciu o Japończyków, czyli o poselstwo Mandzuko. Nie jest mi wiadomo, czy postać jego, kpt. Jakubianca, i jego wkład do historii polskiego wywiadu, były już gdzieś bardziej szczegółowo opisane. Wiadomo jest tylko, że został on wykryty przez Gestapo, aresztowany 7 lipca 1941, osadzony w Oranienburg-Sachsenhausen i tamże zamordowany pod koniec wojny.

Powróćmy teraz na Litwę, czy Wileńszczyznę, gdzie w dalszym ciągu mógł się znajdować ten oficer wywiadu i z którym Kuba musiał mieć kontakt. W samym Wilnie ludzie się na ogół znali, i ukazanie się na mieście, na przykład na Placu Katedralnym, faceta o „nietutejszym” wyglądzie, jak Japończyka, byłoby od razu zauważone nie tylko przez tubylców, ale także przez tzw. seksotów i kapusiów wiadomej instytucji okupanta. Więc musiał on być dobrze zakamuflowany, może miał zmieniony wygląd i przypuszczalnie miał też oparcie w naszej siatce konspiracyjnej z tytułu przedwojennych kontaktów wojskowych. Są to moje przypuszczenia, oparte na pewnych logicznych przesłankach, wynikających z tego opowiadania. Niestety, chociaż w późniejszych czasach byłem blisko związany z najwyższymi osobami w hierarchii A.K. w Wilnie, nigdy na ten temat nic nie słyszałem. Może ktoś potrafiłby coś w tej sprawie wyjaśnić?

Z powyższego wynikało, że poczta z Londynu przesyłana była drogą oficjalną do poselstwa polskiego w Sztokholmie; dalej, via „Anna” i we współpracy z Ekspozyturą „L”, przekazywana była Japończykom, którzy dostarczali ją przez swoich kurierów do Kuby do Berlina. On organizował dalszy przetrzut na Warszawę, czy do Wilna; w danym wypadku, także przez japońskich kurierów dyplomatycznych.

Moja własna kariera konspiracyjna rozpoczęła się w sierpniu 1940 roku, kiedy wstąpiłem do komórki Z.W.Z. w Kownie; nazywała się wtedy Inspektoratem „E” Okręgu Wileńskiego i nazwa ta przetrwała przez cały okres konspiracji, najpierw Z.W.Z., a potem już Armii Krajowej.

Właściwym wodzem tej jednostki był wówczas Szef Sztabu Inspektoratu (później Inspektor) Wincenty Chrzęszczewski, rotmistrz 1 pułku Ułanów Krechowieckich, ostatnio ppłk A.K., zmarły niedawno (1989) w czcigodnym wieku lat 86 w Warszawie. Była to jedna z najbardziej wybitnych postaci polskiego podziemia na tamtejszych terenach. Z wyglądu i zachowania nikt by nie powiedział, że to zawodowy kawalerzysta. Skromny,



uprzejmy, dokładny we wszystkich poczynaniach, a jakże twardy i niezłomny. Całe jego życie było oddane sprawie polskiej i wiele lat odsiedział za to w różnych uzdrowiskach Gestapo i N.K.W.D. Ostatni Komendant Obszaru Wilno- Nowogródek w 1945 roku, wrócił do Kraju dopiero w końcu lat 50-tych, po długim pobycie w kurorcie Potoma nad Wołgą. Podaję tu kilka tych szczegółów na upamiętnienie tak zasłużonego dla naszej sprawy człowieka, mając nadzieję, że znajdzie on właściwe miejsce w historii polskich wojennych dziejów. Wtedy, w Kownie 1940 roku, nazywał się on Janusz Markowski, później używał pseudonimu „Kruk” i wielu innych.

Otóż gdzieś wczesną jesienią tegoż roku Markowski zlecił mi przygotowanie planu wykonania pewnej akcji o dość egzotycznym podłożu. Widocznie uważał, że, ponieważ zawsze chwaliłem się znawstwem spraw kolejowych, najbardziej się do niej będę nadawał. Założenie akcji było takie:

Co parę tygodni jedzie koleją z Berlina do Japonii kurier dyplomatyczny ambasady japońskiej w Niemczech. Droga prowadzi przez Litwę. Będzie on wieźć pakiet, który mu wręczy Jakubianiec (wtedy, oczywiście, nie znaliśmy jego nazwiska, wiedzieliśmy tylko, że był to nasz agent w Berlinie). W pakiecie będzie korespondencja z Londynu do Komendy Okręgu Z.W.Z. w Wilnie, pieniądze itd. Inny znów pakiet, zawierający różne ciekawostki dotyczące np. ruchu wojsk sowieckich na Litwie, a którymi interesuje się bardzo Imperialny Sztab w Tokio, będzie przygotowany przez kogoś w Wilnie — jasne, że przez tegoż japońskiego oficera w ukryciu, a na podstawie danych zebranych przez naszą siatkę. Żaden inny człowiek chyba nie umiał tam pisać po japońsku, a sam widziałem kiedyś zawartość tej przesyłki — szkice, liczby, tekst, wiadomo, że nie po łacinie. Więc chodzi o to, aby obie te paczuszki wymienić *na chodu* podczas przejazdu przez nasze terytorium.

Jasne, że Japończycy nie robili tego za piękne oczy. Kiedyś, po wielu już latach, opowiadałem w dużym skrócie tę historię jednemu z moich amerykańskich przyjaciół; był on zaskoczony tym, że „współpracowaliście z wrogiem...”. Tłumaczyłem mu, że, po pierwsze, wtedy jeszcze nie byli wrogami, a po drugie, że w tym fachu „nie ma miłości, nie ma litości i nie ma złości” — jest tylko interes. Zdaje się, że zrozumiał.

A więc Markowski polecił mi rozpracowanie akcji wymiany tych paczuszek podczas przejazdu kuriera przez Litwę. Sprawa sygnalizacji daty przejazdu była już przygotowana, przez kogo — nie wiem. Pod adres pewnej damy o niemieckim nazwisku, w Wilnie, oczywiście z naszej siatki organizacyjnej, przychodzi pocztówka z Berlina (w 1940 roku poczta między Niemcami a

Litwą Sowiecką chodziła prawie normalnie, choć była cenzurowana): „*Liebe Tante...* dalej jakieś rodzinne banialuki, a na zakończenie: *mit deutschem Gruss: Heil Hitler!, deine Mina* (czy już) *Irma*”... Istotna była tylko data — dokładnie w dwa tygodnie później kurier przejedzie przez granicę tranzytowym pociągiem Berlin-Moskwa.

Był tylko jeden taki pociąg dziennie; w początkowym okresie naszej akcji ruch szedł po magistrali Królewiec-Kowno-Wilno i dalej na wschód. Granica po stronie niemieckiej była w Ejdkunach (Eydatkau), po litewskiej w Wierzbołdowie (Virbalis). Pociąg szedł w składzie normalnotorowym aż do Kowna, skąd dalej na wschód sieć kolejowa na terenie Litwy i Polski już wtedy, jak to mówiono wśród kolejarzy, „przeszła na prawosławie”, to znaczy na dość szeroki prześwit rosyjskich kolei, co pociągało za sobą konieczność przesiadki pasażerów do rosyjskich wagonów na stacji w Kownie.

Zanim dostaliśmy pierwszy sygnał od *Liebe Tante*, przejechałem dwa razy całą trasę, aby zorientować się w możliwościach. Stację Wierzbołowo znałem dobrze, gdyż o kilka kilometrów od niej był majątek mego stryja i nieraz tam bywałem. Pasażerów w tym międzynarodowym pociągu od granicy do Kowna było zawsze sporo, ale też chyba i tyle samo cywilnych panów o wyglądzie, jakby to powiedzieć, asyryjskim, którzy wsiadali w Wierzbołowie i z zainteresowaniem spacerowali po korytarzach wagonów; od razu było jasne, komu oni służyli. Po przybyciu pociągu do Kowna, towarzysze ci pierwsi wyskakiwali z wagonów, pilnie bacząc na tranzytowych pasażerów, którzy musieli przejść tylko przez szerokość peronu do rosyjskich wagonów na dalszą drogę.

Natomiast rozpoznanie sytuacji w pociągu Kowno-Moskwa, przez Wilno, wykazało, rzecz dość dziwna, że nadzór był tu znacznie słabszy; może uważali, że sama atmosfera ponurych rosyjskich wagonów nie sprzyjała żadnym szpiegowskim wybrykom...?

Po złożeniu raportu rozpoznawczego, Markowski zdecydował, iż wymiany należy dokonać na przebiegu Kowno-Wilno. Jeszcze muszę tu dodać, że dostaliśmy instrukcję, w jaki sposób nawiązać kontakt z tym orientalnym jegomościem. Zarówno on, jak i ten z nas dokonujący wymiany, będzie miał szpilkę z perłą w krawacie. Były jeszcze i umówione hasła i odpowiedzi w języku rosyjskim, którym kurier podobno władał.

W kilka dni po tej odprawie przyjechała z Wilna do Kowna jakaś starsza pani, kto wie, może i sama *Liebe Tante*. Poczta z Berlina nadeszła, data zafiksowana, przywiozła także paczuszkę dla wysyłki w Krainę Wschodzącego Słońca.

Nasza grupa operacyjna składała się z czterech osób. Jeden miał dokonać samej wymiany, drugi stanowił jego *back-up*, zaś panienska wioząca w swej torbie tę trefną paczuszkę w ostatniej chwili miała to wręczyć mnie do zamiany. Wszyscy troje mieliśmy być elegancko ubrani — wtedy to jeszcze nie zwracało uwagi — jak przystało na pasażerów w „miękkim” wagonie (odpowiednik pierwszej klasy).

Czwarty nasz członek wyjechał poprzedniego wieczora do Wierzbolowa na granicę; jego zadaniem było stwierdzenie na przebiegu pociągu do Kowna, czy kurier rzeczywiście jest i czy perła jest. Na potwierdzenie tego miał on wyglądać przez otwarte okno wagonu przy wjeździe pociągu na stację w Kownie, mając czapkę na głowie. Jeżeli natomiast wyglądała sama głowa bez czapki, znaczyło to, że J. nie ma i lepiej iść do domu.

Pamiętam dość dobrze pierwszy (i udany) przekaz. Oczekując na przybycie pociągu od granicy, siedzimy już w różnych wagonach moskiewskiego ekspresu. Ja w jednym, w sąsiednim Tadeusz Kognowicki i w innym przedziale nasza niezastąpiona Janka Zdanowiczówna. Z trzaskiem zajężdza na sąsiedni tor na tym samym peronie berliński pociąg. Z okna pierwszego wagonu dosłownie wisi nasz wywiadowca, Luk Kończa, czapa na głowie. Pasażerowie wysypują się na peron, ci, którzy do naszego pociągu, widać, że międzynarodowa publika, otoczeni asyryjską gwardią, dostępu nie ma. Patrzę, jest! Dwóch Japończyków, jednolicie ubrani w czarne palta, czarne kapelusze, wielkie, wypchane skórzane teki; u jednego perła jak kurze jajo.

Mam szczęście, gdyż siadają do mego wagonu, mają tu zarezerwowany przedział. Po niedługim czasie pociąg rusza, wychodzę na korytarz i wkładam swoją perelkę. Ludzi mało, w końcu wagonu stoi jakiś typ, widać, że tajniak i obserwuje co się dzieje na korytarzu. Przechodzę koło kurierskiego przedziału — jeden coś czyta, drugi udaje, że śpi, ale widać, że kapuje, co się na korytarzu dzieje. Odwracam się tak, aby mógł zobaczyć mój krawat i perłę i kiwam przecząco głową, na znak, żeby nie wychodził; zrozumiał, nie rusza się. Wracam do mego przedziału i siedzę, jak na szpilkach.

Pociąg tymczasem wyszedł już na równinę za stacją Palemonas i idzie teraz pełnym chodem. Z Kowna do Wilna tylko coś 100 km, czasu dużo nie ma. Znowu wychodzę na korytarz, łobuz stoi w dalszym ciągu, ale coś jakby przestępuje z nogi na nogę, może go, jak to się mówi, przyszpiliło; i rzeczywiście! — znika we wiadomej instytucji na końcu wagonu. Szybko więc przechodzę przed japońskim przedziałem i kiwam potakująco, kurze jajo zaraz wychodzi, stajemy przy sąsiednich oknach szep-

tem wymieniając umówione sygnały. Widzę, że przytrzymuje on połą marynarki, pewnie coś tam dla nas jest. Teraz trzeba tylko szybko przejść do sąsiedniego wagonu, chwala Bogu, w przeciwnym kierunku od ustępu, gdzie zniknął nasz opiekun. Hamuję się, żeby nie biec. Janka stoi zaraz za przejściem, oglądam się jeszcze, nikogo nie ma, biorę od niej paczkę, wracam do swego wagonu. Japończyk idzie korytarzem w moim kierunku, ocieramy się o siebie, szast-prast, wymiana szczęśliwie dokonana. Wszystko zajęło dosłownie kilkanaście sekund. Wracam spokojnie do sąsiedniego wagonu, Janka czeka, bierze paczkę i idzie do swego przedziału. Jakże to łatwo wszystko poszło...

W Wilnie spotkaliliśmy się wszyscy później pod umówionym adresem. Czekał tam na nas Markowski, było jeszcze dwóch starszych panów. Pamiętam, jak otwierali paczkę, sortowali papierki korespondencyjne i liczyli zielone studolarówki, było coś przeszło 15 tysięcy...

Następny przerzut, też udany, odbył się na tej samej trasie już w kilka tygodni potem. Ja w nim sam udziału nie brałem i skład grupy był trochę inny.

Niedługo potem otrzymaliśmy wiadomość, że ruch tranzytowy przeniesiony został na linię Tylża-Dźwińsk *via* Radziwiliszki i Poniewież, z jakiej przyczyny — dziś już nie pamiętam. Zmiana ta znacznie utrudniła naszą akcję, gdyż trasa ta była daleko od naszej kowieńskiej bazy i trzeba było za każdym razem do tej linii dojechać, bardziej narażając się na nakrycie.

Mimo tego pierwsza próba na tej nowej trasie udała się całkiem dobrze. Wyjechaliśmy w trzy osoby z Kowna autobusem i po dobrych kilku godzinach jazdy wysiedliśmy na skrzyżowaniu szosy z tą linią kolejową. Dalej trzeba było iść piechotą przez las do stacji Batoki, coś z 10 km. Była to jedna ze stacji, gdzie ten pociąg się zatrzymywał; w odróżnieniu od poprzednich na linii wileńskiej, pociąg, mimo że pospieszny i międzynarodowy, stawał kilka razy w różnych pipidówkach między granicą w Tylży, a węzłową stacją Radziwiliszki, gdzie pasażerowie przesiadali się do rosyjskich wagonów na szerszym torze.

Jakoś nikt nie zwracał na nas uwagi podczas całej tej wędrówki i zjawiliśmy się w Batokach na krótko przed przybyciem pociągu. Jak i poprzednio, sygnalista nasz wyglądał z okna, czapka na głowie. Tajniaków nie było widać i bez wielkich ceregieli zamieniliśmy paczki na krótko przed Radziwiliszkami. Stamtąd wróciliśmy bezpośrednim pociągiem do Kowna.

Ponieważ spodziewaliśmy się dalszych przesylek, postanowiliśmy zmienić nieco plan akcji, głównie ze względu na niebezpieczeństwo wspólnej podróży i dojścia do tej, raczej samotnej stacji Batoki, gdzie wszystko było widoczne jak na dłoni. Więc

następnym razem ruszyliśmy prosto do Radziwiliszek różnymi pociągami i tam spotkaliśmy się na krótko przed przybyciem pociągu z granicy. Było też kilku pasażerów tranzytowych, wśród nich jeden Japończyk z perłą w krawacie. Należy zaznaczyć, że kurierzy ci stale zmieniali się, chociaż dla niektórych z nas każdy Japończyk wyglądał tak samo.

Wsiadliśmy do pociągu moskiewskiego, było tylko coś trzy czy cztery wagony. I tu, po raz pierwszy, akcja nasza spaliła na panewce. Po prostu kurier był albo nie ten — mimo perły, albo z jakichś powodów bał się wyjść na korytarz. Jak tylko pociąg ruszył, zamknął się w przedziale, zasunął firanki i tyle go widzieliśmy aż do Poniewieża. Zdecydowałem, iż dalej jechać nie ma sensu i nakazałem odwrót do Kowna. Podczas tej powrotnej podróży o mały włos nie wpadliśmy.

Wina byłaby nasza, a właściwie tylko moja, gdyż nierozważnie postanowiłem wracać do Kowna we trójkę — była ze mną Janka Zdanowiczówna i jeden młody człowiek, którego nazwiska dziś, niestety, nie pamiętam. W Radziwiliszkach przesiadliśmy się na pociąg z Rygi do Kowna, nabity narodem. Ale był też i wóz restauracyjny, więc znów nierozważnie zaproponowałem, aby się tam ulokować oraz zjeść kolację, bo cały prawie dzień spędziliśmy w pociągach i byliśmy głodni jak psy. Znaleźliśmy wolny stolik na cztery osoby. Od razu przysiadł się jakiś sowiecki podoficer, prosty widać muzyk, pewnie nigdy nie widział takiego luksusu i takiego jedzenia, jakie wtedy jeszcze na Litwie bywało. Gadatliwy, opowiadał cuda o Moskwie, szczególnie imponowały mu tam tramwaje i kolej podziemna. Niepotrzebnie wdałem się z nim w rozmowę, pytając między innymi, jakiego koloru są moskiewskie tramwaje i pociągi. Na to od sąsiedniego stolika podniósł się kapitan, cztery kubiki na kołnierzu i niebieskie wypustki — N.K.W.D. Podszedł do nas, oparł się o stół rękami, przeszył mnie surowym, „dzierżyńskim” wzrokiem i wypalił:

— Was widać bardzo interesuje, co się w Moskwie dzieje i jakie tam tramwaje?

Wybąkałem, że to chyba niegroźne pytanie.

— Wy kto — ciągnął dalej — Litwin, czy może Polak?

— Polak...

— Aha, *pany polaki*, my dobrze was znamy, nu, *pszli w moj kupe...*

W wagonie jak makiem zasiał, wszyscy się gapią, co dalej będzie. Chwała Bogu ani Janka ani nasz towarzysz nie odzywają się ani słowem. Zaprowadził mnie do sąsiedniego wagonu, otworzył z klucza drzwi półprzedziału — *a tiepier priznawajties', kto wy, kakaja profesja?*

Odpowiedziałem, że student, a jednocześnie elektryk, akurat miałem robotę w tym fachu.

— *Znaczyt' kto, student, ili elektrik?*

Mówię, że student;

— *A zaczom skazali, szto elektrik?*

No, bo będę pracował jako taki...

— *A goworili, szto student?*

No, bo student...

I tak męczył mnie tym jednym pytaniem chyba z pół godziny; wreszcie:

— *Poslednij raz spraszyszaju, elektrik, ili student?*

Elektryk...

Widocznie cały czas czekał na tę odpowiedź i chciał mi zaimponować swoją wiedzą:

— *Tak skażytie mnie zakon Oma!*

Wydukałem jak mogłem po rosyjsku prawo Ohma, nieźle nas u Batorego w Warszawie fizyki wyuczylili... Spojrzał na mnie znów tym groźnym „dzierżyńskim” wzrokiem i wyszypiał: ostatni (?) raz was puszczam, ale żeby mnie więcej na oczy nie popadł!

Uf, miłosierdzie Boskie i głupota ludzka nie mają granic, jakżeż można było nam razem siedzieć i tak się narażać. A on, gdyby miał trochę więcej pomysłu i fachowego treningu, to na pewno zahaczyłby Jankę z torbą pełną szpiegowskich kawałków.

Na tej przygodzie skończyła się akcja Poczty Japońskiej na Świętej Litwie, bo z tych czy innych powodów kartki z Berlina więcej nie przychodziły. W bilansie tych poczynań na cztery próby trzy były udane, więc chyba wynik nie był najgorszy.

Na zakończenie tych wspomnień sprzed przeszło pół wieku chciałbym rzec słowa kilka o tych, którzy w tej akcji brali udział. Około dziesięciu osób było w to zamieszanych i, z wyjątkiem „Markowskiego” i mnie samego, wszyscy byli miejscowymi, litewskimi Polakami, szczerymi patriotami, pracującymi z ogromnym oddaniem i narażeniem własnego życia dla naszej wspólnej sprawy. Piękną postacią takiego młodego patrioty był Tadeusz Kognowicki, aresztowany później w marcu 1941 w ramach chwilowego rozgromu naszej komórki w Kownie; zginął bez wieści. W domu jego matki, prawdziwej matki-Polki, wielu z nas, wojennych uchodźców, znajdowało zawsze przytułek i schronienie.

Większość tych „japońskich listonoszy” jest już na tamtym świecie, między innymi mój brat stryjeczny, Andrzej Budzyński. Z żyjących, Luk Kończa, o którym była powyżej mowa, doszedł do wielkiego stanowiska Naczelnego Inżyniera miasta Chicago,

wielce zasłużony dla sprawy polskiej na tamtejszym terenie. A nasza niezastąpiona Janka Zdanowiczówna (nie znam obecnego nazwiska) żyje w Polsce i pewnie od czasu do czasu te przygody wspomina. Byłem zawsze z największym podziwem dla jej patriotyzmu, zimnej krwi i oddania naszej sprawie!

Pleasant Hill, California, 1992

Eryk M. BUDZYŃSKI

BIBLIOGRAFIA: Leonidas A. B. Kliszewicz, „Baza w Sztokholmie”, *Zeszyty Historyczne* nr 58, Paryż 1981. Walter Schellenberg. *The Labyrinth, memoires of Walter Schellenberg*; tłumaczenie z francuskiego. Harper Bros. Publishers, New York 1956. Ladislas Farago. *The Game of the Foxes*. David McKay Co. Inc. 5-te wydanie. Janusz Kozakiewicz i Ryszard Mackiewicz. *Podokrąg ZWZ-AK Kowno, Inspektorat E*, wydanie na powielaczu. Wiano, zeszyt ósmy, bez daty.

---

Tomasz MIANOWICZ

## ZAMIAST DYSKUSJI

(na marginesie ostatnich publikacji na temat dziejów  
najnowszych Kościoła)

Publikując w *Zeszytach Historycznych* nr 98 dwa nieznane dokumenty dotyczące stosunków Kościół-państwo, wyrażałem nadzieję, że zamieszczone na tychże łamach opracowania Tadeusza Wyrwy<sup>1</sup> zapoczątkują dyskusję historyków na temat dziejów Kościoła katolickiego w okresie „władzy ludowej”. Moja nadzieja okazała się jednak płonna, bowiem reakcją na teksty zamieszczone w *Zeszytach Historycznych* był publicystyczny artykuł Andrzeja Micewskiego w nr. 2 krajowego pisma *Konfrontacje*<sup>2</sup>, który uskarża się na drukowanie przez red. Giedroycia „ataków na Kościół”. Autor artykułu twierdzi przy tym, że ich „głównym motywem jest przeciwstawienie racji stanu emigracji strategii Kościoła w kraju w okresie komunistycznym”. A. Micewski

---

1. T. Wyrwa: „Likwidacja Ambasady R.P. przy Watykanie w latach 1958 i 1972”, *Zeszyty Historyczne* (1990) nr 93 oraz: „Kościół i państwo w pierwszym dziesięcioleciu PRL”, *Zeszyty Historyczne* (1987) nr 82.

2. „Jerzy Giedroyc, trumny i Kościół”, *Konfrontacje*, luty 1992.

kieruje jednak ostrze krytyki wyłącznie pod moim adresem, choć mój artykuł w *Zeszytach Historycznych* sprowadzał się głównie do skomentowania ocen zawartych w nieznanym uprzednio liście prezydenta Zaleskiego z dn. 2.2.1966 i premiera Zawiszy z dn. 15.4.1966. Powoływałem się ponadto na wspomniane wyżej publikacje prof. Wyrwy. W swym tekście w *Konfrontacjach* p. Micewski nie wspomina jednak o rzeczywistym przedmiocie mego artykułu, a wypowiedzi, za które mnie krytykuje, pochodzą właśnie ze wspomnianych listów, albo ze źródłowych opracowań T. Wyrwy i dotyczą trzech zagadnień: Porozumienia między Rządem a Episkopatem z 1950 r., likwidacji Ambasady R.P. przy Watykanie i podporządkowania, po śmierci abpa Gawliny duszpasterstwa emigracji Prymasowi Polski. A. Micewski zapewnił jednak, że „w prasie krajowej można pisać na te tematy”, a nawet zaoferował mi w tej materii swe pośrednictwo.

Postanowiłem skorzystać z zachęty polemisty i skierowałem swą wypowiedź do redakcji *Konfrontacji*. Odpowiedzi nie otrzymałem, dostałem natomiast prywatny list od p. Micewskiego, który opisuje mi „trudną sytuację czasopism w Polsce”, krytykuje dyplomatów (zapewne tych cytowanych przez T. Wyrwę) za „powierzchowne ujmowanie zjawisk” oraz obiecuje „przesłanie mego tekstu do redakcji, z którą ustalę jego druk”, czyli, innymi słowy, naklejenie znaczka pocztowego na moją przesyłkę. Dyskusja została zatem zakończona zanim jeszcze się zaczęła i niestety nie po raz pierwszy wypada z żalem skonstatować, że polityka redakcji pism krajowych dowodzi, iż nie rozumieją one (lub nie chcą zrozumieć) roli prasy w społeczeństwie wolnych obywateli. W dodatku chodzi o temat, którego ważność, zarówno dla historyków jak i dla ogółu czytelników, trudno wszak kwestionować. Pozostają *Zeszyty Historyczne*, których roli w piśmiennictwie dotyczącym dziejów najnowszych nie sposób nie docenić.

Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że niewesoła sytuacja w Polsce i pogłębiające się w społeczeństwie uczucie rozczarowania i apatii są wynikiem kompromitacji demokratycznych instytucji wprowadzonych przez system postkomunistyczny: parlamentu, wyborów, urzędu prezydenta. Diagnoza ta dotyczy również wolnej od cenzury prasy, która jednak zamiast stać się forum wymiany poglądów i kształtowania opinii w nieskrępowanej dyskusji, nierzadko redukuje swą rolę do udziału w rozgrywkach polityczno-personalnych i podporządkowuje im swą linię redakcyjną. Jeszcze niedawno postkomunistyczne media wynosiły Zdzisława Najdera na największego polityka III Rzeczypospolitej, dziś te same pisma niemal prześcigają się w demaskowaniu jego działalności jako agenta tajnych służb, przy czym wszystkie



„rewelacje” były od dawna znane, tyle, że nie można było o nich w prasie krajowej pisać.

Wprowadzanie tematów tabu i niepisanych zakazów szkodzi jedynie odzyskiwaniu tożsamości narodowej, wystawionej na ciężką próbę w latach komunizmu. Tymczasem to właśnie Jan Paweł II głosząc posłanie Ewangelii, podkreśla, że człowiek stale poszukuje prawdy. Natomiast publicyści katolicy nierzadko zdradzają inklinację do redukcji roli Kościoła do spraw politycznych, podczas gdy jego misja zawiera się głównie w wymiarze religijnym i moralnym.

Nie muszę chyba zapewniać czytelników *Zeszytów Historycznych*, że nie reprezentuję „racji stanu emigracji” ani żadnej innej racji stanu i niczego nie zmieniłbym w swoim artykule, gdybym był go pisał w Warszawie, a nie w Monachium. Podchodzę bowiem do zagadnienia z punktu widzenia historyka i sądzę, że to właśnie różni mnie od Andrzeja Micewskiego, który jest publicystą i działaczem politycznym. Historyk ma — by posłużyć się klasyczną formułą Leopolda von Ranke — „ustalić, jak to naprawdę było” i dopiero potem wyprowadzać wnioski, bez oglądania się na polityczne racje czy postulaty. Inaczej jest w działalności politycznej i podporządkowanej jej publicystyce — bo w tych właśnie kategoriach traktuję wystąpienie Andrzeja Micewskiego na łamach *Konfrontacji*, podobnie jak jego książkę o kardynale Wyszyńskim. Mój polemista reprezentuje określone stanowisko polityczne, stara się uzasadnić decyzje i działania Prymasa Polski, dowieść, że były one dla Kościoła korzystne. Rozumiem cel i motywy publicystyki tego typu, jednakże dyskusja, którą postulowałem w *Zeszytach Historycznych*, ma sens dopiero wówczas, gdy ustali się fakty i odróżni od nich sferę ocen i opinii, czyli to wszystko, co określam jako polityczną pedagogikę. Zgadzam się z A. Micewskim — jego biografię kardynała Wyszyńskiego<sup>3</sup> zaliczyć można do „historiografii z tezą”; do wielu z tych tez historyk podejść musi z daleko posuniętą ostrożnością.

Autor opisuje scenę aresztowania księdza Prymasa wieczorem 25 września 1953 r. Biegający po dziedzińcu jego siedziby pies „Baca” ugryzł jednego z tajniaków. Andrzej Micewski twierdzi, że Prymas osobiście opatrzył rannego i przedstawia swą tezę:

Przerwę w tym miejscu relację, by zwrócić uwagę na moralną wymowę sytuacji. Prymas Polski opatruje ranę policjanta, który przyszedł go areszto-

---

3. „Kardynał Wyszyński — prymas i mąż stanu”, Editions du Dialogue, Paryż 1982.

4. *Ibid.*, s. 136

wać. Dramatyzm tej sceny godny jest pióra artysty. Zdumiewa przede wszystkim spokój aresztowanego, który nie wiedział, czy idzie tylko do więzienia, czy także straci życie. Olśniewa jego gest dobroci wobec milicjanta<sup>4</sup>.

Rozumiem intencję autora, doceniam wychowawczy cel przytoczonego fragmentu. Rzecz jednak w tym, że ubeka opatrzył nie Prymas Wyszyński, lecz przywołana siostra zakonna, o czym przeczytać można w wydanej z kościelnym *nihil obstat* książce „Un évêque au service du peuple de Dieu” (Editions Saint-Paul, Paris-Fribourg 1968) na stronie 14. Zawarta tam biografia Stefana Wyszyńskiego wyszła spod pióra p. Marii Winowskiej, jednej z najbliższych współpracowniczek Prymasa, którą darzył on pełnym zaufaniem.

Pytanie kto zajadynował łydkę ubeka to drobny, aczkolwiek charakterystyczny szczegół. Podobnie bowiem Andrzej Micewski komentuje wydarzenia bardziej doniosłe. Nie wiem, na czym opiera on swoją opinię o „pełnej aprobacie” Piusa XII dla pierwszej w historii umowy między Kościołem katolickim a partią komunistyczną, jaką było podpisane 14.4.1950r. w Warszawie „Porozumienie między Rządem a Episkopatem”. Pozwolę sobie odesłać czytelnika do nr.82 *Zeszytów Historycznych* i zamieszczonej tam arcyciekawej publikacji Tadeusza Wyrwy: „Kościół i państwo w pierwszym dziesięcioleciu PRL” (to właśnie tam, a nie w moim artykule, znaleźć można krytyczne uwagi o biografii kard. Wyszyńskiego, którą opublikował A. Micewski). Autor przytacza m.in. raporty ambasadora Francji przy Stolicy Apostolskiej Vladimira d’Ormessona, który relacjonował swoje rozmowy z dostojnikami Watykanu na temat „Porozumienia”: „Watykan nie mógł ukryć swego zdziwienia (...) Stolica Apostolska w ogóle nie spodziewała się tej nowiny (...) jest całkowicie zbita z tropu (...) tym bardziej, że wierzyła, iż będzie mogła szczególnie liczyć na niezłomność duchowieństwa polskiego (...) Sekretariat Stanu wnioskuje, że Sowietci osiągnęli swój cel”. Warto podkreślić, że zarówno d’Ormesson jak i ambasador Francji w Warszawie Baelen podkreślali w raportach kierowanych do Paryża, że kardynał Sapięha był przeciwny porozumieniu i przebywając w kwietniu 1950r. w Rzymie został zaskoczony wiadomością o jego podpisaniu. I w tej sprawie Andrzej Micewski reprezentuje odmienną opinię. Znów rozumiem jego intencję, ale pytanie, na czym opiera swoje twierdzenia — musi pozostać bez odpowiedzi.

Podobne różnice dotyczą przyjęcia kardynała Wyszyńskiego przez Piusa XII w 1957r., gdy Prymas Polski po raz pierwszy po internowaniu udał się do Rzymu. W swej książce Andrzej

Micewski mówi o przyjęciu „bardzo gorącym i serdecznym”. Szczegółowo opisuje tę sprawę Hansjakob Stehle<sup>5</sup>: polską delegację witał na dworcu podrzędny przedstawiciel Kurii Rzymskiej, sam Ojciec Święty przyjął biskupów polskich dopiero po tygodniu i to zaledwie na 15 minut, okazując przy tym demonstracyjny chłód biskupom Klepaczowi i Choromańskiemu (Michał Klepacz kierował Episkopatem w okresie internowania Prymasa i dokładnie 25 września 1953 r. podejmował winem pułkownik Brystygierową z X departamentu; również jako pierwszy biskup złożył przysięgę wierności władzom PRL, którą Watykan uważał za „obiektywnie nieważną”). Także w czasie oficjalnej uroczystości nadania Prymasowi Wyszyńskiemu kapelusza kardynalskiego Pius XII powstrzymał się od zwyczajowych wyrazów czci. Andrzej Micewski pisze natomiast, że „papież był nadzwyczaj serdeczny”. Chłód przyjęcia w Watykanie, o którym pisała również prasa włoska z tego okresu, wynikał głównie z faktu, że po swoim zwolnieniu prymas Wyszyński udzielił władzom państwowym jeszcze większego poparcia, niż w okresie stalinowskim. Utrzymano w mocy dekret o obsadzaniu stanowisk kościelnych, obowiązek przysięgi lojalności wobec władz PRL, prymas poparł „wybory”. Kolejne porozumienie między Rządem a Episkopatem z 7 grudnia 1956 r. podpisano znów bez uprzedniej konsultacji z papieżem, a negocjatorem kardynał Wyszyński wyznaczył skompromitowanego w oczach Watykanu bp. Klepacza.

Jeśli chodzi o likwidację „londyńskiej” ambasady RP przy Stolicy Apostolskiej, to Andrzej Micewski twierdzi, że stało się to za sprawą Watykanu, a nie prymasa Wyszyńskiego. Znów pozwolę sobie odesłać czytelnika do materiałów źródłowych, a mianowicie do publikacji prof. Wyrwy „Likwidacja ambasady R.P. przy Watykanie w latach 1958 i 1972” (*Zeszyty Historyczne* nr 93, Paryż 1990). W świetle przedstawionych tam świadectw przyjąć trzeba, że inicjatywa wyszła od Prymasa Polski. Pisał o tym M. Mourin w „Le Vatican et l’U.R.S.S.” (Payot, Paris 1965), pisał o tym wielokrotnie Józef Mackiewicz w swych książkach politycznych.

I wreszcie problem likwidacji niezależnego duszpasterstwa emigracji polskiej. Argumenty, które przedstawia p. Micewski dla uzasadnienia tej decyzji kardynała Wyszyńskiego, nie wytrzymują krytyki, nawet czysto logicznej. Przecież duszpasterstwo emigracji było bezpośrednio podporządkowane Stolicy Apostolskiej do 1964 r. Cóż miałoby się zatem zmienić, gdyby

---

5. *Ostpolitik des Vatikans* R. Piper Co. Verlag, München-Zürich 1975, s. 323n.

zasadę tę, zgodnie z pierwotnym zamiarem Watykanu, utrzymano? Po wtóre: właśnie zależność od Stolicy Apostolskiej, a nie od Prymasa Polski, nie dawałaby władzom pretekstu do obarczenia Episkopatu odpowiedzialnością za postawę duszpasterzy emigracji. Jak wynika z listów, które ogłosiłem w *Zeszytach Historycznych* kierownictwo polityczne uchodźstwa obawiało się właśnie, że po zmianie kapłani, związani obowiązkiem lojalności wobec władz komunistycznych, będą ograniczeni w swej działalności duszpasterskiej. Zainteresowanym tą problematyką polecam artykuł Barbary Toporskiej „Z prośbą o odpowiedź” (*Wiadomości*, 6.2.1966). Andrzej Micewski twierdzi, że kardynał Wyszyński dał „swemu przedstawicielowi na emigracji pełną swobodę postępowania”. Ale przecież swoboda ta była ograniczona przysięgą lojalności wobec „władzy ludowej”. Nie była to tylko czcza formalność: nowy delegat Prymasa Polski d/s emigracji — bp Rubin — nie celebrował, wbrew dotychczasowemu obyczajowi, nabożeństwa za dusze pomordowanych w Katyniu. Natomiast prasa PRL chwaliła go za „realizm” i „patriotyczną postawę”. Andrzej Micewski wspomina okres, gdy był redaktorem pisma *Znaki Czasu*. Ukazywało się ono w Wiedniu pod auspicjami Prymasa Glempa i było jedynym wydawanym poza krajem periodykiem, który — przynajmniej pośrednio — przyjął sowiecką wersję mordu w Katyniu, podając w nocie o zastrzelonym tam poecie — Władysławie Sebyle — rok 1941 jako datę jego śmierci. Tu, przyznam, politycznych korzyści, które miałyby wynikać z takiej postawy, dopatrzeć się nie potrafię.

Andrzej Micewski krytykuje mnie za wyrażanie na łamach *Zeszytów Historycznych* opinii, że kardynał Wyszyński zapewnił Kościołowi w Polsce tak wielkie wpływy dzięki kompromisowej postawie wobec władz. Mogę się mylić, sądzę jednak, że kluczem do zrozumienia linii politycznej Prymasa jest fakt podpisania „Porozumienia” w 1950 r. Oznaczało ono bowiem zasadniczą zmianę w postawie Episkopatu wobec sprawującej władzę partii komunistycznej. Zmianę polityczną, ale przede wszystkim moralną. Prymas Hlond odrzucał porozumienie z rządem, który uważał za niemoralny, gdyż „utwierdził swoją władzę dzięki sfalszowanemu wyborom i rządzi krajem w sposób sprzeczny z opinią większości i za pomocą siły”. Równie jednoznaczna była postawa kardynała Sapiehy. Ciekawą relację dotyczącą okresu przed 1950 r. przytacza Tadeusz Wyrwa: *Chargé d'affaires* Francji w Warszawie Etienne Jalenques informując w 1947 r. o swoich rozmowach z jednym z polskich prałatów i podkreślając odrzucenie przez Kościół układów z władzami, tak cytował swego rozmówcę:

To jest kwestia moralna. Kościół jest z natury swojej obrońcą moralności. A co dzieje się w Polsce? Wybory zostały sfalszowane, rząd uzurpował

sobie władzę, to jest niemoralne. Czy możemy się do tego przyłączyć? Nie. Nie możemy (...) uderzać w samą bazę Kościoła<sup>6</sup>.

Kardynał Hlond uważał, że „nie pertraktuje się z diabłem”, zaś prymas Wyszyński: „z diabłem — nie, ale z ludźmi — tak”. Dążył on do kompromisu z władzami i zawarł go, wbrew Watykanowi a także przeciwko opinii części Episkopatu. Nie podzielam poglądu p. Micewskiego, który pozytywnie ocenia skutki „Porozumienia” dla Kościoła. To przecież *po* jego podpisaniu nasiliły się represje wobec Kościoła, który w 1953 r. — całkowicie podporządkowany władzom — znalazł się w takiej samej sytuacji, jak Kościoły w innych państwach „demokracji ludowej”.

Po zwolnieniu z internowania Prymas zdecydował się na kontynuowanie swej linii. Różnica polegała na tym, że w roku 1950 Kościół znajdował się w stanie zagrożenia, natomiast po roku 56 nie działał w sytuacji przymusu. Jednak kardynał Wyszyński zawsze udzielał władzom poparcia w momentach kryzysów — do roku 1980 włącznie, gdy wzywał strajkujących robotników do powrotu do pracy. Zdobywał za to dla Kościoła koncesje, wzmacniał jego znaczenie, była to zatem sytuacja swojej politycznej symbiozy. Społeczeństwo widziało w Kościele jedyną alternatywę wobec modelu narzucanego przez ustrój oparty na marksizmie-leninizmie i nachalnych kłamstwach propagandy. Paradoksalnie — autorytet Kościoła wynikał w znacznej mierze ze sprawowania władzy politycznej przez partię komunistyczną. Sytuacja zmieniła się w roku 1980, gdy na scenie politycznej pojawiła się „trzecia siła” — upodmiotowane społeczeństwo, które upomniało się o prawo decydowania o losach kraju. Prymas Glemp, wbrew rozpowszechnionej opinii — nie dokonał żadnej zmiany, lecz wiernie kontynuował politykę kardynała Wyszyńskiego. Inna była sytuacja, natomiast postawa Prymasa Polski po grudniu 81 r. nie była niczym innym, jak dążeniem do przywrócenia sprawdzonego bipolarnego modelu, gdy Kościół był jedynym partnerem dla władzy. Sankcjonowanie rządów gen. Jaruzelskiego, brak rzeczywistego poparcia politycznego dla podziemnej „Solidarności” — to ta sama linia, tyle że nie zawsze zrećcznie realizowana i — w kontekście sytuacji w kraju — inaczej odbierana.

Dzięki polityce kardynała Wyszyńskiego Kościół w Polsce zdobył wpływy, jakich nie miał w żadnym innym kraju katolickim. Może przyczyniło to się do oparcia watykańskiej Ostpolitik za Jana XXIII i Pawła VI na zasadach „polskiego modelu”. Dyskusyjne wydaje mi się jednak redukcja ocen wyłącznie do polityki, bowiem niesie to za sobą tylko odsunięcia na dalszy plan ewangelizacyjnej misji Kościoła i eschatologicznego wymiaru

---

6. T. Wyrwa: „Kościół i państwo...”, *loc. cit.* s. 67.

religii. Andrzej Micewski twierdzi, że kardynał Mindszenty „niczego nie dokonał”. W dziedzinie politycznej rzeczywiście jego osiągnięcia są skromne. Ale czy można negować mistykę cierpienia i ofiary i wpływ postawy Prymasa Węgier na rzeszę wiernych? Ksiądz Jerzy Popiełuszko, którego postawa nie zawsze cieszyła się poparciem hierarchii, dając poprzez swoją ofiarę świadectwo prawdzie, przypomniał sferę religii zapoznaną w czasach pisanych i niepisanych kompromisów Kościoła z PZPR. W okresie 1980-81 społeczeństwo, gotowe do wyrzeczeń i poświęceń, kierowało się w większym stopniu wskazaniem Ewangelii, niż polityczną kalkulacją naprawy socjalizmu poprzez układy z władzą. Jakaż różnica, jeśli porównać tamten okres z obecnym stanem ducha i umysłów w wolnej i niepodległej III Rzeczypospolitej... Wzmocnienie pozycji Kościoła i renesans katolicyzmu w Czecho-Słowacji to przede wszystkim rezultat zmiany w postawie kardynała Tomáška, który — nie bez zachęty ze strony obecnego papieża — zdobył się na obronę tego co boskie.

Wydaje mi się, że polityczne sukcesy Kościoła w Polsce właśnie teraz — w postkomunistycznym okresie — ujawniają swój względny charakter. I dzieje się tak pomimo obecnego pontyfikatu. Moralną i społeczną sytuację w Polsce trudno uznać za budującą. Autorytetu Kościoła, wynikającego uprzednio z absurdalnej sytuacji politycznej — brak właśnie w dziedzinach, które decydują o moralnej integracji społeczeństwa. Demonstracje pod hasłem „Tu jest Polska nie Watykan! albo „czarna komuna!” były przecież przed 1989 r. nie do pomyślenia.

Sądzę, że jeśli Kościół katolicki w Polsce ma rzeczywiście spełniać rolę czynnika integrującego i przewodniej siły moralnej, wskazane jest wyjście poza dotychczasowe schematy politycznych ocen, powrót do ewangelizacyjnej pasji, jednoznacznych kategorii dobra i zła. Tuszowanie dwuznacznych kompromisów politycznych, kultywowanie różnych mitów i legend, utrudnia tylko przywrócenie społeczeństwu wartości i autorytetów moralnych, bez których będzie ono pogrążyć się w apatii i dezorientacji. Hagiografia i polityczna pedagogika nie może zastąpić szukania prawdy, której potrzeba jest immanentnym czynnikiem religijnego życia człowieka i której tak wiele miejsca poświęca w swym nauczaniu papież.

W pełni popieram natomiast zgłoszony przez p. Micewskiego postulat obiektywizmu. Nie czuję się jednak winnym naruszenia tej zasady przez fakt opublikowania w *Zeszytach Historycznych* dwóch nieznanymi dokumentów.

## MOJE SPOTKANIA Z KSAWERYM PRUSZYŃSKIM

### I.

Zaczął się od Kijowa. Późną jesienią roku 1933 Ksawery Pruszyński zjechał jako dziennikarz do naszego konsulatu w Kijowie celem zaznajomienia się na miejscu ze stosunkami sowieckimi.

Było to rok straszliwego — na skutek przymusowej kolektywizacji — głodu na Ukrainie. Pod przybranym nazwiskiem Mitkiewicz zajmowałem z ramienia Oddziału II stanowisko kierownika wywiadu wojskowego na terenie Ukrainy z siedzibą w Kijowie. Pruszyński zaś był świeżo opierzonym publicystą po ostatnich sukcesach dziennikarskich w Palestynie.

Konsulaty nasze na obszarach sowieckich były bardzo dziwną instytucją, czymś pośrednim pomiędzy klasztorem, więzieniem a domem wariatów.

Były klasztorem, gdyż wszyscy musieli mieszkać razem pod jednym dachem, podlegając regułom *quasi* zakonnym, wynikającym ze współżycia w wyjątkowej ciasnocie z małżeństwami zajmującymi poszczególne pokoje, korzystającymi z jednej łazienki i kuchni. Razem pracowali, razem jadali cztery razy na dobę, razem chodzili na spacery do pobliskiego Ogrodu Kupieckiego, wspólnie szli do opery, czy od święta do przeznaczonej dla cudzoziemców, specjalnie obsłużonej, doskonałej restauracji.

Były więzieniem, bo znajdowały się pod ścisłą obserwacją czujnego NKWD. Już wychodząc z drzwi byliśmy brani na muszkę i śledzeni bez ustanku. Ilu spacerowiczów, tyłu przylepiało się do nas agentów. Za samochodem konsula jeździł stale samochód bezpieczeństwa, a każdy nasz interesant, po wyjściu z konsulatu, był legitymowany. Na wprost konsulatu, na parterze, urzędowała stała obserwacja, liczna i w dzień i w nocy, gotowa do skoku.

Konsulaty, niestety, miały też wiele wspólnego z domem wariatów. Liczny i dwupłciowy personel, wskutek zenującej ciasnoty i chodzenia sobie po piętach, znajdował się w stanie chronicznego podniecenia i ustawicznych zadrażnień na tle zgoła ulotnych nietaktów czy mimowolnych uchybień. Drobne na

pozór dziwactwa indywidualne olbrzymiały pod presją nerwów. Było to w gruncie rzeczy wszystko śmieszne, ale bardzo doku-  
czliwe. Jedynym lekarstwem mogła być zmiana otoczenia,  
wyjazd na urlop. Już na dworcu kolejowym, z biletem w kie-  
szeni, każdy nabierał poczucia humoru i miłości bliźniego.

Poza pracowitym urzędowaniem i stylowym — wprowadzo-  
nym przez pozującego na arystokratę konsula — spożywaniem  
powszednich posiłków, spędzaliśmy resztę czasu na spacerach, na  
zwiedzaniu miejscowych zabytków i podmiejskich okolic, na  
chodzeniu do naprawdę wspaniałej opery, wreszcie plądrowaliśmy  
nałogowo liczne sklepy komisowe, sprzedające po wcale umiar-  
kowanych cenach dywany perskie, obrazy i wszelkie antyki,  
zazwyczaj porewolucyjnego pochodzenia.

Pruszyński i jego młodziutka żona byli dobrze przyjęci  
przez konsularne towarzystwo, a mili i serdeczni, zdobyli sobie  
wszystkie serca. Ksawery spędzał czas na studiowaniu ostatnich  
raportów konsularnych, gazet i broszur sowieckich, napraszając  
się na wyjazdy terenowe ze mną, wyjazdy samochodowe, które  
były podstawą mojej pracy wywiadowczej i którym poświęcałem  
większość mego czasu. Miały one często zasięg bardzo daleki,  
jak Odessa czy nawet Krym. Miałem szofera i wspaniały, jak na  
bezdroża ukraińskie, mały samochód, starego Forda. Jeździłem z  
zawodowym uporem, zaopatrzone w sztabowe mapy, aparat  
fotograficzny, kanistry zapasowej benzyny i nade wszystko —  
kosz z żywnością, żeby się uniezależnić od śmiertelnie wygło-  
dzonego terenu. Zabierałem więc ze sobą przy okazji Ksawerego.

Polubiliśmy z biegiem czasu Pruszyńskiego, którego nazywa-  
liśmy Kiciem, bo miał coś w sobie kociego, był bardzo swojski,  
a zarazem umiał pokazać czasem pazurki.

Wydało się niebawem, z jakim ściśle tajnym i wysoce ryzy-  
kownym zamiarem przyjechał Kicio do Kijowa. Pełen senty-  
mentu rodzinnego, postanowił skrycie odwiedzić miejsce, gdzie  
się urodził oraz skonfiskowany przez rewolucję majątek poło-  
żony na dalekim Wołyniu. Odradzaliśmy mu z całego serca tę  
wyprawę nie tylko ryzykowną, ale wręcz niebezpieczną, ze wzglę-  
du na sowieckie fatalne warunki podróżowania, zwłaszcza w  
zimie. Ani słuchał. Uparł się przy swoim i w tajemnicy przed  
konsulem przygotowywał się do podróży. Zakupił sobie typowo  
sowieckie, podwatowane zimowe urbanie, kozuch barani, czapę  
futrzaną i ciepłe buty. Pewnego poranka zniknął bez pożegnania,  
z plecakiem pełnym żywności i drobiazgów osobistych.

Przez trzy tygodnie był nieobecny. Zaczynaliśmy na serio  
niepokoić się o jego los, z czasem coraz bardziej.

Aż wrócił niespodzianie. Brudny, zarośnięty, wychudzony,  
zawszony, zaziębiony, ale szczęśliwy, że swego dopiął. Był w



skolektywizowanym majątku, mieszkał u wiernego „starego sługi”, poznał na własnej skórze warunki sowieckiego bytowania i, pomimo wszystko, odświeżył rozczulające wspomnienia lat dzieciennych.

Wszyscy żalowaliśmy Kicia i jego małżonki, kiedy po prawie rocznym pobycie wyjeżdżali z Kijowa. Żartowaliśmy, że po swojej książce „Palestyna po raz trzeci”, wyda nową „Sowiety po raz drugi”.

## II.

Na wiosnę roku 1939, w końcu marca, gdy jeszcze nie zacięły echa naszej, pełnej politycznego napięcia okupacji Zaolzia, spotkałem Pruszyńskiego w Bratysławie w jego normalnej roli dziennikarza. Było to już po zajęciu Pragi „z przyległościami” przez Niemców i po stworzeniu przez nich rzekomo niepodległej Słowacji. Jeśli chodzi o mnie, to po Anschlussie w roku 1938 zostałem przerzucony z robiących przyjazne miny Sowietów na Zachód, by bazując się na Czecho-Słowacji, z jej terenu prowadzić wywiad na jawnie już wrogie Niemcy.

Poszliśmy na śniadanie do hotelu Carlton, gdzie stale jadaliśmy. Wypadło nam miejsce na sali, niedaleko od zarezerwowanego stolika, przy którym zasiadał zazwyczaj ksiądz Tisso, premier słowacki.

Rozmawialiśmy żywo na tematy aktualne i bardzo w tym czasie palące. Tchnęło wojną na całego. Jako rasowy reporter, Pruszyński wyzywał się w pytaniach, ale moich wynurzeń zbyt mało nie słuchał, jakby miał swoje, dobrze przemyślane, ale niewesołe odpowiedzi. Mówił ze zbliżonym do tupetu aplombem, jak z katedry. Był znanym korespondentem krakowskiego *IKC*-a. Niedawno bawił w Hiszpanii i napisał ciekawą książkę o hiszpańskiej, ostatnio zakończonej krwawej wojnie cywilnej. Usposobienie zmienił, był pewny siebie, szorstki.

Różniliśmy się bardzo w czeskiej, ciągle aktualnej sprawie. Jako wojskowy, starałem się na próżno mu wytłumaczyć wyjątkowe walory geopolityczne Czechosłowacji, jako jedynej, wtedy już nieodwołalnie podważonej przez wypadki, naszej bazy strategicznej w przyszłej, tak niedalekiej wojnie z Hitlerem.

Niestety. Ksawery okazał się pod przemożnym wpływem swego pryncypała, zajadłego czechofoba, redaktora Mariana Dąbrowskiego. Nie było sposobu przekonać go.

Chciał zabiegać o wywiad z księdzem Tisso. Odradzałem, bo co mógł powiedzieć będąc pod niemiecką kuratelą?

A ja bym tak kategorycznie nie twierdził jak pan, nie prze-

sądzał wrogię do nas stanowiska Moskwy, na wypadek polsko-niemieckiej wojny. Przecież Moskwa doskonale wie, że Hitler jest takim samym, jeżeli nie większym wrogiem Sowietów — starał się Ksawery rozwiązywać nasze kolejne zagadki polityczne.

Wieczorem wyjechał z Bratysławy w świat. Rozstając się w Bratysławie, żaden z nas nie przypuszczał tak szybkiego biegu wypadków dziejowych, że już po pół roku spotkamy się we Francji jako rozbitki polityczne, że historia tak szybko da nam odpowiedź na wszystkie wątpliwości, jakie mieliśmy w Bratysławie.

### III.

Nie wiem, gdzie go wybuch wojny złapał, ale Pruszyński dopiero w listopadzie tegoż 1939 roku do Francji i zaciągnął się do formującej się tam polskiej armii. Oficerem rezerwy nie był, zatem musiał się zgłosić do podchorążówki w Coëtquidan, gdzie... ja, jako major, byłem już od końca września komendantem. Powitaliśmy się radośnie, ale wskutek przepełnienia nie byłem w stanie ulokować go w arystokratycznej błyszczącej nędzy, jak i inne kompanie podchorążówki, w 3-ej kompanii c.k.m., gdzie znajdował się ambasador Lipski i cała elita MSZ i naszej prasy. Dostał przydział do 11-ej komp., która stała opodal w Guer, małym zapleśniałym od jabłeczniaka miasteczku bretońskim, które ten sam Pruszyński opisał w swoim pięknym opowiadaniu pt. „Madonna Mikulińska”.

Zmaltretowani przez ciężkie przeżycia wojenne podchorążowie, z braku baraków wojskowych, z reguły kwaterowali po dziurawych i brudnych strychach prywatnych, podczas wyjątkowo surowej zimy 1939/40. Do przykrycia mieli płaszcze i nędzne pół koca, a sami nosili stare, znoszone, wyłatane mundury koloru *ex-horizon bleu*, wypalone przez zbyt mocne, kolejne dezynfekcje po każdym wcieleniu Bóg-wie-na-co chorych rekrutów, w międzywojennym czasie. Taka była dziadowska pod każdym względem francuska gospodarka, a sami Francuzi byli skąpi i goli i do Polaków uszczypliwie nastawieni. Może jeden kocioł żołnierski w Coëtquidan był na poziomie.

Pruszyński podobno ciężko przeżył klęskę wojenną w Polsce. Widziałem go nieraz smutnego i złamanego na duchu, zwłaszcza gdy zobaczył co się dzieje we Francji. Od polityki jednak nie stronił, choć zapalił się do wojska i wojny. Irytowała go wyjątkowa słabizna Francji, niechętnie „walczącej o Gdańsk”, co wyłożyło coraz silniej w tym beznadziejnym okresie *drôle de guerre*, drażniącym Polaków do żywego.

Ksawerego zapraszałem dorywczo na posiłki do naszego kasyna, gdzie gwarzyliśmy na tematy aktualne i historyczne. Interesowała go pierwsza wojna światowa, szukał w niej analogii i natchnienia. Nabrał ducha, kiedy zaczął systematycznie jeździć na weekendy do pobliskiego Paryża. Ożywił się, nawiązał wśród naszej skłóconej emigracji literackie, a później polityczne stosunki, głównie z Reginą, siedzibą efemerycznego rządu. Stał się zwolennikiem Sikorskiego, oddanego bezkrytycznie Francji i ślepo zwalczającego sanację.

Nowiutki samochód temu, kto potrafi rozgryźć gen. Sikorskiego. Nie znoszę antypaństwowego perwersyjnego ducha panującego w Reginie — oponowałem Ksaweremu. Zmarłych i nieobecnych łatwo szkalować. A te super służalcze obediencje wobec Francuzów? Przy równoczesnym, złośliwym obszczekiwaniu własnych rodaków? A sam wódz naczelny ma nazbyt dużo zainteresowań mało generalskich — opisywałem moje wrażenia paryskie. Grzebie się i lubuje w brudach, którym przypisuje charakter polityczny. Wojskowo jest oświecony przez bezpłciowego teoretyka Kukiela, a politycznie kierowany przez mściwego i krótkowzrocznego ministra Kota, bardzo tajemniczego Retingera i zaściankowego generała Modelskiego, który na carską modłę zorganizował sobie „Ochronę” w Reginie, gdzie prym wodzi bezwzględny Tokarz.

— Pan wszystko wie od podszewki, z jakiego źródła? — reagował Ksawery, szykując się sam do kolejnego wyjazdu do Paryża.

Z Paryża mogłem wysłać pomoc pieniężną mojej rodzinie w Warszawie, dzięki pośrednictwu protegowanego przez min. Kota konsula chilijskiego, Samsona Mikicińskiego, który okazał się operującym w Rumunii szpiegiem niemieckim. Był później porwany w Stambule przez nasz O II Nacz. Dow. i samolotem wywieziony do Palestyny. Głośna to była sprawa, ale przesyłki moje dochodziły doskonale.

Niebawem nadchodziły święta, mogłem Ksaweremu opowiedzieć z pierwszego źródła historijkę o próżności i snobizmie naszego wodza naczelnego. Na Boże Narodzenie miał do nas przyjechać prezydent Raczkiewicz wraz ze skłóconym z nim generałem Sikorskim. Na parę dni przed tą wizytą do Coëtquidan przybył w poufnej misji szef gabinetu, płk Mikulicz-Radecki, aby mnie jako dowódcę szkoły wtajemniczyć w arkana protokołu dyplomatycznego, mającego obowiązywać wobec dostojnych gości.

— Generał Sikorski nakazuje panu, żeby pan, składając raport wstępny, meldował się nie tylko panu prezydentowi, ale i generałowi Sikorskiemu, kolejno zwracając głowę i mówiąc: panie

prezydencie, panie generale — pouczał przyjezdny dygnitarz.

— To jest wbrew obowiązującym regulaminom — mówiłem. — W wojsku jest zawsze jeden najstarszy i ten występuje na czoło i przyjmuje raport od „dowódcy całości”.

— Właśnie nie, w naszym wypadku obaj dostojnicy wysuną się na czoło i razem, kolejno, będą przyjmować raport — zakonkludował wysłaniec urzędowy.

Pruszyński, nie bez pewnej hipokryzji, osłaniał Sikorskiego, bardziej dowcipnie niż logicznie. I stało się, jak chciał Paryż.

Czas leciał. Pruszyński ćwiczył się przykładowo i rwał się na front. Okazja szybko się nadarzyła, jeszcze przed zakończeniem kursu podchorążówki. Pojechał z Brygadą Podhalańską pod Narwik.

Ja zaś, jeszcze wcześniej, bo w kwietniu 1940, opuściłem Francję, ale w przeciwnym zupełnie kierunku, mianowany szefem naszego wywiadu na Środkowym Wschodzie z siedzibą w Bejrucie, Jerozolimie i Kairze. Ta moja rola, to był naprawdę *Titel ohne Mittel*, zwłaszcza że miałem przyznany miesięczny, nad wyraz skromny, budżet, więc całe moje prosperowanie w przeszłości, na tak rozległej przestrzeni, musiało zależeć wyłącznie od moich dobrych stosunków służbowych i towarzyskich z rządzącymi wtedy na całym Środkowym Wschodzie Brytyjczykami, bardzo podczas tamtej wojny imperialnymi.

#### IV.

Wojna posuwała się w tragicznych skokach. Najpierw upadła — przereklamowana jako potęga wojenna — Francja, później przyszły potworne bombardowania Anglii, jeszcze później okupacja przez Niemców Jugosławii i Grecji oraz niespodziane zagrożenie Egiptu przez dywizje pancerne Rummla. Wreszcie, 21 czerwca 1941 roku, raptem Hitler uderzył na Sowiety, które stając się sojusznikiem Zachodu, dały nam błysk nadziei na zwycięstwo w odległym bardzo czasie, gdy tymczasem pierwsze miesiące wojny niemiecko-sowieckiej były nieustannym ciągiem klęsk sowieckich. Dla nas jednak wejście Sowieców do grona aliantów wywołało fatalną zmianę sytuacji politycznej, na gorsze, bowiem o wszystkim zaczęła decydować wroga nam Moskwa.

Niemal od razu na starcie, będąc na kłującym w oczy stanowisku szefa naszego wywiadu na skrzyżowaniu trzech kontynentów, naraziłem się ministrowi Kotowi i jego rozpanoszonemu w terenie czeladnikom. Taki stan napięcia trwał i falował przez prawie dwa lata. Nie byłem więc zaskoczony, gdy w początkach

stycznia 1942 Sikorski, jako protektor Kota, wracając z Sowie-  
tów, w przejeździe przez Kair zwolnił mnie ze stanowiska.

Odszedłem najpierw — dla uaktualnienia swojej wiedzy  
wojskowej — na angielski kurs w pobliskim Heliopolis, po  
czym zostałem szefem sztabu 3-ej brygady w tej samej Karpac-  
kiej Dywizji, która po sukcesach na pustyni libijskiej została  
rozbudowana z brygady na trzybrygadową dywizję. Przeniesiona  
do Palestyny, szkoliła się pilnie przed wyjściem na front.

Pewnego poranka otrzymałem nadany z Jerozolimy, z  
naszego konsulatu, krótki fonogram, że radca Ksawery Pruszyń-  
ski, w przejeździe z Moskwy do Londynu, chce mnie widzieć,  
zapowiadając swoją wizytę w obozie na późne popołudnie. Cóż  
za przyjemne zaskoczenie i dowód pamięci.

Ale mój pułkownik Jastrzębski, który sam ostatnio przyje-  
chał z Anglii, obruszył się usłyszawszy nazwisko Pruszyńskiego.

— Pruszyński? Ładna znajomość, ładnie smarował wojsko  
nasze po gazetach w Londynie. Winszuję.

— Najlepiej chyba zrobię — radziłem się swego dowódcy  
— jeżeli zamiast do naszego śpiącego w nocy kasyna, zaproszę  
Pruszyńskiego do restauracji w Tel-Awivie?

Tak też się stało. Ledwo siadł w samochodzie, Pruszyński z  
całym ożywieniem, reporterskim zwyczajem, zarzucił mnie szere-  
giem pytań. Przy pierwszym, mniej dyskretnym temacie, wskaza-  
łem ręką szofera, dając do zrozumienia, że zapytanie jest lepiej  
odłożyć na później.

— Widać starego dwójkarza na każdym kroku — dociął z  
uśmiechem dawnego Kicia.

Zajechaliśmy do przytulnej, dobrze mi znanej restauracji,  
gdzie zaczęliśmy od staropolskiego śledzika i wódki. Tu nas  
spotkało miłe zaskoczenie, gdy zaprzyjaźniony restaurator z  
tryumfem wyciągnął z lodówki butelkę oryginalnej „Perły”  
Baczewskiego. Taki symbol bajecznej przeszłości?

— To jest ostatnia butelka, jaką znalazłem przypadkiem, to  
przecież Baczewski, to przecież ze Lwowa, tego już nie zoba-  
czymy prędko — mówił cmokając zachęcająco nad czekającą nas  
kolacją.

Jedząc, rozmawialiśmy bez przerwy z Ksawerym. Przecież  
jechał z Moskwy, która stała się przemożnym centrum polity-  
cznym świata. A dla nas linia Moskwa-Londyn była żalosną  
łamiączką. Na pozór szeroko kwestionowana umowa lipcowa  
była w stanie realizacji, ale równocześnie ta sama Moskwa kate-  
gorycznie nie uznawała obywatelstwa polskiego naszych pocho-  
dzących zza linii Curzona wygnańców. Taki dylemat był nie do  
rozwiązania, dzieląc nas na dwa politycznie zaczące obozy.

O nastrojach w naszej ambasadzie mówił Pruszyński też źle. Anders kłócił się z Retingerem i Kotem. Wydawało się, że cała polityka Sikorskiego wali się. Pasja opowiadania porwała Ksawerego, przecież zwolennika porozumienia polsko-sowieckiego. Z siedzącej w ambasadzie ekipy wojskowej też nie był zadowolony. Generałowie Wolikowski, Szyszko-Bohusz, Anders, dawni carscy oficerowie, byli tacy, siacy i owacy, nie dogadzali mu, chciał odmłodzić ekipę i na deser zaproponował mi stanowisko pomocnika *attaché* wojskowego w Moskwie... Zachnąłem się, bo przecież ambasador Kot itd. Poza tym w wojsku czułem się jak najlepiej i „dekować się” nie zamierzałem.

— Wiedząc o pańskiej głębokiej znajomości stosunków sowieckich, przekonałem ambasadora i wiozę do Londynu jego list — świadczył się Pruszyński, nie wiedząc, że ten sam Sikorski tak niedawno usunął mnie ze stanowiska w Kairze. Uśmiełem się z przyjaznej, ale niezyciowej propozycji, tym mniej zachęcającej, że ten sam Pruszyński — przyjaciel — już nie zamierzał wrócić do Moskwy.

Kolacja posuwała się z dużą serdecznością i swadą, choć Ksawery nie taił swoich poglądów na konieczność porozumienia z Sowietami, tym wielkim, ale przecież fałszywym aliantem w walce na śmierć i życie z Hitlerem. A zwycięstwo bez Sowietów? Nie wiem, nie wiem...

Odwiozłem Pruszyńskiego do hotelu w Jerozolimie, skąd nazajutrz miał lecieć do Kairu i dalej do Londynu w poszukiwaniu nowych przeznaczeń życiowych. Więcej już nie spotkał się w życiu.

Do Ksawerego miałem dużo sentymentu, a niniejsze wspomnienia pisałem z właściwą memu wiekowi nostalgią do rzeczy minionych, pisałem realnie i z sercem, może lżej niż było.

Władysław MICHNIEWICZ

## LISTY DO REDAKCJI

### Do Redaktora *Zeszytów Historycznych*

W związku z życzliwą oceną przez prof. P. Wandycza mojej książki „Dyplomacja polska na obczyźnie 1939-1941” (ZH 100, s. 198-201) pragnę wyjaśnić pewne miejsca w tej książce, które spotkały się z krytyką ze strony Recenzenta, popartą zacytowaniem miejsc, które wyrwane z kontekstu lub nie zestawione z innymi twierdzeniami, mogą wyrzucić na czytelniku recenzji wrażenie mylne.

1. Recenzent na s. 200 stwierdza, że mam „stosunek krytyczny do polityki zagranicznej rządu Sikorskiego”. Tak można sądzić istotnie z wielu miejsc w książce, ale nie ma w niej ustosunkowania się wyłącznie krytycznego. Przeciwnie, książka podkreśla także sukcesy tej polityki, zwłaszcza w stosunkach polsko-brytyjskich w okresie do lata 1941 r., na którym to okresie książka się kończy. Sam August Zaleski niestety popełniał także błędy, których uniknąć może nie potrafił (największym był kompromitujący udział w intrydze przeciw gen. Sikorskiemu po przybyciu do Anglii latem 1940 r.).

2. Szczególnie podkreślił Recenzent na s. 200 cytując moje wyrażenia ze stron 207 i 306 książki o „ślepcie politycznej” Zaleskiego wobec Włoch po ich przystąpieniu do wojny oraz o „braku realizmu” u amb. Raczynskiego w stosunku do sprawy rewindykacji ziem wschodnich od Sowietów. Zarzut pierwszy, wiążący się z naiwną wiarą w r. 1940 Zaleskiego, że Włochy mogłyby dopomóc Polsce w przyszłej konferencji pokojowej, jest chyba nie do końca przemyślany.

3. Ważniejsza jest sprawa druga, łącząca się z moim twierdzeniem o braku realizmu w rządzie na obczyźnie w stosunku do Sowietów i do szansy odzyskania ziem wschodnich (książka moja nie dochodzi do okresu wykrycia zbrodni katyńskiej, o której Recenzent także wspomina). Otóż sądzę, że rząd polski zbyt mocno przeceniał wagę własną w strategii aliantów zachodnich w zestawieniu z ewentualnością wojny sowiecko-niemieckiej. Pewne było, że pozyskanie Moskwy dla wspólnej walki przeciw hitlerowcom było w oczach aliantów zachodnich celem tak ważnym, że wzgląd na interesy polskie dla najpierw Paryża i Londynu, a potem Londynu i Waszyngtonu nie odgrywał w tym wypadku żadnej roli. Alianci zachodni byli za restytucją Państwa Polskiego, ale od samego początku wojny byli zdecydowani nie obstawać przy polskich granicach z roku 1939. Toteż wiara Sikorskiego, Zaleskiego i innych, że przedwojenną granicę wschodnią da się odzyskać, była na pewno brakiem poczucia realizmu. A jeśli do tego dodamy wysunięcie ewentualności, że Polska „mogłaby o tę granicę prowadzić wojnę” (s. 306 mojej książki), to naprawdę trzeba tu użyć określenia *wishful thinking*.

Coś więcej jeszcze; ale to już przekracza ramy czasowe mojej książki. Istniała także mogąca być w skutkach najbardziej dla nas tragiczną ewentualność: że dojdzie do oddzielnego pokoju między Moskwą a Berlinem. W interesie polskim nie leżało, by zadrażnienia w związku ze sprawą polską nasuwały Stalinowi takie myśli. Toteż, chociaż nowych powodów do zadrażnień przybywało właśnie ze strony sowieckiej, kwestią mądrości politycznej było: dla dobra wspólnej sprawy być wyższym nad barbarzyński prymitywizm Wschodu. Gdyż nic więcej niż układ z 30 lipca 1941 w żadnym wypadku osiągnąć nie było można. I w tym duchu założona jest ocena całej polityki zagranicznej rządu gen. Sikorskiego w mojej książce.

Henryk BATOWSKI

9 IX 1992

Szanowny Panie Redaktorze!

Pan Andrzej Bogusławski, *Zeszyty Historyczne*, zeszyt CI, str. 216, sugeruje, iż dobrze byłoby mieć biogram Leonarda Zub-Zdanowicza, jednego ze skoczków do kraju w czasie drugiej wojny światowej. Zanim to nastąpi, niech będzie mi wolno podać kilka szczegółów, które może się przydadzą przyszłemu autorowi tego biogramu.

Leonard Zub-Zdanowicz, pseudonim konspiracyjny „Ząb”, pochodził ze Żmudzi. Przed wojną nie należał do żadnej partii politycznej. W roku 1935 skończył prawo w Lublinie. Z Polski wyszedł na Boże Narodzenie roku 1939, w lutym był już we Francji. Brał udział w wyprawie na Narwik. W roku 1941 zgłosił się na skoczka do kraju. Skoczył 1 września 1942 pod Piasecznem. Złamał wtedy nogę, odbierający go oddział AK umieścił w najbliższej leśniczówce, która była placówką NSZ. Jak stwierdził na samym początku współpraca dołów była bez zarzutu. Z leśniczówki przewieźli go do Zalesia Górnego, gdzie leżał dwa tygodnie, następnie NSZ przewiózł go do szpitala w Warszawie. Po wyjściu ze szpitala mieszkał na ulicy Rakowieckiej, ciągle bez przydziału, ale utrzymując stosunki z NSZ. Zaczął pracować zarobkowo. W maju 1943 roku spotkał swego kolegę uniwersyteckiego Stanisława Żochowskiego, szefa sztabu NSZ i pułkownika Czesława Oziewiczza, znajomego jeszcze sprzed wojny. Proponują mu wejście do ich konspiracji, dają do wyboru formujący się batalion w Warszawie lub oddział partyzancki w Lubelskiem. Na początku lipca, ciągle bez przydziału, melduje swoim przełożonym w AK, iż ma dość bezczynności i że odchodzi do partyzantki NSZ. 23 lipca objął po rannym „Robercie” oddział w sile 33 ludzi. 7 sierpnia, po kilku akcjach antyniemieckich, pod Borowem doszło do starcia z partyzantką rosyjską. Była to banda 32 ludzi dowodzona przez trzech oficerów rosyjskich, przyznali, iż była to kompania kadrowa tak zwanej Armii Ludowej. Zdobyto wtedy cenne 3 rkm. Akcja ta odbiła się głośnym echem po wsiach lubelskich męczonych przez bandy komunistyczno-rosyjskie. Napływ ochotników pozwolił na stworzenie trzech oddzielnych oddziałów po ponad 100 ludzi każdy. Ścisłe stosunki z Zębem nawiązały wtedy bataliony Chłopskie, które dostarczyły kozuchów i butów, i AK. I jedni i drudzy nadawali miejsca postoju skoczków rosyjskich i band komunistycznych. Wziętych do niewoli Rosjan kazał rozstrzeliwać, po odkryciu w Katyniu nie mogło być



inaczej. W październiku dołączyła grupa 14 uzbrojonych Gruzinów, uciekinierów z armii niemieckiej. Po kilku akcjach pod koniec listopada zdecydowali wrócić do armii. W pierwszych dniach października Niemcy urządzają wielką akcję przeciwko Zębowi, cała załoga Biłgoraju wyszła na niego, korzysta z tego oddział AK „Żegoty” i uwalnia tamtejsze więźnie.

W styczniu 1944 roku Niemcy zapraszają na rozmowy Zęba i miejscowych oficerów AK. Proponują wspólny front przeciwko Rosji, Polacy odpowiadają, iż nie mają w tym względzie żadnych upoważnień, ale że przekażą treść rozmów swym władzom. Była to dla Zęba pierwsza rozmowa z Niemcami, będzie miał ich więcej jako szef sztabu Brygady Świętokrzyskiej. Niemcy nie byli szczerzy w swych rozmowach, gdyż w kilka dni potem, 2 lutego, uderzyli dużymi siłami na oddziały NSZ, atakującą piechotę wspomagały samoloty.

W drugiej połowie lutego zjawia się silny zagon rosyjski w sile około 2.000 dusz. 22 lutego dochodzi do spotkania z ich dowódcą. Przedstawia się jako przyjaciel NSZ i prosi o pomoc w rozpoznaniu na Stalową Wołę, którą chce zniszczyć. Po rozmowie Ząb szybko przechodzi na inne miejsce postoju. W czerwcu jest wezwany do Warszawy na narady jak uchronić ludność polską od dalszych mordów ukraińskich. Odpowiada, iż one są wynikiem współdziałania ukraińsko-rosyjskiego i że partyzantka NSZ jest za słaba, by zwalczać jednocześnie obu wrogów, tym bardziej, iż w Polsce są już regularne wojska rosyjskie.

Wraca do oddziału, po drodze wpada w ręce bandy komunistycznej. Jeden z jej członków pracował w wywiadzie NSZ, od razu opuścił oddział, napotkał Niemców którym powiedział o jakimś oddziale partyzanckim stojącym w lesie. Niemcy od razu zdecydowali się na akcję. W momencie uderzenia prowadzili go już na stracenie. Przypomniał mu się podstęp, jaki zastosował do niego oficer rosyjski prowadzony na egzekucję: przed salwą poprosił, czy może się wysuszać, Ząb się zgodził i odruchowo kazał mu odejść nieco w bok, by nie na miejscu rozstrzelania. Nastąpił moment odprężenia, oficer zrobił krok w bok, następnie skoczył i uciekł w las. Identyfikacje to samo powtórzyło się obecnie.

Ząb wrócił do Warszawy po nowe papiery, został skierowany w kieleckie gdzie formowała się brygada, został szefem jej sztabu.

Należy może dodać, iż na wiosnę 1947 roku Tadeusz Bielecki, prezes Stronnictwa Narodowego, oświadczył Zębowi, iż Stronnictwo nie miało nic wspólnego z NSZ i nie jest za niego odpowiedzialne. Opinię tę powtórzył kilka lat potem niżej podpisanemu.

Łączę wyrazy szczerego szacunku i poważania

*Stanisław BÓBR-TYLINGO*

Ottawa, 11 październik 1992 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Jak zwykle, z wielkim zainteresowaniem przeczytałem sto pierwszy numer *Zeszytów Historycznych*. Cenię bardzo utrwalanie przez to pismo przeszłości historycznej Polski, okresu, w tworzeniu którego i ja też w pewnym stopniu brałem udział.

Z zainteresowaniem przeczytałem „Okruh historii” dotyczący „Cichociemnych”. Zaskoczył mnie jedynie krytyczny biogram, dotyczący mego przyjaciela i towarzysza walk partyzanckich, Leonarda Zub-Zdanowicza ps. Ząb.

Zaden z dwóch wymienionych w „Okruhu historii”, we wzmiance o Zębie, K. Tochman i J. Tucholski, ani też autor „Okruhu” nie miał okazji zapoznać się z książką Lesława Jurewicza pt. „Zbrodnia czy początek wojny domowej”, wydaną w Londynie w 1980 roku. Przede wszystkim z wprowadzeniem do niej, którym jest wywiad autora książki z płk. Zub-Zdanowiczem. I również z rozdziałem „Konkluzja” w zakończeniu książki.

Zrzucony 1 września 1942 roku ze spadochronem w Polsce, spadł Ząb na drzewo i złamał nogę. Podjęła go placówka ZWZ i przekazała na melinę Narodowych Sił Zbrojnych. Po dwóch tygodniach przeniesiono go do Warszawy, gdzie, po wyleczeniu nogi, starał się przez dłuższy czas o jakiś przydział w ramach „Wachlarza”, do udziału w którym został do Polski zrzucony. Bez rezultatu. Prosił więc o pozwolenie wzięcia udziału w partyzancie, w Kieleckiem. Podobnie jak i innym spadochroniarzom, odmówiono mu mimo wielokrotnych prób.

W końcu wiosny 1943 roku odbyły się rozmowy Zęba z szefem sztabu NSZ, który zapewnił go, że płk Czesław Ignacy Oziewicz, dowódca NSZ, bierze na siebie przeprowadzenie formalnego przeniesienia do NSZ Zęba, którego znał jako dowódca dywizji, w której Ząb walczył we wrześniu 1939 roku.

Wydaje mi się, że w tych warunkach trudno oskarżać Zęba o „dezercję”. Zrzucony do Polski, by o jej sprawy walczyć, został odstawiony na bok bez żadnych zadań. Mając możliwość wejścia do walki, zdecydował się włączyć w akcję partyzancką NSZ-u. Rozmowy między AK i NSZ o zjednoczeniu były w tym momencie na dobrej drodze i gdyby nie aresztowanie płk. Oziewicza przez Niemców, NSZ byłoby może już wkrótce częścią AK. Dalsze rozmowy doprowadziły do podpisania umowy, zerwanej natychmiast dzięki obecności w dowództwie AK ludzi takich jak Muzyczka, późniejszych dygnitarzy PRL-u.

Z tego samego źródła płynęło oskarżenie Zęba o „bratobójstwo”, bo dowodząc oddziałem partyzanckim NSZ, walczył o sprawę polską, zarówno z Niemcami jak i z sowieciarzami i ich sługami, polskimi komunistami.

No i likwidował bandy rabunkowe, podające się za partyzantów organizacji niepodległościowych, a powodujące szkody dla ludności polskiej i krwawą reakcję Niemców.

Sprawy te omawia autor książki „Zbrodnia czy początek wojny domowej” w swojej „Konkluzji”.

Piszę ten list, by uświadomić czytelnikom *Zeszytów Historycznych*, że ppłk Leonard Zub-Zdanowicz (ps. Ząb) zasłużył się sprawie polskiej, a nie popełnił zarzucanej mu zbrodni. Zmarł 12 sierpnia 1980 roku w Stanach Zjednoczonych. Cześć jego pamięci!

Łączę wyrazy szczerego poważania i życzę dalszego powodzenia w wydawaniu tak wartościowych rzeczy jak *Kultura* i *Zeszyty Historyczne*. No i masę książek.

Szczerze oddany

W.M. MARCINKOWSKI  
ppłk NSZ jaxa

Szanowny Panie Redaktorze

Również i my z tzw. mieszanymi uczuciami przeczytaliśmy list p. Witolda Pronobisa. Tym bardziej mieszanymi, iż jego Autor starannie pominął wszystkie nasze zarzuty, dotyczące kwestii faktograficznych i warsztatowych, „etykietował” nas natomiast politycznie. Ta metoda dyskusowania przypomina nam praktyki minionego okresu. Dlatego też podkreślamy raz jeszcze: zrecenzowana książka zawiera szereg istotnych błędów warsztatowych i merytorycznych, my zaś wyliczyliśmy tylko niektóre spośród nich. Możemy wymienić ich więcej, ale po co? Wydaje nam się, że książkom pisanym obecnie, bez nacisku cenzury, należy stawiać wysokie wymagania zwłaszcza w powyższych kwestiach — tym bardziej, że książka ta według Autora powinna spełniać rolę podręcznika. Stwierdziliśmy w naszej recenzji, iż jest bardzo dobrze, że ukazują się książki pisane z pozycji antykomunistycznych; tym więcej jednak należy wymagać od ich autorów. W przeciwnym wypadku dojdzie do niezbyt normalnej chyba sytuacji, kiedy po szereg informacji czytelnik — chcąc nie chcąc — zmuszony będzie sięgnąć do książek powstałych w okresie PRL. Zjawisko to, naturalne w badaniach naukowych dotyczących poszczególnych, często bardzo specjalistycznych problemów, nie jest jednak dobre w przypadku książki adresowanej do młodzieży szkolnej. Aby nie być gołosłownym: dlaczego mapkę Polski okresu międzywojennego można znaleźć w jakiegokolwiek encyklopedii wydanej w PRL, natomiast nie ma jej w książce W. Pronobisa? Dlaczego mapkę ukazującą szlak bojowy 2-go Korpusu, czy też innych formacji polskich na Zachodzie znajdziemy w PRL-owskich książkach, zamiast w tej? Dlaczego brak spójnego omówienia postanowień Traktatu Wersalskiego? Dlaczego nie ma ani słowa o działaniach wojennych na Dalekim Wschodzie w okresie II wojny światowej? Takich pytań można zadawać dziesiątki. Zamiast tego mamy nonsensy, jakoby żołnierze AK w trakcie „Burzy” w 1944 r. zajęli „kilka dużych miast, jak Lwów i Wilno”. Każdy historyk wytknie te błędy. Piszemy o tym tylko dlatego, żeby podkreślić, iż nic nas z sugerowaną przez p. W. Pronobisa opcją nie łączy i zarzucamy jego książce usterki merytoryczne, a nie polityczne.

Sprawa ma jeszcze jeden aspekt: jesteśmy pracownikami oświaty, jeden z nas pracuje w liceum, drugi w uniwersytecie. Zdajemy więc sobie doskonale sprawę, ile błędów, często wręcz kuriozalnych, zawierają wypracowania i wypowiedzi kandydatów na wyższe uczelnie. Istnieje niebezpieczeństwo, że błędy zawarte w opracowaniach typu p. Pronobisa, powtarzane przez młodzież, będą negatywnie rzutowały na przebieg egzaminów. Stąd też, zawarte w naszej recenzji wołanie o jak najszybsze wydanie nowych, dobrych podręczników historii najnowszej. Jest to rzecz wielkiej wagi, bowiem zastępowanie opracowań nasiąkniętych propagandą przez książki nowe, ale pełne merytorycznych błędów nie rozwiąże problemu. Dlatego też konieczna jest krytyczna naukowa (a nie polityczna) dyskusja i krytyczne podejście do pracy p. W. Pronobisa, aby w następnych wydaniach usterki te były usunięte.

Wydaje nam się, że nową, solidną wersję historii należy prezentować młodzieży w taki sposób, aby zostały wypełnione luki, spowodowane przyczynami politycznymi. P. W. Pronobis pisze o wniosku, „który siłą faktów narzuca się z lektury mojej książki: że [komunizm — przyp. AG, GM] był zły, zbrodniczy (...)”. Nam to nie wystarcza — nie chodzi o stwierdzenie tego oczywistego faktu — należy w sposób możliwie najpełniejszy przedstawić skomplikowany obraz sprawy polskiej w XX wieku, przy wiernym i dokładnym prezentowaniu wydarzeń. I to wystarczy nie tylko dla zrozumienia

zła komunizmu, ale też najważniejszych faktów z naszej najnowszej historii.

Jednym z elementów wzajemnego niezrozumienia między nami, a p. W. Pronobisem jest wprowadzenie przez nas kwestii zgodności antykomunizmu z polską racją stanu. Swoją drogą — gdyby p. W. Pronobis zacytował całe sformułowanie, prezentując dokładnie cytowaną myśl, to nie miałyby wątpliwości co do sensu naszych słów. Antykomunizm był według nas realizacją celów politycznych konkretnych państw, nie każdy jednak pokrywał się z interesami polskimi. I zostawiając już na boku kwestie komunizmu i antykomunizmu — należy zastanowić się po prostu nad polskim interesem narodowym. Ponieważ antykomunizm w Polsce miał charakter bardziej lub mniej rozwiniętej samoobrony narodu przed zniewoleniem, na tym według nas polegała jego zasadnicza rola i dlatego właśnie trwała walka z komunizmem, a nie tylko dlatego, że miał on charakter zbrodniczy w metodzie sprawowania władzy. Sprawa jest więc naszym zdaniem raczej nieporozumieniem. A tak nawiasem mówiąc, z punktu widzenia jakiej racji stanu młodzież w Polsce ma dokonywać oceny wydarzeń swej historii, w tym też faszyzmu i komunizmu?

Wreszcie ostatnia kwestia: nie zamierzamy ani „podważać kompetencji”, ani „obrażać” pracowników Ministerstwa Edukacji Narodowej; wyrażamy tylko zdziwienie i zaniepokojenie, że książkę p. Witolda Pronobisa zawierającą tak wiele usterek MEN dopuściło jako lekturę uzupełniającą do szkół, chociaż tego typu pozycjom należy stawiać szczególnie wysokie wymagania, ponieważ obok podręczników stanowią podstawowe źródło wiadomości. Inne są również przyczyny i skutki decyzji Ministerstwa, niż je rysuje p. W. Pronobis: wiadomo już od lat, iż książki zalecane przez Ministerstwo sprzedają się najlepiej; dzięki decyzji resortu ponad ćwierć miliona egzemplarzy znalazło nabywców.

Andrzej GRZYWACZ, Grzegorz MAZUR

27 lipca 1992

Szanowny Panie Redaktorze,

Aczkolwiek p. Kazimierz Karnkowski uparcie wzywa do odpowiedzi przy tablicy Jaroslava Valentę (list do *Kultury* w nrze 6/1992) to — ponieważ już włączyłem się do polemiki — spróbuję dostarczyć dowodów, że Beck chciał celowo szkodzić Czechosłowacji.

Pod datą 11 czerwca 1935 r. notował Jan Szembek wypowiedź Becka (*Diariusz i teki...*, tom I, s. 312): „Następnie B. przechodzi do omawiania naszej akcji dywersyjnej w Czechosłowacji, tzn. na Słowaczczyźnie i na Rusi Przykarpackiej. Podkreśla, że jeżeli wszystkie dostępne nam dane wskazywałyby, że rozkład Czechosłowacji nie jest prawdopodobny w najbliższej przyszłości, to nasza akcja dywersyjna na tym terenie musiałaby ulec pewnemu przytłumieniu. [...] Beck jest również zdania, że poseł nasz w Pradze winien być osobiście w akcji tej jak najmniej zaangażowany”.

Szczegółów na temat tej akcji nie odnalazłem w archiwach; być może, są w aktach wywiadu udostępnionych historykom w ostatnich czasach. W dokumentach dyplomatycznych natomiast zachowały się obfite materiały dotyczące opłacania ks. Fencika, działającego na Rusi Podkarpackiej, którego partia służyła jako instrument dla penetracji polskiej. Nie wydaje się jednak, by o tej sprawie mówił Beck w rozmowie z Szembekiem.

31 stycznia 1938 r. Ilečko — wysłannik Karola Sidora, działacza partii Hlinki — odwiedził MSZ w Warszawie i mówił, że autonomia Słowacji już nie może wystarczyć. Od Zygmunta Vetulaniego usłyszał w odpowiedzi m.in.: „Polacy uważają Słowaków za dojrzały politycznie naród, zdolny do stanowienia o sobie i z radością zawsze przywitają wszelkie pomysły dla Słowaków ułożenie się ich spraw”. (AAN, MSZ 5454, k. 35)

28 marca 1938 r. poseł polski w Pradze Kazimierz Papée polecił konsulowi w Bratysławie Wacławowi Łacińskiemu udać się do ks. Andrzeja Hlinki i oświadczyć m.in., że Polska „interesuje się w sposób życzliwy wszelkimi objawami formowania się państwowości słowackiej”. Polecenie zostało wykonane 3 kwietnia; Hlinka powiedział wówczas m.in.: „Prawdopodobnie rozjeżdżamy się. Wszyscy dobrzy patrioci słowacy walczyli z Czechami”. (Z. Landau, J. Tomaszewski, *Monachium 1938*, s. 67, 77).

Między 19 a 21 października 1938 r. Sidor rozmawiał w Warszawie z dyplomatami (także z Beckiem), usiłując uchronić Słowację od utraty ziem żądanych przez Polskę. Usłyszał od Szembeka: „Gdybyśmy mieli do czynienia z samodzielnym państwem słowackim, nie robiłaby kwestia ta trudności, gdyż niepodległej Słowacji nie stawialibyśmy nigdy żądań terytorialnych”. (Wspomnienia P. Carnogurskiego, *Slovenský přehled 1968* nr 6, s. 503.)

Te trzy dokumenty dowodzą, iż polska dyplomacja co najmniej od stycznia 1938 r. usiłowała skłonić polityków słowackich, by zerwali więzi z Czechami, czyli zniszczyć Republikę Czechosłowacką. Słowacy uczynili to dopiero pod bezpośrednim naciskiem niemieckim.

Wbrew p. Karnkowskiemu nadal uważam, że wiosną 1938 r. pytanie o możliwości obrony Czechosłowacji przed III Rzeszą pozostawało otwarte, natomiast słabą stroną wyposażenia armii czechosłowackiej było lotnictwo. Dostarczenie samolotów nie ustępujących wówczas lotnictwu niemieckiemu miało więc istotne znaczenie. Dla usunięcia wątpliwości dodam, że dostarczano broń, lecz nie żołnierzy radzieckich, zaś broń ma to do siebie, że sama, bez obsługi, nie może dokonywać aneksji. Jak wynika z dokumentów (opublikowanych w *Z Dziejów Rozwoju Państw Socjalistycznych 1983* nr 1), zahamowaniem dostaw broni z ZSSR interesowali się bardzo dyplomaci niemieccy. Nie było wprawdzie formalnego porozumienia polsko-niemieckiego, lecz także i w tej kwestii dyplomaci obu tych państw wymieniali informacje i współpracowali nieformalnie ze sobą. Nie sądzę, by Beck czynił to *nieświadomie* oraz *niecelowo*.

Stwierdzenie, że nie istniało formalne porozumienie Polski z III Rzeszą przeciwko Czechosłowacji nie jest szczególną rewelacją. Natomiast uważna lektura dokumentów opublikowanych zarówno w Polsce, jak w Londynie prowadzi do wniosku, że istniało porozumienie nieformalne. To znaczy politycy polscy już na początku 1938 r. dali do zrozumienia rozmówcom niemieckim, iż nie będą przeszkadzali w aneksji Austrii oraz w okrojeniu Czechosłowacji, pod warunkiem uszanowania polskich interesów gospodarczych w tym pierwszym państwie (tak się nie stało) oraz interesów terytorialnych w drugim (to Rzesza uwzględniła).

Zgadzam się, że istnieć mogły przesłanki do niezadowolonia Polaków na czeskim Śląsku z powodu ich położenia, zwłaszcza na początku lat trzydziestych, gdy rozpoczął się wielki kryzys. Dokumenty jednak ujawniają, że za manifestacjami *antyczeskimi* w 1934 r. (proszę sprawdzić choćby relacje prasy polskiej) stała inspiracja polskiej dyplomacji. Powiedzmy więc tak: warunki sprzyjały manifestacjom, a polscy dyplomaci wykorzystali sytuację, by doprowadzić do ich zorganizowania.

Wreszcie kwestia ostatnia, tylko pozornie drobna. Teza, iż „Polska [...]

nie wierząc w trwałość Czechosłowacji zawsze twierdziła, że liczy na powrót tego okręgu [czyli Zaolzia — JT] do Polski” jest bezpodstawna. Fakt, że Józef Piłsudski oraz część jego zwolenników nie wierzyli w trwałość Czechosłowacji, nie jest równoznaczny ze stanowiskiem *całej* Polski. Wielu innych polityków i dyplomatów miało zdanie odmienne.

Na marginesie dodam, że w badaniach historycznych staram się nie być jakimkolwiek *-filem* ani też *-źercą*, usiłuję natomiast poznać źródła i wyciągać z nich logiczne wnioski. Sądzę też, że wprowadzanie tego rodzaju wątku do poważnej dyskusji jest raczej zbyteczne.

Łączę wyrazy poważania

Jerzy TOMASZEWSKI

Paryż, 11 października 1992 r.

Drogi Panie Redaktorze!

Wśród różnorodnych organizacji kombatanckich w Polsce (jest ich już ponad sto) i niemniej różnej ich działalności, na wyróżnienie zasługuje udana inicjatywa małego grona bezinteresownie pracujących osób, uwieńczona uroczystym otwarciem w maju br. pierwszego w Polsce Muzeum Historii Armii Krajowej z siedzibą w Krakowie, co też chciałbym zasignalizować Panu Redaktorowi i Czytelnikom *Kultury*.

Celem Muzeum jest upamiętnienie nie tylko historii Armii Krajowej i wszystkich formacji Państwa Podziemnego, ale również walk Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie oraz zbrodni popełnionych w okresie rządów komunistycznych. Cenne eksponaty zapełniają już trzy duże sale, dwie inne są do dyspozycji organizatorów, którzy apelują „o przekazywanie do Muzeum wszelkich pamiątek, oryginałów lub duplikatów dokumentów na własność lub w depozyt. Potrzebna jest również pomoc do działalności w postaci wyposażenia technicznego jak: aparaty fotograficzne, sprzęt video, komputery, urządzenia drukujące i kserujące, magnetofony, maszyny do pisania, aparatura nagłaśniająca itp., oraz wszelka pomoc materialno-finansowa”, którą można przesyłać na adres: Fundacja Muzeum Armii Krajowej, ul. Bosacka, 31-508 Kraków.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Tadeusz WYRWA

## SPROSTOWANIA

W tekście wspomnień pani Janiny Fieldorfowej, żony gen. Emila Fieldorfa-„Nila” (*Z.H.* nr 101) nastąpiło w druku niezamierzone, aczkolwiek istotne opuszczenie. Zdanie Generała, wypowiedziane do żony podczas ich ostatniego widzenia przed jego egzekucją (str. 107) brzmi w oryginale:

„Czy wiesz dlaczego mnie skazali!? — Bo odmówiłem współpracy z nimi. Pamiętaj, żebyś nie prosiła ich o łaskę! Zabraniam tego!”

Ponadto, końcówka zdania we wstępie na górze str. 92 winna brzmieć: „... które cytowane są tutaj obficie w odnośnikach jako [1], [2..], i [14] (nie [4]), zaś referencja w przypisie nr 57 winna brzmieć [2], a nie [7].

Korzystając z okazji, pragnę dodać jeszcze jedną informację do przypisu nr 69:

Płk Janke wspominał także do współwięźniów z AK, że Generał, wiedząc, iż w tym samym więzieniu mokotowskim siedziało wielu (ok. 30) byłych żołnierzy Batalionu „Zośka” z ciężkimi wyrokami, niepokoił się o ich los. Żaden z tych żołnierzy nigdy jednak nie zetknął się w więzieniu z Generałem [10].

*Andrzej M. KOBOS*

27 lipca 1992

Drogi Panie Redaktorze!

Do artykułu „Stosunki rządu generała Sikorskiego z rządem Pétaina” w *Zeszytach Historycznych* nr 101 wkraady się błędy, które warto byłoby chyba sprostować:

Na str. 33, w przypisie 3, tytuł książki amb. J. Łukasiewicza winien brzmieć: „Dyplomata w Paryżu...”, a nie dyplomacja. Na str. 44, wiersz 9 od góry: zamiast „od” winno być „do”. Na str. 52, w przypisie 50, tytuł recenzji o książce St. Zabięły winien brzmieć: „Polska droga do podległości”, a nie do niepodległości. Na str. 54, zdanie w 9 wierszu od góry winno brzmieć: „przedstawicielstwa państw na uchodźstwie w Londynie”.

Łączę najlepsze pozdrowienia

*Tadeusz WYRWA*

Do recenzji Marii Danilewicz Zielińskiej pt. „Lekcja nawrotów historii” (*Zeszyty Historyczne* nr 101, str. 230, w. 9 od góry) wkrađ się błąd. Zamiast „...prym w tych szpetnych komentarzach wiódł... Tadeusz Świącicki” powinno figurować: „...prym w tych *szepcanych* komentarzach” itd.

**REDAKCJA**

## SPIS TREŚCI

Aldona Chojnowska: <i>Operacja „Wisła” (przesiedlenie ludności ukraińskiej na ziemie zachodnie i północne w 1947 r.)</i> .....	3
Roman Dzwonkowski SAC: <i>Kościół katolicki w b. ZSSR</i>	103

### WSPOMNIENIA

Jerzy R. Krzyżanowski (opr.): <i>Juliana Krzyżanowskiego listy z Syberii</i> .....	121
--	-----

### DOKUMENTY

<i>Studia generała Orlicz-Dreszera z 1926–1927 r. na temat wojny z Niemcami</i> (opr. Andrzej Grzywacz) .....	156
---	-----

### RECENZJE

Tadeusz Wyrwa: <i>Rokowania francusko-sowieckie w Moskwie w sierpniu 1939 roku</i> .....	172
Piotr Wandycz: <i>Nowe książki</i> .....	180
Jerzy Lerski: <i>Vademecum polonijne</i> .....	185
<i>Wykaz książek o tematyce historycznej wydanych przez Instytut Literacki</i> .....	187

### SĄSIEDZI

Józef Lewandowski: <i>Białe plamy w historii Czech</i> .....	190
--	-----



## OKRUCHY HISTORII

Tadeusz Wyrwa: <i>Układ Sikorski-Majski</i> .....	198
Eryk M. Budzyński: <i>Poczta japońska</i> .....	203
Tomasz Mianowicz: <i>Zamiast dyskusji (na marginesie ostatnich publikacji na temat dziejów najnowszych Kościoła)</i> .....	213
Władysław Michniewicz: <i>Moje spotkania z Ksawerym Pruszyńskim</i> .....	221

## LISTY DO REDAKCJI

Henryk Batowski: <i>Wyjaśnienia w związku z recenzją P. Wandycza z jego książki „Dyplomacja polska na obczyźnie 1939–1941” (Zeszyty Historyczne nr 100)</i> .....	229
Stanisław Bóbr-Tylingo: <i>Biogram Leonarda Zub-Zdanowicza (w związku z artykułem Andrzeja Bogusławskiego „Jeszcze o ‘Cichociemnych’” J. Tucholskiego, Zeszyty Historyczne nr 101)</i> .....	230
W.M. Marcinkowski: <i>Uwagi do biogramu Leonarda Zub-Zdanowicza (patrz Zeszyty Historyczne nr 101)</i> .....	231
Andrzej Grzywacz i Grzegorz Mazur: <i>Odpowiedź W. Pronobisowi (patrz polemika z autorami tego listu Zeszyty Historyczne nr 101)</i> .....	233
Jerzy Tomaszewski: <i>Uwagi nt. polityki Józefa Becka wobec Czechosłowacji (w związku z artykułem K. Karnkowskiego w Kulturze nr 6/1992)</i> .....	234
Tadeusz Wyrwa: <i>Apel o nadsyłanie dokumentów i pomocy technicznej dla Muzeum Armii Krajowej w Krakowie</i> .....	236
<i>Sprostowania</i> .....	237

**ACHEVÉ D'IMPRIMER  
LE 24 NOVEMBRE 1992  
SUR LES PRESSES DE  
L'IMPRIMERIE NOUVELLE  
16-24, RUE SOUBISE,  
93400 SAINT-OUEN**

**Dépôt légal : 4<sup>e</sup> trim. 1992**

**N° d'imprimeur 862**

**PHOTOCOMPOSITION  
AKTIS S.A.R.L.  
42, AVENUE DE WAGRAM  
75008 PARIS**

Dar  
Instytut Polski  
w Sztokholmie

